

Na podstawie nowej gry wideo BioWare i LucasArts

STAR WARS

THE
OLD REPUBLIC



OSZUKANI

PAUL S. KEMP

AMBER

STAR WARS

THE
OLD REPUBLIC



OSZUKANI

Paul S. Kemp

Tytuł oryginału
The Old Republic: Deceived

Copyright © 2011 by Lucasfilm Ltd. & ® or ™ where indicated.
All Rights Reserved.
Used Under Authorization.

For the Polish translation
Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Przekład
Anna Hikiert
Małgorzata Stefaniuk
Błażej Niedziński
Redakcja stylistyczna
Magdalena Stachowicz

Korekta
Halina Lisińska
Renata Kuk

Projekt graficzny i ilustracja na okładce
© Lucasfilm Ltd.

Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

ISBN 978–83–24 M244–6

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02–952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 22620 40 13, 22620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

BOHATEROWIE POWIEŚCI

DZIEŃ PIERWSZY

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

DZIEŃ DRUGI

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Jen, Riordanowi i Roarkemu

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Adraas – Lord Sithów (mężczyzna)
Angral – Lord Sithów (mężczyzna)
Arra Yooms – dziewczynka
Aryn Leneer – Rycerz Jedi (kobieta)
Eleena – sługa (Twi'lekanka)
Malgus – Lord Sithów (mężczyzna)
Ven Zallow – Mistrz Jedi (mężczyzna)
Vrath Xizor – najemnik (mężczyzna)
Zeerid Korr – przemytnik (mężczyzna)

DZIEŃ PIERWSZY

ROZDZIAŁ 1

„Tłuscioch” zadygotał, kiedy Zeerid wprowadził statek w atmosferę Ord Mantell. Poszycie jęknęło przeciągle, a tarcie zmieniło powietrze w ogień. Zeerid przyglądał się pomarańczowej poświacie płomieni przez transpastalowy iluminator kabiny frachtowca. Uświadomił sobie, że kurczowo zaciska palce na drążku sterowniczym, więc powoli, z determinacją rozluźnił chwyt.

Od zawsze nienawidził momentu wejścia w atmosferę – tego długiego odliczania sekund, kiedy żar, pęd i zjonizowane cząstki oślepiały na chwilę czujniki statku. Nigdy nie wiedział, co zastanie, gdy sytuacja wróci do normy. Kiedy transportował komandosów Eskadry Zagłada na pokładzie republikańskiego promu, jemu i jego pilotom ten moment skojarzył się z nurkowaniem na ślepo z morskiego klifu.

Zawsze liczy się na głębię, powiedzieli mu wtedy. Ale, wcześniej czy później, przypływ mija i trafiasz na skałę. Albo w sam środek strzelaniny, dodał ponuro w myśli. Tak naprawdę nie miało to znaczenia – efekt był ten sam.

– Wychodzimy z mroku – mruknął, kiedy płomienie zaczęły przygasać, a pod nimi zajaśniało niebo.

Nikt mu nie odpowiedział. Był na pokładzie „Tłusciocha” sam – pracował w pojedynkę. Jediną rzeczą, jaka dotrzymywała mu towarzystwa, była broń dla Kantoru. Miał swoje powody, żeby podjąć się tego zlecenia, ale wolał o nim za dużo nie myśleć.

Wyrównał kurs, wyprostował się w fotelu pilota i zlustrował pobieżnie otoczenie; czujniki nie wykryły nic niepokojącego.

– No to mamy głębię – dodał, uśmiechając się pod nosem. – Wygląda całkiem nieźle.

W przypadku większości planet chwila, w której opuszczał atmosferę, oznaczała konieczność pilnowania się przed namierzeniem przez rządowe systemy, ale nie na Ord Mantell. Ten świat był siedliskiem licznych organizacji przestępczych, najemników, łowców nagród, przemytników, handlarzy bronią i przyprawą. To oni sprawowali tutaj władzę.

Ich myśli zaprzętały bez reszty wojenki gangów i lokalne porachunki – nie interesowały ich formalności, a już na pewno nie egzekwowanie lokalnego prawa. Niższe i wyższe szerokości geograficzne planety były bardzo słabo zasiedlone. Prawie nigdy nie docierały tu patrole – to była ziemia niczyja. Zeerid byłby zaskoczony, gdyby okazało się, że te tereny są nadzorowane przez satelity rządowe. Taki stan

rzeczy bardzo mu odpowiadał.

„Tłuścioch” przedarł się przez cienką, różowawą warstwę chmur i jego przedni iluminator wypełniła brązowo–niebiesko–biała półkula Ord Mantell. W poszycie kadłuba zabębniły odłamki śniegu i lodu, niczym zamrożnięte szrapnele wybijając rytm na metalowej powłoce statku. Zachodzące słońce oblewało większość hemisfery pomarańczowoczerwoną poświatą. Statek przeleciał nad północnym morzem planety, ciemnym i wzburzonym, poznaczonym nieregularnymi plamami białych grzyw fal, rozbijających się o nieoznaczone na mapie wyspy, wyzierające tu i ówdzie z kipieli. Daleko na zachodzie majaczył mglisty kontur kontynentu i ledwie widoczne grzbiety otulonych śniegiem szczytów pasma górskiego, które ciągnęło się wzdłuż osi północ–południe.

Kątem oka złowił jakiś ruch – stado skórolotów, zbyt małych, żeby wychwyciły je czujniki. Istoty przeleciały jakieś dwieście metrów od sterburty, pod brzuchem „Tłuściocha”, trzepocząc majestatycznie potężnymi, błoniastymi skrzydłami w podmuchach mroźnego wiatru. Kierowały się na południe, w poszukiwaniu cieplejszej okolicy, i nie zwracały na niego uwagi; ich matowe, ciemne oczy mrugały powoli w śnieżnej zamieci.

Zeerid wyhamował i zwolnił. Z trudem stłumił ziewnięcie. Potrząsnął głową i wyprostował się znów w fotelu pilota, próbując odegnać zmęczenie – na próżno. Było uparte jak narowista bantha. Podczas skoku z Vulty przestawił statek na autopilota i zdrzemnął się chwilę, ale był to jedyny odpoczynek, na który pozwolił sobie w ciągu ostatnich dwóch standardowych dni. Teraz brak snu dawał mu się we znaki.

Podrapał się po zarośniętym kilkudniową szczecina podbródka, potarł zeszywniały kark i wpisał współrzędne punktu lądowania do komputera nawigacyjnego. Komputer połączył się z jedną z niezabezpieczonych stacji geosynchronizacyjnych i przesłał mu dane na temat współrzędnych i kursu „Tłuściocha”, które Zeerid wywołał na wyświetlacz przezierny. Namierzył lokalizację statku i wskazał punkt docelowy.

– Wyspa, o której nikt nigdy nie słyszał i której nikt nigdy nie odwiedzał – westchnął. – Brzmi nieźle. – Kiedy przełączył sterowanie na autopilota, statek zakreślił w stronę wyspy.

Podczas gdy „Tłuścioch” przecinał nieboskłon, myśli Zeerida błądziły chaotycznie. Monotonny stuk cząsteczek śniegu i lodu o kadłub brzmiał w jego uszach jak kołysanka. Wrócił myślą do chwil sprzed wypadku, do momentu, w którym opuścił szeregi floty. Wtedy jeszcze nosił z dumą mundur i potrafił spojrzeć sobie w oczy w lustrze...

Złapał się na tym, że zaczyna się nad sobą litować, więc odpędził od siebie wspomnienia. Wiedział, do czego może to doprowadzić.

– Ogarnij się, żołnierzu – powiedział do siebie. Był tym, kim był, a sprawy miały się tak, a nie inaczej. – Skup się na robocie.

Jeszcze raz sprawdził lokalizację ze współrzędnymi w komputerze nawigacyjnym. Był prawie na miejscu.

– Przygotuj się i łeb do pionu – nakazał sobie, powtarzając słowa, którymi zwykł był raczyć swoich komandosów. – Dziewięćdziesiąt sekund do lądowania.

Kontynuował swój rytuał – sprawdził stan ogniwa w Masterze, poprawił paski kompozytowej zbroi i skupił się na wykonaniu zadania.

Przed sobą, za iluminatorem, widział wyspę, na której miał wylądować – jakieś dziesięć klików kwadratowych wulkanicznej skały, obrzeżonej karłowatą roślinnością, targaną lodowatym wichrem. Bardzo prawdopodobne, że za jakiś rok ten skrawek lądu zaleje woda i nie zostanie po nim żaden ślad.

Sprowadził statek niżej i zatoczył szerokie koło, ale z powodu śnieżycy nie dostrzegł zbyt wielu szczegółów krajobrazu. Podchodził już do lądowania i skanował – jak zawsze – okolicę, kiedy zaskoczył go sygnał z czujników. Zerknął na chronometr na nadgarstku: przyleciał pełne dwadzieścia standardowych minut wcześniej. Robił ten kurs już trzy razy, ale Arigo (był pewien, że to tylko pseudonim gościa) nigdy nie zjawiał się przed czasem.

Zszedł na wysokość kilkuset metrów, żeby mieć lepszy widok.

Frachtowiec Ariga, „Buda”, przypominający kształtem beznogiego żuka, czekał na polanie po wschodniej stronie wyspy. Trap miał opuszczony; wystawał z kadłuba niczym jęzor jakiegoś osobliwego zwierzęcia, a halogenowe światła lśniły w zapadającym zmierzchu, odbijając refleksy rzucane przez płatki śniegu i zmieniając je w połyskliwe klejnoty. Zeerid widział w dole trzech mężczyzn kręcących się w pobliżu rampy, ale był zbyt daleko, żeby dostrzec inne szczegóły poza tym, że mieli na sobie zimowe, białe parki.

Kiedy zauważyli „Tłuściocha”, jeden z nich pomachał do niego dłonią w rękawiczce. Zeerid oblizał wargi i zmarszczył brwi. Coś tu było nie tak.

Z punktu, w którym znajdował się statek, wystrzeliły flary: zielona, czerwona, czerwona i zielona. Cóż, porządek był właściwy.

Zeerid zatoczył jeszcze jedno koło, wpatrując się w powierzchnię wyspy poprzez tumany śniegu, ale nie rzuciło mu się w oczy nic niepokojącego – ani na lądzie, ani na otaczającym ją morzu. Odsunął na bok swoje obawy i złożył niepokój na karb napięcia, towarzyszącego zawsze prowadzeniu interesów z mętami i kryminalistami.

Tak czy siak, nie mógł sobie pozwolić na zawalenie fuchy wartej kilka ładnych milionów kredytów tylko dlatego, że miał głupie przeczucia. Kupiec – kimkolwiek był – okazałby się na pewno bardziej niż niezadowolony z takiego obrotu spraw, a Kantor zemściłby się na Zeeridzie okrutnie za utratę zysku, tłukąc go na miazgę, a potem dodając jego długi do tych, które już u nich zaciągnął. Stracił już rachubę, ile tego było, ale wiedział, że co najmniej dwa miliony kredytów za „Tłuściocha” plus prawie połowa tego w ramach zaliczki za leczenie Arry (starał się trzymać jej istnienie w

sekrete, a jego kontakt w Kantorze był przekonany, że latając dla nich, spłaca długi hazardowe).

– Punkt lądowania bezpieczny. – Miał nadzieję, że wypowiadając te słowa, zaklina rzeczywistość. – Schodzimy.

Przy szumie wstecznych silników manewrowych „Tłuścioch” wylądował w tumanie śniegu na gołej skale, jakieś pięćdziesiąt metrów od statku Ariga.

Przez długą chwilę Zeerid siedział bez ruchu w sterowni, gapiąc się na padający śnieg, boleśnie świadom, że po tym lądowaniu nastąpi kolejne, a potem jeszcze jedno i następne, a on wciąż będzie Kantorowi winien więcej niż warto będą jego zlecenia.

To był zaklęty krąg, a on nie wiedział, jak się z niego wyrwać.

Tak czy inaczej, nie miało to teraz znaczenia. W tej chwili liczyło się tylko, żeby zdobyć pieniądze na leczenie Arry – może zdołałby załatwić jej fotel repulsorowy zamiast tego rupiecia na kółkach, na którym się poruszała? Jeszcze lepsze byłyby protezy...

Odetchnął głęboko, wstał i spróbował się uspokoić. Założył parkę i rękawiczki bez palców, a potem przeszedł do ładowni i utorował sobie drogę do wyjścia między zagracającymi ją skrzyniami. Po drodze starał się nie patrzeć na wymalowane na nich czarne litery – chociaż znał je na pamięć; widywał je podczas swojej kariery w wojsku aż za często:

„UWAGA: AMUNICJA. Wyłącznie do użytku wojska. Trzymać z dala od ognia i bezpośrednich źródeł energii”

W skrzyniach znajdowały się warte trzysta milionów kredytów działa laserowe, ładunki, granaty i wystarczająca ilość amunicji, żeby wprawić nawet najbardziej szalony oddział wojska w euforię na całe miesiące.

Dochodząc do rampy rozładunkowej, spostrzegł, że trzy czy cztery pasy zabezpieczające ześlizgnęły się z jednej z wypełnionych granatami skrzyń. Miał szczęście, że ładunkiem nie szarpnęło za bardzo podczas podróży. Paski ześlizgnęły się pewnie podczas lądowania – w każdym razie wolał wierzyć w taką wersję niż złożyć to na karb własnego niechlujstwa.

Nie zawracał sobie głowy ich zapinaniem. Ludzie Ariga i tak będą musieli wszystko rozpiąć podczas rozładunku.

Sprawdził blastery w kaburach, po czym wcisnął guzik otwierający właz i opuszczający trap. Kiedy rampa opadła, do środka wdarł się ostry wiatr, niosąc ze sobą tuman śniegu i słony zapach oceanu. Zeerid wyszedł na zewnątrz i zmrużył oczy w promieniach zachodzącego słońca – od jakichś dwunastu godzin miał do czynienia tylko ze sztucznym światłem. Podeszwy jego butów zachrzęściły na zaśnieżonej, czarnej skale, a oddech parował obficie w mroźnym wietrze.

Dwóch mężczyzn odłączyło się od grupki kręcącej się w pobliżu frachtowca Ariga i wyszło mu naprzeciw; spotkali się w połowie drogi. Obaj byli ludźmi, w dodatku

brodatymi; jeden nosił na oku przepaskę, a jego policzek przecinała blizna w kształcie błyskawicy. Byli uzbrojeni i – tak jak Zeerid – mieli otwarte kabury.

Przemytnik nie rozpoznawał żadnego z nich, co przywołało niedawny niepokój. Zeerid miał dobrą pamięć do twarzy, a tych dwóch widział pierwszy raz na oczy.

Coś tu zaczynało śmierdzieć.

– Gdzie Arigo? – spytał.

– Robi to, co zwykle porabia Arigo – stwierdził enigmatycznie ten z blizną i machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Wysłał nas w zastępstwie. To chyba nie problem, co?

Ten bez blizny przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

Zeerid skinął głową, ale nie dał nic po sobie poznać, chociaż serce zaczęło mu walić jak młotem, pompując do żył adrenalinę, od której natychmiast zrobiło mu się gorąco. Coś tu naprawdę mocno cuchnęło, a on nauczył się w ciągu lat ufać swojemu zmysłowi powonienia.

– Ty jesteś Zeerid, no nie? – spytał Blizna.

– Zet. – Nikt oprócz bratowej nie mówił mu po imieniu. No i oczywiście Aryn, ale to było dawno i nieprawda.

– Zet... – powtórzył jak echo Bez-blizny, znów przestępując z nogi na nogę i parskając krótkim śmiechem.

– Bawi cię to? – spytał go Zeerid. Zanim jednak Bez-blizny zdążył odpowiedzieć, Blizna warknął:

– Gdzie ładunek?

Zeerid spojrzał nad ich ramionami na trzeciego faceta, który kręcił się w pobliżu trapu statku Ariga. Jego zachowanie wzmogło niepokój pilota – gość sprawiał wrażenie za bardzo skupionego na ich rozmowie, zbyt spiętego i czujnego. Był tak niespokojny jak drobni przestępcy, kiedy pierwszy raz mieli do czynienia z imperialnymi – emanował paniką i gotowością do ucieczki.

Podejrzenia przeobraziły się w pewność. Cała ta sytuacja cuchnęła jak cholera, stwierdził Zeerid. Arigo najpewniej nie żył, a ta ekipa pracowała dla kogoś innego z Ord Mantell – albo z jakiejś konkurencyjnej dla Kantoru organizacji. Mniejsza z tym. Dla Zeerida nie miało to teraz znaczenia. Nigdy nie wnikał, kto z kim toczy wojenki – po prostu nie ufał nikomu.

Teraz liczył się tylko fakt, że trójka przed nim najprawdopodobniej wyciągnęła od Ariga informacje o dostawie torturami. Na pewno zabiją Zeerida, jak tylko potwierdzą, że ma ładunek.

Wiedział też, że na pokładzie frachtowca mogą czekać posiłki.

Cóż, wszystko wskazywało na to, że ze ślepego punktu wejścia w atmosferę wpakował się jednak w tarapaty. Stara śpiewka.

– Dlaczego nazwałś swój statek „Tłuściochem”? – zainteresował się Bez-blizny.

Najwyraźniej Arigo musiał im wyjawić nazwę statku, bo „Tłuścioch” nie miał na kadłubie żadnych oznaczeń. Zeerid korzystał z fałszywych papierów niemal na każdej planecie, na której lądował.

– Bo jest wiecznie nienazarty – odparł.

– Wygląda trochę jak panienka, no nie? Dlaczego nie nazwałeś go „Tłuścioszką”?

– Bo to by brzmiało... obraźliwie.

Bez-blizny zmarszczył czoło.

– Hę? Dla kogo niby?

Zeerid nie pofatygował się odpowiedzieć. Teraz zależało mu tylko na zostawieniu ładunku, spłaceniu kolejnej części długu wobec Kantoru i spotkaniu z córką, zanim znów będzie musiał wrócić do roboty i wplątać się w jakieś parszywe interesy.

– Coś nie tak? – spytał ostrożnie Blizna. – Wyglądasz na wkurzonego.

– Ależ skąd – zapewnił go Zeerid i uśmiechnął się z przymusem. – Wszystko w porządku, jak zawsze.

Mężczyźni niepewnie odwzajemnili uśmiech, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, jak zinterpretować słowa pilota.

– Jasne – przytaknął bez przekonania Blizna. – Jak zawsze.

Zeerid wiedział już, co się stanie za chwilę; był spokojny – jak zwykle w obliczu nieuchronnego niebezpieczeństwa. Na moment ujrzał przed oczami twarz Arry i zastanowił się przelotnie, co zrobi córka, jeśli on zginie tu, na Ord Mantell, na jakiejś bezimiennej wyspie, ale szybko się opamiętał. Teraz nie może sobie pozwolić na rozproszenie uwagi.

– Ładunek jest w głównej ładowni – powiedział krótko. – Przyślijcie swoich ludzi. Statek jest otwarty. – Twarze obydwu mężczyzn stężały ledwie zauważalnie, ale dla Zeerida ich zamiary były widoczne gołym okiem: zamierzali go zabić. Blizna polecił Bez-blizny sprawdzić ładunek. – Będzie potrzebował podnośnika – dodał, przygotowując się do działania, skupiony na szybkości i precyzji ruchów. – Ten ładunek całkiem sporo waży.

Bez-blizny zatrzymał się w pobliżu Zeerida i obejrzał pytająco na Bliznę.

– Nie – burknął Blizna i zatrzymał rękę w okolicy kabury ruchem zbyt swobodnym, żeby był przypadkowy. – Chcę tylko, żeby się upewnił, że wszystko jest w porządku. Wtedy dam moim ludziom znać, żeby ci zapłacili. – Podniósł ręce do góry, jakby chciał pokazać Zeeridowi komunikator, ale urządzenie zasłaniał rękaw parki.

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku – zapewnił go Zeerid.

– Idź – polecił swojemu kumplowi Blizna. – Sprawdź to.

– Ach... – dodał Zeerid i strzelił palcami. – Jeszcze jedno...

Bez-blizny westchnął, zawrócił i zatrzymał się przed nim, unosząc brwi; jego oddech parował w mroźnym powietrzu.

– Co znowu?

Zeerid wyprostował palce lewej dłoni i wyprowadził cios w gardło Bez-blizny. Kiedy facet, krztusząc się, upadł na śnieg, wyszarpnął z kabury jeden z blasterów i wypalił w piersi Blizny dymiącą dziurę, zanim ten zdążył cofnąć się o krok i sięgnąć po własną broń. Trafiony zrobił dwa chwiejne kroki w tył, poruszając ustami, z których nie wydobył się jednak żaden dźwięk. Prawą rękę wyciągał przed siebie, wnętrzem dłoni na zewnątrz, jakby mógł powstrzymać strzał, który właściwie już go zabił.

Kiedy upadł, Zeerid wystrzelił desperacko w stronę trzeciego faceta, kręcącego się w pobliżu rampy „Budy”, ale chybił. Mężczyzna kucnął pod osłoną statku, wyciągnął z kabury swój blaster i krzyknął coś do komunikatora na nadgarstku. Chwilę później uwagę Zeerida zwrócił jakiś ruch w widocznej stąd ładowni statku Ariga – najwyraźniej tamten wezwał posiłki. Zeerid nie miał pojęcia, jak liczne.

Zaklął, wystrzelił raz dla osłony, a potem odwrócił się na pięcie i zaczął biec w stronę „Tłuściocha”. Strzał z blastera wypalił czarną bruzdę w rękawie jego parki, ale nie dosięgnął ciała. Kolejna salwa odbiła się od kadłuba jego statku, a trzecia trafiła go w sam środek pleców. Uczucie przypominało zderzenie ze śmigaczem – impet strzału wyparł mu z płuc całe powietrze i posłał go do przodu, na ziemię, twarzą w śnieg.

Nozdrza wypełnił mu dym; jego kamizelka pancerna spełniła jednak swoje zadanie.

Adrenalina poderwała go na nogi tak szybko, jak przed chwilą go z nich ścięło. Dysząc ciężko, zanurkował za goleń podwozia w poszukiwaniu ochrony i otarł twarz ze śniegu. Chwilę później wyjrzał zza wspornika. Bez-blizny przestał się krztusić i zaczął... hm, no cóż, wyglądać na martwego. Blizna uprzejmie leżał bez ruchu, głową w śniegu, a w stronę Zeerida i „Tłuściocha” biegło sześciu gości – dwóch uzbrojonych w karabiny blasterowe, reszta w pistolety.

Zeerid wiedział, że jego kamizelka nie ochroni go przed strzałem z karabinu.

W metal goleni trafił strzał. Kolejny – w śnieg u jego stóp, a potem tuż obok jeszcze jeden i następny.

– *Stang!* – zaklął.

Bezpieczna przystań trapu i ładowni „Tłuściocha”, od której dzieliło go zaledwie kilka kroków, wydawała się oddalona o co najmniej dziesięć kilometrów.

Sięgnął po drugi blaster, przełożył ręce po obu stronach wspornika i zaczął strzelać – naciskając spust najszybciej jak potrafił – w stronę nadciągających mężczyzn. Nie widział, czy kogoś trafił, i nie obchodziło go to; chciał się ich pozbyć za wszelką cenę. Kiedy nacisnął już cyngiel kilkanaście razy, a nikt nie odpowiedział ogniem, wyskoczył zza osłony goleni i rzucił się w stronę rampy.

Dotarł do niej, zanim jeszcze jego prześladowcy doszli do siebie na tyle, żeby podjąć przerwany ostrzał. Kilka strzałów poszybowało za nim wzdłuż trapu, odbijając się od metalowych grodzi. Zaiskrzyło i z zapachem słonego oceanu zmieszał się swąd stopionego plastoidu. Zeerid dotarł do panelu kontrolnego, rąbnął w przycisk

podnoszący rampę i – nie zwalniając – puścił się pędem do sterowni. Dopiero kiedy przekraczał próg ładowni, zorientował się, że nie słyszy szumu tłoków podnoszących trap.

Odwrócił się na pięcie, klnąc siarczyście – w pośpiechu najwyraźniej nie trafił w przycisk. Krzyki dobiegające z okolic trapu utwierdziły go jednak w przekonaniu, że powrót nie jest najlepszym pomysłem. Wciąż mógł zamknąć śluzę z panelu kontrolnego w kabinie – pod warunkiem że się pospieszy.

Ruszył biegiem korytarzami „Tłuściocha”, a kiedy dotarł do drzwi sterowni, otworzył je barkiem i zaczął wpisywać sekwencję startową. Silniki manewrowe frachtowca obudziły się do życia i statek wzniósł się do góry. Od kadłuba odbiła się seria strzałów z blasterów, ale nie wyrządziła mu najmniejszej krzywdy. Zeerid spróbował wyjrzeć na zewnątrz przez owiewkę, ale statek wznosił się pionowo do góry i z tego położenia nie mógł zobaczyć lądu. Kiedy wcisnął gaz do dechy, usłyszał odległy szcęk metalu o metal – dźwięk dochodził od strony ładowni. To pewnie niezabezpieczona skrzynia z granatami, pomyślał gorączkowo. Poza tym ładownia wciąż była otwarta...

Przeklinając się w myśli za głupotę, aktywował przycisk podnoszenia rampy, zabezpieczył ładownię i opróżnił ją z tlenu. Jeśli nawet ktoś dostał się na pokład, to nie przetrwa tam długo.

Chwycił drążek i odpalił silniki „Tłuściocha”, podrywając go do góry. Jak tylko statek ustawił się w poziomie, Zeerid obejrzał się w stronę wyspy.

Początkowo nie bardzo wiedział, na co patrzy, ale po chwili do niego dotarło: kiedy „Tłuścioch” gwałtownie wystartował, rozpięła się reszta pasów zabezpieczających skrzynię z ładunkami i cały kontener ześlizgnął się po opuszczonej rampie. Miał szczęście, że nie eksplodował.

Mężczyźni, którzy wcześniej go ścigali, otoczyli skrzynię, najprawdopodobniej zachodząc w głowę, co jest w środku. Naliczył ich sześciu, co oznaczało, że żaden nie dostał się na pokład. Żaden też nie biegł w stronę statku Ariga, a to sugerowało, że raczej nie mają zamiaru go ścigać. Może usatysfakcjonował ich ten jeden kontener? Cóż, w takim razie najprawdopodobniej miał do czynienia z amatorami. Może to piraci?

Zeerid wiedział, że będzie się musiał tłumaczyć przed Orenem, swoim pośrednikiem – i to nie tylko z wpadki z dostawą, ale i ze straconego ładunku.

Ten kriffolony młyn nabiera tempa stanowczo za szybko, zaklął w myśli.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie dać całej naprzód, nie opuścić studni grawitacyjnej Ord Mantell i nie skoczyć w nadprzestrzeń, ale zmienił zdanie. Był wkurzony i do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

Zawrócił i przyspieszył.

– Trochę tu posprzątamy – mruknął i aktywował boczne i dolne działka

„Tłusciocha”.

Mężczyźni na ziemi widocznie założyli, że on ucieka, bo nie zauważyli statku, dopóki ten nie zawisł jakieś pół kilometra nad nimi. Odwrócili się w jego stronę i zaczęli pokazywać go sobie palcami, ale zaraz rozprzeczli się na wszystkie strony. Jeden z nich wystrzelił w stronę „Tłusciocha” z blastera, ale czerwony promień energii nie zrobił frachtowcowi najmniejszej krzywdy.

Zeerid wycelował i zaczekał, aż komputer namierzy skrzynię.

– Zaraz będzie tu gorąco – warknął i wypalił. Przez ułamek sekundy statek z wyspą łączyły pulsujące, pomarańczowe smugi, które po chwili zmieniły się w chmurę ognia, żaru i dymu, szybko się rozprzeczniającą na tle śnieżnej bieli. W kadłub „Tłusciocha” zabębniły ostre odłamki – tym razem metalu, nie lodu – a statek zakołysał się lekko, szarpnięty falą udarową, zanim Zeerid wycofał go i wzbił znów w niebo.

Kiedy obejrzał się, zobaczył sześć nieruchomych, dymiących, bezkształtnych plam, porzrzucanych w promieniu wybuchu.

– To dla ciebie, Arigo – wycedził.

Nie zmieniało to faktu, że będzie się musiał gęsto tłumaczyć, ale przynajmniej miał z głowy tych pieprzonych cwaniaków. Chociaż tyle mógł zrobić dla Kantoru – i miał nadzieję, że to docenią.



Darth Malgus kroczył autokładką; miarowy odgłos jego kroków był niczym tykanie chronometru, odliczającego pozostałe Republice sekundy.

Obok niego przelatywał niekończący się strumień śmigaczy, skuterów repulsorowych i innych pojazdów powietrznych: mechaniczny układ krążenia serca Republiki. Całą powierzchnię Coruscant pokrywały ciągnące się wiele kilometrów wżwyż warstwy wieżowców, drapaczy chmur, mostów, wież i placów – kokon dla tłumu zamożnych, rozwiązłych obywateli, skrywający w ciepłych, bezpiecznych warstwach durabetonu i transpastali zepsucie i zgorszenie.

Jednak Malgus wyczuwał pod warstewką blichtru smród zgnilizny. Zamierzał pokazać im wszystkim, jaką cenę płaci się za hipokryzję i samozadowolenie.

Wkrótce to wszystko spłonie, bo Malgus zamierzał spustoszyć Coruscant. To było jego przeznaczenie. Był tego świadom, przeczuwał to – już od dawna.

Z głębi umysłu napływały wspomnienia. Przypomnił sobie swoją pierwszą wyprawę na Korriban – tę głęboką aurę świętości, która go otaczała, kiedy przemierzał samotnie skaliste pustkowia planety, jej pyliste kaniony, obramowane

grobowcami starożytnych Sithów. Czuł przepelniającą to miejsce Moc, pławił się w niej, aż w jego odosobnieniu ukazała mu ona wizję. Widział ulice skąpane w płomieniach, upadek galaktycznego rządu...

Uwierzył wtedy... wiedział to z niezachwianą pewnością – tak jak teraz – że zniszczenie Jedi i ich Republiki przypadnie w udziale jemu, właśnie jemu.

– O czym myślisz, Veradunie? – zagadnęła go Eleena.

Tylko ona nazywała go jego dawnym imieniem – i robiła to wyłącznie, kiedy byli sami. Podobał mu się sposób, w jaki je wymawia, ale nie tolerował go w ustach nikogo innego.

– Myślę o ogniu – odpowiedział z namysłem, a znieawidzony respirator częściowo stłumił jego głos.

Szła obok niego – piękna i niebezpieczna niczym elegancki lanvarok. Cmoknęła z dezaprobatą, słysząc jego słowa i spojrzała na niego z ukosa, ale nie skomentowała. Jej lawendowa skóra wydawała się lśnić w promieniach zachodzącego słońca.

Plac, który przecinali, roił się od istot różnych ras – roześmianych, rozgniewanych, rozmawiających. Malgus kątem oka dojrzał dziewczynkę, która pisnęła z zachwytem i pobiegła prosto w otwarte ramiona ciemnowłosej kobiety, pewnie matki. Mała najwyraźniej poczuła na sobie jego wzrok, bo obejrzała się na niego znad ramienia matki; jej twarzyczkę ściągnął zaniepokojony grymas. Mijający ją Sith nie spuszczał z niej wzroku, aż wreszcie dzieciak odwrócił oczy, ukrywając buzię na piersi opiekunki.

Poza dziewczynką nikt nie zwrócił na nich uwagi. Obywatele Republiki czuli się bezgranicznie bezpieczni w swoich ciepłych, położonych w samym sercu galaktyki pieleszach, a sama liczba zamieszkujących planetę–miasto istot gwarantowała Malgusowi anonimowość. Kroczył więc między swoimi przyszłymi ofiarami – zakapturzony, w ukrytym pod peleryną pancerzu, niezauważony, obcy i zdeterminowany.

– To piękny świat – zauważyła mimochodem Eleena.

– Już niedługo.

Wyglądało na to, że jego słowa ją zaskoczyły, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego.

– Veradunie...

Widział, jak przełyka ślinę i odwraca wzrok. Cokolwiek chciała powiedzieć, słowa chyba utknęły jej w przeciętym szramą gardle.

– Tak, Eleeno?

Wciąż odwracała wzrok, przyglądając się otaczającej ich panoramie, jakby chciała zapamiętać Coruscant taką, jaką była, zanim Malgus i Imperium skąpią ją w płomieniach.

– Kiedy skończy się wojna?

Jej słowa zbiły go z tropu.

– Co masz na myśli?

– Twoje życie to wojna, Veradunie – powiedziała. – Nasze życie... Kiedy to wszystko się skończy? Przecież nie może być tak... zawsze.

Skinął głową. Wiedział już, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. Wiedział, że będzie się starała ukryć w pytaniach swoje ostrożne rady. Jak zwykle w takich chwilach, czuł się rozdarty. Z jednej strony, była tylko jego służką, kobietą, która dotrzymywała mu towarzystwa, kiedy sobie tego życzył. Z drugiej jednak... była Eleeną. Jego Eleeną.

– Wybrałaś walkę u mojego boku, Eleeno – przypomniał jej. – Zabiłaś wielu w imię Imperium.

Lawendowa skóra jej policzków spąsowiała.

– Nie zabijałam w imię Imperium. Walczyłam i zabijałam dla ciebie – zaprotestowała. – Wiesz o tym. A ty... czy walczysz dla Imperium? Tylko dla Imperium?

– Nie. Walczę, bo do tego zostałem stworzony, a Imperium jest narzędziem, za pośrednictwem którego dążę do osiągnięcia własnych celów. Imperium jest manifestacją wojny, dlatego jest doskonałe.

Pokręciła głową.

– Doskonałe? W tej wojnie giną miliony istot. Miliardy!

– Wojny mają to do siebie, że zawsze ktoś w nich ginie – zauważył z przekąsem. – To cena, którą trzeba za nie zapłacić.

Eleena zapatrzyła się na grupkę dzieci, prowadzonych przez dorosłego – pewnie nauczyciela.

– Cena za co? I po co komu ta nieustanna wojna? Nieustanne podboje? Co takiego chce osiągnąć Imperium? Czego chcesz ty?

Uśmiechnął się pod respiratorem na dźwięk tego pytania, które zabrzmiało, jakby zadało je nad wiek rozwinięte dziecko.

– Tu nie chodzi o pragnienia – wyjaśnił jej. – Służę Mocy. A Moc jest ucieleśnieniem konfliktu, tak samo jak Imperium. Te dwa elementy należą do jednego zbioru.

– Mówisz, jakby to była matematyka.

– Bo tak jest.

– Jedi mówią co innego.

Stłumił falę gniewu.

– Jedi rozumieją Moc tylko częściowo. Niektórzy z nich potrafią nią biegle władać, to fakt, ale nie rozumieją, że fundamentalną naturą Mocy jest konflikt, a Ciemna i Jasna Strona są jawnym potwierdzeniem tego faktu. – Sądził, że to zakończy rozmowę, ale Eleena nie ustępowała.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego konflikt? Dlaczego Moc miałyby istnieć po to, żeby tworzyć konflikty i doprowadzać do śmierci?

Westchnął, lekko poirytowany.

– Bo ci, którzy przetrwają konflikt, będą rozumieć Moc lepiej, bardziej dogłębnie. To sam w sobie wystarczający cel.

Wyraz jej twarzy sugerował, że nadal nie rozumie.

– Konflikt – podjął nieco ostrzejszym tonem, z wyraźnym rozdrażnieniem – powoduje pełniejsze rozumienie Mocy. Imperium eksploruje i tworzy konflikty. W tym ujęciu Imperium jest narzędziem Mocy. Rozumiesz? Jedi tego nie pojmują. Korzystają z Mocy, żeby tłumić uczucia swoje i innych, żeby wymuszać na nich swoją wizję tolerancji i harmonii. Są głupcami, ale po dzisiejszym dniu wreszcie to do nich dotrze.

Przez jakiś czas Eleena milczała; otaczał ich tylko szum i gwar codziennego życia Coruscant. Kiedy wreszcie się odezwała, znów brzmiała jak tamta zahukana dziewczyna, którą uratował z niewoli na Geonosis.

– Czy to znaczy, że całe twoje życie będzie walką? Nasze życie? Niczym więcej?

W końcu zrozumiał jej motyw. Chciała, żeby ich związek zmienił charakter, ewoluował. Ale przecież jego poświęcenie w służbie doskonalenia Imperium, dzięki któremu mógł rozwijać swoje rozumienie Mocy, wykluczało jakiegokolwiek poważniejsze więzi.

– Jestem wojownikiem Sithów – powiedział.

– I między nami będzie zawsze tak jak teraz?

– Ja jestem panem, a ty służą. Czy taki układ ci nie odpowiada?

– Nie traktujesz mnie jak swoją służbę. Nie zawsze – zauważyła trafnie.

Pozwolił, żeby do jego głosu wkradła się surowa nuta, chociaż tak naprawdę nie był na nią zły.

– Mimo to jesteś służą. Nie zapominaj o tym.

Na jej policzki znów wystąpił rumieniec, jednak tym razem nie był oznaką wstydu, ale gniewu. Zatrzymała się, odwróciła w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy. Czuł, że przed jej wzburzeniem nie osłoni go ani kaptur, ani respirator.

– Znam cię lepiej niż ty sam siebie – powiedziała z mocą. – Opiekowałam się tobą po bitwie o Alderaan, kiedy o mały włos byś zginął z ręki tej wiedzmy Jedi. Mówisz o konflikcie, o ewolucji, o doskonałości i mówisz szczerze, ale wiara w te wartości nie sięga twojego serca.

Przyglądał się w milczeniu jej pięknej twarzy, obramowanej bliźniaczymi lekku, a ona nie odwróciła spojrzenia. Jego wzrok spoczął na bliźnie przecinającej nieskazitelną skórę na jej szyi.

Poruszony jej pięknem, impulsywnie złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Nie opierała się; przyłgnęła do niego całym ciałem. Odsunął na bok respirator i wpił

się zachłannie w jej usta okaleczonymi wargami.

– Może nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się zdaje – mruknął. Tym razem jego słów nie tłumił filtr respiratora.

Jako chłopiec zabił twi'lekańską służącą w domu swojego przybranego ojca. To było jego pierwsze morderstwo. Kobieta popełniła jakieś drobne przewinienie, którego teraz nie pamiętał, zresztą nie miało to nigdy żadnego znaczenia. Nie zabił jej z powodu tego, co zrobiła, tylko żeby udowodnić sobie, że potrafi to zrobić. Wciąż pamiętał uznanie, z jakim jego przybrany ojciec spojrział na ciało martwej Twi'lekanki. Jakiś czas później został wysłany do Akademii Sithów na Dromund Kaas.

– A jednak chyba cię znam – powiedziała buńczucznie Eleena.

Uśmiechnął się, a kiedy odwzajemniła uśmiech, wypuścił ją z objęć. Nałożył z powrotem swój aparat oddechowy i sprawdził chronometr na nadgarstku.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, system obrony powinien zostać lada chwila unieszkodliwiony.

Poczuł falę emocji, zrodzoną z przeświadczenia, że całe swoje życie czekał na tę chwilę; że to sama Moc doprowadziła go w to miejsce w momencie, który zapoczątkuje nieuchronny upadek Republiki i podporządkuje ją Imperium.

Jego komunikator zadzwieczał, sygnalizując nadchodzącą wiadomość i Malgus aktywował urządzenie, żeby ją przeczytać.

„Gotowe”, głosila.

Mandalorianka wypełniła swoją część roboty. Nie znał jej imienia, więc nazywał ją po prostu Mandalorianką. Wiedział tylko, że pracuje dla pieniędzy, że z jakichś osobistych powodów, znanych tylko sobie, nienawidzi Jedi i że jest niezwykle skuteczna.

Treść wiadomości oznaczała, że system obronny planety został wyłączony, jednak żadna z tysięcy istot, które zaludniały plac, nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej. Nie słyhać było żadnych alarmów. Na niebie nie pojawiły się statki ochrony. Wszystko wskazywało na to, że władze cywilne i wojskowe nie wiedzą, że sieć bezpieczeństwa Coruscant została naruszona.

Cóż, już wkrótce się o tym dowiedzą – i nie uwierzą własnym oczom, pomyślał z satysfakcją. Przeprowadzą testy, żeby sprawdzić, czy odczyty są poprawne, ale do tego czasu Coruscant zapłonie.

„Wchodzimy”, napisał w odpowiedzi. „Spotkamy się w środku”.

Rozejrzał się ostatni raz wokół siebie – popatrzył na grupki zapelniające plac: dzieci bawiące się z rodzicami, śmiejące się, jedzące istoty zajęte swoim życiem, nieświadome, że za chwilę wszystko się zmieni.

– Chodź – powiedział do Eleeny. Przyspieszył kroku, aż ciemna peleryna załopotala na wietrze. Przepelniał go gniew.

Chwilę później otrzymał jeszcze jeden zaszyfrowany przekaz, tym razem z pokładu porwanego statku:

„Skok przebiegł pomyślnie. Zbliżamy się. Planowany czas przybycia na miejsce: dziewięćdziesiąt sekund”.

Przed nimi wznosiły się cztery wieże, flankujące stopnie zigguratu Świątyni Jedi; w promieniach zachodzącego słońca białe kamienie miały kolor płomieni. Cywile trzymali się od budynku z daleka, całkiem jakby uznawali go za święte – nie świętokradcze – miejsce.

Nie zostanie po nim kamień na kamieniu, stwierdził w myśli z satysfakcją. Szedł prosto na Świątynię, a wraz z nim kroczyło przeznaczenie. Wzdłuż alei prowadzącej do potężnych wrót stały posągi dawno zmarłych Mistrzów Jedi. Zachodzące słońce rozciągało na durabetonie ich cienie. Mijał je, przypominając sobie niektóre z imion: Odan-Urr, Ooroo, Arca Jeth...

– Zostaliście oszukani – szepnął im. – Wasz czas minął.

Większość Mistrzów obecnego Zakonu Jedi przebywała poza Świątynią, uczestnicząc w negocjacjach na Alderaanie albo chroniąc interesy Republiki na innych planetach. Mimo to Świątynia nie była bezbronna. W pobliżu drzwi stało trzech republikańskich żołnierzy z blasterami w dłoniach. Na wysokim stopniu po lewej wyczuł dwóch następnych. Eleena była wyraźnie spięta, ale nie zawahała się. Malgus znów zerknął na chronometr: pięćdziesiąt trzy sekundy. Żołnierze czujnie patrzyli, jak zbliżają się do wejścia. Jeden z nich powiedział coś do komunikatora na nadgarstku – pewnie łączył się z centrum dowodzenia.

Nie będą wiedzieli, jak się zachować, pomyślał Malgus. Chociaż trwała wojna, czuli się bezpiecznie w swojej enklawie w sercu Republiki. A on pokaże im, jak bardzo się mylą.

– Stój! – polecił mu jeden z żołnierzy.

– Nie mogę – szepnął Malgus, zbyt cicho, żeby usłyszeli jego stłumiony przez respirator głos. – Nie zatrzymam się. Nigdy.



Aryn wciąż nie potrafiła odzyskać spokoju ducha i umysłu; próba złapania równowagi kojarzyła się jej z obserwowaniem płatków śniegu w promieniach słońca – widziała je przez chwilę, ale zaraz znikwały. Przesunęła palcami po gładkich paciorkach nautolańskiej bransoletki spokoju, którą dostała od Mistrza Zallowa, kiedy została pasowana na Rycerza Jedi. Przesuwając w milczeniu lśniące, śliskie koraliki, szukała w Mocy ukojenia. Bezskutecznie.

Co się z nią, do licha, działo?

Na zewnątrz śmigacze przelatywały za wielkim oknem, wychodzącym na sielski, piękny krajobraz Alderaana, wręcz stworzony do malowania. Ale w sobie Aryn czuła chaos. Zwykle potrafiła lepiej się chronić przed otaczającymi ją emocjami; traktowała swój dar empatii jako błogosławieństwo Mocy, ale teraz...

Uświadomiła sobie, że bezwiednie, nerwowo postukuje stopą o posadzkę. Zmusiła się, żeby przestać, potem skrzyżowała i rozkrzyżowała nogi... a po chwili jeszcze raz.

Obok niej siedział Syo. Z rękami złożonymi na podołku wyglądał niczym potężny posąg jakiegoś alderańskiego męża stanu – jeden z tych, które otaczały wyłożony marmurem hol, w którym się znajdowali. Przez okno wpadały do środka promienie zachodzącego słońca, rzucając na podłogę długie cienie.

– Niepokoisz się – powiedział Syo, nie patrząc na nią.

– Tak – mruknęła.

W rzeczywistości czuła się jak czajnik wrzącej wody, przepełniony niczym parą emocjami szukającymi ujścia spod przykrywki samokontroli. Miała wrażenie, że otaczające powietrze jest naładowane elektrycznością. W normalnej sytuacji przypisałyby targające nią uczucia stresowi towarzyszącemu negocjacom pokojowym, ale teraz było inaczej. Czuła to. Czuła skradającą się ku niej ciemność, zagładę. Czy to Moc starała się jej coś powiedzieć?

– Niepokój ci nie służy – zauważył Syo.

– Wiem. Czuję się... dziwnie.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się, ale Aryn wiedziała, że traktuje jej wyznanie poważnie.

– Dziwnie? W jakim sensie?

Jego głos był kojący, uspokajający – i Aryn wiedziała, że głównie dlatego postanowił z nią porozmawiać.

– Całkiem jakby... coś się miało wydarzyć. Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić.

– Czy to uczucie pochodzi od Mocy? Wyczuwasz je dzięki empatii?

– Nie wiem. Po prostu... mam przeczucie, że coś się zaraz stanie.

Przez chwilę rozważał jej słowa w milczeniu.

– Rzeczywiście, coś się stanie – przyznał wreszcie i skinął głową w stronę wysokich drzwi po lewej stronie, za którymi Mistrzynie Dar'nala i Rycerz Jedi Satele Shan prowadziły negocjacje z delegacją Sithów. – Zakończy się wojna, jeśli szczęście nam dopisze.

Pokręciła głową.

– To coś innego. – Oblizwała wargi i poruszyła się niespokojnie na krześle.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Aryn dalej przekładała w palcach paciorki. Syo wreszcie odchrząknął i utkwiał wzrok w jakimś punkcie po drugiej stronie holu.

– Oni czują twoje wzburzenie – powiedział cicho. – Mogą je odczytać jako coś,

czym w istocie nie jest.

Aryn zdawała sobie z tego sprawę. Czuła ich wzgardę, drażniącą umysł niczym kamień w bucie.

Na kamiennej ławce pod ścianą naprzeciwko nich siedziało dwoje ubranych w czarne szaty członków delegacji Sithów. Dwie przeciwstawne frakcje dzieliło piętnaście metrów wypolerowanej marmurowej posadzki, dwa rzędy alderaańskich posągów i przepaść wrogich przekonań.

W przeciwieństwie do Aryn, Sithowie nie wydawali się zdenerwowani. Wyglądali na... czujnych – obydwójce pochyleni lekko do przodu, z rękami opartymi na kolanach i wzrokiem wbitym w Jedi, jakby w każdej chwili gotowi zerwać się na równe nogi. Aryn czuła, że w duchu drwią z jej braku samokontroli; widziała to w kpiącym uśmieszku na ustach mężczyzny.

Odwróciła od nich spojrzenie i spróbowała się skupić na czymś innym. Czytała nazwiska wygrawerowane na cokołach posągów – Keers Dorana i Velben Orr – a także innych, o których nigdy nie słyszała, ale obecność Sithów w Mocy rozpraszała ją. Czuła się, jakby zanurzono ją głęboko pod wodę, a ze wszystkich stron parło na nią ciśnienie. Czekala na chwilę, w której pękna jej bębunki – liczyła na to, że dojmujący, oczyszczający ból przywróci jej kontrolę nad własnym ciałem. Nic takiego jednak nie nastąpiło, a jej oczy same zwracały się w stronę Sithów.

Kobieta, której szczupłe ciało ukrywała bezkształtna szata w kolorze ciemnego błękitu, wpatrywała się w nią zmrużonymi, jasnymi oczami. Jej długie, ciemne włosy, ściągnięte w węzeł, spływały z głowy niczym szubieniczna pętla. Chuderlawy mężczyzna siedzący obok niej miał taką samą ziemistą cerę jak ona, takie same blade oczy i to samo nienawistne spojrzenie. Aryn domyślała się, że są rodzeństwem. Ciemne włosy i długa broda mężczyzny, spleciona w dwa warkocze, nie mogła ukryć oblicza tak pobruźzonego, poznaczonego bliznami i dziobami, że przypominała Aryn ziemię po bombardowaniu. Jej wzrok spoczął na rękojeści miecza Sitha – topornej i kanciastej, podobnej jak w mieczu siedzącej obok kobiety.

Wyobraziła sobie ich rodziców – jak zauważają, że brat i siostra są wrażliwi na Moc, i wysyłają ich na Dromund Kaas, gdzie dzieci przejdą indoktrynację. Słyszała wiele plotek o tym, jak Imperium postępuje z wrażliwymi na Moc. Jeśli była to prawda, Sithowie siedzący naprzeciwko niej nie przeszli na Ciemną Stronę Mocy z przymusu – po prostu nigdy nie dano im szansy, żeby stali się kimkolwiek innym.

Zastanawiała się, jak potoczyłyby się jej losy, gdyby urodziła się w Imperium. Czy szkoliłaby się na Dromund Kaas, gdzie wykorzystano by jej empatię do zadawania innym bólu i tortur?

– Nie lituj się nad nimi – powiedział w bocce Syo, całkiem jakby czytał jej w myślach. W jego ustach obcy język brzmiał dziwnie niestosownie. – I nie wąp w siebie.

Jego przenikliwość nie zaskoczyła Aryn zbyt. Znał ją bardzo dobrze.

– No i kto jest teraz empatą? – spytała zadziornie w tym samym języku.

– Wybrali swoją ścieżkę. Tak jak my wszyscy.

– Wiem – odparła.

Pokręciła głową nad zmarnowanym potencjałem Mocy, a oczy obojga Sithów na chwilę zalśniły czujnie niczym u drapieżników tropiących zwierzynę. Akademia na Dromund Kaas zmieniła ich w łowców, więc postrzegali świat oczami łowców. Może to po części wyjaśniało wojnę?

Nawet jeśli tak, to nie wyjaśniało w żaden sposób zaproponowanego przez nich pokoju. I może właśnie dlatego Aryn czuła się tak nieswojo. Propozycja rokowań, wystosowana przez samego Imperatora Sithów, spadła na Jedi jak grom z jasnego nieba – nieproszona, nieoczekiwana, wstrząsając rządem Republiki. Przedstawiciele Imperium i Republiki zdecydowali się spotkać na Alderaan, który był miejscem poprzedniego zwycięstwa Republiki w tej wojnie. Liczba posłów wchodzących w skład obydwu delegacji została drastycznie ograniczona, a ich charakter ściśle określony. Ku jej zaskoczeniu, znalazła się wśród wybranych Jedi, chociaż nigdy dotąd nie brała udziału w negocjacjach.

– Ten wybór to dla ciebie zaszczyt – powiedział jej Mistrz Zallow, zanim wsiadła na statek lecący na Alderaan. Wiedziała, że to prawda, a jednak od chwili, kiedy opuścili Coruscant, czuła się nieswojo. Jeszcze gorzej było po lądowaniu na Alderaan. I nie chodziło o to, że walczyła tutaj wcześniej. To było... coś innego.

– Nic mi nie jest – zapewniła Sya, mając nadzieję, że kiedy wypowie te słowa, sama w nie uwierzy. – Pewnie się po prostu nie wyspałam.

– Spokojnie – odparł. – Wszystko pójdzie jak z płatka.

Skinęła głową, starając się w to uwierzyć. Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na Sithów, i skupiła się na naukach przekazanych jej przez Mistrza Zallowa. Czuła Moc, przepełniającą ją i otaczającą niczym sieć lśniących linii, tworzonych przez więzi łączące wszystkie istoty żywe. Tak jak zawsze, linia Mistrza Zallowa lśniła jasno jak gwiazda przewodnia w jej wewnętrznej galaktyce.

Tęskniła za nim, jego spokojem i mądrością. Skupiła się na swoim wnętrzu: wybrała w umyśle jeden punkt, przekształciła go w coś w rodzaju lejka i pozwoliła, żeby spłynął do niego cały jej niepokój. Jego miejsce zajęła pewność siebie i opanowanie.

Otworzyła oczy i spojrzała na Sitha. Coś w wyrazie jego twarzy – determinacja w jego oczach, na wpół skryta za złośliwym uśmieszkiem – martwiło ją, ale nie dała niczego po sobie poznać. Wytrzymała jego wzrok bez mrugnięcia, spokojna i nieruchoma niczym posąg.

– Widzę cię – powiedział.

– A ja widzę ciebie – odparła pewnym siebie, spokojnym głosem.

ROZDZIAŁ 2

Malgus nie zamierzał opierać się gniewowi, który narastał z każdym krokiem, zmniejszającym dystans dzielący go od wejścia do Świątyni. Moc współbrzmiała ze stanem jego uczuć i napełniała go swoją siłą, dopóki jej potęga nie przeniknęła go na wskroś. Wyczuwał kielkujące w żołnierzach ziarna strachu.

– Powiedziałem, żebyś się zatrzymał – powtórzył jeden z nich.

– Odsuń się – rzucił Malgus przez ramię do Eleeny – Sam się nimi zajmę.

Twi'lekanka opuściła swobodnie ręce i stanęła za jego plecami.

Trzech strażników ustawiło się w półokręgu, okrążając ich zbliżając się ostrożnie, z karabinami w pogotowiu. Z tyłu za nimi majaczyło wejście do Świątyni – piętnastometrowy portal.

– Kim jesteś? – spytał strażnik.

Jego słowa zawisły w powietrzu, podczas gdy Malgus czerpał z Mocy siłę i kumulował energię, która miała maksymalnie przyspieszyć jego ruchy. Kiedy był gotów, rękojeść miecza świetlnego sama wskoczyła do jego dłoni i chwilę później przestrzeń między nim a strażnikami przecięła krwista klinga. Chlasnął mieczem stojącego przed nim żołnierza, wypalając w jego piersi dymiącą, czarną smugę, a potem – płynnym ruchem, nie zwalniając ani na chwilę – wyeliminował tego po lewej. Zacerpnął z Mocy i wyciągnął ręce przed siebie, podmuchem czystej energii popychając trzeciego z mężczyzn na ścianę Świątyni – wystarczająco mocno, żeby zderzenie było śmiertelne.

Wyczuł nagłą falę strachu, promieniującą od dwóch żołnierzów na schodach po lewej; pozwolił im wycelować trzymane w spoconych dłoniach karabiny, poczekał, aż ich palce zaczną naciskać spusty... a wtedy cisnął w ich stronę miecz świetlny, kierując go Mocą. Lśniący, czerwony łuk unieszkodliwił obydwu, a potem wrócił posłusznie do jego rąk. Malgus dezaktywował ostrze i zawiesił miecz z powrotem u pasa.

Usłyszał odgłos odpalanego plecaka rakietowego. Znad gzymsu wysoko nad wejściem do Świątyni wzniosła się w powietrze Mandalorianka. Wylądowała na występie jednej z wyższych kondygnacji i chwilę później zniknęła wewnątrz budynku. Malgus domyślał się, że wkrótce dołączy do walki.

Sprawił chronometr i przyglądał się przez chwilę, jak upływają sekundy. Zostało ich dwadzieścia dziewięć.

Eleena zajęła miejsce po jego prawej stronie i razem weszli do Świątyni.

Zachodzące za ich plecami słońce dotarło właśnie do potężnego portalu i wydłużyło ich cienie, kładąc je przed nimi na kształt jakichś złowrogich, mrocznych heroldów, zwiastujących ich przybycie. Wewnątrz panowała cisza i spokój. Malgus wiedział, że już wkrótce sytuacja się zmieni.

Jego buty wybijały miarowy rytm na posadzce z polerowanego kamienia. Hol, którym szli, ciągnął się prosto jakieś kilkaset metrów; po obu jego stronach wznosiły się rzędy smukłych, strzelistych kolumn, a ściany w równych odstępach zdobiły stylowe gzymsy i balkony.

Malgus czuł po prawej, po lewej i na wprost obecność kolejnych strażników, a także Jedi. Sprawdził znów chronometr: zostało dwanaście sekund. Kątem oka zauważył ruch po prawej, a potem po lewej stronie. Z tarasów przyglądali im się zdziwieni padawani.

Z balkonów zeskoczyło sześciu ubranych w zwykłe szaty Jedi i utworzyło szeroki łuk. Siódmy schodził właśnie z szerokich schodów na drugim końcu holu i wkrótce dołączył do reszty. Jego sygnatura w Mocy promieniowała władzą i pewnością siebie – musiał być Mistrzem.

Jedi bez słowa ruszyli w stronę Malgusa i Eleeny, którzy wyszli im naprzeciw.

Na balkonach i kładkach w górze gromadziło się z każdą chwilą więcej padawanów. Ich obecność kasała zmysły Malgusa rozbłyskami błuźnierczej Jasnej Strony Mocy.

Aury zbliżających się Jedi były znacznie silniejsze, ale Malgus dorównywał im potęgą, chociaż starcie przeciwstawnych biegunów rozpraszało i tłumilo ich pełną siłę zdolności.

Malgus zaczął odliczać w myśli pozostałe sekundy. Z każdą, upływającą szybko, zmniejszał się dystans między nim a Jedi, a jego moc rosła.

Wreszcie się zatrzymali – dzieliło ich teraz około dwóch metrów. Mistrz Jedi odrzucił kaptur na plecy, odsłaniając jasne, siwiejące na skroniach włosy i przystojną, ogorzałą twarz. Malgus znał jego imię z materiałów dostarczanych przez wywiad – mężczyzna nazywał się Mistrz Ven Zallow.

Różnili się jak woda i ogień i to zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie. Każdy z nich był całkowitym przeciwieństwem drugiego.

Sześciu towarzyszących Zallowowi Jedi otoczyło Malgusa i Eleenę, aby ograniczyć im pole manewru. Przyglądali im się czujnie, całkiem jak osaczonym drapieżnikom.

Eleena stanęła plecami do Malgusa. Czuł, jak jej ciało faluje w rytm oddechu – głębokiego i regularnego. W holu zapanowała głęboka cisza. Gdzieś w górze odchrząknął któryś z padawanów, inny zakasłał nerwowo.

Zallow i Malgus patrzyli sobie nawzajem w oczy, bez słów – nie były potrzebne. Obaj wiedzieli, co wydarzy się za chwilę – co musi się wydarzyć. Nie było odwrotu. Chronometr na nadgarstku Malgusa zapiszczał cicho, jednak w panującej w

przestronnym korytarzu ciszy ten dźwięk zabrzmiał jak odgłos eksplozji.

Na ten sygnał Jedi jakby się ocknęli. Sześć niebieskich i zielonych ostrzy rozświetliło panujący w holu półmrok, a Rycerze Jedi cofnęli się o krok i przyjęli postawy bojowe – wszyscy, oprócz Zallowa, który stał bez ruchu, twarzą w twarz z Sithem. Malgus docenił ten gest i wyraził swoje uznanie skinieniem głowy.

Może Rycerze Jedi uznali, że sygnał chronometru zwiastuje wybuch bomby albo coś w tym stylu? – przyszło mu do głowy. Cóż, w pewnym sensie mieliby rację, uznał z lekkim rozbawieniem.

Z drugiej strony holu dobiegł inny dźwięk: wizg silników podchodzącej do lądowania jednostki desantowej.

Malgus nie obejrzał się, a jednak widział sceny rozgrywające się za jego plecami dzięki reakcjom otaczających go Jedi.

Rycerze cofnęli się jeszcze o krok, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w coś za plecami Malgusa. Wszyscy co do jednego mieli niewyraźne miny. Eleena przylgnęła do jego pleców i zadrzała. Najwyraźniej dostrzegła zbliżający się statek, pędzący z rykiem silników w stronę Świątyni. Zallow nie cofnął się jednak ani nie przerwał kontaktu wzrokowego z Malgusem. Dźwięk silników z każdą chwilą stawał się głośniejszy i bardziej przenikliwy, niczym rozpaczliwy, mechaniczny krzyk.

Malgus patrzył w milczeniu, jak Rycerze Jedi marszczą niepewnie brwi i otwierają usta. Wsłuchiwał się w rozbrzmiewające wokół okrzyki niepokoju, które szybko zmieniły się we wrzaski przerażenia – wkrótce ledwie słyszalne w ogłuszającym hałasie, wywołanym przez statek taranujący wejście do Świątyni.

Kiedy na podłogę posypał się gruz i kamienie, posadzka zadrzała gwałtownie. Dało się słyszeć rżenie wyginanego, rozdieranego metalu, któremu wtórowały rozpaczliwe jęki istot żywych. Ściany holu oblał pomarańczowy blask eksplozji – Malgus widział jego odbicie w oczach Zallowa – a wybuch wessał gwałtownie tlen z otoczenia, wzbudzając nagły powiew, całkiem jakby pożar był ogromną parą płuc, zaczerpującą głęboko tchu.

Malgus ani drgnął. Widział tę scenę ataku tysiące razy jako symulację komputerową, wiedział więc dokładnie, co się dzieje – wystarczyło, że słuchał odgłosów.

Ogromna prędkość i masa pozwoliły statkowi zachować pęd. Prześliznął się po podłodze Świątyni, żłobiąc w kamieniu bruzdy i zostawiając za sobą ognistą ścieżkę. Po drodze kosił kolumny, burzył balkony i miażdżył ciała.

Mimo to Malgus stał bez ruchu, podobnie jak Zallow. Statek był już blisko, coraz bliżej, a dźwięk metalu szorującego o kamień wzrastał się z każdą sekundą. Upadały następne kolumny, a Eleena przycisnęła się do niego jeszcze mocniej, wpatrując się ze zgrozą w płonący, pokiereszowany statek, pędzący prosto na nich. Maszyna wytracała jednak stopniowo prędkość i za chwilę znieruchomiła tuż przed nią.

Powietrze w holu wypełniał pył, żar i dym. Słysząc było skwierczenie płomieni i pojedyncze okrzyki bólu i zaskoczenia.

– Co to ma znaczyć?! – zawołał ktoś.

– Medyka! – dopominał się ktoś inny.

Malgus usłyszał odgłos wybuchów, które wysadziły specjalnie wzmocniony przedział pasażerski statku desantowego; wystrzelony na zewnątrz, uderzył w podłogę z dźwiękiem przypominającym metalowy deszcz. Sekundę później rozległ się huk, kiedy kłapa włazu opadła z impetem na kamienną podsadzkę.

Dopiero teraz Zallow odwrócił wzrok i spojrzał ponad ramieniem Malgusa, przechylając niepewnie głowę na bok. W jego oczach widać było konsternację, którą Sith otwarcie się napawał.

Zza pleców dobiegł go przewlekły, nieregularny, niski syk, który przeszedł w brzęczenie, kiedy piętnastu wojowników Sithów, stojących w przedziale pasażerskim statku desantowego, aktywowało swoje miecze świetlne. Ten dźwięk zwiastował upadek Świątyni, upadek Coruscant, upadek Republiki.

Malgusowi stanęła przed oczami wizja, którą Moc zesłała mu na Korribanie – galaktyka skąpana w płomieniach. Odrzucił na plecy kaptur, uśmiechnął się i włączył miecz świetlny.



Zeerid wytłumił ciąg silników i wpisał kurs – byle dalej od Ord Mantell. Ustawił skanery statku na ciągłe przeczesywanie przestrzeni, obawiając się, że piraci mogą mieć gdzieś w pobliżu wsparcie, ale jak dotąd nic nie wskazywało na to, żeby ktoś ruszył za nim w pościg. Kiedy minęło trochę czasu, nieco się odprężył.

Różowawy blask chmur i górnej stratosfery Ord Mantell ustąpił szybko czerni kosmicznej przestrzeni. Kontrola lotów nie kazała mu się legitymować, zresztą i tak nie zareagowałyby na wezwanie. Nie odpowiadał przed nimi. Odpowiadał przed Kantorem, chociaż nigdy nie spotkał żadnej szycy z syndykatu na żywo.

Instrukcje otrzymywał od pośrednika zwanego Orenem i przez większość czasu latał na ślepo. Zlecenia przyjmował zdalnie. Leciał po ładunek w wyznaczone miejsce, a potem zostawiał go tam, gdzie mu kazano. Taki system całkowicie mu odpowiadał. Dzięki temu mógł nabrać do tego wszystkiego dystansu, traktować to mniej osobiście i udawać, że pływa tylko po powierzchni tego całego syfu.

Strzegł pilnie swojej prywatności, ujawniając Kantorowi jedynie niezbędne minimum informacji – nic poza tym, że w przeszłości był żołnierzem i pilotem. Z tego, co wiedzieli, nie miał przyjaciół ani rodziny. Nie miał złudzeń: gdyby

dowiedzieli się o Arze, wykorzystaliby ją, żeby go szantażować. A on nie mógł do tego dopuścić. Gdyby stało się jej coś złego...

Znów uświadomił sobie, że zbyt mocno zaciska rękę na drążku sterowniczym. Rozluźnił się, odetchnął głęboko i postarał się oczyścić umysł. Kiedy poczuł się gotów, wstukał na klawiaturze kod bezpiecznego połączenia kanałem podprzestrzennym, za pośrednictwem którego komunikował się z Orenem. Odczekał, dopóki nie usłyszał głuchego dźwięku oznaczającego nawiązanie połączenia.

Oren nie marnował czasu na powitania.

– Zakładam, że wszystko poszło zgodnie z planem? – zaczął bez ogródek. Sądząc po głosie, Zeerid obstawiał, że Oren jest mężczyzną rasy humanoidalnej i ma jakieś czterdzieści–pięćdziesiąt lat, chociaż pewnie korzysta z systemu sztucznej modulacji głosu.

– Nie – odpowiedział i odetchnął głęboko. – Wpadłem w zasadzkę.

– Zastawioną przez agentów klienta? – spytał Oren po chwili przerwy.

Zeerid pokręcił głową.

– Wątpię. To byli ludzie, których nigdy wcześniej nie widziałem. Przypuszczam, że piraci. Może najemnicy. Prawdopodobnie zabili ludzi nabywcy i przejęli jego statek.

– Jesteś tego pewien?

– Nie, nie jestem – odparł gniewnie. – Czy w tej robocie coś w ogóle bywa pewne?

Oren nie odpowiedział. Zeerid postarał się powściągnąć emocje.

– Jestem pewien tylko tego, że pilota, którego spodziewałem się zastać na miejscu, Ariga, nie było tam. Był za to jego statek. Jestem też pewien, że ośmiu uzbrojonych w blastery facetów, o niezbyt przyjaznych zamiarach, próbowało mnie podziurawić kilkoma seriami.

– Ośmiu – powtórzył z namysłem Oren. W jego głosie słychać było napięcie, a to nie wróżyło dobrze. – Co się z nimi stało?

Zeerid miał wrażenie, że Oren pilnie chłonie każde jego słowo, zapisując je w pamięci, żeby potem mógł go w razie czego złapać na kłamstwie.

– Nie żyją – powiedział. – Wyczułem, że chcą mnie zaatakować, zanim się na mnie rzucili.

– To brzmi... nieźle, Zet.

Zeerid zapatrzył się przez iluminator na gwiazdę Ord Mantell i powstrzymał falę narastającego gniewu. Wiedział, że jeśli Oren zacznie go podejrzewać o kręcenie na boku interesów albo mu nie uwierzy, jedno jego słowo może sprawić, że Arra zostanie sierotą.

– Nieźle? – powtórzył, starając się nad sobą panować. – Pozwól, że ci coś powiem, Oren. Chodzą słuchy, że wiele transakcji zostało spieprzonych dlatego, że Kantor nie ma ochoty grać fair z innymi syndykatami, nie wyłączając Huttów. Tę furę spieprzonych transakcji całkiem nieźle by wyjaśniało istnienie przecieków. A to

oznacza, że Kantor gra na dwa fronty.

Oren nawet się nie zająknął. Zeerid prawie go za to podziwiał.

– Jeśli jeden z moich pilotów ma teorię, że dochodzi do przecieków, może równie dobrze wpaść na pomysł, że to doskonała okazja do wykorzystania sytuacji i zarobienia na tym grubej kasy. Szczególnie jeśli jest po uszy zadłużony. Wystarczy ogłosić, że wpadł w zasadzkę, zastawioną, powiedzmy, przez ośmiu ludzi. W końcu masz gotową wymówkę: zatargi z innymi syndykatami, o których wspomniałeś.

– Może i bym to zrobił – powiedział Zeerid – ale tylko wtedy, gdybym postradał rozum. A na razie jestem przy zdrowych zmysłach. Słuchaj, podałeś mi współrzędne do zostawienia towaru na Ord Mantell. Wyślij tam kogoś... może sondę zwiadowczą. Zobaczysz, co tam zostawiłem, ale lepiej się pospiesz. Idę o zakład, że ktoś będzie chciał szybko ten bajzel posprzątać.

– Cóż... W takim razie spytam jeszcze, jak zdołałeś zabić ośmiu facetów, Zet. Sam. Wszystko wskazywało na to, że dyskusja nie zmierza w dobrym kierunku.

– Byli nieco za blisko jednej ze skrzyń z ładunkami, kiedy wybuchła.

Oren milczał przez dłuższą chwilę.

– Jedna ze skrzyń z ładunkami? Wybuchła?

Zeerid przełknął głośno ślinę.

– Straciłem ją podczas ucieczki. Reszta ładunku jest nietknięta.

W pełnej napięcia ciszy wisiało milczące pytanie. Zeerid wyobraził sobie, jak Oren przegląda w myśli katalog danych, zestawiając historię Zeerida z innymi faktami, które znał albo wydawało mu się, że zna.

– To nie była moja wina – dodał. – Jeśli znajdziecie źródło przecieku, dowiedcie się, kto za tym stoi.

– Straciłeś ładunek.

– Ocaliłem ładunek – poprawił pośrednika Zeerid. – Gdybym tego nie zrobił, cały towar trafiłby w ręce piratów.

– Odzyskalibyśmy go – powiedział chłodno Oren. – A trudno jest odzyskać granaty, które wybuchły, chyba się ze mną zgodzisz?

– Zginąłbym.

– Nie jesteś niezastąpiony. Pytam jeszcze raz: czy zgadzasz się ze mną?

Zeerid nie mógł się zmusić do udzielenia odpowiedzi.

– Zakładam, że twoje milczenie oznacza zgodę, Zet?

Zeerid spojrzał gniewnie na głośnik, a Oren podjął:

– W najlepszym razie otrzymasz tylko połowę zapłaty za plecienie. Wartość utraconego ładunku zostanie dodana do twojego długu. A ten przekroczył już dwa miliony kredytów, o ile dobrze pamiętam. Rachunek ciążyący na statku i jakieś długi hałdowe...

Oren miał doskonałą pamięć do szczegółów. Wszystko wskazywało na to, że

Zeerid marnie wyjdzie na tej misji – w najlepszym razie będzie na minusie. Miał ochotę w coś rąbnąć, przyłożyć komuś, ale w sterowni był zupełnie sam.

– Kiepsko to wygląda, Zet – powiedział Oren. – A ja bardzo nie lubię, kiedy coś kiepsko wygląda. Będziesz mi musiał to zrekompensować.

Zeeridowi nie podobało się z kolei to, co mówił Oren.

– Jak?

Cisza, a potem:

– Przemycając przyprawę.

Zeerid pokręcił głową.

– Nie przemycam przyprawy. Tak się umawialiśmy.

Głos Orena był tak samo spokojny jak wcześniej, ale jednocześnie tak ostry, że można by nim było zarysować pancierz:

– Warunki się zmieniły, bo zależały od wypełnienia zlecenia. Wisisz mi sporą sumę kredytów i nadwyrężyłeś moją wiarygodność. Wynagrodzisz mi to kilkoma kursami z przyprawą. Można na tym nieźle zarobić, więc nie powinieneś narzekać. – Zeerid milczał. Co miał powiedzieć? – Rozumiemy się, Zet?

Przemytnik skrzywił się, ale przytaknął:

– Rozumiemy.

– Wracaj na Vultę. Wkrótce się z tobą skontaktuję. Mam już coś w zanadru.

Założę się, że masz, pomyślał Zeerid, ale nic nie powiedział. Połączenie zostało przerwane i Zeerid ulżył sobie, produkując serię niewybrednych przekleństw. Kiedy wreszcie poczuł się lepiej, opuścił studnię grawitacyjną Ord Mantell i księżyców, ustawił kurs na Vultę i włączył hipernapęd.

– No to teraz przemycam przyprawę – powiedział do siebie, kiedy czerń kosmosu zmieniła się w błękitny tunel nadprzestrzeni.

Wyglądało na to, że pakował się w jeszcze większe gówno niż to, w którym i tak już tkwił po uszy.



Aryn kręciło się w głowie. Nagła fala emocji niemal ścięła ją z nóg. Nie potrafiła nazwać dławiących ją uczuć, określić ich – były zbyt surowe, zbyt... dojmujące. Zalewały ją przytłaczającymi falami i sprawiały, że prawie w nich tonęła.

– Coś się stało, Syo – powiedziała drżącym z napięcia głosem. – Nie wiem co, ale nie jest dobrze.



Mistrz Zallow i sześciu Rycerzy Jedi otaczających Malgusa wyskoczyło do tyłu w salcie. Wylądowali jakieś dwadzieścia metrów dalej.

– Niech Moc będzie z wami! – zawołał do nich Zallow i włączył swój miecz.

Z korytarza za jego plecami wybiegło jeszcze dwunastu Jedi; ostrza ich mieczy świetlnych rozświetlały zasnuwający powietrze pył i dym niczym las błękitnych i zielonych lamp. Zaatakowali bezgłośnie, ale tupot ich butów i sandałów brzmiał niczym huk gromu.

– Trzymaj się mnie – rzucił Malgus przez ramię do Eleeny.

– Tak jest – potwierdziła i sięgnęła po broń.

Z wraku statku desantowego wylegli tłumnie Sithowie i przesycone pyłem powietrze przeszyły czerwone ostrza mieni czy świetlnych; ich zbiorowy okrzyk brzmiał jak warczenie wygłodniałych, rozwścieczonych bestii. Na ich czele stał Lord Adraas, polityczny faworyt Dartha Angrala i osobnik notorycznie działający Malgusowi na nerwy. Tak jak u reszty wojowników Sithów, z wyjątkiem Malgusa, jego twarz całkowicie skrywała ciemna maska.

Malgus wykorzystał niechęć, jaką poczuł na widok Adraasa, do podsycenia swojego gniewu. Podczas przygotowań do ataku nalegał, żeby to jemu Darth Angrał powierzył dowodzenie oddziałem Sithów, ale Angrał upierał się, żeby na jego czele stanął Adraas.

Odrzucając pelerynę i ostatnie bariery trzymające na wodzy jego wściekłość, Malgus dołączył do Sithów, zajmując pozycję przed Adraasem. Targające nim emocje podsycaly jego potęgę, a ich nagły napływ dosłownie dodał mu skrzydeł. Czuł obmywającą go siłę Ciemnej Strony, przesycającą jego ciało i napełniającą je siłą.

Korytarz przecięło kilka serii z blastera, kiedy nagle wokół zaroilo się od żołnierzy Republiki, którzy niezwłocznie zaczęli strzelać do Sithów.

Malgus, otulony szczelnie Mocą, widział każdy ze strzałów i jego trajektorię z doskonałą wyrazistością. Nie zwalniając, zawinął mieczem na lewo, potem w prawo, ustawił ostrze pod kątem dziesięciu stopni i odbił trzy strzały, kierując je w stronę żołnierzy, które je wystrzelili. Wszyscy zginęli. Jego upiornie zniekształcone oblicze było pamiątką po bitwie o Alderaan, podczas której jeden z komandosów wystrzelił mu w twarz, więc teraz zabijanie żołnierzy sprawiało mu niekłamaną przyjemność. Za jego plecami Eleena wystrzeliła ze swoich bliźniaczych blasterów, zabijając jednego żołnierza z prawej i jednego z lewej.

Sithowie i Jedi stali teraz twarzą w twarz, przygotowując się do nieuchronnej konfrontacji; jawna żądza walki tych pierwszych drastycznie kontrastowała ze

spokojem tych drugich, a Świątynia Jedi miała być sceną, na której odwieczny konflikt miał zostać wreszcie rozwiązany. Silni Mocą przetrwają, a ich zrozumienie tej potężnej siły wzrośnie. Słabi... cóż, słabi zginą.

Malgus poszukał wzrokiem Mistrza Zallowa, ale nie potrafił go wyłowić spośród tyłu twarzy spowitych pyłem, dymem i blaskiem rzucanym przez lśniące ostrza. Wybrał więc losowo pierwszego z brzegu Jedi – mężczyznę z bródką, walczącego mieczem o błękitnym ostrzu – i zaatakował.

Powietrze zawrzało falami Mocy i zgiełkowym echem, kiedy siły Jedi i Sithów zwały się i naparły na siebie w chaotycznej, pełnej determinacji kotłowaniu ciał, mieczy świetlnych i okrzyków.

Malgus zaczerpnął Mocy, chwycił swój miecz oburącz i wymierzył cios, który powinien przepołowić przeciwnika. Jedi uchylił się jednak w porę i odparł atak, kierując ostrze swojej broni w szyję Sitha. Malgus bez trudu zablokował cios, sparował i wymierzył kopniak w brzuch Jedi. Ten zgiął się w pół i cofnął o kilka kroków, a wtedy Malgus wyskoczył w powietrze, wykonał salto, wylądował za mężczyzną i chlasnął go mieczem. Jedi padł bez życia na kamienną posadzkę. Z wojennym okrzykiem na ustach Malgus namierzył następnego przeciwnika.

Kątem oka spostrzegł błysk lawendowej skóry – Eleena...

Twi'lekanka uchyliła się właśnie przed ciosem miecza i zanurkowała w bok, ostrzeliwując się zaciekle. Padawanka, która ją zaatakowała – Zabrakanka o rogach zabarwionych kolorowymi pigmentami – odbiła jej strzały i przymierzyła się do zadania następnego ciosu. Eleena odtoczyła się na bok, nie przestając strzelać, ale padawanka odbijała bez trudu każdą jej salwę i podchodziła wciąż bliżej.

Malgus zaczerpnął znów Mocy i odepchnął Zabrankę na drugą stronę holu, wprost na jedną z kamiennych kolumn. Chwilę później Jedi upadła u jej stóp, brocząc płynącą z nosa krwią. Eleena nie przestawała strzelać, błyskawicznie namierzając cele pośród walczących.

Bitwa stawała się coraz bardziej zaciekle i chaotyczna. Jedi i Sithowie wyskakiwali w powietrze, robili piruety i salta, a czerwone ostrza raz po raz krzyżowały się z niebieskimi i zielonymi. Pchnięcia Mocy posyłały bezwładne ciała w powietrze, ciskały nimi o ściany, wyrywały kawały gruzu z sufitu i zasypywały nimi przeciwników. Hol wypełniała kakofonia dźwięków – krzyków, jęków, buczenia energetycznych kling i sporadycznych odgłosów wystrzałów. Malgus pławił się w tym chaosie, napawał się nim, rozkoszował.

Widział, jak Lord Adraas wpada w sam środek oddziału żołnierzy Republiki i Mocą bez trudu rozrzuca ich w powietrzu jak stertę suchych liści.

Nie chcąc pozostać w tyle, wybrał na chybił trafił Rycerza Jedi – kobietę, walczącą jakieś dziesięć metrów od niego. Wyciągnął przed siebie lewą dłoń i posłał w jej stronę błękitne błyskawice Mocy. Zanim wylądowanie do niej dotarło, po drodze

poraziło dwójkę padawanów. Kiedy siła ataku poderwała ją do góry, Jedi krzyknęła z bólu; przez chwilę jej ciało było prawie przezryste od potęgi przenikającej ją Ciemnej Strony. Malgus sycił się jej bólem, kiedy umierała.

Zobaczył, że Adraas patrzy w jego stronę, i zasalutował mu niedbale ręką. Chwilę później znów usłyszał jazgot blasterów Eeleny. Twi'lekanka przemknęła koło niego i przeskoczyła nad ciałem zabitej Jedi niczym lawendowy wir. Dopadła do kolumny, przykucnęła za nią i rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu celu. Kiedy ich oczy się spotkały, mrugnęła i wskazała mu podbródkiem coś za jego plecami. Obrócił się błyskawicznie i spostrzegł następną grupę republikańskich żołnierzy, wbiegających do holu z bocznego korytarza. Zaczęli strzelać, a Eleena natychmiast odpowiedziała ogniem.

Zanim Malgus zdołał się z nimi rozprawić, za nimi, nie wiadomo skąd, pojawiła się Mandalorianka. Unosiła się w powietrzu dzięki plecakowi raketowemu, a jej srebrzysto-pomarańczowa zbroja lśniła w płomieniach. Lewitując między podłogą a sufitem niczym demon zemsty, odpaliła z wyrzutni na nadgarstku dwa niewielkie pociski. Wybuchły w pobliżu żołnierzy i momentalnie wznieciły pożogę. Przy akompaniamencie okrzyków bólu we wszystkie strony poszybowały ciała i gruz. Wciąż zawieszona w powietrzu, Mandalorianka zawirowała wokół własnej osi, wyzwalając z zamontowanego na nadgarstku miotacza strugę ognia.

Malgus wiedział, że wynik bitwy, która wkrótce się zakończy, jest przesądzony. Rozejrzał się w poszukiwaniu Zallowa – jedyne go przeciwnika wartego jego uwagi. Zanim jednak zdołał namierzyć Mistrza Jedi, zaatakowała go trójka napastników. Sparował cios wymierzony w niego przez pierwszego Jedi, przeskoczył nad ostrzem wyprowadzonym w jego nogi przez ceglastoskórą Togrutankę, odciął dłoń z mieczem trzeciej kobiecie i cisnął ją Mocą na posadzkę.

– Alaro! – krzyknął rozpaczliwie jej towarzysz.

Malgus przeskoczył wysoko nad wymierzonym w niego ostrzem miecza mężczyzny i wylądował na podłodze za Togrutanką, która zablokowała jego cios, ale nie zdołała uniknąć pchnięcia Mocy, którym posłał ją przez cały hol w sam środek sterty gruzu.

Wydał z siebie ryk wściekłości, ogłaszając, że jest zdolny zabić własnych wojowników, jeśli nie zostanie już żaden Jedi. Czuł nieprzepartą chęć, ogromną potrzebę zabijania – własnymi, gołymi rękami.

Zanurkował pod ciosem miecza mężczyzny, rzucił się naprzód i schwycił go za gardło. Podniósł go do góry i przytrzymał wysoko, ciesząc uszy głośnym charkotem, kiedy Jedi się dusił. W jego brązowych oczach nie było strachu, tylko ból. Malgus znów ryknął, wzmocnił uścisk, odrzucił zwiotczałe ciało na bok i stanął nad nim z mieczem w rękę, dysząc ciężko. Bitwa wrzała, a on tkwił w samym jej środku – w oku cyklonu wywołanego przez Sithów.

Wreszcie namierzył Mistrza Zallowa – Jedi stał jakieś dziesięć kroków od niego, wirując i chłoszcząc swoim zielonym ostrzem z precyzją dorównującą szybkości. Pod ciosami jego miecza Sithowie padali jeden za drugim. Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nim Adraas – najwyraźniej sam ostrzył sobie zęby na ofiarę, którą upatrzył sobie Malgus. Adraas zanurkował stronę Zallowa i chlasnął mieczem, celując w jego kolana. Mistrz Jedi bez trudu uniknął jednak ciosu, przeskoczył nad klingą i poraził Adraasa pchnięciem Mocy, które posłało Sitha na drugą stronę holu.

– On jest mój! – warknął Malgus, pędząc korytarzem w ich stronę. Kiedy mijał Adraasa, wycedził jeszcze raz przez zaciśnięte zęby: – Zallow jest mój!

Zallow najwyraźniej usłyszał go, bo odwrócił się w jego stronę. Ich spojrzenia się spotkały. Eleena chyba także usłyszała okrzyk swojego pana, bo wychyliła się zza kolumny i – domyślając się jego zamiarów – wystrzeliła do Zallowa kilkakrotnie z blastera.

Nie spuszczać wzroku z Malgusa, Jedi odbił strzały mieczem w stronę Eleeny. Dwa z nich trafiły ją w pierś. Kiedy upadała, Zallow Mocą cisnął ją na pobliską kolumnę.

Malgus zatrzymał się w pół drogi; jego gniew nagle zelżał. Odwrócił się i obejrzał na leżącą u stóp filaru Eleenę – bezwładną jak szmaciana kukła, z dwiema czarnymi dziurami szpecącymi jej nieskazitelną lawendową skórę. Wyglądała jak zwiędły kwiat.

Gniew powrócił ze zdwojoną siłą. Z piersi wyrwał mu się okrzyk nienawiści – czystej, niczym nie powstrzymywanej. Wraz z nim przepełniła go Moc, tak silna, że jej niepohamowany upust zgruchotał pobliską kolumnę, zasypując korytarz deszczem kamiennych odłamków.

Malgus skupił się z powrotem na Zallowie i ruszył w jego stronę, roztaczając wokół siebie namacalną falę potęgi i otwartej nienawiści. Drogę zastąpił mu jeszcze jeden Jedi, zamierzając się na niego znad głowy błękitnym ostrzem, ale Malgus ledwie zwrócił na niego uwagę. Wyciągnął tylko dłoń, pokonując żalosną osłonę Jedi, i zacisnął na jego gardle niewidzialne palce Mocy. Śmierć była łaskawa – przyszła niemal natychmiast. Malgus odrzucił ciało na bok i podjął marsz ku Zallowowi.

Mistrz wyszedł mu naprzeciw. Jeszcze jeden Sith zamierzył się na niego mieczem, wyprowadzając cios z lewej, ale Zallow przeskoczył nad klingą, zawirował, odwinął się i ciął zamasyście, pozbawiając napastnika życia.

Zallow i Malgus podeszli do siebie. Dzielił ich teraz zaledwie metr. Przez chwilę trwali w bezruchu, mierząc się w milczeniu wzrokiem.

Jeden z Rycerzy odłączył się od trwającej obok walki i zamierzył na Malgusa. Ten ustąpił z drogi błękitnej klingi, uderzył mężczyznę w splot słoneczny, a potem podniósł własne ostrze do śmiertelnego sztychu.

Zallow dał krok naprzód i zablokował cios. Jedi i Sith skrzyżowali spojrzenia. Cała

reszta – Sithowie, Jedi, bitewna zawierucha – przestała nagle istnieć.

Byli tylko Malgus i jego gniew, Zallow i jego spokój.

Ostrza ich mieczy naparły na siebie – obaj korzystali z Mocy, żeby pokonać przeciwnika, ale początkowo żaden nie mógł zyskać przewagi. Malgus wydał z siebie okrzyk gniewu, Zallow jednak wydawał się denerwująco spokojny – tylko zmarszczone czoło i zaciśnięte usta zdradzały wysiłek, który wkładał w walkę.

Karmiąc się gniewem z powodu Eleeny, Malgus odepchnął Mistrza Jedi i zaczął go zasypywać gradem ciosów. Zallow nie poddał się łatwo, ale nie dawał rady kontratakować – na razie pozostało mu tylko odbijać zadawane z furją ciosy. Malgus próbował desperacko skrócić go o głowę, ale przeciwnik blokował każde jego pchnięcie, jakby czytając mu w myślach.

Sith wyprowadził wycelowany w pierś Jedi i wzmocniony Mocą kopniak, który posłał Mistrza w powietrze i rzucił jakieś dziesięć metrów dalej. Zallow wykonał w powietrzu obrót i wylądował w wykroku w pobliżu dwóch wojowników Sithów. Rzucili się na niego bez chwili namysłu, ale Jedi sparował cios miecza pierwszego, przeskoczył sprawnie nad klingą wymierzoną w niego przez drugiego, a potem zawinął się w niskim półobrocie, przecinając obydwu mieczem świetlnym na pół.

Płonący chęcią zemsty i nienawiścią Malgus cisnął w jego stronę własną broń. Poprowadził ostrze Mocą; zawirowało, tnąc z głuchym świstem powietrze i lecąc prosto w szyję Zallowa. Ten jednak, korzystając z pędu, jakiego przydał mu atak na drugiego Sitha, wyskoczył w górę, unikając śmiertelnej klingi.

Podczas gdy Zallow wciąż szybował, Malgus uwolnił energię Mocy i posłał w stronę przeciwnika jej błyskawice. Wylądowanie zaskoczyło Jedi i popchnęło go w dół na stertę śmieci.

Wystarczyło, że Mistrz nie poderwał się natychmiast na równe nogi – Malgus nie zawahał się ani przez chwilę. Uwolnił potęgę swojego gniewu; wydał okrzyk nienawiści i skoczył dwadzieścia metrów w górę, kierując się w stronę Zallowa. W połowie skoku przywołał Mocą swój miecz, chwycił go w odwróconym, dwuręcznym chwycie i przygotował się do przyszpilenia Zallowa do świątynnej podłogi.

Nie zdążył. Mistrz Jedi odtoczył się w ostatniej chwili i szkarłatna klinga miecza Malgusa zanurzyła się po samą rękojeść w kamiennej posadzce. Tymczasem Zallow wyskoczył w górę, przeskoczył nad swoim sithańskim przeciwnikiem i wylądował w przysiadzie kawałek za nim. Włączył znów swój miecz pomknął prosto na Malgusa. Rezygnując z prędkości i gracji na rzecz siły, zasypał go deszczem nagłych ciosów i pchnięć. Malgus parował jedno cięcie po drugim, ale nie mógł znaleźć w tym szaleńczym ataku przerwy, dzięki której mógłby kontratakować. Gdy Zallow rzucił się naprzód i ciął w poprzek, Malgus odbił cios. Mistrz Jedi skorzystał z okazji i wymierzył rękojeścią miecza cios w szczękę Sitha.

Malgus poczuł ból, bo uderzenie wybiło mu ząb i przekrzywiło respirator. Czuł na

języku smak krwi, ale był zbyt głęboko zanurzony w Mocy, żeby taki ból mógł go rozproszyć. Zachwiał się jednak i cofnął o krok, zaskoczony atakiem.

Wietrząc okazję do następnej szarży, Zallow postąpił naprzód i zamachnął się, celując w szyję Malgusa... który właśnie na to liczył. Ustawił swoje ostrze pionowo, żeby odbić cios, i wywinął się pod zablokowaną klingą. W półobrocie zmienił chwyt i wycelował miecz pod żebra Mistrza Jedi. Ostrze przeszło na wylot.

Oczy Zallowa stały się nagle dziwnie puste. Obwisł, przebity czerwonym promieniem energii. Spojrzenia Jedi i Sitha spotkały się. W zielonych oczach umierającego Mistrza Malgus widział odbicie szalejącej w Świątyni pożogi.

– Wszystko spłonie – powiedział.

Zallow zmarszczył czoło – z bólu, a może z rozpaczy... Tak czy inaczej, Malgus napawał się tym widokiem. Czekał, aż z oczu Mistrza Jedi odpłyną resztki światła, a potem uwolnił miecz i pozwolił, żeby bezwładne ciało opadło na podłogę.



Aryn zupełnie nie była przygotowana na wstrząs, który uderzył w nią z siłą strzału z blastera. Jej ciało zadrżało, targnięte nagłym spazmem.

Bransoletka spokoju, którą trzymała, a którą podarował jej Mistrz Zallow, pękła z suchym trzaskiem w zaciśniętej pięści, na podłogę posypały się paciorki w kształcie łez.

Aryn zgięła się wpół i jęknęła żałośnie. Jej żołądek ścisnęła lodowata pięść bólu, a obraz zamazał się i zaczął niknąć; świat wokół zawirował i na chwilę przestał istnieć. Nogi ugięły się pod nią; miała wrażenie, że spada, tonie, zapada się w bezdennej otchłani rozpaczy. W gardle czuła dławiącą pięść krzyku, który gwałtownie szukał ujścia, ale zdołała wydobyć z siebie tylko nieskładny, wysoki skowyt.

Poprzez więź z Mocą czuła dojmujący ból, jakiego doznawał konający Zallow; oddech urwał jej się i utkwiał w gardle wraz z ostatnim tchnieniem, które wydał z siebie Mistrz Jedi. Linia jego życia, zwykle tak jasno lśniąca w jej umyśle, kiedy czuła Moc, tak bliska jej własnej, zniknęła z jej zmysłów bez śladu.

Słumione, pełne zaskoczenia westchnienie siedzącego obok niej Sya powiedziało jej, że on także coś wyczuł.

Poprzez ból i narastającą falę rozpaczy Aryn znów zaczęła dostrzegać otaczającą ją rzeczywistość. Dotarło do niej, że w oczach siedzącego po przeciwnej stronie holu Sitha widziała niedawno zapowiedź tego, co się właśnie wydarzyło.

– Co to było? – spytał Syo. Jego głos wydawał się dobiegać z bardzo daleka, ale pytanie nabrzmiewało paskudnymi podejrzeniami.

Aryn podniosła głowę i spojrzała przez zasłonę włosów przesłaniających jej twarz na drugą stronę pomieszczenia. Sithowie stali wyprostowani i czujni, a w ich oczach lśniła pewność.

– Zostaliśmy zdradzeni – wycedziła przez zaciśnięte zęby Aryn.

Nie wspomniała, że jej Mistrz, człowiek, który był dla niej ojcem, zginął.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że stoi teraz pewnie na nogach, wyprostowana, z podniesioną głową. Obok widziała grupkę ludzi... Nie, nie ludzi, poprawiła się w myśli. To były rzeźby – alderaañskie posągi. Była na Alderaanie i czekała na zakończenie pokojowych negocjacji z Sithami.

A Sithowie ich zdradzili... Walczyła z nimi wcześniej na tej samej planecie, podczas bitwy o Alderaan. I zamierzała znów zrobić to samo – teraz, w tej chwili.

– Skąd to wiesz, Aryn?

Pytanie Sya zaskoczyło ją, ale nie zbiło z tropu.

– Po prostu wiem – warknęła.

Sithowie także o tym wiedzieli. Wiedzieli cały czas. Widziała to w ich oczach.

Zakres jej widzenia zawężał się, aż wreszcie ograniczył się do dwójki Sithów. Opanowała ją wściekłość, poczuła rozdzierającą falę żalu. Słyszała czyjś głos, wołający ją z oddali po imieniu – powtarzający je niczym inwokację – ale nie zwracała na niego uwagi.

Sithowie skupili na niej wzrok i oboje przyjęli bojowe postawy. Na twarzy mężczyzny widniał ten sam pogardliwy uśmiezek co wcześniej; jego zaciśnięte usta wydawały się jeszcze brzydsze niż blizny szpecące mu twarz.

– Aryn! – To Syo ją woła, dotarło do niej. – Aryn! Przestań!

Wiedzieli... Sithowie wiedzieli...

– Wiedzieli cały czas – warknęła zarówno do siebie, jak i do Sya.

– Co takiego? Co wiedzieli? Co się stało?

Nie fatygowała się, by odpowiedzieć. Zanurzyła się w Mocy, czerpiąc z niej siłę.

Czas zwolnił. Aryn odniosła wrażenie, że jej duch opuścił ciało i obserwuje ją z dystansu. Patrzyła jakby z boku, jak sama przecina hol, a jej buty miażdżą rozsypane po podłodze paciorki. Chociaż kroczyła pośród posągów mężczyzn i kobiet będących za swoich czasów orędownikami spokoju, jej umysł buzował nienawiścią, przepełniała go chęć zemsty.

– Aryn! – jęknął Syo. – Nie!

Nie sięgnęła po miecz. Potrzeba odwetu nie pozwalała jej na skorzystanie z tego wygodnego, działającego na dystans narzędzia. Chciała, musiała pomścić śmierć Mistrza Zallowa własnymi rękami.

– Nie zasługujecie na prostą, czystą śmierć – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Jakaś odległa jej część patrzyła trzeźwo na to, co się z nią działo – wiedziała, że Ven Zallow nie pochwaliby tego, czego właśnie zamierza się dopuścić, ale teraz nie

obchodziło jej to. Ból, który czuła, był zbyt głęboki, zbyt dotkliwy. Chciała dać mu upust, dopuszczając się rzezi, a cała żądza zemsty skupiła się na obecnych w korytarzu Sithach.

Mężczyzna sięgnął po swój miecz świetlny, ale zanim zdążył go aktywować, Aryn zaatakowała go pchnięciem Mocy tak silnym, że dwójkę Sithów uniosło w powietrze i cisnęło ich na ścianę za plecami. Dwa alderaańskie posągi, stojące między nią a jej ofiarami, uderzyły w mur po obu stronach Sithów i roztrzaskały się na kawałki.

Rodzeństwo musiało zapewne użyć Mocy, żeby złagodzić uderzenie, bo żadnemu z nich najwyraźniej nie stała się krzywda. Oboje wylądowali na nogach i rozdzielili się, przygotowując do nieuchronnego starcia. W mgnieniu oka w ich dłonie wskoczyły rękojeści mieczy świetlnych, a ułamek sekundy później zakwitły promieniami szkarłatnej energii. Mężczyzna podniósł klingę wysoko nad głowę w stylu, którego Aryn nie rozpoznawała; przygotowywał się na jej atak, balansując na palcach, a kobieta opuściła miecz nisko, w dziwnej odmianie stylu średniego.

Aryn usłyszała dobiegający zza pleców dźwięk włączanego miecza Sya. Nie zawahała się jednak i nie zwolniła kroku. Korzystając z Mocy, wyszarpnęła z uścisku mężczyzny rękojeść jego miecza i przywołała ją do siebie. Kiedy znalazła się w jej dłoni, odrzuciła ją na bok, daleko od siebie. Pogardliwy uśmieszek Sitha zniknął bez śladu, zastąpiony przez grymas zaskoczenia.

Wykorzystała swoją przewagę nad nim, chwilowo nie zwracając uwagi na jego siostrę. Wyobraziła sobie, jak dobrze będzie zacisnąć dłonie na jego gardle... Odpowiedział na jej atak pchnięciem Mocy, ale Aryn ułożyła dłonie w kształt klina i siłą woli wspomaganą Mocą uderzyła w sam środek podmuchu, rozdzielając go na dwoje i odbijając w stronę przeciwnika. Kolejne posągi upadły, roztrzaskane, na posadzkę. Uderzona siłą podmuchu Sithanka przeleciała kilka metrów w tył.

Aryn nie zwolniła; od rodzeństwa dzieliło ją teraz pięć kroków, cztery... Mężczyzna znów przyjął postawę bojową. Mieli się zmierzyć bez mieczy, walczyć gołymi rękami – twarzą w twarz.

Aryn Mocą zwiększyła swoją siłę i prędkość. Czuła, jak Moc przepełnia ją i otacza, zmieniając jej ciało w broń.

– Aryn Leneer! – rozległ się za jej plecami przenikliwy okrzyk Mistrzyni Dar'nali.
– Jedi Aryn Leneer!

Chwilę później dołączył do niego głos Sya:

– Aryn! Przestań!

Połączone głosy togrutańskiej Mistrzyni i Sya wytrąciły ją z bitewnego transu. Zachwiała się, zwolniła i zatrzymała. W chaos jej emocji wkradł się niepostrzeżenie rozsądek, który przywrócił jej trzeźwość myślenia.

– Sithowie nas zdradzili, Mistrzyni Dar'nalo – powiedziała, nie spuszczać oczu z przeciwników. – Negocjacje były tylko przykrywką...

Dar'nala milczała kilka sekund.

– Czy ty... czy ty też to czułaś? – spytała wreszcie.

Oczy Aryn napełniły się łzami, ale szybko się opamiętała. Nie czas na płacz, zbeształa się w myśli. Skinęła głową, niezdolna wykrztusić słowa.

– Posłuchaj, Aryn – podjęła Dar'nala. – Posłuchaj mnie. Wiem o tym. Rozumiem cię. Ale teraz musisz mnie słuchać. Coruscant jest w rękach Imperium... – słowa Mistrzynie uderzyły w nią jak cios w splot słoneczny. Przez chwilę nie mogła oddychać. Przecież to nie miało sensu! Coruscant, serce Republiki, wpadła w ręce Imperium? Ale jakim...

– Co takiego? – spytał ostro Syo. – Jak to możliwe? Sądziłem, że...

– To jest niemożliwe – stwierdziła ostro Aryn. Musiała się przesłyszeć. Odwróciła się od Sitha, na którego twarz znów wypełził ten obrzydliwy uśmiezek, i obejrzała na Mistrzynie Dar'nalę, przewodniczącą delegacji Jedi, stojącą w pobliskim westybulu. Jej skóra miała ciemniejszy niż zwykle odcień czerwieni. Senator Am-ris i starsza Rycerz Jedi Satele Shan stali po jej bokach. Senator, Cereanin o wysokim, pooranym zmarszczkami czole zwieńczonym aureolą siwych włosów, górował nad kobietami. Patrzył gdzieś w przestrzeń, a w jego oczach była dziwna pustka. Sprawiał wrażenie... zagubionego.

Satele z kolei wydawała się spięta, czujna; patrzyła prosto przed siebie, a jej ciemne włosy były zmierzwione. Trudno było wyczytać coś z jej skupionej, ściągniętej twarzy.

Ani Am-ris, ani Satele wydawali się nie zauważać bałaganu panującego w korytarzu. Oboje wyglądali na oszołomionych; ich błędzący w przestrzeni wzrok sugerował, że patrzą na coś poza otaczającą ich rzeczywistością. Tylko Dar'nala wydawała się opanowana. Stała ze splecionymi na podołku rękami, oceniając trzeźwym okiem sytuację w holu – zniszczone rzeźby i Aryn, stojącą kilka kroków od Sithów, a także ich bojowe postawy.

Aryn zastanawiała się, co się wydarzyło w sali, w której prowadzono negocjacje. Przez ulotną chwilę miała nadzieję, że Dar'nala i reszta Jedi wyczuli zdradę Sithów i aresztowali... a może nawet zabili... negocjatorów, ale nadzieja ta znikła w tej samej chwili, w której z auli za plecami Jedi wyszedł przedstawiciel Sithów, Lord Baras, i stanął u boku Togrutanki.

Chociaż chyba się starał, nie potrafił ukryć samozadowolenia. Było widoczne w uniesionych kącikach ust. Jego ciemne, zaczesane do tyłu włosy, układające się na czole we wdowi szpic, były tego samego koloru co szaty i oczy.

– Wręcz przeciwnie, Jedi, to całkiem możliwe – powiedział chrapliwym barytonem. – Właśnie tak się stało... Coruscant upadła.

Satele zdreptała jeszcze bardziej; jej lewa dłoń zacisnęła się w pięść. Am-ris przygarbił się, a Dar'nala przymknęła na chwilę oczy, jakby starała się ze wszystkich

sił zachować spokój.

– Od teraz – ogłosił Baras – Coruscant należy do Imperium.

– Ale... jak to? – zająknęła się Aryn, ale Dar'nala przerwała jej uniesieniem dłoni.

– Nic nie mów – wyszeptała. – Proszę, nic nie mów...

Aryn ugryzła się w język, chociaż na usta cisnęły jej się setki pytań.

– Wyłączcie swoje miecze – poprosiła Dar'nala. Syo posłuchał bez szemrania, tak samo Sithanka.

– Co tu się wydarzyło? – spytał Lord Baras, mierząc wzrokiem Sithów i ruiny posągów zaścielające hol.

Reprezentant Sithów skłonił się swojemu Mistrzowi, Mocą przywołał swój miecz świetlny i zawiesił go u pasa.

– Mała sprzeczka, Lordzie Barasie – powiedział. – Nic poważnego. Proszę, wybaczą nam to zamieszanie.

Baras wpatrywał się w niego przez chwilę, potem przeniósł wzrok na jego siostrę.

– Cieszę się, że ta „mała sprzeczka” nie doprowadziła do rozlewu krwi. W końcu przybyliśmy tu, żeby wynegocjować pokój, prawda?

Sprawa miała wrażenie, jakby z trudem hamował wybuch śmiechu. Am-ris odwrócił się gwałtownie w jego stronę, ale Satele w porę złapała go za połą płaszcz, żeby go powstrzymać przed konfrontacją z Barasem.

– Pokój?! – wykrzyknął mimo to Cereanin. – Ta cała mistyfikacja, ta farsa...

– Senatorze... – Dar'nala ujęła Am-risa za łokieć, ale on nie zwracał na nią uwagi. W miarę jak jego gniew rósł, w głosie było słycać coraz większe wzburzenie.

– Nie przybyliście tutaj rozmawiać o pokoju! Zwabiliście nas, żeby odwrócić naszą uwagę od ataku na Coruscant! Jesteście łgarzami bez honoru, którzy zasługują na...

– Senatorze! – przerwała mu ostro Dar'nala. Najwyraźniej skutecznie, bo Am-ris umilkł. Oddychał szybko i ciężko.

Lord Baras nie wydawał się w najmniejszym stopniu poruszony wybuchem Cereanina.

– Myli się pan, senatorze – powiedział spokojnie. – Przedstawiciele Imperium przybyli tu, żeby wynegocjować pokój. Chcieliśmy się tylko upewnić, że Republika będzie... bardziej skłonna przystać na nasze warunki. Czy mam rozumieć, że obecna sprzeczka oznacza, że Republika nie jest już dłużej zainteresowana negocjacjami?

Am-ris poczerwieniał i zaczął mamrotać coś pod nosem, ale Dar'nala przerwała mu bezceremonialnie:

– Negocjacje wciąż są aktualne, Lordzie Barasie.

– Mądrze prawisz, jak zawsze, Dar'nalo – odparł Lord Sithów. – Imperium liczy na podjęcie rokowań jutro w tym samym miejscu. W przeciwnym razie lud Coruscant... cóż, bardzo na tym ucierpi.

Skóra Dar'nali znów pociemniała, ale Mistrzynie Jedi odpowiedziała zaskakująco

spokojnie:

– Nasza delegacja przeprowadzi odpowiednie konsultacje i skontaktuje się z wami jutro.

– Liczę na to. A teraz życzę miłego i zasłużonego odpoczynku.

Am-ris rzucił pod adresem Barasa kilka niepochlebnych epitetów w cereańskim, ale Sith udał, że nie dosłyszał obelg.

Kiedy delegacja Republiki ponuro przedzierała się przez gruzy zaścielające hol, Aryn czuła na sobie drwiący wzrok Sitha. Z trudem pohamowała nową falę gniewu. Zanim dołączyła do reszty, przyklęła, podniosła z podłogi jeden z koralików z zerwanej bransoletki i mocno zacisnęła go w dłoni.

ROZDZIAŁ 3

Malgus przetrząsał ruiny Świątyni. Z poskręcane go i pogieętego wraku statku desantowego nadal unosiły się smugi dymu. Hol zaśmiecały płaty poczerńiałego metalu. Ściany i kolumny leżały pogruchotane, zredukowane do stert gruzu. Sklepienie i posadzkę przecinały rysy pęknięć, przez zasnutę pyłem i dymem powietrze przebijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Oprócz szczątków posadzkę pokrywały ciała – Sithów, ale także Jedi i żołnierzy Republiki, głównie tych ostatnich. Co jakiś czas ciszę przerywały jęki rannych. W poszarpanej ranie, która kiedyś była wejściem do Świątyni, stała Mandalorianka. Zdjęła hełm i trzymała go pod pachą; w jej kasztanowych włosach migotały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Wodziła wzrokiem od ciała do ciała, od strzaskanych kolumn do stert gruzu, ale jej twarz i zaciśnięte usta nie wyrażały żadnych emocji. W pewnej chwili spojrzała Malgusowi prosto w oczy – widocznie wyczuła na sobie jego spojrzenie – i skinęła mu głową. Odwzajemnił gest – dwoje wojowników, składających sobie wyrazy uznania. Chwilę później Mandalorianka włożyła z powrotem hełm, odpaliła plecak rakietowy i poszybowała w pokryte dymami niebo Coruscant. Imperium sownie wynagrodzi ją za tę pomoc; Malgus o tym wiedział.

Z pięćdziesiątki Sithów, którzy przypuścili atak na Świątynię, przeżyło najwyżej dwudziestu. Malgus nie był z tego powodu zadowolony, ale też nie zaskoczył go fakt, że jednym z pozostałych przy życiu jest Lord Adraas. Ci, którzy przetrwali, także rozglądali się po zrujnowanym wnętrzu, ale nie gratulowali sobie nawzajem zwycięstwa. Nikt nie patrzył nikomu w oczy; po prostu nie zwracali na siebie uwagi.

Po skończonej bitwie pozostali przy życiu Sithowie zgromadzili się w pobliżu statku desantowego i unieśli w milczeniu pięści, salutując Malgusowi. Wydali okrzyk zwycięstwa, głośny wyraz radości z pokonania wroga. Przez chwilę Adraas stał między nimi bez ruchu, przypatrując się Malgusowi nieprzeniknionym wzrokiem, a potem niechętnie przyłączył się do hołdu. Jego wyraźne ociąganie oznaczało jawny brak szacunku, ale Malgus zignorował to. Na razie.

Chwilę później odwzajemnił gest.

– Jesteście sługami Imperium – ogłosił Sithom. – I Mocy.

Odkrzyknęli mu jednym głosem.

Odkopał na bok rękojeść miecza Zallowa, wyłączył własną broń, przeszedł nad ciałem Mistrza Jedi i ruszył przez sterty gruzu, skupiska ognia i ciała, dopóki nie dotarł do Eлены. Czuł, że jego ruchy śledzą wojownicy Sithów, między innymi

Adraas. Na pewno wyczuli zmianę jego emocji, ale nie obchodziło go to.

Przyklęknął i ostrożnie podniósł ciało Twi'lekanki z zimnej posadzki. Było ciepłe, a więc żyła. Strzały z blastera, którymi ranił ją Zallow, pozostawiły w lawendowej skórze jej ramion i piersi czarne, ziejące otwory, jednak nic nie wskazywało na to, żeby doznała jakichś złamań.

– Eleeno – powiedział do niej. – Otwórz oczy, Eleeno... Eleeno?

Jej błękitne powieki zatrzepotały.

– Veradunie... – wyszeptała.

Na dźwięk swojego dawnego imienia, wymawianego w obecności innych Sithów, wzdrygnął się i zacisnął dłoń tak mocno, że aż zaboląły go knykcie. Nigdy... przenigdy nie powinna zwracać się tak do niego w obecności jego braci.

Najwyraźniej wyczuła jego gniew, bo zbladła i schowała głowę w ramiona, przyglądając się szeroko otwartymi oczami jego zaciśniętej pięści.

Domyśliła się, że to ona jest źródłem jego wzburzenia. Malgus z trudem rozluźnił pięść i wyciągnął w jej stronę otwartą dłoń.

– Czy możesz wstać?

– Tak. Dziękuję, mój panie.

Ale i tak podniósł ją brutalnie z podłogi, nie zważając na jej rany. Skrzywiła się z bólu i opadła bezwładnie w jego ramiona, ale nie odepchnął jej. Oddychała płytko, szybko.

– Wezwijcie medyków z „Nieugiętego” – polecił Adraasowi.

Oczy Sitha zwęziły się w szparki, kiedy analizował w myśli jego żądanie.

– Słyszałeś, co powiedział Darth Malgus – huknął na stojącego w pobliżu sithańskiego wojownika. – Wezwij zespół medyczny.

– Nie – warknął Malgus. – Mówiłem do ciebie, Adraasie.

Adraas wpatrywał się w niego przez chwilę w milczeniu; w jego oczach zalśnił gniew, ale Sith z rozwagą go stłumił i przywołał na twarz nieprzeniknioną maskę.

– Jak sobie życzysz, Malgusie. – Z zewnątrz dobiegał stały, monotony huk towarzyszący bombardowaniu planety; to flota Angrala rozpoczęła atak powietrzny na Coruscant. – Poinformowałem Dartha Angrala, że Świątynia została zabezpieczona – dodał znacząco Adraas. – Odniosłem wrażenie, że byłeś w tym czasie zajęty... innymi sprawami. – Zanim spojrzał Malgusowi w oczy, zatrzymał dłużej wzrok na Eleenie.

Malgus odwzajemnił jego spojrzenie i odruchowo zacisnął dłoń, ale szybko stłumił gniew. Nie pozwoli, żeby wybryki tego parszywego kundla pozbawiły go radości ze zwycięstwa.

– Ten jeden raz wybaczę ci nadużycie władzy – powiedział – ale lepiej pilnuj, żeby to się więcej nie powtórzyło. A teraz... zejź mi z oczu.

Adraas poczerwieniał ze wzburzenia i zacisnął wargi, ale nie odezwał się ani słowem. Skłonił się tylko niedbale i odszedł.

Malgus rozluźnił palce zaciśnięte na ramieniu Eleeny i ruszył z nią w stronę wyjścia. Strzaskany portal Świątyni, brutalnie poszerzony przez szarżę statku desantowego, otwierał się na czyste niebo. Tuląc w ramionach ranną Twi'lekanę, Sith przyglądał się po drodze, jak imperialne bombowce wypluwają z siebie pomarańczowoczerwone chmury, zalewając Coruscant powodzią ognia.

– Idź, przypatrz się temu, mój panie – szepnęła mu na ucho Eleena. – To twoje zwycięstwo. Nic mi nie będzie. Idź...

Malgus wiedział, że to nieprawda i że Eleena potrzebuje pomocy, ale wiedział też, że musi to wszystko zobaczyć na własne oczy.

Położył ją ostrożnie na posadzce i ruszył w stronę wyjścia; zatrzymał się dopiero w progu Świątyni. Posągi Jedi, które jeszcze niedawno stały wzdłuż alei prowadzącej do Świątyni, teraz leżały w gruzach u jego stóp. Rozejrzał się po panoramie zgliszcz, chłonąc efekt pragnień całego swojego dotychczasowego życia.

W przestworzach roило się od imperialnych statków. Bomby spadały na wieżowce i drapacze chmur w deszczu czerwieni, oranżu i czerni. Niebo zasnuwały chmury sadzy. Imperialne myśliwce ścigały, żeby je zestrzelić, kilka lokalnych śmigaczy, które pozostały jeszcze na trasach ruchu powietrznego. Jak okiem sięgnąć, powierzchnię planety–miasta znaczyły setki pożarów. Horyzont płonął niczym ofiarny stos, wznosząc w niebo słup czarnego dymu, a wtórne eksplozje wstrząsały ziemią niczym przedśmiertne drgawki. Co jakiś czas do uszu Malgusa dobiegał odległy, stłumiony krzyk. W pewnej chwili w powietrze wzbila się garstka republikańskich myśliwców, ale siły Imperium otoczyły je szybko i rozprawiły się z nimi czysto i sprawnie.

Malgus wywołał na komunikatorze kod „Ciemności”, statku dowodzenia Angrala.

– Lordzie Angralu? Domyślam się, że zostałeś poinformowany o zabezpieczeniu Świątyni Jedi.

Zanim Angrał odpowiedział, Malgus słyszał przez chwilę w tle gwar na mostku.

– Zostałem – potwierdził wreszcie Angrał. – Dobrze się sprawiłeś, Lordzie Malgusie. Ilu wojowników zginęło podczas ataku?

– Czy Adraas nie przekazał ci tej informacji? Może ze trzydziestu – dodał, kiedy Angrał milczał, najwyraźniej czekając na wyjaśnienia.

– To dobrze. Niezwłocznie wyśle transport po ciebie i twoich ludzi.

– Wolałbym poczekać.

– Słucham?

– Chciałbym zobaczyć, jak Coruscant płonie.

– Rozumiem, Malgusie. Dopilnuję, żeby bombowce oszczędziły Świątynię. Na razie. – Przerwał połączenie, a Malgus usiadł ze skrzyżowanymi nogami u wrót Świątyni. Niebawem dołączyło do niego kilku innych Sithów. Wspólnie patrzyli w milczeniu, jak Coruscant płonie.



Nie minęło pół standardowej godziny, jak spośród zasnuwających niebo kłębów dymu i ognia wynurzył się imperialny transportowiec medyczny. Za nim pojawiły się następne imperialne jednostki i cała grupa szybko zaczęła schodzić w stronę Świątyni Jedi, wzniesając po drodze tumany pyłu. Kiedy transportowiec był już na tyle nisko, że przez transpasterowy iluminator widać było sterownię, dwóch siedzących w środku pilotów zaszalutowało Malgusowi.

Statek wylądował, opuszczono rampę i ze środka wybiegło dwóch mężczyzn w szaroniebieskich mundurach Imperialnego Korpusu Medycznego. Nieśli walizki z lekami i instrumentami medycznymi, ale nietęgą miną sugerowały, że pomimo wojskowego szkolenia, które niewątpliwie przeszli, od jakiegoś czasu nie mieli nic wspólnego z czynną służbą. Za nimi ze statku wynurzyły się dwunożne roboty medyczne; ich wypolerowane, srebrzyste powłoki odbijały płomień buzujące wokół Świątyni. Przeszły obok; każdy ciągnął trzy poziomowe wózki z noszami.

Malgus wstał i podszedł do medyków. Na widok jego poznaczonej bliznami twarzy wytrzeszczyli oczy (zdążył się już przyzwyczaić do tego, że wzbudza strach) i zaszalutowali mu służbiście.

– W środku jest kilku rannych – poinformował ich. – Jedna z nich, Twi'lekanka, to moja służąca. Zajmijcie się nią z taką samą dbałością, z jaką zajęlibyście się mną.

– Obca, mój panie? – zdziwił się starszy mężczyzna o porośniętej siwą, jednodniową szczecinę szczęce. – Jak pan zapewne wie, imperialne placówki wojskowe nie...

Malgus zrobił krok w jego stronę i medyk zamknął szczękę z głośnym kłapnięciem.

– Zajmijcie się nią tak, jakbyście zajęli się mną samym – powtórzył Malgus. – Czy to jasne?

– Tak jest, mój panie – wymamrotał mężczyzna i razem ze swoim towarzyszem pospieszył w stronę Świątyni.

Widoczne w dole budynki zadrżały, wstrząsane kolejnymi eksplozjami. Jedna z bomb uderzyła najwidoczniej w stację zasilania, bo na horyzoncie wykwitła kula rozpalonej plazmy o średnicy pół kilometra. Nad Świątynią przemknęło skrzydło imperialnych myśliwców przechwytyjących ISF o charakterystycznych, łukowato wygiętych skrzydłach. Sithowie stojący na dziedzińcu znów wnieśli triumfalne okrzyki.

Ze Świątyni wyszła Eleena. Zagryzała wargi – pewnie z bólu – a za nią dreptał strapiiony medyk.

– Proszę, panienko – mamrotał, zerkając z lękiem na Malgusa. – Proszę...

Na widok ogromu zniszczeń Eleena otworzyła szeroko oczy. Malgus podszedł do niej.

– Idź z medykiem – polecił. – Na orbicie wraz z resztą floty krążowników czeka imperialny statek medyczny, „Nieugięty”. Zaczekaj tam na mnie. Przylecę natychmiast, jak tylko skończę załatwiać tu swoje sprawy.

– Nie potrzebuję opieki, mój panie...

– Zrób to – wszedł jej w słowo, ale jego głos brzmiał zaskakująco łagodnie.

Eleena przełknęła ślinę, uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Dziękuję, panie – westchnął z ulgą lekarz. – Proszę za mną, panienko. – Wziął Eleenę ostrożnie pod rękę i poprowadził do transportowca.

Tymczasem Republika umierała w deszczu bomb.

Kiedy zespół medyczny sprawdził obrażenia i przetransportował rannych na statki, zajęto się ciałami poległych. Miały zostać zabrane na Dromund Kaas albo na Korriban, gdzie zostaną pogrzebane. Malgus żałował, że wśród nich nie ma Adraasa.

Po odlocie transportowca Adraas, znowu w masce na twarzy, stanął u jego boku.

– Co z ciałami Jedi? – spytał.

Malgus zastanawiał się przez chwilę nad jego pytaniem. Jedi walczyli mężnie, szczególnie Zallow, nie mógł zaprzeczyć. Może i opacznie pojmowali Moc, ale mimo to zasłużyli na godne traktowanie – zwłaszcza po śmierci.

– Niech ich grobowcem stanie się Świątynia – polecił. – Zburzcie ją.

– Wezwę bombowiec, żeby...

Malgus pokręcił głową i odwrócił się gniewnie w stronę Adraasa. Byli podobnego wzrostu, a Adraas nawet nie mrugnął na widok oszpeconej twarzy Malgusa.

– Nie – powiedział. – Na statku desantowym jest więcej niż dość ładunków. Skorzystaj z nich.

– Czy to... rozkaz, panie?

Malgus z trudem zachował spokój.

– To Sithowie powinni zniszczyć Świątynię Jedi, nie imperialni piloci, nie sądzisz, Adraasie?

Adraas najwyraźniej się nad tym nie zastanawiał, bo wyglądał na zaskoczonego – co nie dziwiło zanadto Malgusa. Pachołek Angrala, chociaż był Sithem, także nie rozumiał do końca Mocy, a poza tym nie miał honoru. Mimo to nie protestował.

– Tak jest, mój panie.

Niebawem ładunki zostały podłożone, a Malgus ujął w dłoń zdalny detonator. Obrzucił Świątynię ostatnim spojrzeniem – jej wieże, stopnie zigguratu, przewracane posągi i wysokie przejście, które po inwazji przypominało upiorny, krzywy uśmiech o poszarpanych brzegach. Reszta Sithów stała w pobliżu, czekając na rozkazy.

– Czy nie powinniśmy się odsunąć na bezpieczną odległość? – spytał niepewnie Adraas.

Malgus zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– To jest bezpieczna odległość.

– Jesteśmy ledwie dwadzieścia metrów od wejścia – zauważył ostrożnie Adraas.

Patrząc mu prosto w oczy, Malgus aktywował detonator. Rozległa się seria huków – początkowo stłumionych, dobiegających z głębi Świątyni, ale stopniowo coraz głośniejszych, w miarę jak eksplodowały te podłożone bliżej, naruszając fundamenty potężnej budowli.

Ze zrujnowanego wejścia wzbijała się w powietrze chmura szczątków i pyłu. Rozpoczęła się seria eksplozji na wyższych poziomach; wybuchy były teraz naprawdę donośne, przeszywające. Po chwili mury zaczęły się kruszyć. Od fasady Świątyni odpadły pierwsze ogromne kawały gruzu i rozbiły się o powierzchnię w dole. Przez otwór wejściowy widać było tańczące płomienie. Jeden po drugim, eksplodowała cała seria ładunków – brzmiało to niczym dźwięk pękającego kręgosłupa i Zakonu Jedi.

Niebosięzny gmach, odwieczny symbol Jedi, zaczął zapadać się pod własnym ciężarem. Wieże przewracały się jedna po drugiej; wysokie iglice wędły jakby w zwolnionym tempie. Z walącego się wnętrza przez otwór wejściowy wystrzelił strumień ognia i kawałków kamienia, pędząc szybciej niż dźwięk.

Zamiast rzucić się w poszukiwaniu kryjówki, Malgus wyciągnął przed siebie obie ręce wnętrzem dłoni na zewnątrz i stworzył przed sobą i Sithami niewidzialną barierę Mocy. Reszta wojowników bez słowa dołączyła do niego, powtarzając gest i także czerpiąc ze źródła Mocy. Na wzniesioną barierę opadł grad szczątków, kawałków zburzonych murów, a wreszcie dotarł do niej strumień płomieni, niczym pędzący po kamieniach potok.

Świątynia wciąż powoli zapadała się w sobie, zmieniając się w bezkształtny kopiec śmieci i gruzu. Niebawem było po wszystkim.

Nad monstrualną stertą roztrzaskanego kamienia i metalu, która była kiedyś Świątynią Jedi, wisiała przypominająca całun chmura pyłu. Na niższych poziomach wciąż mogli być żywi Jedi, ale Malgusa to nie obchodziło. Zostaną albo zmiażdżeni, albo uwięzieni w środku – na zawsze.

– I tak oto upada Republika – powiedział Malgus.

Otoczający go Sithowie wiwatowali.



Nikt z członków delegacji Republiki na Alderaanie nie odezwał się, dopóki nie

opuścili holu. Wyglądało na to, że nikt właściwie nie wie, co powiedzieć. Aryn starała się utrzymać falę ich chaotycznych uczuć z dala od siebie. Tak samo jak ją, przepełniały ich gniew, żal i frustracja. Nawet Dar'nali z trudem udawało się zachować spokój, chociaż na pozór wydawała się opanowana jak zwykle.

W końcu to właśnie ona przerwała ciszę rzeczowym, rozsądnym głosem:

– Musimy najszybciej, jak to możliwe, skontaktować się z Mistrzem Zymem. Potrzebuję jego rady.

– Skąd mamy wiedzieć, że w ogóle żyje? – spytała trzeźwo Satele. – Skoro Coruscant upadła...

Wszyscy mimowolnie schowali głowy w ramiona. Syo i Aryn wymienili przerażone spojrzenia. Wcześniej Aryn nie przeszło nawet przez myśl, że Mistrz Zym także mógł zginąć.

– Poczuję, gdyby... zginął – powiedziała Dar'nala i skinęła zdecydowanie głową, jakby chciała sama siebie przekonać o prawdziwości swoich słów. – Nawiąż bezpieczne połączenie, Satele.

– Tak jest, Mistrzynie Dar'nalo.

– Nikt z nas nie może opuścić tego miejsca – dodała Togrutanka. Aryn zauważyła, że oczy Mistrzynie nabiegły krwią. – Kiedy ludzie dowiedzą się o ataku, media będą się domagać komentarza. A my nie możemy go udzielić, dopóki nie ustalimy planu działania. Od teraz to ja będę się wypowiadała w imieniu delegacji. Zgadzacie się na to? – Wszyscy skinęli, nawet senator Am-ris. – Ostateczna decyzja należy oczywiście do Republiki, senatorze – dodała Togrutanka. – Jednak Jedi w każdej chwili służą pomocą.

Am-ris przygarbił się na dźwięk jej słów, jakby przytłoczony brzemieniem wydarzeń.

– Przedyskutuję tę kwestię z przewodniczącym Senatu – mruknął.

– Senat mógł już przestać istnieć – przypomniała mu Dar'nala. – Może się okazać, że musisz podjąć decyzję w jego imieniu. Wciąż masz jednak asystentów, a my będziemy wspierać ciebie i każdą decyzję, jaka zostanie ostatecznie podjęta.

Am-ris zmarszczył wysokie czoło, przełknął ślinę i skinął głową.

W milczeniu i w atmosferze przygnębienia pokonywali opustoszałe korytarze. Budynek Najwyższej Rady został na czas trwania negocjacji ewakuowany. Nawet alderaańscy strażnicy, pełniący zazwyczaj wartę, zostali oddelegowani do innych placówek. Chociaż za oknami Aryn widziała dziedzińce porośnięte schludnie przyciętą trawą i krzewami, pełne szmerzących fontann i pięknych posągów, czuła się jak w grobowcu – jakby coś w tym budynku właśnie umarło.

Od natłoku myśli kręciło jej się w głowie. Wszystkie niosły ze sobą nadmiar znaczeń, wspólnie tworząc zbyt zagmatwany wir domysłów, żeby potrafiła je ogarnąć. Wreszcie zebrała się w sobie i powiedziała to, o czym – jak sądziła – myślała w tej

chwili każdy z nich:

– Nie możemy pozwolić na takie barbarzyństwo, Mistrzynie.

Satele i Syo skinęli lekko głowami, potwierdzając, że się z nią zgadzają.

Dar'nala wyjrzała przez okno na dziedziniec.

– Obawiam się, że nie mamy wyboru. Kanclerz nie żyje...

– Nie żyje? – Aryn prawie się zachłysnęła.

– Niestety, tak – powiedziała ponuro Satele. – Widzieliśmy to na własne oczy. Powiedział, że imperialna flota zaatakowała Coruscant. Wszystko wskazuje na to, że atak był wymierzony głównie w Senat i Świątynię Jedi.

– Wątpię, żeby na tym poprzestali – wtrącił gorzko Am-ris.

– W Świątyni byli padawani – dodał cicho Syo.

– Nie wiemy – podjęła Satele – jak liczne siły imperialne zaatakowały Coruscant ani jaki jest rozmiar zniszczeń.

– Nie możemy poddać stolicy – zaproponowała Aryn.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli, rozważając w ciszy jej słowa.

– Zgadzam się – powiedziała wreszcie Dar'nala. – Nie powinno do tego dojść.

– Nie powinno? – powtórzył gorzko Syo.

Aryn nie dowierzała własnym uszom. Jedi zostali oszukani, nie zdołali wypełnić swojego obowiązku, polegającego na ochronie Republiki... Mistrz Zym powinien był przewidzieć plan Sithów! Po drodze wyglądała przez okna, ledwie zauważając alderański krajobraz i pobliską rzekę. Nozdrza drgały jej ze wzburzenia.

Walczyła kiedyś z siłami Imperium na Alderaanie. Przyczyniła się do ich pokonania i zmuszenia do odwrotu. Teraz niczego nie pragnęła bardziej, niż żeby znów stawić im czoło.

Głos Dar'nali sprowadził ją z powrotem na ziemię:

– Skąd miałaś informacje, że Sithowie zaatakowali Coruscant, Aryn? Wiedziałaś o tym, zanim wyszliśmy z sali negocjacyjnej, prawda?

– Nie wiedziałam – wymamrotała. – To znaczy, nie byłam pewna. Wiedziałam tylko, że... – spróbowała nie dopuścić do głosu targających nią emocji, ale przegrała z kretelem – ...Mistrz Zallow został zabity. A kiedy spojrzałam w oczy Sithom...

Syo podszedł bliżej, jakby chciał ją obronić przed cierpieniem.

– A więc Mistrz Zallow nie żyje – powtórzyła cichym, pełnym napięcia głosem Dar'nala. Jej słowa brzmiały dziwnie głucho, był w nich niemożliwy do opanowania żal. – Jesteś tego pewna?

Aryn w milczeniu skinęła głową, całą siłą woli próbując powstrzymać łzy. Syo chyba chciał ją jakoś pocieszyć, dodać jej otuchy, ale najwyraźniej nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

– Wszyscy będziemy go opłakiwać, Aryn – powiedziała cicho Dar'nala. – A także innych, którzy dziś polegli.

Aryn nie mogła już dłużej tłumić przepęniającego ją gniewu.

– A mimo to chcesz, żebyśmy dalej negocjowali z tymi, którzy to zrobili – powiedziała z wyrzutem.

Dar'nala zatrzymała się i odwróciła w jej stronę. Aryn zrozumiała, że nie powinna była pozwolić, żeby emocje wzięły górę. Głos Togrutanki brzmiał spokojnie, ale dziewczyna widziała żar w jej oczach.

– Na Coruscant żyją miliardy istot. Także dzieci. Od naszej decyzji zależy ich dalszy los. Nie możemy działać pochopnie. Przemawiają przez ciebie emocje, Aryn. Nie pozwól, żeby zawładnęły twoim umysłem.

– Mistrzynie Dar'nala ma rację, Aryn – powiedział senator Am-ris i położył jej dłoń na ramieniu. – Musimy myśleć o dobru Republiki.

Aryn wiedziała, że oboje mają rację, ale teraz nie miało to znaczenia. Wiedziała jedno: musi pomścić śmierć Mistrza Zallowa – w ten lub inny sposób.

– Wybacz mi, Mistrzynie – wymamrotała. – Senatorze...

– Rozumiem. – Dar'nala skinęła głową i podjęli przerwany marsz. – Wierz mi, rozumiem aż za dobrze.



Podczas tych kilku godzin, które „Tłuscioch” spędził w błękitnym tunelu nadprzestrzeni, Zeerid spróbował się przespać, ale sen nie nadchodził. W efekcie zamartwiał się o następne zlecenie. Zamartwiał się też o zlecenie po tym następnym i o kolejne. Martwił się o swoją córkę – o to, kto się o nią zatroszczy, kiedy (teraz był pewien, że to tylko kwestia czasu) on zginie podczas wypełniania którejś misji. Bagno, w którym żył, wciągało go z każdym dniem głębiej, a on nie wiedział, jak się z niego wydostać.

Z konsoli dobiegł sygnał oznaczający koniec skoku. Błękitny tunel ustąpił czerni przestrzeni i Zeerid rozjaśnił iluminator.

W oddali migotała gwiazda Vulty, a w pobliżu majaczyła sama planeta. Jej dzienna strona lśniła na ciemnym tle przestrzeni kosmicznej niczym zielononiebieski klejnot.

W rodzinnym układzie gwiazdowym Zeerid natychmiast poczuł się rażniej. Znów zadziałała ta część jego umysłu, która nie skupiała się bez reszty na wykonywaniu pracy. Myśl o tym, że zobaczy Arrę, zawsze wprawiała go w taki nastrój.

Włączył silniki i „Tłuscioch” pomknął w stronę planety, z każdą sekundą zmniejszając odległość dzielącą Zeerida od jego córki. Kiedy był już blisko, przełączył statek na autopilota i czekał na komunikat kontroli planetarnej.

Podczas oczekiwania włączył wiadomości HoloNetu. Na małym wideoekranie w

sterowni pojawiła się relacja z negocjacji pokojowych na Alderaanie. Zeerid całkiem o nich zapomniał. Podczas wykonywania zlecenia wojna między siłami Imperium a Republiką stawała się dla niego czymś w rodzaju białego szumu. Wiedział, że Eskadra Zagłada zebrała na Alderaanie niezłe żniwo, ale niewiele poza tym.

Przyglądał się na ekranie, jak do budynku Rady wchodzi delegacja Sithów. W tle pojawił się komentarz, a potem pokazano delegację Jedi. Wydało mu się, że wśród osób wchodzących do budynku spostrzegł znajomą twarz...

– Zatrzymaj i powiększ obraz po prawej – polecił komputerowi.

Kiedy prawa część ekranu pojawiła się na zbliżeniu, rzeczywiście zobaczył ją – Aryn Leneer. Długie, jasne włosy wciąż nosiła rozpuszczone, miała te same zielone oczy i jak dawniej dziwnie się garbiła, jakby na jej barkach spoczywało ogromne brzemie.

Cóż, właściwie tak było, pomyślał Zeerid, przypominając sobie jej wrażliwość na emocje tych, którzy ją otaczali.

Nie widział jej całe lata. Zaprzyjaźnili się, kiedy pełnił służbę na Balmorze. Okazało się, że Aryn potrafi całkiem niezłe latać i świetnie walczyć. Bardzo ją za to cenił. A ponieważ on także potrafił całkiem niezłe walczyć i był doskonałym pilotem, sądził, że ona również darzy go szacunkiem. Co prawda nigdy nie piła z nim i z komandosami, ale lubiła przesiadywać z nimi w kantynie, dotrzymując im towarzystwa.

Zeerid podejrzewał, że Aryn trzyma z nimi, bo podoba jej się stan emocjonalny, w jaki wpadali, kiedy byli wstawieni – ta wyraźna ulga i radość, że przetrwali kolejną misję.

Zawsze miała pogodną minę; była w niej jakaś otwartość, sugerująca, że ich rozumie. I to właśnie ta otwartość przyciągała do niej pijanych żołnierzy. Chcieli patrzeć jej w oczy i zwierzać się z największych sekretów. Zeerid przypuszczał, że to było dla niej bardzo wyczerpujące, a jednak zawsze była obok, gotowa ich wysłuchać. Zawsze.

Na ekranie pojawiła się panorama Coruscant, której towarzyszyły słowa komentatora:

– Aż do dzisiaj, kiedy brutalny atak...

Komentarz zagłuszył sygnał modułu łączności, więc Zeerid wyłączył holowiadomości. Początkowo sądził, że to kontrola planetarna, ale zanim nacisnął przycisk, zatrzymał się w pół ruchu. To był zakodowany kanał podprzestrzenny, z którego korzystał wyłącznie podczas rozmów z Kantorem.

W pierwszym odruchu chciał zignorować wezwanie. Rozmowa z Orenem w pobliżu Vulty zepsułaby mu przyjemność spotkania z Arrą. Nie chciał myśleć o robocie podczas chwil spędzonych z córką. Wkrótce jednak, ponieważ czerwona lampka nie przestawała błyszczeć, skapitulował. Zaklął i wcisnął przycisk – tak

mocno, że plastoidowa osłona pękła. Zjeżył się odruchowo w oczekiwaniu na to, co usłyszy.

– Czego? – warknął.

Przez chwilę panowała cisza.

– Gdyby nie pozytywny wynik analizy głosu, byłbym pewien, że skontaktowałem się omyłkowo z kimś innym – powiedział w końcu Oren. – Mam coś dla ciebie.

– Doprawdy? – Pośrednik zamilkł, jakby czekał na jakiś komentarz, ale kiedy Zeerid uparcie milczał, podjął:

– Tak jak wcześniej wspomniałem, to coś pilnego, dla kogoś z drygiem do pilotażu i z doświadczeniem. A więc robota w sam raz dla ciebie, Zet.

– Dopiero co skończyłem pracę, Oren – przypomniał mu chłodno przemytnik. – Potrzebuję trochę czasu...

– To zlecenie wyczyści ci konto.

Zeerid wstał, nie do końca pewien, czy dobrze usłyszał.

– Powtórz.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Faktycznie, Zeerid słyszał, ale nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jeszcze kilka godzin temu był przekonany, że nigdy nie spłaci swojego długu wobec Kantom. A teraz Oren proponował mu... dokładnie to, o czym dotąd nie śmiał nawet marzyć. Z trudem zmusił się do zachowania spokoju.

– To... zwykła dostawa?

– Zwykła dostawa.

– Co to za towar? Chyba nie przyprawa? – Ostatnie słowo wypluł z obrzydzeniem.

– Przyprawa – potwierdził Oren.

– Dokąd?

Sądził, że facet rzuci nazwą jakiejś naprawdę paskudnej dziury.

– Coruscant – powiedział tymczasem Oren, niechętnie, jakby spodziewał się pełnych oburzenia protestów.

– Coruscant?

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?

– Słyszałem. Powiedziałeś „Coruscant”. Gdzie więc jest haczyk, co?

– Haczyk?

– Cóż, trasa na Coruscant to bułka z masłem w porównaniu do tego, do czego przywykłem. Dlatego pytam: gdzie jest haczyk?

– Nie oglądałeś wiadomości? – westchnął Oren.

– Byłem w nadprzestrzeni.

– No tak, rzeczywiście. – Pośrednik zachichotał nerwowo. – Coruscant została zajęta przez siły Imperium.

Zeerid pochylił się nad konsolą znów nie całkiem pewien, czy dobrze usłyszał.

Zwyczajne słowa Orena i beznamiętny głos, jakim je wypowiedział, dziwnie nie pasowały do znaczenia, jakie ze sobą niosły.

– Powtórz, proszę. Wiem, że na Alderaanie trwały negocjacje pokojowe. Widziałem to właśnie na holo. Co masz na myśli, mówiąc „zajęta”?

– Dokładnie to, co ty: planeta została zajęta. Na orbicie stacjonuje imperialna flota. Coruscant jest okupowana. Nikt nie wie nic więcej, bo Imperium zakłóca łączność ze stolicą.

Zeerid nadal nie bardzo chwytał. Dlaczego niby Imperium miałoby zaatakować któryś ze światów Jądra, nie mówiąc już o samej stolicy?

– Jak przedostali się przez sieć ochronną? Przecież to bez sensu – zaprotestował.

– Nie znam szczegółów i nie interesują mnie one, Zet – rzucił Oren. – Zakładam jednak, że był to atak z zaskoczenia, skoro dokonano go w samym środku negocjacji pokojowych. Imperium na pewno nie można odmówić bezczelności. Walczyłeś przeciwko Imperium, prawda, Zet?

Zeerid skinął głową. Nieraz stawał twarzą w twarz z żołnierzami Imperium – najpierw jako komandos w armii Republiki, a potem... potem jako osoba, którą był teraz. Przemknęła mu przez głowę idiotyczna myśl, że może powinien znów zaciągnąć się do wojska, ale szybko zbeształ się za kretyńskie pomysły.

– Reszty dowiesz się na pewno z holo – dodał Oren. A tymczasem możesz już zacząć planować dostawę.

No tak. Dostawa. Jasne.

– Chcesz, żebym poleciał statkiem pełnym przyprawy na świeżo podbitą planetę, okupowaną przez Imperium? – podsumował z niedowierzaniem Zeerid. – Powiedziałeś, że odcięli łączność. Na pewno musieli także ograniczyć ruch orbitalny do minimum. Nie zdołam się przedrzeć przez blokadę, nawet pod osłoną. Zestrzelał mnie.

– Znajdziesz jakiś sposób.

– Jestem otwarty na propozycje.

– Wierzę, że coś wymyślisz.

– Powinniśmy przynajmniej poczekać, aż wszystko się uspokoi – nalegał Zeerid. – Imperium pewnie wznowi zwykły ruch handlowy za jakiś tydzień albo coś koło tego. Teraz...

– Nie ma takiej opcji.

– To niech się znajdzie – burknął.

– Nie. Ładunek musi zostać dostarczony bezzwłocznie.

Zeeridowi z każdą chwilą coraz mniej się to wszystko podobało. Jego wyczulony węch informował go, że coś tu bardzo, ale to bardzo cuchnie.

– Dlaczego?

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Muszę, jeśli mam się podjąć tego zlecenia. Pamiętaj, że jeszcze się nie zgodziłem. Oren znów milczał przez kilka długich sekund.

– To syntprzyprawa – powiedział wreszcie z ociąganiem.

Zeerid prawie się zakrztusił. Nic dziwnego, że to zlecenie miało umorzyć wszystkie jego długi. Chemicznie modyfikowana przyprawa była nie tylko silnie uzależniającym narkotykiem; zmieniała mózg zażywającego ją delikwenta w taki sposób, że tylko jedna jedyna „marka” syntprzyprawy mogła zaspokoić jego potrzeby. Zwykła przyprawa już nie wystarczała. Dilerzy nazywali syntprzyprawę „smyczą”, bo przywiązywała do nich jej amatorów. Mogli za nią żądać niebotycznych cen – i nie mieli przed tym skrupułów.

– Mamy na Coruscant kupca, któremu kończą się zapasy – dodał Oren. – Trzeba mu szybko dostarczyć towar... Imperium czy nie. Wiesz dlaczego.

Racja, Zeerid wiedział dlaczego.

– Bo jeśli uzależnieni nie dostaną swojej marki syntprzyprawy, skończą na odwyku. A jeśli do tego dojdzie... – wymamrotał półprzyciemnie.

– ...przestaną być uzależnieni od marki i nasz kupiec straci rynek. Jego niepokój jest w związku z tym zrozumiały i uzasadniony.

– A to oznacza, że Kantor zaśpiewał sobie za to zlecenie niezłą sumkę – zauważył trzeźwo Zeerid.

– I że to dla ciebie wygrana na loterii, Zet. Nie powinieneś kręcić nosem.

Zeerid przygryzł wargę. Kręciło mu się lekko w głowie. Z jednej strony to zlecenie mogło dać mu... no cóż, wolność. Z drugiej – widział, jak wyglądała nora syntprzyprawowa na Balmorze, kiedy służył w wojsku. „Cholernie paskudnie” było bardzo łagodnym określeniem.

– Nie – powiedział. Żeby utwierdzić się w postanowieniu, spojrzął przez iluminator na Vultę, ojczyznę jego i jego córki, i pokręcił głową. – Nie zrobię tego. Zwykła przyprawa to i tak byłoby już za dużo dobrego. A syntprzyprawa to zbyt głębokie szambo. Zrekompensuję wam stratę jakoś inaczej.

– Nie, nie zrekompensujesz – stwierdził twardo Oren. – Możesz zginąć, próbując dostarczyć towar albo jeszcze inaczej. Wiesz, co mam na myśli?

Zeerid zacisnął szczęki.

– Tak, wiem.

– Cieszy mnie to. Spójrz na to w ten sposób: jeśli ci się uda, będziesz kwita z Kantorem. Może nawet pozwolą ci odejść, kto wie? Jeśli nie: będziesz martwy i nikt nie będzie po tobie płakał. – Oren zarechotał, zadowolony z własnego żartu. Zeerid niczego nie pragnął bardziej, niż złapać gnoja za gardło i udusić gołymi rękami.

– W takim razie chcę czegoś więcej – powiedział. Jeśli już miał się pakować w gówno, chciał mieć w ręku wystarczająco dużo kredytów, żeby przekupić własne sumienie. – Nie tylko czystego konta. Poza anulowaniem długów mam dostać

dwieście tysięcy kredytów, z czego połowa płatna z góry, zanim wyląduję na Vulcie. To oznacza, że masz standardowy kwadrans.

– Zet...

– To nie podlega dyskusji.

– Potrzebujesz trochę kasy, żeby się zabawić, co? – zażartował Oren.

– Coś w tym stylu.

– No dobrze. Niech ci będzie. Pierwsza stówka będzie na twoim koncie, zanim postawisz stopę na ziemi.

Zeerid znów przygryzł wargę. Był na siebie wściekły. Powinien był zażądać więcej.

– Kiedy mam lecieć?

– Ładunek jest w tej chwili w drodze na Vultę – powiedział Oren. – Bądź gotów. Kiedy powiem, że czas zbierać dupę w troki, zwijasz się natychmiast.

– Świetnie. – Zeerid zaczerpnął głęboko powietrza. – Skończyłeś, Oren?

– Skończyłem.

– W takim razie jeszcze jedna sprawa.

– Co takiego?

– Im dłużej cię znam, tym bardziej mam ochotę wystrzelić ci z blastera prosto w twarz. Chcę, żebyś o tym wiedział... dwieście tysięcy czy nie.

– Właśnie dlatego cię lubię, Zet – powiedział przyjaźnie Oren. – Wyląduj jako „Czerwony Karzeł” i postępuj zgodnie z instrukcjami. Skontaktuję się z tobą, kiedy ładunek będzie gotowy.

– Biorę transport na „Tłusciocha” czy lecę czymś innym?

– Nie wiem jeszcze. Pewnie wykorzystamy „Tłusciocha” i dostarczymy towar przez droida serwisowego, jak zawsze. Dam znać natychmiast, jak tylko się czegoś dowiem.

– Jeśli to coś innego niż „Tłuscioch”, to lepiej dopilnuj, żeby było równie szybkie.

– Będziemy w kontakcie.

– Doskonale – powiedział Zeerid, chociaż to było ostatnie określenie, które pasowało do tej sytuacji. Przerwał połączenie, usiadł znów w fotelu i zapatrzył się w przestrzeń.

Dar'nala odesłała Aryn i Sya – pewnie dlatego, żeby razem z Satele i Am-risem skonsultować się na osobności z Mistrzem Zymem. Nie mając nic do roboty i do powiedzenia, Aryn wróciła do swoich kwater, żeby... no właśnie, po co?

Nie miała pojęcia, czym się zająć. Czuła, że powinna coś zrobić, ale nie wiedziała co. Nie mając nic lepszego do roboty, zjadła posiłek, nie czując smaku jedzenia, i zaczęła przemierzać swój pokój tam i z powrotem. Próbowwała medytować, ale nie potrafiła się skupić. Nic nie mogło złagodzić bólu, który czuła.

Wreszcie, zdesperowana, włączyła HoloNet, żeby wysłuchać wiadomości. Nie było dla niej zaskoczeniem, że relacje pełne są spekulacji na temat imperialnego ataku na

Coruscant i jego znaczenia dla pokojowych negocjacji. Nie mogła znieść głosu prezydentów, więc wyłączyła dźwięk.

Nigdzie nie pokazywali Coruscant po ataku, więc Aryn domyśliła się, że to Imperium zakłóca łączność. Zamiast tego pokazywano obrazy stolicy Republiki sprzed oblężenia – miliony śmigaczy, skuterów repulsorowych i aut powietrznych przecinały równymi sznurami durabetonowo–transpastalowy krajobraz. Tysiące pieszych wędrowały po autokładkach i placach.

Obraz się zmienił – pokazywali teraz widok Świątyni Jedi z lotu ptaka. Aryn nie mogła oderwać wzroku od wysokich wież, strzelistych iglic i szerokich schodów. Po obu stronach alei prowadzącej do wysokich wrót Świątyni stały potężne posągi starożytnych Mistrzów z mieczami wycelowanymi w niebo.

Pamiętała, z jakim nabożeństwem szła pierwszy raz między nimi u boku Mistrza Zallowa. Była wtedy dzieckiem, a Świątynia i posągi wydawały jej się takie ogromne...

„To będzie od teraz twój dom, Aryn”, powiedział jej wtedy Zallow i uśmiechnął się tym swoim uśmiechem.

Zastanawiała się, jak też Świątynia wygląda teraz, po ataku... Czy w ogóle jeszcze stoi.

Oczyma duszy widziała Mistrza Zallowa, dowodzącego obroną Świątyni, rozkazującego Rycerzom Jedi i padawanom, walczącym z wojownikami Sithów w cieniu starożytnych posągów – tak samo, jak ona walczyła z Sithami pośród alderańskich rzeźb. Widziała, jak Mistrz upada, umiera...

Do oczu znów napłynęły jej łzy. Próbowała je powstrzymać, ale daremnie. Nie potrafiła się opanować i nawet nie wiedziała, czy tego chce. Ból, jaki czuła po śmierci Mistrza Zallowa, był wszystkim, co jej po nim zostało.

Do głowy przysła jej nagle pewna myśl, która szybko przekształciła się w palącą potrzebę. W jej umyśle i w sercu kiełkował pomysł i nie potrafiła przestać o tym myśleć: pragnęła poznać imię i twarz zabójcy Mistrza Zallowa. Chciała, musiała go zobaczyć. A jeśli zdoła się dowiedzieć, kim był, poznać jego imię – będzie mogła pomóc swojemu mentorowi.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większa stawała się potrzeba zrealizowania tego śmiałego planu.

Była jednak pewna, że tutaj, na Alderaanie, podczas pokojowych negocjacji, niczego nie wskóra. Wiedziała aż za dobrze, co Zym, Dar'nala i Am-ris postanowią – co muszą postanowić. Nie mieli innego wyjścia. Będą udawać, że negocjują, a potem i tak zgodzą się na wszystkie postawione przez Sithów warunki. Zdradzą w ten sposób pamięć Mistrza Zallowa i wszystkich Jedi, którzy walczyli i polegali w Świątyni.

Ta myśl była tak odrażająca, że Aryn podjęła decyzję: nie weźmie w tym udziału.

Niezdolna dłużej powstrzymać emocji, zaczęła kląć na wszystkie znane jej

sposoby. Z jej ust wydobywały się słowa, których nie używała, odkąd była nastolatką.

Chwilę później usłyszała mocne pukanie do drzwi.

– Kto tam? – spytała zachrypniętym, wzburzonym głosem.

– To ja, Syo – padła odpowiedź. – Wszystko w porządku? Słyszałem...

– To nagranie – skłamała i wyłączyła wideoekran. – Chcę być sama, Syo.

Po drugiej stronie drzwi zapanowała długa cisza.

– Na pewno chcesz znosić to w samotności, Aryn? – spytał wreszcie Syo.

Tak, musiała się z tym zmagać sama jedna. To do niej należało uczczenie pamięci Mistrza Zallowa.

– W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać – dodał.

– Dziękuję – powiedziała, ale zbyt cicho, żeby mógł ją usłyszeć.

Mijały godziny. Zapadł zmrok, ale nie było żadnych wieści od Mistrzynie Dar'nali czy Satele. Aryn próbowała zasnąć, ale sen nie chciał przyjść. Panicznie bała się tego, co przyniesie rano.

Leżała w ciemności w swoim łóżku, gapiąc się w sufit. Znad horyzontu wstał zamglony półksiężyc i rozświetlił jej pokój upiornym światłem. Wszystko wydawało się w nim bezbarwne, bezduszne, nierealne. Przez chwilę Aryn pozwoliła sobie bujać w obłokach i udawać, że to wszystko sen. Jakim cudem sprawy mogły przybrać taki obrót? Jak Jedi mogli upaść tak nisko?

Z pamięci napłynęły słowa Mistrzynie Dar'nali: „Obawiam się, że nie mamy wyboru”.

Bolały, bo były prawdziwe. Jedi nie mogli poświęcić Coruscant. Republika i Rada Jedi muszą się zgodzić na zawarcie „pokoju”. Nie mają innego wyjścia. Pozostało im tylko negocjować warunki, które z pewnością będą korzystne dla Imperium. Koniec końców zdrada Imperium, zdrada Sithów, zostanie uwieńczona kapitulacją Jedi.

I chociaż Aryn wiedziała, że to jedyne wyjście, najrozsądniejsze rozwiązanie, nie mogła się pozbyć poczucia niesprawiedliwości. Wrażenia, że Mistrzynie Dar'nala jest w błędzie. Że senator Am-ris się myli.

Wcześniej nigdy coś takiego nie przeszłoby jej przez myśl, a teraz tylko wzmagало ból, który przeszywał jej serce. Wszystko się zmieniło.

Zacisnęła dłoń w pięść. Przepelniający ją gniew i żal były tak silne, że poczuła potrzebę wyładowania złości w następnej serii krzyków i przekleństw. Oddychając głęboko i regularnie, spróbowała odzyskać panowanie nad sobą. Wiedziała, że Mistrz Zallow nie pochwaliby takiego zachowania.

Ale Mistrz Zallow nie żył; został zamordowany przez Sithów, powtórzyła sobie w myśli.

A wkrótce Zakon miał go zawieść i zniweczyć to, o co walczył; zbrukać jego pamięć, wikłając się w polityczne gierki.

Aryn przywołała wspomnienia o Mistrzu Zallowie – nie o jego naukach, ale o jego

uśmiechach; surowych, ale troskliwych połajankach, kiedy coś zbroiła; o dumie, jaką czuł, kiedy została pasowana na Rycerza Jedi...

To właśnie były rzeczy, które ich łączyły – nie dyscyplina ani nauka.

Wciąż czuła pustkę, która ją wypełniła, kiedy poczuła jego śmierć. Bała się, że się w nią całkiem zapadnie. Znała imię tej pustki – brzmiało ono „miłość”.

Kochała Mistrza Zallowa. Był dla niej jak ojciec. Nigdy mu o tym nie powiedziała, a teraz było już za późno. Utrata kogoś, kogo darzyła uczuciem, zraniła ją mocniej, niż mogłaby kiedykolwiek przypuszczać. Bolało, ale ten ból był oczyszczający – i słuszny.

Zakon kształtował galaktykę, w której dobro ustępowało przed złem i w której ludzkie uczucia – uczucia osób takich jak Aryn – były tłumione przez politykę „nieangażowania się”, praktykowaną przez Jedi.

Co dobrego mogło z tego wyniknąć, skoro te wszystkie działania doprowadziły do takiej sytuacji?

Wzburzenie kazało jej wstać. Była zbyt zdenerwowana, żeby usnąć. Usiadła na łóżku, ukryła twarz w dłoniach i spróbowała poukładać krążące chaotycznie myśli.

Uświadomiła sobie, że wciąż ma na sobie szaty Jedi, nie zaś strój nocny. Wstała i wyszła na balkon. Włosy zmierzwiła jej rześka, nocna bryza. Powietrze przesycił zapach dzikich kwiatów i rzeczno mułu. Słyszała ćwierkanie owadów i nocnych ptaków.

W innych okolicznościach uznałaby te dźwięki i zapachy za kojące.

Jakieś sto metrów niżej rozciągał się alderański pejzaż – łąka porośnięta wysoką trawą, krzewami i smukłymi drzewami apo, które szumiały na wietrze. Przez ścianę roślinności nie widziała ogrodzenia.

Widok zapierał dech w piersi, a jednak Aryn wciąż miała wrażenie, że znajduje się na miejscu zbrodni. Chłodne nocne powietrze i sielankowa panorama absolutnie nie mogły złagodzić poczucia, że Jedi zawiedli – i to na całej linii. Zacisnęła palce na balustradzie tak mocno, że zabolą ją kostki.

Nieco dalej, w dole lśniła w świetle księżycy kręta, szeroka rzeka. Jej powierzchnię rozświetlały jasne punkciki świateł kilku łodzi. Aryn przyglądała się ich powolnym, hipnotyzującym ruchom. Po niebie co jakiś czas przemykały światełka przelatujących statków.

Uświadomiła sobie, jak bardzo ją denerwuje, że wokół życie toczy się jakby nigdy nic, podczas gdy dla niej wszystko bezpowrotnie się zmieniło. Czuła się wypalona, opuszczona, zdradzona.

– Chyba nie zamierzasz skoczyć? – spytał ktoś żartobliwie.

Wzdrygnęła się na dźwięk głosu Sya. Przez chwilę brzmiał całkiem jak głos Mistrza Zallowa.

Syo stał na balkonie jakieś pięć metrów dalej, po prawej – najwyraźniej od

dłuższego czasu. Pewnie też nie mógł spać.

– Nie – westchnęła. – Rozmyślam tylko.

Jego zazwyczaj spokojną twarz szpeciły zmarszczki zmęczenia wokół oczu.

– O Mistrzu Zallowie? – spytał.

Dźwięk imienia jej Mistrza w ustach Syo sprawił, że ból wrócił ze zdwojoną siłą. Emocje nabrzmiały, dławiąc w gardle. Skinęła głową, niezdolna wykrztusić słowa.

– Przykro mi z powodu twojego Mistrza, Aryn – powiedział Syo. – Wszystkim nam będzie go bardzo brakować.

Wreszcie udało jej się przełknąć dławiacą w gardle kulę.

– Był dla mnie więcej niż tylko Mistrzem – szepnęła.

Syo skinął głową, jakby wiedział, o czym ona mówi, ale Aryn miała wrażenie, że jej nie rozumie – nie do końca.

– Mówienie o nieangażowaniu się i zrozumienie tego to jedno. Ale stosowanie w praktyce... – Spojrzał na nią. – To co innego.

– Czyżbyś mnie pouczał, Syo?

– Chcę ci tylko przypomnieć, Aryn – wyjaśnił łagodnie – że wszyscy Jedi muszą być gotowi na poświęcenie. Czasem oznacza to konieczność poświęcenia więzi emocjonalnych, które zwykle łączą ludzi. Czasem jednak musimy... poświęcić więcej, tak jak Mistrz Zallow. Taka jest natura naszej służby. Nie zapominaj o tym, pogrążona we własnym żalu.

Do Aryn dotarło, że ją i Sya dzieli więcej niż tylko pięć metrów przestrzeni. Pierwszy raz to sobie uświadomiła – dzięki rozpacz, którą czuła.

– Nie rozumiesz – powiedziała.

Przez jakiś czas milczał.

– Może i nie – powiedział wreszcie. – Ale pamiętaj, że jestem obok, gdybyś potrzebowała rozmowy. Jestem twoim przyjacielem, Aryn. Zawsze będę.

– Wiem o tym.

Syo przez kilka sekund nic nie mówił, a potem cofnął się od balustrady.

– Dobrej nocy, Aryn. Do zobaczenia rano.

– Spij dobrze, Syo.

Zostawił ją sam na sam z jej myślami i z nocnym krajobrazem.

Poświęcenie, powtórzyła gorzko w myśli. Aryn Leneer już i tak poświęciła w swoim życiu bardzo wiele – a Mistrz Zallow poświęcił wszystko. Nie negowała konieczności poświęcania się, ale poświęcenie musiało mieć jakieś znaczenie, cel. A według niej, całe jej dotychczasowe poświęcenie donikąd nie prowadziło – a więc nie miało sensu. Od zawsze tłumiała swoje potrzeby i pragnienia, porzucając je na rzecz wyższych celów – wyrzeczeń, niezaangażowania, służby innym. Teraz jednak czara goryczy się przelała. Nie mogła tak tego zostawić. Zbyt wiele zawdzięczała Zallowowi; nie pozwoli, aby jego śmierć przeszła bez echa. Musiała sprawić, by

okazała się warta jego poświęcenia. Pomścić go.

Dar'nala, Zym i Am-ris, a także cała reszta mogli się pogodzić z koniecznością przystania na warunki Sithów, żeby ocalić Coruscant. To były kwestie związane nierozdzielnie z polityką, a polityka wymagała takiego podejścia. Jednak dla Aryn była to sprawa osobista. Bardzo osobista.

Wróciła do pokoju i włączyła wideoekran. Wysłuchiwała kolejnych komentarzy na temat ataku, wygłaszanych przez cereańskiego mędrca, analizującego sytuację w świetle negocjacji pokojowych... Oglądała ruchome obrazki, żeby zapamiętać, ledwo dostrzegając to, co dzieje się na monitorze.

Na monitorze...

– Monitoring – powiedziała, podnosząc głowę.

System monitorowania Świątyni musiał zarejestrować atak Sithów. Gdyby udało jej się dotrzeć do nagrań, na pewno zdołałaby zidentyfikować zabójcę Mistrza Zallowa.

Jeśli oczywiście Świątynia nie została splądrowana... i zburzona. I jeżeli ktoś nie „zajął” się nagraniami ochrony.

Jeśli Jedi nie poddali Coruscant Imperium...

„Nie powinno do tego dojść”, powiedziała Mistrzynie Dar'nala. Nie powinno...

Aryn nie mogła zmarnować swojej szansy, Nie tym razem.

Teraz, wbrew wcześniejszym żartobliwym przestrogom Sya, zamierzała skoczyć.

Podjęła decyzję. Musi działać szybko, zanim znów dopadną ją wątpliwości. Kiedy wstała, pierwszy raz od chwili, w której sparaliżowała ją rozpacz, poczuła się pewniej. Lepiej. Spakowała się, wygładziła szaty i wróciła na balkon. Wiatr się wzmógł i liście drzew apo szeleściły niespokojnie. Wiedziała, że kiedy zrobi następny krok, nie będzie odwrotu. Cóż, nie planowała go, ale...

Rzuciła ostatnie spojrzenie na okna pokoju Sya – były ciemne.

Z bijącym sercem wyskoczyła za barierkę, skupiając swoje myśli na ziemi w dole. Odsunęła na bok problemy Zakonu, odsunęła niezaangażowanie, wszystko poza potrzebą zadośćuczynienia sprawiedliwości.

Korzystając z Mocy, żeby złagodzić lądowanie, przypadła skulona do ziemi, po czym wstała i pospiesznie ruszyła przed siebie. Nikt nie widział, jak opuszczała budynek, więc nikt nie zauważył jej nieobecności, zanim nadejdzie świt. A kiedy to nastąpi, ona będzie już daleko stąd.

Musi znaleźć sposób, żeby dotrzeć na Coruscant. I miała nawet pomysł, jak tego dokonać. Zdobędzie nagrania monitoringu, a potem znajdzie sposób na odszukanie Sitha, który zabił Mistrza Zallowa.

Tak, Zakon został zmuszony do zdradzenia własnych przekonań, ale Aryn nie zamierzała zdradzić pamięci własnego Mistrza.

ROZDZIAŁ 4

Reszta sił Sithów wróciła na pokłady statków, ale Malgus zwlekał z odwrotem. Został pośród ruin Świątyni Jedi. Wyłączył komunikator, dzięki któremu miał kontakt z siłami Imperium, i trwał samotnie, obcując tylko z Mocą. Przechadzając się po obrzeżach rumowiska, przyglądał się wyrządzonym przez eksplozje zniszczeniom i napawał zwycięstwem. Był zadowolony, że im się udało, ale i rozczarowany brakiem kolejnych wyzwań w perspektywie.

Tęsknił za konfliktem. Taki już był – potrzebował konfrontacji.

Wiedział oczywiście, że będzie jeszcze wiele bitew z Jedi i Republiką, ale osaczenie i zrównanie z ziemią Coruscant, a potem upadek Republiki było według niego wyłącznie kwestią czasu. Wkrótce jego wizje Mocy spełnią się do końca, a potem... właśnie, co potem?

Musiał ufać Mocy, że zapewni mu kolejnego wroga, następną wojnę, w której warto walczyć.

Wspiął się na stertę gruzu i znalazł miejsce, które dawało mu idealny widok na otaczający krajobraz. Tuż obok, na stercie kamiennych szczątków, leżał zniszczony posąg Odan–Urra, wpatrując się w niego z wyrzutem martwymi oczami.

Mierząc wzrokiem ruiny siedziby wroga, Malgus czekał, aż imperialna flota rozpocznie spopielenie planety.

Minęła godzina, potem kolejna, a o zmierzchu imperialne statki przecinające niebo nad Coruscant stopniowo zaczęły znikać. Bombowce wracały na pokłady krążowników, a myśliwce zaprzestały ataku na rzecz formowania szyków patrolowych.

O co tu chodzi? – zachodził w głowę Malgus. Flota Imperium nie miała wystarczających środków ani możliwości na długoterminową okupację Coruscant. Imperialne siły powinny zrównać planetę–miasto z ziemią, i to natychmiast, zanim flota Republiki zdoła się przegrupować i dokonać kontrataku.

A mimo to... nic się nie działo. Malgus zupełnie tego nie rozumiał.

Aktywował komunikator i wywołał swój krążownik, „Walecznego”.

– Lordzie Malgusie? – usłyszał głos pierwszego oficera, komandora Jarda. – Próbujemy się z panem skontaktować od kilku godzin. Martwiliśmy się o pana. Właśnie wysłałem transportowiec z zespołem, który miał pana znaleźć w Świątyni.

– Co się dzieje, Jard? – spytał Malgus. – Gdzie są bombowce? Dlaczego przerwano bombardowanie planety?

Jard zająknął się.

– Mój panie... Ja... eee... Darth Angral...

Malgus zacisnął pięść na komunikatorze, domyślając się znaczenia słów Jarda.

– Do rzeczy, komandorze.

– Wszystko wskazuje na to, że negocjacje pokojowe na Alderaanie nadal trwają.

Darth Angral polecił wszystkim siłom wycofać się, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Malgus odprowadził wzrokiem przelatującą obok eskadrę interceptorów Mk.VI.

– Negocjacje pokojowe?

– Tak mi powiedziano, Lordzie Malgusie.

Malgus łypnął gniewnie na słup dymu, wznoszący się w oblane czerwona poświęta niebo.

– Dziękuję, Jard.

– Czy wraca pan na pokład „Walecznego”, mój panie?

– Nie – warknął Malgus. – Ale przyślijcie po mnie ten transportowiec. Muszę się spotkać z Darthem Angralem... i to szybko.



Zasady regulujące negocjacje zabraniały rozmieszczenia służb bezpieczeństwa Republiki i Imperium wokół budynków Najwyższej Rady, ale nikt nie zakazywał ustanowienia placówek strażniczych w pobliskich miastach.

Poruszając się przyspieszonym Mocą pędem, Aryn minęła, niezauważona, alderańskich strażników strzegących budynku. Jeden z ich psów widocznie wyczuł jej zapach, bo zawarczał, kiedy ich mijala, zanim jednak zdołali namierzyć ją skanerami podczerwieni, była już kilkaset metrów dalej. Nie zaryzykowała przejścia przez bramki – zamiast tego wybrała drogę przez otaczające budynek ogrody. Przedzierała się przez zielone tereny, dopóki nie dotarła do ogrodzenia, porośniętego kwitnącym białym i żółtym pnączem.

Nie zwalniając kroku, zaczerpnęła Mocy, wyskoczyła w powietrze i pokonała bez trudu pięciometrowy mur. Wylądowała lekko po drugiej stronie – wreszcie wydostała się na wolność.

Ku swojemu zaskoczeniu nie czuła potrzeby obejrzenia się za siebie. Uznała to za znak, że podjęła dobrą decyzję.

Za jej plecami budynek Najwyższej Rady górował nad porośniętym gęstą roślinnością wzgórzem. Kręte dróżki, strumienie i malownicze ścieżki prowadziły w dół, ku niewielkiej wiosce, przycupniętej u jego stóp. Przez konary drzew i listowie przeświecały światła pobliskiego miasta, a w powietrzu słychać było odgłosy ruchu

powietrznego i nocnego życia.

Było późno, ale nie na tyle, żeby Aryn nie udało się zatrzymać taksówki powietrznej, która zawiozłaby ją do kosmoportu, zanim ktoś zauważy jej nieobecność.

Nie oglądając się za siebie, ruszyła w mrok.

Kiedy dotarła do miasta, namierzyła rząderek automatycznych taksówek powietrznych, zaparkowanych pod pełną młodzieży knajpą. Rodiański szef kuchni obsługiwał główny grill, z zadziwiającą zręcznością zonglując tasakami i nożami. Powietrze przesycił zapach pieczonego mięsa, dymu i egzotycznych przypraw, a z głośników dobiegały dźwięki muzyki tak głośnej, że ziemia zdawała się wibrować. Aryn naciągnęła kaptur swojej szaty głębiej na oczy i wskoczyła do pierwszej z brzegu taksówki. Antropomorficzny droid kierowca położył łokieć na zagłówku siedzenia pasażera i odwrócił się w jej stronę. Miał na sobie jakieś dziwne szmaty, które zapewne miały sprawić, by wyglądał bardziej „ludzko”. Roztrzęsiona i zdyszana Aryn z ulgą przyjęła fakt, że trafiła na droida, nie na istotę żywą. Robot nie mógł wyczuć jej wzburzenia.

– Dokąd, panienko? – spytał.

– Port kosmiczny Eeseen.

– Się robi.

Drzwi pojazdu zamknęły się, silnik zarzęził i wóz wzbił się w powietrze. Wkrótce zostawili miasto daleko w dole.

Ku zmartwieniu Aryn, w tej samej chwili włączyło się oprogramowanie socjalne robota, każące mu zabawiać pasażera rozmową (co podobno miało rozluźnić podróżnych).

– Panienska miejscowa?

– Nie – burknęła Aryn.

– Och, w takim razie polecam...

– Nie mam ochoty na rozmowę – ucięła. – Proszę, zawieź mnie po prostu do celu.

– Tak jest, panienko.

Kiedy osiągnęli poziom ruchu miejskiego, droid przyspieszył do kilkuset kilometrów na godzinę. W takim tempie dotrą do kosmoportu w ciągu trzydziestu standardowych minut, obliczyła szybko w myśli Aryn. Przez chwilę zastanawiała się nad włączeniem wideoekranu, ale stwierdziła, że to nie jest dobry pomysł. Zamiast tego wyjrzała przez okno na ruchliwe, pogrążone w mroku okolice Alderaana.

– Dolatujemy do portu, panienko – oznajmił jakiś czas później droid.

W dole rzeczywiście majaczył port kosmiczny Eeseen – jeden z wielu na planecie. Nie dało się go przeoczyć; jego światła lśniły niczym serce galaktyki.

Port – jedna z największych budowli planety – stanowił ciąg połączonych ze sobą segmentów, zajmujących przestrzeń pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Głównym jego elementem był terminal, łączący wzniesione na wielu płaszczyznach

ramiona, które zawijały się wokół zbudowanego głównie z transpastali rdzenia, nazywanego przez miejscowych „bańką”. Eeseen był samowystarczalnym portem, dysponującym własnymi hotelami, restauracjami, placówkami medycznymi i ochroną.

Widok z góry, który podziwiała teraz Aryn, przypominał do złudzenia spiralne ramię galaktyki. W tym miejscu mogły dokować jednocześnie setki statków – od wielkich superfrachtowców na niższych platformach towarowych, po jednoosobowe maszyny na wyższych poziomach. Ze środka bańki niczym gruba antena sterczała wieża kontroli planetarnej.

Ponieważ było późno, światła na większości wyższych platform już wygaszono, ale dolne poziomy były jasno oświetlone i wrzało w nich jak w ulu. Aryn patrzyła, jak wielki frachtowiec schodzi w stronę jednej z niższych platform, a dwa inne powoli podnoszą się z doków, kierując ku atmosferze. Firmy zajmujące się transportem często pracowały w godzinach nocnych, kiedy ruch powietrzny był znacznie mniejszy niż w dzień.

Przyglądając się tym scenom, Aryn raz jeszcze odniosła osobliwe wrażenie, że życie wszystkich innych w galaktyce toczy się tak samo jak zawsze, podczas gdy Republice zagraża ogromne niebezpieczeństwo. Czowała rozpaczliwą potrzebę wrzaśnięcia na całe gardło: Jak wam się zdaje, co będzie potem? Obudźcie się!, ale milczała uparcie, tłumiąc w sobie emocje pod dużym ciśnieniem; bała się, że wkrótce zaczną jej pękać tętnice.

Wokół doków i w powietrzu nad platformami lądowniczymi przelatywały, kręciły się i pełzały dziesiątki śmigaczy, śmigów i droidów rozładunkowych. Automatyczne żurawie podnosiły ciężkie skrzynie, przewożone w ładowniach lądujących frachtowców.

Nawet z wysokości pół kilometra Aryn widziała szeregi ludzi i droidów, jadących autokładkami i windami w centralnej kopule kosmoportu. Cała budowla przypominała ul. W górnej części bańki mieścił się hotel, którego balkony wychodziły na malownicze pejzaże Alderaana. Ich widok przypomniał jej rozmowę z Syem.

– Jedi muszą być gotowi na poświęcenie – powtórzyła jego słowa.

Cóż, właśnie zamierzała to udowodnić.

– Przepraszam, panienko – zagadnął droid. – Czy pani coś mówiła?

– Nie.

– Które wejście, panienko?

– Muszę się dostać na poziom pierwszy, podpoziom D.

– Tak jest, panienko.

Wóz zboczył z trasy powietrznej i zatrzymał się przy jednym z wejść na poziom pierwszy kosmoportu. Droid wyciągnął w jej stronę ramię z wbudowanym czytnikiem kart i Aryn przeciągnęła przez szczelinę swoją kredkartę. Wiedziała, że Zakon wyśledzi ją dzięki tej operacji, ale nie mogła inaczej zapłacić. Wysiadła z taksówki i

przeszła szybko przez automatyczne drzwi.

W środku ruszyła prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na inne istoty, poruszające się po terenie portu kładkami albo windami. Wokół panował gwar, ale zatopiona w myślach Aryn nie słyszała rozmów, tylko bezładny szum. Z pogrążonej w półmroku kantyny dobiegała jazgotliwa muzyka. Młody mężczyzna i Cereanka wyszli pod ramię z restauracji, szepcząc sobie coś do uszu i chichocząc. Obok przemykały droidy, przenosząc ładunki i przewożąc bagaże. Aryn co chwila słyszała ich uprzejme: „Przepraszam”.

Tu i tam w strategicznych miejscach porozmieszczano wideoekrany. Na jednym z nich kątem oka dojrzała obraz Coruscant, który chwilę później zastąpił budynek Najwyższej Rady na Alderaanie. Odwróciła oczy i pokonując dalszą drogę, starała się nie zwracać uwagi na inne wyświetlacze.

Próbowała nie skupiać wzroku na niczym szczególnym, licząc w głębi ducha na to, że z powodu późnej godziny zdoła uniknąć kontaktu z innymi członkami delegacji Jedi, którzy mogli przebywać teraz na terenie portu kosmicznego. Bała się, że ich głosy zburzą kruchy mur kontroli nad emocjami, który z trudem udało jej się wznieść.

Mijając niezliczone korytarze, windy i kładki, dotarła wreszcie na poziom, na którym zaparkowała swojego ravena. Rozluźniła się odrobinę i podniosła do ust komunikator, zamierzając wywołać swojego droida T6, ale w tej samej chwili cały z trudem zdobyty spokój legł w gruzach, gdy jej uszu dobiegł czyjś głos:

– Aryn? Aryn Leneer?

Obróciła się na pięcie i serce stanęło jej w gardle na widok Rycerza Jedi Vollena Sora, który wyszedł z pobliskiej windy i teraz spieszył w jej stronę. Tuż za nim, niczym satelita na orbicie planety, dreptał jego padawan – Rodianin Keevo. Obaj mieli na sobie tradycyjne szaty Jedi i nosili przypasane w widocznym miejscu miecze świetlne – znak gotowości do walki.

Stężała w napięciu. Może Mistrzynie Dar’nala zauważyła jej nieobecność i domyśliła się jej planów? Czyżby wysłała Vollena i Keeva, żeby ją zatrzymali?

Jej dłoń powędrowała odruchowo do rękojeści miecza.



Zanim transportowiec wylądował w pobliżu Świątyni, Malgus wysłuchał już dość wyjaśnień, żeby wiedzieć, co się stało. A to, czego się dowiedział, tylko wzmogło jego gniew.

Wszedł na pokład i zatrzymał się w niewielkiej ładowni na rufie.

– Nie zamykajcie przedziału podczas lotu – polecił pilotowi przez interkom statku.

– Tak, panie?

– Podnieś statek na wysokość stu metrów i zatocz koło. Chcę rzucić okiem na powierzchnię planety.

– Tak jest, Lordzie Malgusie.

Kiedy transportowiec wzbił się nad ruiny Świątyni Jedi, do ładowni wdarł się podmuch wiatru i peleryna Malgusa załopotowała złowrogo. Sith stanął na szczycie rampy i Mocą ustabilizował swoją pozycję. Z tego miejsca przyglądał się Coruscant – planecie, która powinna zostać zniszczona raz na zawsze.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie szalały pożary, więc chociaż zapadł już zmrok, dobrze widział ogrom zniszczeń. Nad tłącymi się jeszcze ruinami wisiał całun dymu. W powietrzu dawał się wyczuć słaby, mdląco słodki swąd spalonych ciał i stopionego plastoidu. Malgus spróbował odgadnąć liczbę ofiar – oczywiście w dziesiątkach tysięcy. Może było ich sto? Nie miał pojęcia. Wiedział jednak, że powinny się liczyć w miliardach.

Ze stosów roztraskanego durabetonu jak połamane kości wystawały stalowe pręty. Tu i tam kręciły się droidy, pomagając zespołom ratunkowym odwalać na bok sterty śmiecia w poszukiwaniu tych, którzy przeżyli albo ciał. W stronę transportowca odwracały się przerażone twarze.

– Nie powinniście być przestraszeni – warknął do nich Malgus. – Tylko martwi.

A więc Coruscant została zburzona, dzielnica po dzielnicy.

To jednak było za mało.

Wiele budynków wciąż stało, a większość populacji planety nadal żyła. Republika została ranna, ale nie zabita.

A Malgus wiedział, że nie ma nic niebezpieczniejszego od rannego zwierzęcia.

Miał trudności z opanowaniem targającej nim wściekłości. Nieświadomie zaciskał i rozwierał pięść.

Został oszukany. Gorzej – zdradzony! Tyłu jego wojowników zginęło bezsensowną śmiercią tylko po to, żeby wzmocnić pozycję Imperatora w negocjacjach. To było niedopuszczalne. To było... jak obelga.

Gdzieś w oddali wyły syreny alarmowe, ledwie słyszalne przez zawrodożenie wiatru. Kawalek dalej w niebo wzbijał się właśnie nieuzbrojony republikański statek medyczny. Tu i ówdzie widać było pędzące śmigacze i śmigły, ale ruch był niemrawy i chaotyczny.

Malgus wiedział już, że Darth Angrał rozwiązał Senat i wprowadził stan wojenny. Spacyfikowawszy planetę, pozwolił jednak działać służbom ratunkowym. Malgus przypuszczał, że wkrótce zezwoli też obywatelom na swobodny ruch. Życie na Coruscant znów wróci na swoje dawne tory. Musiał przyznać, że nie rozumie sposobu myślenia Angrała.

Nie w tym rzecz, poprawił się w myśli. Nie rozumie sposobu myślenia Imperatora,

bo to on musiał wydać rozkaz oszczędzenia Coruscant.

Wszystko było nie tak, zupełnie na opak. Malgus planował – i nie mógł się tego doczekać – że obróci Coruscant w gruzy. Wiedział, że Moc chce, aby obalił Republikę i skorumpowanych Jedi, którzy stali na jej czele. Widział to w swoich wizjach.

A Imperator postraszył Republikę ogniem i podjął negocjacje.

Negocjacje!

Obok przeleciała eskadra imperialnych myśliwców; w ich skrzydłach odbijał się czerwony blask migających świateł lądującego w pobliżu statku medycznego. Z kilku nieugaszonych pożarów wzbijały się w niebo słupy dymu.

Malgus mógł co prawda jeszcze żywić nadzieję, że Imperator zamierza zmusić Republikę, aby poddała Coruscant Imperium, ale nie miał już złudzeń. Flota chwilowo osaczyła planetę, ale nie mieli dość sił, żeby utrzymać ją dłużej. Stolica galaktyki była zbyt wielka, a jej populacja zbyt liczna, żeby imperialna flota dała radę wiecznie ją okupować. Nawet formalna kapitulacja nie zdoła powstrzymać ruchu oporu, zorganizowanego przez mieszkańców Coruscant – powstania tak potężnego, że w mgnieniu oka przerwie ono okupację Imperium.

Nie o to chodzi, powtórzył w myśli. Muszą uwolnić planetę albo ją zniszczyć. A wszystko wskazywało na to, że Imperator zdecydował się na to pierwsze wyjście, wykorzystując drugą opcję jako kartę przetargową w negocjacjach.

W interkombie rozległ się głos pilota:

– Kontynuować oblatywanie, panie?

– Nie. Leć do budynku Senatu. Poinformuj Dartha Angrala, że może się mnie wkrótce spodziewać.

Zobaczył już wszystko, co było do oglądania. Teraz chciał wysłuchać wyjaśnień.

– Pokój! – wypluł to słowo z obrzydzeniem jak najgorszą obelgę.



Zeerid wreszcie zauważył sygnał z kontroli planetarnej Vulvy. Przyglądał się na wpół przytomnie, jak miga lampka; nie miał pojęcia, od jak dawna starają się go wywołać. Potrząsnął głową, żeby rozjaśnić myśli, i wywołał fałszywy kod, który przekazał mu Oren. Potem wprowadził go do komputera „Tłuściocha” i, korzystając z opcji autoodpowiedzi, wysłał do kontroli. Chwilę później otrzymał pozwolenie na lądowanie i instrukcje.

– Witamy na Vulcie, „Czerwony Karle” – powiedział kontroler. – Masz pozwolenie na lądowanie w Yinta Lake, na platformie lądowniczej jeden–jedenaście B.

Zeerid miał nadzieję, że żar wejścia w atmosferę wypali jego myśli o Orenie,

Kantorze, syntprzyprawie. Próbował się skupić na stu tysiącach kredytów, które powinny czekać już na jego koncie, i na tym, co z nimi zrobi.

Kiedy statek opuścił stratosferę i dołączył do ruchu powietrznego nad Vultą, Zeerid jeszcze raz spróbował odsunąć na bok myśli o pracy i o osobie, która za to wszystko odpowiadała.

Nie potrafił. Zrozumiał, że za każdym razem coraz trudniej jest mu się przestawić. Zabrnął w to zbyt głęboko. Przemysł stał się dla niego chlebem powszednim, a on wiedział, że spaliłby się ze wstydu, gdyby jego córka kiedykolwiek dowiedziała się, jak zarabia na życie.

Wpisał do komputera współrzędne i zszedł do niewielkiego pomieszczenia pod sterownią, w którym urządził swoje kwatery.

Podczas służby w wojsku nauczył się cenić porządek, a jego pokój był odzwierciedleniem tej zasady. Łóżko było schludnie zasłane (choć nigdy nie oglądał go nikt oprócz niego samego), a ubrania wisiały równo w szafie obok iluminatora. W różnych miejscach kajuty miał pochowanych kilka dodatkowych blasterów, a w małym schowku dość magazynków, żeby starczyło mu na standardowy rok. Błat jego niewielkiego biurka był uprzątnięty i pusty – z wyjątkiem komputera i sterty fałszywych faktur. W podłogę obok wbudowano zamaskowany sejf. Odślonił go, wpisał szyfr i otworzył. W środku była kredkarta z kilkoma kredytami, które zdołał odłożyć i – o wiele ważniejszy – niewielki hologram jego córki.

Na jego widok uśmiechnął się i wziął ramkę do ręki. Zawsze zauważał najpierw trzy rzeczy: długie, kręcone włosy Arry, jej uśmiech (jasny jak nowa, pomimo jej kalectwa) i wózek inwalidzki, na którym siedziała.

Mógł wybrać hologram, na którym nie było tego ostatniego elementu, ale nie chciał. Bolał go widok ułomności dziewczynki i wiedział, że będzie go boleć, dopóki tego nie naprawi.

I o to właśnie chodziło.

Hologram przypominał mu o celu, do którego dążył. Patrzył na niego zawsze przed snem i od razu po przebudzeniu.

Nienawidził tego wózka. Przeklęty grat był grzechem, za który musiał odpokutować.

To było tak: Val i Arra leciały się z nim spotkać podczas przepustki. Nadal służył wówczas w wojsku. Val cierpiała wtedy na zawroty głowy, ale upierała się, że i tak przyleci, a on, ponieważ rozpaczliwie chciał zobaczyć się z żoną i córką, nie oponował. Podczas lotu Val miała atak i staranowała inne auto.

Zginęła, a Arra tylko cudem wyszła z wypadku z życiem. Podczas zderzenia jej nogi zostały jednak zmiażdżone tak paskudnie, że lekarze zdecydowali się na amputację.

Zeerid opuścił armię, żeby opłakiwać Val i troszczyć się o Arrę. Żył wtedy z dnia

na dzień. Nie miał emerytury ani nieruchomości i szybko się przekonał, że nawet mimo swojej smykałki do pilotażu nie zdobędzie żadnej legalnej pracy, która zapewni mu zarobki wystarczające na utrzymanie ich obojga. Opieka medyczna Arry i jej rehabilitacja pochłaniała gigantyczne sumy kredytów.

Zrozpaczony i zniechęcony, chwycił się ostatniej deski ratunku: skontaktował się z dawnymi kolegami, których znał przed powołaniem do wojska, a oni z kolei skontaktowali go z Kantorem. Kiedy przedstawili mu propozycję, przystał na nią, przekonany, że dzięki temu da radę jakoś przebiedować.

Od tamtej pory jego długi wciąż rosły. Zadłużył się na „Tłuściocha”, kupionego od spółki należącej do Kantoru, i wciąż ściemniał, że ma problemy z hazardem, dzięki czemu co jakiś czas korzystał z pożyczek. W rzeczywistości całe pieniądze szły na opiekę nad Arrą.

Ta decyzja okazała się strzałem w stopę. Ledwie starczało mu na spłacanie odsetków, a podczas gdy on wypruwał sobie żyły, Arra wciąż poruszała się na staroświeckim, prymitywnym wózku inwalidzkim. Zeerid nie zdołał odłożyć nawet tyle, żeby kupić jej zwykły fotel repulsorowy, nie mówiąc już o protezach nóg, które sobie dla niej wymarzył.

Słyszał kiedyś o opracowanej przez Imperium technice, pozwalającej wyhodować nowe kończyny, ale wolał o tym nawet nie myśleć. Jeśli rzeczywiście była to prawda, taki zabieg kosztował pewnie sumę, która była poza jego zasięgiem.

Chciał jej tylko kupić fotel repulsorowy – albo protezy, jeśli trafiłoby mu się jakieś lepsze zlecenie. Zasługiwała przynajmniej na tyle, a on zamierzał o to zadbać.

Skok z syntprzyprawą na Coruscant miał być początkiem, punktem zwrotnym. Za samą zaliczkę zdoła jej kupić fotel, a kiedy będzie miał czyste konto, zacznie zarabiać, nie musząc spłacać długu.

Może zarobi tyle, żeby starczyło na protezy? A może nawet na wyhodowanie nowych nóg?

Tak bardzo chciał zobaczyć, jak znów gra w gravball...

Schował hologram z powrotem do sejfu, zdjął robocze ubranie i wrzucił je do kosza na brudną bieliznę. Zamierzał przeobrazić się z Zet, przemytnika przyprawy, w przykładowego ojca. Po lądowaniu aktywuje niewielkiego droida serwisowego, którego trzymał na pokładzie, i zaprogramuje go na sprzątanie statku i pranie.

Włożył czyste spodnie, podkoszulek i termiczną kamizelkę ochronną, a potem wyjął z szafy koszulę i powąchał ją. Wydawała się względnie czysta.

Zamienił kabury biodrowe z GH-44 na jedną, na szelkach, którą nosił pod marynarką, i wsunął do niej swojego E-11, a potem schował dwa E-9: jednego do ukrytej kabury na kostce, a drugiego – do umocowanej na dole pleców.

Odkąd wyszedł z wojska, Arra nigdy nie widziała go z blasterem i miał nadzieję, że nigdy nie zobaczy. Mimo to nigdzie nie ruszał się bez broni.

Zanim wyszedł, usiadł przy biurku, zalogował się do portalu komputera i sprawdził konto, którego używał w rozliczeniach z Kantorem.

Były tam – okrągłe sto tysięcy kredytów, dopiero co wpłacone.

– Dzięki, Oren – mruknął.

Przelał środki na kredkartę na okaziciela. Nigdy dotąd nie miał w ręku takich pieniędzy.



Vrath siedział na jednej z metalowych ławek w terminalu kosmoportu Yinta Lake na Vulcie. Obok co chwila przemykały droidy; mijały go też grupki istot żywych, złożone z dwóch, trzech, czterech osób. Z głośników nadawano komunikaty.

Jak każdy port na licznych planetach galaktyki, to miejsce tętniło życiem – droidy, holoreklamy, pojazdy, rozmowy. Vrath odciął się od tego wszystkiego.

Na wielkim wideoekranie zwisającym z sufitu wyświetlano najnowsze wiadomości po prawej, a po lewej – listę przylotów i odlotów. Vrath patrzył tylko na przyloty. Tablica pokazywała wszystkie statki, którym kontrola planetarna wysłała instrukcje lądowania; informacje przewijały się na ekranie tak szybko, jak szybko toczyło się życie w porcie. Vrath szukał jednej konkretnej nazwy.

Dzięki wyćwiczonej woli i angażowaniu właściwych neuronów jego sztuczne oczy powiększały litery i cyfry trzykrotnie. Widział je wyraźnie i dokładnie.

Wtyka Huttów w Kantorze zdradziła mu nazwę statku. Wiedział, kim jest pilot, a to oznaczało, że będzie mógł znaleźć syntprzyprawę i dopilnować, żeby nigdy nie trafiła na Coruscant.

Huttowie chcieli, żeby uzależnieni na Coruscant uwolnili się od nałogu i przestali kupować gatunek konkurencji. Dzięki temu można ich będzie przyzwyczaić do syntprzyprawy Huttów i stworzyć nowy rynek – a przynajmniej tyle z tego rozumiał Vrath.

Był zaskoczony, że Kantor zdołał znaleźć pilota na tyle szalonego, żeby zgodził się lecieć na Coruscant, planetę zajętą przez Sithów. Najwyraźniej był to ktoś naprawdę dobry w swoim fachu.

Albo wybitnie głupi.

Na wyświetlaczu nad jego głową puszczano wciąż te same nagrania, które pewnie pojawiały się na wszystkich innych wideoekranach, jak galaktyka długa i szeroka – kolejny materiał dotyczący negocjacji pokojowych na Alderaanie. Togrutanka – Vrath wiedział, że to Mistrzynie Jedi, ale nie pamiętał jej imienia – udzielała właśnie wywiadu. Była poważna i wzbudzała szacunek. Vrath nie słyszał słów – huk silników

i gwar rozmów uniemożliwiały zrozumienie czegokolwiek w tym zgiełku. Mógł co prawda aktywować implant słuchowy w prawym uchu, żeby usłyszeć nagranie nawet poprzez hałas, ale tak naprawdę nie obchodziło go, co ma do powiedzenia jakaś Jedi. Nie obchodziła go też wojna między Republiką a Imperium ani jej wynik – tak długo, jak długo mógł lawirować między nimi i zarabiać uczciwe... no, prawie uczciwe... kredyty.

Miał nadzieję, że wkrótce odejdzie na emeryturę – może i przeniesie się wtedy na Alderaana? Jeśli zdoła udaremnić dostarczenie syntprzyprawy, Huttowie sowicie go wynagrodzą. Kto wie? Może to będzie jego ostatnie zlecenie, po którym upije się, przytyje i zestarzeje – dokładnie w tej kolejności.

Dzielił uwagę między wiadomości wyświetlane na ekranie i tablicę przylotów, dopóki nie znalazł nazwy, na którą czekał: „Czerwony Karzeł”. Wtedy zarzucił sobie torbę ze sprzętem na ramię, wstał i ruszył w kierunku platformy lądowniczej, na której miał wylądować „Karzeł”. Kręcąc się bez celu w pobliżu, przyglądał się, jak poobijany frachtowiec podchodzi do lądowania. Zauważył zmodyfikowane obudowy silników; domyślał się, że „Tłuścioch” jest szybki.

Sięgnął do torby i wyjął dozownik z nanodroidami. Zwykle wolał korzystać z nanodroidów w aerozolu, ale tu było na to zbyt tłoczno.

Przygotował się i czekał.



W dole pojawił się budynek Senatu – transpastalowa kopuła z wieżą wyrastającą z jej środka niczym skierowane w niebo i ostrze. Większość okien była ciemna. Transportowiec zszedł na lądowisko na szczycie budynku, a jego światła oblały dach upiorną, bladą poświatą. W jej blasku Malgus widział oddział imperialnych strażników w szarych zbrojach, nadających im wygląd cieni, a także umundurowanego oficera; wszyscy czekali w pobliżu platformy. Mężczyzna przytrzymał sobie rękami czapkę, żeby nie zwiął jej silny wiatr.

Malgus nie czekał, aż statek wyląduje. Od platformy dzieliły go jeszcze dwa metry, kiedy wyskoczył przez otwarty właz i wylądował tuż przed oficerem, który na jego widok wybałuszył oczy.

Był młody, ubrany w nienagannie wyprasowany szary mundur, a włosy miał schludnie ułożone pod przepisową czapką. Malgus przypuszczał, że pewnie od lat nie strzelał z blastera. Nie ukrywał swojej pogardy wobec niego. Tolerował jemu podobnych tylko dlatego, że zapewniali konieczne wsparcie temu, kto akurat dla nich walczył.

– Witaj, Lordzie Malgusie – powiedział attache. – Nazywam się Roon Neele. Darth Angral...

– Odzywaj się tylko, jeśli jest to konieczne, Roonie Neele – warknął Malgus. – Uprzejmości mnie drażnią... w najlepszym razie. A dziś zdecydowanie nie jestem w nastroju.

Neele przez chwilę wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, ale wreszcie się opamiętał i je zamknął.

– Doskonale – powiedział Malgus. W tej samej chwili transportowiec wylądował i płyta lądowiska zawibrowała. – A teraz zaprowadź mnie do Dartha Angrala.

– Tak jest.

Przeszli na drugą stronę dachu, do turbowindy. Po obu stronach drzwi stali uzbrojeni imperialni żołnierze, którzy na widok Malgusa zasalutowali. Neele i Sith zjechali w ciszy kilka pięter. Kiedy w końcu drzwi się otworzyły, znaleźli się w długim, szerokim holu, po obu stronach którego ciągnęły się rzędy biur. W głębi znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi. Napis na nich głosił: „Biuro Kanclerza Republiki”. Ich także strzegli dwaj imperialni żołnierze.

Tuż obok windy mieściła się recepcja – prawdopodobnie siedziba sekretariatu Kanclerza – teraz pusta.

Neele wskazał drzwi do biura na końcu korytarza, ale został przy windzie.

– Darth Angral rezyduje teraz w biurze Kanclerza – powiedział. – Oczekuje cię.

Malgus ruszył przez hol do drzwi. Pomieszczenia po obydwu stronach korytarza były puste i zdradzały ślady pospiesznej ewakuacji – porozlewany kaf, papiery zaścielające wykładzinę i dywany, przewracane krzesła. Malgus wyobraził sobie wstrząs, jakiego musieli doznać pracownicy na widok przesłaniających niebo statków Imperium. Zastanawiał się, co Angral zrobił z senatorami i ich personelem. Wiedział, że niektórzy z nich zginęli po rozpoczęciu ataku. Inni pewnie zostali później straceni.

Kiedy dotarł do drzwi na końcu korytarza, imperialni żołnierze zasalutowali mu, rozstąpili się i otworzyli je. Wszedł do środka i czekał, aż się za nim zamkną.

Angral siedział za biurkiem Kanclerza Republiki, na przeciwległym końcu przestronnego pokoju. Jego ciemne, poprzecinane pasemkami siwizny włosy były ułożone podobnie jak u Roona Neele'a, a szatę zdobiły zawile wzory. Kanciasta, gładko ogolona twarz Angrala kojarzyła się Malgusowi z ostrzem topora.

Na ścianach wisiały dzieła sztuki z różnych światów, a na ozdobnych cokołach stały rzeźby. Rozpoznawał kościane statuetki z Kalamara, olejne pejzaże z Alderaana, a także drewniany posążek stworzenia, które przypominało nieco mityczną bestię zillo z Malastare. Na biurku Angrala stała otwarta butelka kwiatowego wina, a obok – dwa kielichy, oba do połowy wypełnione rzadkim, bladozłotym trunkiem. Dziwne. Angral doskonale wiedział, że Malgus nie pije alkoholu.

Przed biurkiem ustawiono dwa wysokie, obite czarną skórą fotele, odwrócone

oparciami do wejścia. Malgus nie widział stąd, czy są zajęte. Ścianę za biurkiem zajmowało wysokie od podłogi do sufitu transpastalowe okno, wychodzące na panoramę Coruscant. W nocne niebo, prawie wolne od ruchu powietrznego i podświetlone pożogą, unosiły się smugi czarnego dymu. Przypominały Malgusowi jakieś tajemne pismo gigantów. Labirynt durabetonowych budynków ciągnął się aż po horyzont.

– Lordzie Malgusie – odezwał się Angral i wskazał jeden z foteli – spocznij, proszę. Zanim Malgus zdołał się powstrzymać, z jego ust popłynęły słowa:

– Mamy Coruscant w garści. Wystarczy tylko ścisnąć... A mimo to, jak słyszałem, kontynuujemy negocjacje pokojowe...

Angral nie wyglądał na zaskoczonego jego wybuchem. Upił łyk wina i odstawił kielich na biurko.

– Dobrze słyszałeś.

– Dlaczego? – Pytanie zabrzmiało jak oskarżenie. – Republika padła przed nami na kolana. Jeśli ugodzimy w jej serce, umrze.

– Korzystając z naszej przewagi jako z karty przetargowej w negocjacjach... – zaczął Angral.

– Pokój jest dla biurokratów! – przerwał mu Malgus; zbyt głośno, za ostro, wiedział o tym. – Nie dla wojowników.

Angral nawet nie mrugnął.

– Kwestionujesz mądrość Imperatora?

Słowa Angrala ostudziły nieco gniew Malgusa. Musiał się pohamować.

– Nie. Nie kwestionuję.

– Cieszy mnie to. A teraz usiądź, Malgusie. – Ton Angrala nie pozostawiał wątpliwości, że te słowa nie są propozycją.

Malgus ruszył w jego stronę, mijając po drodze dzieła sztuki, Kiedy był w połowie drogi, Angral dodał:

– Adraas cię wyprzedził.

Malgus zatrzymał się w pół kroku.

– Słucham?

Z jednego z foteli stojących przed biurkiem wstał Adraas i odwrócił się w stronę Malgusa. Jego twarzy – gładkiej i przystojnej, podobnie jak Mistrza Zallowa, i okolonej schludnie przyciętą bródką – nie skrywała już maska. Malował się na niej za to pełen samozadowolenia uśmieszek.

Malgus przypomniał sobie minę Zallowa, kiedy Jedi umierał; wyobraził sobie, że zamiast tego denerwującego uśmieszku twarz Adraasa wykrzywia podobny grymas.

– Lordzie Malgusie – powitał go Adraas, uśmiechając się jeszcze szerzej i jeszcze bardziej fałszywie. – Wybacz, że nie ujawniłem się przed twoim... wybuchem.

Malgus zignorował go i zwrócił się bezpośrednio do Angrala:

– Co on tu robi?

Angral uśmiechnął się niewinnie.

– Lord Adraas zdawał mi właśnie raport z ataku na Świątynię.

– Raport? On?

– Tak. Bardzo pochlebnie się o tobie wyrażał, Malgusie.

Adraas wziął z biurka Angrala drugi kielich i upił łyk wina.

– On? Chwalił mnie? – parsknął Malgus.

Nie był zbyt dobry w politycznych gierkach Sithów, ale nagle zaczął węszyć podstęp. Wiedział, że Adraas jest pupilkiem Angrala. Czyżby próbowali go w coś zrobić? Na pewno mogli wykorzystać przeciwko niemu słowa, w których potępiał rozmowy o pokoju...

Z trudem się opanował i zajął fotel obok Adraasa, który także usiadł. Malgus przemówił, starając się bardzo ostrożnie dobierać słowa:

– Atak na Świątynię nie mógł zostać przeprowadzony lepiej. Plan, który opracowałem, sprawdził się doskonale. Jedi byli kompletnie zaskoczeni. – Odwrócił się do Adraasa. – Zanim złożyłeś raport Darthowi Angralowi, powinieneś był mi go przedstawić do zatwierdzenia. – Przeniósł wzrok na Angrala. – Wybacz, mój panie.

Angral machnął lekceważąco ręką.

– Przepraszam, są zbędne. Poprosiłem o ten raport osobiście.

Malgus nie wiedział, co o tym myśleć – i bardzo mu się to nie podobało.

– Osobiście? Dlaczego?

– Czy naprawdę sądzisz, że jestem ci winien wyjaśnienia, Malgusie?

Malgus skrzywił się w duchu.

– Nie, mój panie.

– Mimo to udzielię ci ich – powiedział Angral. – Powód jest prosty: nie mogłem się z tobą skontaktować.

– Wyłączyłem komunikator, żeby...

– Założyliśmy, że sprawdzasz stan zdrowia swojej kobiety – wszedł mu w słowo Adraas. Malgus z trudem powstrzymał impuls dania mu w pysk.

– „Założyliśmy?” – powtórzył. – Ośmielasz się mówić w imieniu Dartha Angrala, Adraasie?

– Oczywiście, że nie – zapewnił go Adraas denerwująco spokojnym głosem. – Mimo to, kiedy nie mogliśmy cię namierzyć, Darth Angral poprosił mnie o zdanie raportu... w twoim zastępstwie.

A więc to tak. O to chodziło... To by wszystko wyjaśniało. Adraas właśnie otwarcie potwierdził chęć zajęcia miejsca Malgusa w hierarchii Sithów, a udział Angrala sugerował, że nie ma on nic przeciwko temu.

– Wypowiadanie się w moim imieniu wymaga czegoś więcej niż tylko słowa, Adraasie – powiedział głosem, w którym czaiła się groźba.

– Nie wątpię – odparł Adraas i odwzajemnił spojrzenie. W jego ciemnych oczach nie było strachu.

Angral obserwował ich przez chwilę, a potem opadł na oparcie swojego fotela.

– Gdzie zatem byłeś, Malgusie? – spytał.

Malgus nie spuszczał wzroku z Adraasa.

– W pobliżu Świątyni, oceniałem sytuację po bitwie, mój panie. Zastanawiałem się... – urwał. Mało brakowało, a powiedziałyby: Zastanawiałem się, dlaczego Imperium nie zrównało Coruscant z ziemią. – Zastanawiałem się nad aspektami taktycznymi sytuacji.

– Rozumiem – stwierdził Angral. – O co chodzi z tą kobietą, o której wspomniał Adraas? Z raportu, który mi dostarczył, wynika, że utrudniała ci działania podczas ataku na Świątynię.

Malgus spiorunował Adraasa wzrokiem, ale ten uśmiechnął się tylko do niego znad brzegu kielicha i upił łyk wina.

– Adraas się myli.

– Czyżby? A więc twierdzisz, że ta kobieta nie jest dla ciebie ciężarem? To obca, mam rację? Twi'lekanka?

Adraas prychnął z pogardą, odwrócił wzrok i pił dalej swoje wino; jego gest doskonale odzwierciedlał politykę Imperium wobec obcych – postrzegano ich w najlepszym razie jako obywateli drugiej kategorii. Angral podzielał ten pogląd i właśnie dał to Malgusowi do zrozumienia.

– Owszem – potwierdził Malgus.

– Ach, tak...

Adraas odstawił kielich na biurko.

– Doskonały rocznik, Lordzie Angralu – pochwalił. – Mimo to jeszcze chwila i byłoby przeleżakowane.

– Też tak sądzę – zgodził się Angral.

– Wkrótce mogłoby nabrać goryczy.

– Fakt.

Malgus przysłuchiwał się uważnie tej niezwiązanej z tematem wymianie zdań; nie wiedział, co powiedzieć.

W pewnej chwili Adraas strzelił palcami, jakby właśnie sobie o czymś przypomniał.

– O właśnie, Malgusie... bardzo mi przykro, ale musiałem odmówić udzielenia twojej kobiecie opieki medycznej na „Nieugiętym”.

Malgusowi zaczęła nerwowo drgać lewa powieka. Zacisnął palce na poręczy fotela tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę obicia.

– Słucham?

– Priorytet mają siły Imperium – ciągnął Adraas. – Ludzie. Jestem pewien, że to

rozumiesz.

Malgus miał dosyć tej farsy.

– Co to ma znaczyć? – spytał ostro, zwracając się do Angrala. – Co tu się dzieje?

– Co masz na myśli? – Angral podniósł brwi.

– Ta Twi'lekanka jest w jednej z placówek na Coruscant – dodał Adraas. – Jestem pewien, że opieka medyczna, jaką tu otrzyma, będzie... odpowiednia.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje tutaj, teraz, w tym pokoju – warknął Malgus. – Co to za gierki, Angral? Co chcesz osiągnąć?

Rysy twarzy Angrala stwardniały; postawił z hukiem kielich na biurku.

– Osiągnąć?

– Kim jest dla ciebie ta Twi'lekanka, Malgusie? – nie odpuszczał Adraas. – Jej obecność podczas ataku na Świątynię sprawiła, że popełniłeś błędy.

– Namietności mogą prowadzić do popełniania błędów – zawtórował mu Angral.

– Namietność to siła – poprawił go Malgus. – I Sithowie o tym wiedzą. Wojownicy o tym wiedzą. – Skupił spojrzenie na Adraasie i warknął: – Jakie błędy masz na myśli, Adraasie? Chcę to usłyszeć.

Adraas zignorował jego pytanie.

– Zależy ci na niej, Malgusie? Kochasz ją?

– Jest moją sługą, a ty jesteś głupcem – odwarknął Malgus; jego gniew wzbierał z każdą chwilą. – Zaspokaja moje potrzeby, kiedy tego chcę. To wszystko.

Adraas uśmiechnął się, jakby właśnie zapunktował.

– A więc jest twoją niewolnicą? Dziwką, która zaspokaja cię, bo musi?

Tłący się żar gniewu Malgusa wybuchł wysokim płomieniem. Z głuchym warknięciem Sith zerwał się na równe nogi, aktywował swój miecz świetlny i zamachnął się znad głowy, zamierzając rozplatać czaszkę Adraasa na pół.

Ten jednak, spodziewając się ataku, w ułamku sekundy zerwał się na równe nogi, włączył swoją broń i sparował cios. Krzyżowali miecze tuż przed biurkiem Angrala, a powietrze napełniło brzęczenie napierających na siebie energetycznych kling, krzeszących iskry.

Malgus wystawiał Adraasa na próbę. Przeciwnik okazał się zaskakująco silny.

– Ukrywałeś swoją potęgę – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Nie – odparł Adraas. – Jesteś po prostu zbyt ślepy, żeby widzieć to, co masz pod samym nosem.

Malgus zaczerpnął energii Mocy i zmusił Adraasa do cofnięcia się o krok. Patrzyli sobie z nienawiścią w oczy.

– Wystarczy – powiedział Angral, wstając zza biurka.

Walczący dalej mierzyli się wzrokiem; żaden nie zareagował.

– Wystarczy – powtórzył Angral dobitnie.

Jak na komendę, mężczyźni cofnęli się i opuścili broń. Adraas wyłączył miecz jako

pierwszy, a po nim Malgus.

– Powinna zostać odesłana na mój statek – powiedział Malgus, zwracając się do Adraasa, ale kierując swoją uwagę do obydwu Sithów.

Angral wyglądał na rozczarowanego.

– Po tym wszystkim wciąż tylko jedno ci w głowie? Dobrze, Malgusie. Twi'lekanka jest w pobliskiej placówce medycznej Republiki. Przekażę twojemu pilotowi namiary na nią.

Malgus skłonił głowę z niechętną wdzięcznością.

– Co się zaś tyczy ciebie, Lordzie Adraasie – dodał Angral – akceptuję twój raport.

– Dziękuję, Lordzie Angralu.

Angral Wyprostował się i spojrzał na nich obydwu z góry.

– Od teraz będziecie wypełniać moje rozkazy... bez wahania i kwestionowania ich. Będę surowo karał za każde nieposłuszeństwo czy uchybienie. Czy to jasne?

Angral kierował reprimendę do obydwu, ale Malgus domyślał się, że jest ona przeznaczona głównie dla jego uszu.

– Tak jest, Lordzie Angralu – potwierdzili chórem.

– Jesteście sługami Imperium.

Malgus zacisnął mocniej szczęki, ale nie odezwał się ani słowem.

– Możecie odejść.

Wciąż gotując się z wściekłości, Malgus skierował się do drzwi. Adraas trzymał się krok za nim.

– Malgusie? – rzucił za nim Angral.

Malgus zatrzymał się i odwrócił. Adraas także stanął w miejscu, utrzymując dystans między nimi.

– Wiem, że twoim zdaniem konflikt doskonali zrozumienie Mocy. – Przez chwilę milczał, zanim dodał: – Ciekaw jestem, czy przyszłe wydarzenia potwierdzą twoją hipotezę.

– Jakie wydarzenia? – spytał Malgus, ale nagle zrozumiał: Angral doprowadził do konfrontacji, bo zamierzał sprawdzić, czy Malgus pozwoli, żeby Adraas zajął jego miejsce. Chciał zobaczyć, kto w tym konflikcie będzie górą, wedle tych niedoli rzecznych zasad polityki Sithów.

Subtelne, podstępne gierki nie były mocną stroną Malgusa. Spojrzał gniewnie na Adraasa, który wytrzymał spokojnie jego wzrok.

– To już wszystko – dodał Angral. Malgus odwrócił się i podjął marsz w stronę drzwi. – Adraasie, zostań jeszcze chwilę – poprosił Angral, a Adraas spełnił jego żądanie.

Malgus obejrzał się przez ramię; Adraas nie spuszczał z niego wzroku.

Opuścił biuro tą samą drogą, którą przyszedł. Zrobiono z niego głupca, a Angral wplątał go w swoje chore układy dla własnej uciechy.

Co gorsza, zwycięstwo, które było jego udziałem, okazało się nic niewarte – ot, zwykły argument przetargowy, który zostanie wykorzystany w negocjacjach. Po zakończeniu rozmów Imperium zostawi Coruscant w spokoju.

Kiedy dotarł w pobliże windy, rąbnął pięścią w biurko sekretariatu tak mocno, że marmurowy blat pękł.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy Vollen i Keevo znaleźli się blisko niej, Aryn zdała sobie sprawę, co robi i opuściła rękę swobodnie. Nie będzie walczyć z innymi Jedi. Nigdy. Poza tym nie wyczuwała w nich wrogich zamiarów.

Spróbowała się rozluźnić i nie dopuścić, żeby wyczytali coś z jej twarzy. Vollen i Keevo przepuścili sznur droidów rozładunkowych i podeszli jeszcze bliżej. Vollen był nieogolony, brązowe włosy opadały mu na oczy, a przekrwione i podkrążone oczy sugerowały, że od dawna nie zaznał snu. Aryn podejrzewała, że ona też nie wygląda lepiej. Była roztrzęsiona, więc z trudem przychodziło jej utrzymywanie tarczy, która odcinałaby ją od emocji innych. Zarówno Vollen, jak i jego padawan byli dosłownie przesiąknięci strachem, napływającym od nich regularnymi falami.

– Cześć, Vollen – powiedziała. – Witaj, Keevo. Odwzajemnili powitanie.

– Co tu robisz o tej porze, Aryn? – spytał Vollen.

Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Pomyślała, że to dziwne – spodziewała się przecież, że zadadzą to pytanie, a jednak nie przygotowała sobie na nie odpowiedzi. Może po prostu nie chciała kłamać? A więc postanowiła tego nie robić. Cóż, w pewnym sensie.

– Załatwiam coś, o co prosił mnie... Mistrz Zallow.

Vollen wyraźnie się rozluźnił. Aryn czuła teraz emanującą od nich ulgę.

– A więc Mistrz Zallow przeżył atak Sithów – ucieszył się Vollen; zwinął dłoń w pięść i potrząsnął nią triumfalnie, uśmiechając się szeroko. – To wspaniała wiadomość. Wiem, że byliście ze sobą blisko. – Odwrócił się w stronę swojego padawana. – Widzisz, Keevo? Jest jeszcze nadzieja.

Rodianin skinął głową i zamrugnął. Jego pokryta oleistą, nawilżającą substancją skóra lśniła w świetle portowych lamp.

– Zawsze jest nadzieja – powiedziała Aryn, nie zważając na fałszywe brzmienie własnych słów. Nie mogła się zmusić do wyjawienia prawdy, bo wiedziała, że złamałaby im serca.

Chciała, żeby czuli ulgę – chociaż przez chwilę, nieważne, jak bardzo krótką.

Obok przemknęła para droidów, świergocząc coś do siebie w mechanicznym języku.

Vollen podszedł bliżej i ściszył konspiracyjnie głos.

– Wiesz, co takiego wydarzyło się w komnatach Najwyższej Rady? Słyszeliśmy, że negocjacje nie zostały przerwane. Jak Dar'nala zamierza to rozegrać? Powinniśmy

zaplanować kontratak! Cała ta delegacja Sithów powinna trafić do aresztu...

Keevo położył dłoń na rękojeści swojego miecza świetlnego i powiedział w rodiańskim coś, co Aryn uznała za zgodę na słowa Vollen. Chwilę później Rodianin rozejrzał się ukradkiem, jakby się bał, że ktoś mógł go usłyszeć.

Wyczuwała narastające ciśnienie ich długo tłumionego gniewu, całe ich rozczarowanie. Czuli się zdradzeni i oszukani. W ich słowach słyszała echo własnych myśli i już zaczęła otwierać usta, żeby się z nimi zgodzić. Zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, uświadomiła sobie, jak podobna wypowiedź zaszkodziłaby Zakonowi.

Pierwszy raz dotarło do niej, jakie mogą być konsekwencje jej czynów, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Ona musiała się poświęcić, ale Jedi nie powinni iść w jej ślady, bo to doprowadziłoby do upadku Zakonu.

– Wierzę, że Mistrzynie Dar'nala wie, co robi – powiedziała zamiast tego.

Vollen machnął lekceważąco ręką, jakby nie usłyszał jej słów.

– Wielu z nas jest gotowych do działania, Aryn. Gdybyśmy zdołali się skontaktować z członkami Zakonu, którzy przeżyli atak na Coruscant, moglibyśmy...

– Vollen... – weszła mu w słowo łagodnie, ale stanowczo.

Urwał i spojrzał jej w oczy.

– Zróbcie to, czego wymaga od was Dar'nala. Musicie... inaczej Zakon upadnie. Rozumiesz?

– Przecież negocjowanie z Sithami po tym wszystkim, co się stało, to czyste szaleństwo! – zaprotestował. – Jesteśmy na słabej pozycji. Musimy przejąć inicjatywę i...

– Rób, co mówi Dar'nala, Vollen – powtórzyła. – Nie powinnam w ogóle ci o tym przypominać. – Wypowiadała słowa wyraźnie i dobitnie, żeby przełamać atmosferę konspiracji, którą Vollen i Keevo stworzyli swoimi gorączkowymi szeptami. – Złożyłeś przysięgę. Obaj złożyliście. Chcecie ją teraz złamać?

Rycerz Jedi spąsował, a padawan przestąpił niespokojnie z nogi na nogę i spuścił wzrok.

– Nie – powiedział Vollen.

Aryn czuła emanującą od niego frustrację, która mieszała się z jej własną. Była hipokrytką.

– Cieszę się – powiedziała i dotknęła jego ramienia. – Wszystko będzie dobrze. Rada wie, co robi. Jesteśmy narzędziem Republiki, Vollen. I będziemy robić to, co jest dla niej najlepsze.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – mruknął Vollen, ale nie wyglądał na przekonanego. Keevo pokiwał bez entuzjazmu głową.

Aryn nie mogła dłużej znieść własnej obłudy.

– Muszę już iść. Bywaj, Vollen. I ty także, Keevo. Niech Moc będzie z wami.

Wyglądało na to, że utarta formułka nieco ich uspokoiła.

– I z tobą także – powiedział Vollen.

– Bywaj, Aryn Leneer – pozdrowił ją Keevo w piskliwym basicu.

– Nadal nie powiedziałaś nam, gdzie się wybierasz – zauważył Rycerz Jedi.

– Nie, nie powiedziałam – potwierdziła. – To... sprawa osobista. – Odwróciła się i ruszyła do swojego statku. Po drodze aktywowała komunikator i wywołała swojego droida astromechanicznego: – Tee-six? Przygotuj statek do startu. – Droid potwierdził przyjęcie rozkazu i spytał o plan lotu. – Nie ma planu – powiedziała Aryn, a T6 wydał z siebie długi, przypominający westchnienie pisk.

Kiedy dotarła do lądowiska, T6, którego pomarańczowa kopułka wystawała z gniazda w jej PT-7, powitał ją krótkim trelem. Raven był już gotowy do startu, a warkot rozgrzewanego silnika wprawiał w wibracje podłogę pod jej stopami.

Stała przez chwilę, wsłuchując się w szum silników. Wpatrywała się z ciężkim sercem w drabinkę prowadzącą do kabiny i myślała, że jeśli teraz postawi na niej stopę, nie będzie już odwrotu.

Przypomniała sobie o bólu, który przeszył ją, kiedy umarł Mistrz Zallow. Czuła go dosłownie fizycznie – dojmujący żar, palący od wewnątrz, który rozwiewał wszelkie wątpliwości. Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko i spokojnie; potem zrzuciła wierzchnią szatę – tę samą, którą otrzymała podczas nauki pod okiem Mistrza Zallowa.

Nie może go pomścić jako Jedi. Powinna – i zrobi to – pomścić go jako jego przyjaciółka.

– Co ty wyprawiasz, Aryn? – rozległ się za jej plecami głos Vollena.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że stoją razem z Keevem na skraju lądowiska. Vollen przyglądał się jej ze ściągniętymi brwiami.

– Śledzicie mnie? – spytała.

– Tak.

– To lepiej przestańcie.

– Co robisz, Aryn? – powtórzył.

Położyła dłoń na szczeblu drabinki.

– Już ci powiedziałam, Vollen. Coś... dla Mistrza Zallowa.

– Ale... twoja szata? Nie rozumiem.

Nie mogła mu udzielić zadowalającego wyjaśnienia. Odwróciła się, wspięła po drabince do kabiny i nałożyła hełm. Na szczęście T6 powstrzymał się chwilowo od zadawania pytań.

Vollen i Keevo ruszyli w stronę myśliwca. Aryn czuła niepewność i niepokój tego pierwszego, kiedy zatrzymał się przy odrzuconej przez nią szacie. Wyglądał, jakby stał nad grobem. Może domyślał się, dlaczego postanowiła ją zostawić?

– Powiedz Mistrzynie Dar'nali, że mi przykro – zawołała do niego. – Proszę,

powiedz jej to, Vollen.

Nie podeszli bliżej – całkiem jakby odrzucona szata zakreślała pewną granicę, której nie mogli przekroczyć.

– Dlaczego ci przykro?! – spytał Vollen, przekrzykując szum silników. – Aryn, proszę... powiedz, co zamierzasz! Dlaczego zdjęłaś swoją szatę?

– Ona zrozumie, Vollen. Bywaj zdrów. – Opuściła owiewkę, więc nie usłyszała odpowiedzi Vollena, o ile w ogóle coś odpowiedział. Szum silników wzmógł się; a ona podniosła wzrok na lądowisko. Vollen patrzył prosto na nią, a Keevo wpatrywał się ciemnymi oczami w jej porzuconą szatę.

– Czas na nas, Tee-six – powiedziała. – Ustaw kurs na Vultę, Środkowe Rubieże.

Znała kiedyś kogoś, kto stamtąd pochodził. Miała nadzieję, że wciąż tam mieszka. Jeśli ktokolwiek miał ją zabrać na Coruscant, to tylko Zet.

Droid zapisał potwierdzająco i raven wzbił się w powietrze.

Aryn rzuciła ostatnie spojrzenie w dół – na Vollena, który podnosił jej szatę z taką czułością, jakby pomagał wstać towarzyszowi, który upadł.



Malgus raz po raz odtwarzał w myśli wymianę zdań z Adraasem i Angralem. Jego gniew nie zmalał, kiedy wyszedł z windy na dach budynku Senatu i ruszył do statku, ignorując pozdrowienia strzegących drzwi żołnierzy. Pilot czekał na niego na opuszczonej rampie transportowca.

– Otrzymałeś instrukcje od Dartha Angrala? – spytał go Sith. – Namiary na szpital?

– Tak jest, mój panie.

– Zabierz mnie tam. – Kiedy wszedł na pokład, właz zamknął się z cichym szumem i statek wzbił się w zasnute dymami coruskańskie niebo. Nie musieli lecieć daleko. Nim minął kwadrans, w interkomie rozległ się głos pilota:

– Zbliżamy się do punktu docelowego, mój panie. Gdzie mam wylądować?

W dole Malgus widział wielopiętrowy budynek szpitala. Oświetlone lądowisko na jego dachu pełne było śmigów, wozów powietrznych, śmigaczy i transportowców medycznych. Między pojazdami nieustannie krążył strumień istot żywych – lekarzy, pielęgniarek, medyków i rannych. Tu i tam widać było leżące na noszach ciała.

Teren wokół budynku był tak samo zatłoczony. Trasy ruchu blokowali ludzie i pojazdy, a pod głównym wejściem do szpitala kłębił się tłum.

– Wyląduj obok szpitala – polecił pilotowi Malgus.

Kilka osób na dachu zauważyło ich statek i zdobiące go symbole Imperium. Patrzyli w ich stronę z zadartymi głowami, a na ich twarzach malowało się

przerażenie. Kilka osób pobiegło do wind; ktoś potknął się o nosze i upadł, ktoś inny wpadł na medyka i przewrócił go na ziemię.

– Darth Angrał tymczasowo przekształcił ten szpital w placówkę medyczną zajmującą się rannymi Imperium – wyjaśnił przez interkom pilot. – Teraz jednak wszyscy zostali już przeniesieni na pokład „Nieugiętego”.

– Nie wszyscy – powiedział Malgus, jednak nie na tyle głośno, żeby pilot go usłyszał.

– Na dole jest mnóstwo ludzi, mój panie. Nie widzę wolnego miejsca, żeby wylądować.

Malgus popatrzył w dół, kipiąc gniewem.

– Ląduj. Rozstąpią się.

Transportowiec zatoczył koło, zawisł w powietrzu i zaczął obniżać pułap. W miarę jak schodzili coraz niżej, ludzie zaczęli się cofać. Malgus słyszał już ich gniewne okrzyki.

– Panie, czy powinienem posłać po żołnierzy? Może straż...

– Nie potrzebuję straży – przerwał mu ostro Malgus. – Zabezpiecz statek. To nie potrwa długo. – Wcisnął kontrolkę otwierania wjazdu i do środka wlała się fala dźwięków: wycie syren alarmowych i oburzone pokrzykiwania.

Gniew zgromadzonych nie mógł się jednak równać z wściekłością Malgusa, który odrzucił kaptur, odsłaniając swoje poznaczone bliznami oblicze i respirator, i zszedł po trapie na ziemię.

Na jego widok tłum zamilkł. Ciszę przerywało teraz tylko wycie syren. W jego stronę patrzyły setki oczu, osadzonych w setkach bladych w sztucznym, ulicznym świetle twarzy – ściągniętych przerażeniem, wymazanych pyłem i krwią, ale wykrzywionych bezgraniczną wściekłością. Ich zbiorowy gniew i strach obmywał go jak fala. Stał przed nimi, przenosząc spojrzenie z jednego na drugiego. Nikt nie wytrzymał jego wzroku długo.

Zszedł po trapie i wstąpił między nich, a oni cofnęli się z lękiem. Kiedy postawił stopę na ziemi, krzyki znów się podniosły:

– Potwór!

– Morderca!

– Potrzebujemy opieki medycznej!

– Jest sam! Zabić go!

– Tchórz!

Jego obecność dała im kogoś, na kim mogli skupić swój gniew. W miarę jak wrzawa rosła, coraz trudniej było rozróżnić poszczególne słowa. Wkrótce słyszał tylko zbiorowy, nieprzerwany, nienawistny ryk; widział morze zaciśniętych pięści i obnażonych zębów – odbicie jego własnych emocji, jak echo, które wzmacniało je i podsycalo.

Skądś poszybował w jego stronę kawał durabetonu wielkości pięści. Nie zwalniając kroku, zatrzymał go Mocą w połowie drogi. Podtrzymał bryłę przez chwilę w powietrzu, żeby tłum dokładnie ją sobie obejrzał, a potem skruszył ją Mocą na kawałki.

Kiedy kamyki i pył opadły na ziemię, na ich głowy, znów zamilkli.

– Kto to rzucił? – spytał Malgus; płomień jego gniewu sięgał coraz wyżej.

Ciszę przerywały tylko syreny, sporadyczne pokasywania i chrząknięcia. Wokół siebie widział oczy pełne strachu.

Podniósł głos:

– Spytałem, kto to rzucił!

Brak odpowiedzi. Gniew tłumu szybko zmieniał się w niepokój.

– Z drogi – wypluł Malgus, karmiąc się ich ulatującym gniewem. – Precz!

Najwyraźniej wyczuwając jego narastający gniew, ci najbliżsi niego zaczęli się znów cofać. Kilka osób stojących na obrzeżach tłumu odwróciło się i rzuciło do ucieczki, jednak większość stała w miejscu, chociaż popatrywali teraz niepewnie na siebie nawzajem.

– Mamy w środku rodzinę – powiedział ktoś.

– Potrzebuję pomocy medycznej! – krzyknął inny.

Malgus zaczerpnął Mocy; jego wzbierający gniew szukał ujścia.

– Powiedziałem: z drogi!

Nie spełnili jego polecenia, więc uderzył pięścią w otwartą dłoń i pozwolił, żeby wstrzymywany gniew wybuchł z pełną siłą. Wokół rozbrzmiały krzyki, kiedy wyładowanie energii rozepchnęło otaczających we wszystkich kierunkach.

Ciała poszybowały chaotycznie do tyłu i na boki, wpadając na siebie nawzajem, na ściany, wypadając przez okna. Transportowiec, którym przyleciał, zadrżał od siły wstrząsu, a drzwi placówki medycznej wyleciały z zawiasów i upadły na ziemię.

Syreny wciąż wyły.

Częściowo tylko wyładowawszy gniew, Malgus odzyskał nad sobą kontrolę.

Zewsząd dobiegały jęki i bolesne zawodzenie; słyszał płacz dziecka. Ciała wokół leżały bezwładnie, wśród odłamków szkła niczym szmaciane lalki. Śmigacze i śmigi były przewracane, a wiatr podrywał z ziemi strzępy papierów.

Niewzruszony Malgus przeszedł między nimi do wejścia placówki medycznej.

Wewnątrz za krzesłami i biurkami kulili się pacjenci, ich bliscy i personel. Oddech Malgusa był najgłośniejszym dźwiękiem w poczekalni. Nikt nie śmiał na niego spojrzeć.

– Gdzie są Jedi? – zawołał ktoś.

– Leżą martwi w Świątyni – warknął Malgus. – Tam, gdzie ich zostawiłem. Nie ma nikogo, kto mógłby was ocalić.

Ktoś załkał, ktoś inny jęknął.

Malgus wypatrzył otyłego mężczyznę w bladoniebieskim uniformie pracownika szpitala i szarpnięciem postawił go na nogi.

– Szukam Twi'lekanki z blizną na szyi – powiedział. – Została dwukrotnie postrzelona z blastera i przywieziono ją do was dzisiaj. Ma na imię Eleena.

Mężczyzna strzelał oczami na lewo i prawo, jakby gałki oczne chciały mu uciec z głowy.

– Nie wiem nic o żadnej Twi'lekance – wydukał. – Mogę sprawdzić rejestr...

– Jeśli stała się jej krzywda...

Krępa, pulchna pielęgniarka, o rudych włosach spiętych w ciasny kok i usianej piegami twarzy, wstała zza biurka. Fartuch wyglądał na jej zwalistym ciele niczym niebieski namiot.

– Wiem, o kim mówisz – powiedziała, patrząc mu spokojnie w oczy. – Zaprowadzę cię do niej.

Malgus rzucił mężczyznę na podłogę i ruszył korytarzem za pielęgniarką. Powietrze przesycił zapach środków odkażających. Ściany i podłogi były utrzymane w sterylnej bieli.

Korytarzami pędziły droidy i personel, ledwie zwracając na Malgusa uwagę, pomimo jego okaleczonej twarzy. Z głośników bezustannie płynął damski głos, wywołujący lekarzy do tej czy innej sali i ogłaszający różne komunikaty.

Malgus i pielęgniarka wjechali windą na oddział zachowawczy i ruszyli korytarzem, mijając zatłoczone sale. W holu słychać było kobiecy płacz. Z pokoi dobiegały jęki bólu. W pewnej chwili minął ich zespół chirurgów o twarzach skrytych za pokrzwawionymi maseczkami.

– Ta Twi'lekanka została porzucona pod drzwiami przez nieoznakowany transportowiec. Nie wiedzieliśmy, że to... imperialna – powiedziała kobieta, nie patrząc na Malgusa.

Stłumił cisnące mu się na usta przekleństwo.

– Bo gdybyście wiedzieli, nie udzielilibyście jej pomocy, tak?

Kobieta zatrzymała się, odwróciła w jego stronę i spojrzała mu w oczy.

– Oczywiście, że byśmy się nią zajęli. My nie jesteśmy... dzikusami.

Uwagi Malgusa nie uniknął lekki nacisk położony na słowie „my”, ale postanowił to zignorować. Szczerze powiedziawszy, był pod wrażeniem odwagi tej kobiety.

– Po prostu mnie do niej zaprowadź – powiedział tylko.

Eleenę zastał w małej sali z trzema innymi pacjentami. Jeden z nich, starszy mężczyzna, leżał na łóżku skulony w pozycji embrionalnej i jęczał cicho; przykrywające go prześcieradła plamiła krew. Pacjentka, kobieta w średnim wieku o poranionej twarzy, przyglądała się pielęgniarce i Malgusowi wyczutymi z jakichkolwiek uczuć oczami, a trzeci chory spał – cóż, przynajmniej tak wyglądał.

Do zdrowej ręki Eleeny podłączono kroplówkę i kilka kabli – kabli! – zauważył ze

zgrozą Malgus, prowadzących do sprzętu monitorującego funkcje życiowe. Najwyraźniej placówka była w bardzo kiepskiej sytuacji, skoro korzystała z tak przestarzałej technologii. Dobrze chociaż, że rany Eleeny zostały opatrzone i zabandażowane. Ranne ramię miała unieruchomione na temblaku.

Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się promiennie i do Malgusa dotarło nagle, że jest jedyną osobą w galaktyce, która uśmiecha się na jego widok.

– Veradunie – powiedziała.

Widok jej twarzy i dźwięk głosu rozculił go bardziej niż powinien i Malgus wcale nie był z tego powodu zadowolony. Gniew zniknął bez śladu, zastąpiony ulgą, ale nie bronił się przed nią, chociaż zdawał sobie sprawę, że jego uczucie do Eleeny stało się niebezpiecznie silne.

Patrząc na nią, widział własną słabość.

Z obrzeży pamięci napłynęły słowa Angrala: „Namiętności mogą prowadzić do popełniania błędów”.

Chciał ją zatrzymać przy sobie, ale pragnął także dochować wierności Imperium. Musiał pogodzić ze sobą dwie sprzeczności; to było jak kwadratura koła. Wiedział jednak, że znajdzie jakiś sposób.

Podszedł do łóżka i pogładził jej policzek pokrytą zgrubieniami dłonią, a potem zaczął odłączać ją od aparatury.

– Na moim statku otrzymasz odpowiednią opiekę medyczną. W przyzwoitych warunkach.

– Hej, ty tam! – krzyknął ktoś za jego plecami. – Przestań! Nie wolno ci tego robić!

Malgus obejrzał się przez ramię na stojącego w drzwiach pielęgniarza. Mężczyzna skrzywił się na widok jego pokiereszowanej twarzy, ale nie ustąpił.

– Ona nie kwalifikuje się jeszcze do wypisania. – Wszedł do pokoju, jakby chciał powstrzymać Malgusa, ale drogę zastąpiła mu pielęgniarzka, która zaprowadziła go do Eleeny.

– Nie wtrącaj się, Tal. Oni właśnie wychodzą.

– Ale...

– Nie wtrącaj się.

Malgus nie widział jej twarzy, ale wyobrażał sobie, jak próbuje bezgłośnie dać koledze do zrozumienia, że ma do czynienia z Sithem.

– Możesz iść o własnych siłach? – spytał Eleenę.

Zanim odpowiedziała, wziął ją na rękę i podniósł z łóżka.

– Mogę – szepnęła bez przekonania, ale zignorował to. Wyszedł na korytarz, mijając bez słowa pielęgniarzkę i pielęgniarza. Najpierw Eleena zaglądała do sal, które mijali; przyglądała się rannym i umierającym. Wkrótce jednak widoki stały się dla niej widocznie zbyt przerażające, bo ukryła głowę na piersi Malgusa. Podobało mu się ciepło jej ciała, jego ciężar w ramionach i lekko piżmowy zapach.

– O czym myślisz? – wyszeptała mu prosto do ucha. Muśnięcie jej oddechu na karku wzbudziło w nim pożądanie.

– Myślę o geometrii – powiedział. – O kwadratach i kołach.

– To dziwne tematy do rozważań w takich okolicznościach.

– Może nie tak bardzo, jak ci się wydaje.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Eleena ogarnęła przerażonym wzrokiem zaścielające okolicę ciała. Koło niektórych uwijali się medycy i pielęgniarzy, opatrując rany i niosąc pierwszą pomoc. W stronę Malgusa odwracały się twarze stojących w pobliżu istot, ale nikt nie odezwał się ani słowem.

– Co tu się stało? – spytała Eleena. – Co się stało tym ludziom? Kiedy mnie tu przywieźli, nie było ich tu.

Malgus nie odpowiedział.

– Boją się ciebie – zauważyła.

– I bardzo dobrze.

Kiedy weszli na pokład transportowca, Malgus polecił pilotowi lecieć na „Walecznego”, a potem ułożył Eleenę na leżance i przykrył ją kocem. Kiedy ją nim otulał, dotknęła jego ręki.

– Masz w sobie czułość, Veradunie.

Zabrał dłoń i odsunął się od niej.

– Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie publicznie Veradunem, zabiję cię. Rozumiesz?

Jej uśmiech zniknął pod wpływem żaru jego gniewu. Wyglądała, jakby ją uderzył. Podparła się na łokciu i spojrzała mu w oczy.

– Dlaczego mówisz takie okropne rzeczy?

– A rozumiesz, co mówię? – powtórzył, tym razem głośniejszym i ostrzej.

– Tak! Tak! – Odrzuciła koc, wstała i stanęła przed nim, słaniając się na nogach. – Ale dlaczego jesteś na mnie taki zły? Za co?

Przez chwilę wpatrywał się w jej cudowną twarz, potem przełknął ślinę i pokręcił głową. Nie był wściekły na nią – a przynajmniej nie do końca. Był wściekły na Adraasa, Angrala i samego Imperatora. A ona po prostu była pod ręką – łatwy cel dla wyładowania jego gniewu.

– Po prostu posłuchaj mnie, Eleeno – powiedział już łagodniej. – Proszę.

– Jak sobie życzysz, Malgusie. – Podeszła blisko, podniosła dłoń do jego twarzy i pogładziła opuszkami palców lśniąca blizny pokrywające policzki. Jej dotyk wzniecił w nim ogień. – Kocham cię, Malgusie – szepnęła i odsunęła jego respirator na bok, odsłaniając jego pokiereszowane usta. – A czy ty mnie kochasz? – Malgus oblizał wargi; jego myśli wirowały jak oszalałe, ale nie umiał ubrać ich w słowa. – Nie musisz odpowiadać – powiedziała czule Eleena i uśmiechnęła się do niego. – Wiem, że tak.



Zeerid przejrzał się w niewielkim lustrze w odświeżaczu statku i zbeształ się w myśli za to, że zapomniał się ogolić. Aktywował droida serwisowego i wyszedł na zewnątrz, prosto w gwar dokowych hal.

Obok niego z zawrotną prędkością przemykały wózki towarowe i droidy, torując sobie drogę hałaśliwymi klaksonami. Po kładkach toczyły się roboty rozładunkowe. Członkowie załóg i pracownicy dokowi załatwiali interesy, rozładowywali i załadowywali towary za pomocą dźwigów. Jeden z dokmistrzów, łysy mężczyzna o długiej brodzie i wąsach, torował sobie drogę przez tłum, co jakiś czas wykrzykując rozkazy i rzucając co chwila polecenia do swojego komunikatora. W ręku trzymał potężny klucz dynamometryczny i wyglądał, jakby miał ochotę zdzielić nim coś albo kogoś. W powietrzu unosił się nikły zapach gazu i spalin, zdominowany przez woń jeziora.

Miasto Yinta Lake leżało nad największym słodkowodnym zbiornikiem na Vulcie – jeziorem Yinta. Kominy geotermalne nadawały wodzie wysoką temperaturę nawet zimą, a jesienią różnice temperatur wody i powietrza sprawiały, że woda parowała, więc powietrze było tu zawsze duszne i ciężkie. Zeeridowi kojarzyło się to ze zgnilizną i za każdym razem, kiedy tu wracał, miał wrażenie, że miasto pod jego nieobecność zgniło jeszcze trochę bardziej.

Początkowo Yinta Lake było zimowym kurortem dla zamożnych mieszkańców planety, którzy zbili fortuny w przemyśle zbrojeniowym. Ich rezydencje otaczały jezioro wąskim pierścieniem, nazywanym wtedy „pierścieniem bogaczy”.

Wkrótce w pobliżu wybudowano średniej wielkości kosmoport, dzięki któremu dostarczono bogaczom egzotyczne towary. To z kolei przyciągnęło pracowników portowych, potem kupców, potem nieco mniej zamożnych obywateli, a w końcu – biedotę.

Bezimienna dotąd miejscowość wypoczynkowa została nazwana Yintą, potem przekształciła się w samodzielne miasto i od tamtej pory nieustannie się rozwijała. Obecnie była już metropolią, przechrzczoną na Yinta Lake i obrastającą stopniowo w budynki i mieszkańców, przyciąganych przez jezioro jak przez niewidzialny magnes.

Nie minęło wiele czasu, a przemysł zanieczyścił jezioro do tego stopnia, że większość bogaczy uciekła, a samo miasto zaczęło niszczyć i podupadać. Niegdyś imponujące posiadłości nad brzegiem zbiornika zostały sprzedane deweloperom, a na ich miejscu wzniesiono tanie moduły mieszkalne. Pierścień bogaczy zmienił się w slumsy i doki towarowe.

Zeerid dorastał w dzielnicy biedoty, wdychając gryzący odór gnijącego jeziora

każdego dnia swojego dzieciństwa. Zdołał swojej córce zapewnić nieco lepsze warunki – ale tylko nieco.

Gwar zagłuszył na chwilę głęboki, basowy dźwięk klaksonu – odgłos wydany przez jeden z płaskodennych statków transportowych, przewożących towary i ludzi w górę i w dół rzeki, która zasilała zbiornik. Słyszając to, Zeerid uśmiechnął się do swoich wspomnień. Ten sam dźwięk budził go prawie każdego ranka, kiedy był dzieckiem.

Wmieszał się w tłum, czując się dziwnie ze świadomością, że jest w domu. Nie mógł się doczekać spotkania z córką.

Sądząc po fryzurze, muskularnej budowie ciała i wyprostowanej postawie, Vraith domyślał się, że pilot służył kiedyś w wojsku. On także był weteranem; służył w imperialnej piechocie.

Mężczyzna uśmiechnął się i Vraith pomyślał, że facet jest całkiem sympatyczny. Z miejsca go polubił.

Szkoda, że najprawdopodobniej wkrótce będzie musiał go zabić.

Trzymając pojemnik z nanodroidami w wolnej ręce, zaczął się przeciskać przez tłum w stronę pilota. Zatrzymał się tuż przed nim, tarasując mu drogę – ot, następna zawalidroga – i nacisnął pompkę, opróżniając pojemnik na ziemię pod ich stopami.

Przywołał na twarz fałszywy uśmiech, podniósł drugą dłoń i zaczął gorączkowo machać w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Rober! Hej, Rober! Tutaj! – Popędził przed siebie, jakby biegł komuś na spotkanie, ale po drodze obserwował pilota spod oka.

Facet nawet nie spojrzał w jego stronę – pewnie go nie zauważył. Niczego nie podejrzewając, wdepnął w sam środek oleistej kałuży, którą Vraith przed chwilą przed nim rozlał. Inni, idący za pilotem, także w nią weszli, ale nie miało to znaczenia. Za moment nie będzie po niej śladu.

Vraith zawrócił i ruszył za nim, wyjmując po drodze z torby nanoaktywator...



Zeerid nie powinien się uśmiechać i na pewno nie powinien się czuć rozluźniony. Wiedział, jak zawsze, że tylko krok dzieli go od popełnienia błędu, dzięki któremu ktoś mógłby odkryć Arrę i wykorzystać tę wiedzę przeciwko niemu. Wolał nawet nie myśleć o tym, że ktoś zechciałby ją skrzywdzić. Sam ten pomysł sprawiał, że robiło mu się niedobrze ze zdenerwowania.

Nie mógł sobie pozwolić na nieostrożność.

Wskoczył na pakę ciągniętego przez droida wózka towarowego i jechał na niej, dopóki nie dotarł do jednego z wyjść z doków. Sam port kosmiczny i wszystkie

pracujące w nim pojazdy rdzewiały w wilgotnym powietrzu Yinta Lake – brązowe placki na ścianach i w kątach wyglądały niczym plamy krwi.

Kiedy drzwi się otworzyły, Zeerid zeskoczył z wózka. Natychmiast uderzyła w niego ściana ulicznego hałasu – okrzyki kierowców taksówek powietrznych (w Yinta Lake musiało być chyba więcej taksówek niż w którymkolwiek innym mieście Środkowych Rubieży), właściciele straganów, na których sprzedawano najrozmaitsze smakołyki, klaksony, szum silników.

– Do wewnętrznego pierścienia, proszę pana? – zaczepił go jeden z kierowców, drobny, przygarbiony mężczyzna. – Zapraszam!

– Panie, u mnie najniższe ceny w Yincie! – zachwalał inny, siwy staruszek, wpychając się przed pierwszego.

– Winoryba! Świeża winoryba, prosto z grilla! – krzyczał któryś ze sprzedawców. – Tutaj, tutaj, zapraszam, palce lizać!

Po prawej o ścianę opierała się niedbałe Zeltronka – niegdyś pewnie piękna, teraz wymizerowana i zniszczona życiem. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się do niego, odsłaniając pożółkłe zęby, świadczące o uzależnieniu od przyprawy.

Zeerid skrzywił się i zaczerwienił, ale na myśl o stu tysiącach kredytów w kieszeni i o tym, co mógł dzięki nim zrobić dla Arry, zacisnął zęby, odwrócił wzrok i przyspieszył kroku.

Ulicą pędziły śmigacze i auta powietrzne, a nawet kilka pojazdów kołowych. Zeerid przeciskał się przez tłum pieszych, kierując w stronę gwarne go stanowiska łączności publicznej po drugiej stronie ulicy.



Kiedy pilot opuścił kosmoport, Vraith ukradkiem wycelował w niego aktywator i uzbroił nanodroidy przyklejone do buta mężczyzny, budząc je do życia.

Naciśnięcie następnego guzika zsynchronizowało aktywator z sygnaturą przypisaną droidom na podeszwie pilota – i tylko im. Nie chciał wyłapać żadnych innych, które mogły przylgnąć do podeszew gości portu.

Ciała nanodroidów były wielkości pojedynczej komórki i miały haczykowaty kształt, dzięki któremu zagłębia się w podeszwę buta pilota. Zsynchronizowane z aktywatorem, będą przesyłały sygnał do urządzenia Vraitha na odległość do dziesięciu kilometrów. Ich ogniwa energetyczne mogą je zasilać przez trzy standardowe dni.

Vraith wiedział, że to więcej niż potrzebuje. Kantor musi dostarczyć syntprzyprawę na Coruscant szybko – inaczej straci rynek. Byłby zaskoczony, gdyby ładunek nie dotarł na Vultę jeszcze dziś.

Przyglądał się, jak pilot przechodzi przez ulicę i zmierza w kierunku stanowisk łączności publicznej. Odwrócił się prawym bokiem w tamtą stronę i aktywował wzmacniający słuch implant.



Zeerid zaniknął drzwi budki, odcinając się od ulicznego hałasu, i wklepał kod Nat. Nigdy nie kontaktował się z nią za pośrednictwem modułu łączności statku ani przez osobisty komunikator, wszystko z obawy, że mógłby go monitorować ktoś z Kantoru. Nadmierna paranoja ocaliła mu życie więcej niż raz – ostatnio całkiem niedawno, na Ord Mantell.

Nat nie odbierała, więc zostawił wiadomość:

– Nat, tu Zeerid. Jestem na Vulcie. Jeśli szybko odbierzesz tę wiadomość, weź Arrę i spotkajmy się za godzinę w parku Karsona. Nie mogę się doczekać, żeby was zobaczył. – Rozłączył się, wyszedł z budki i zatrzymał taksówkę.

Chudy Bothanin o końskiej twarzy spojrzał na niego z wstecznego lusterka.

– Dokąd?

– Po prostu jedź przed siebie. Staraj się nie rzucać w oczy.

– Się robi, szefie.



Nawet z daleka Vrath słyszał doskonale przez syntplastowe ściany budki. Zanim pilot skończył rozmowę, znał już jego imię – Zeerid – a także imiona osób, na których Zeeridowi zależało – Nat i Arra.

Wskoczył do pierwszej z brzegu taksówki powietrznej i spojrzał na monitor aktywatora. Droid kierowca obejrzał się na niego.

– Dokąd, proszę pana?

– Docelowo park Karsona – powiedział Vrath. – Ale najpierw jedź zgodnie z moimi wskazówkami.

– Tak jest, proszę pana.

Zeerid wykazał się ostrożnością, dzwoniąc do Nat z budki publicznej, więc Vrath zakładał, że pojedzie określoną drogą, może nawet zmieniając po drodze kilka razy transport. Przygotował się na długą przejażdżkę.

Nawet jeśli go zgubi, będzie wiedział, jak odnaleźć.



Taksówka powietrzna ruszyła i wmieszała się w strumień ruchu. Zeerid przez dziesięć minut kazał pilotowi kluczyć i całą drogę oglądał się, w poszukiwaniu kogokolwiek, kto mógłby go śledzić. Początkowo wydawało mu się, że inna taksówka siedzi im na ogonie, ale wkrótce skręciła i tyle ją widział.

W oddali lśnił neon kasyna, które znał: Srebrnego Sokoła.

– Tutaj, proszę.

Zapłacił Bothaninowi, wysiadł, wszedł frontowymi drzwiami do kasyna i wyszedł tylnymi. Na tyłach złapał następną taksówkę i powtórzył całą operację jeszcze raz.

Wciąż nie zauważył nic niepokojącego. Odetchnął swobodnie.

Wziął jeszcze jedną taksówkę – taką, do której zmieściłby się fotel repulsorowy – tym razem prowadzoną przez robota.

– Dokąd, proszę pana? – Nawet on nosił ślady rdzy; kiedy odwracał się w jego stronę, mechaniczne przeguby zaskrzypiały nieprzyjemnie.

– Chciałbym kupić fotel repulsorowy – powiedział Zeerid.

Droid milczał przez chwilę, podczas gdy jego procesory przeszukiwały spis firm.

– Tak jest, proszę pana.

Taksówka uniosła się w powietrze i ruszyli do najbliższego sklepu ze sprzętem medycznym. Przestronny magazyn był po sufit wypełniony wszelkiego rodzaju urządzeniami, a staruszek, który w nim obsługiwał, przypominał Zeeridowi stracha na wróble.

Za osiemdziesiąt siedem tysięcy kredytów sprzedał mu używany fotel repulsorowy, odpowiedni dla siedmioletniego dziecka, i nauczył go szybko jego obsługi. Kiedy droid asystent ładował fotel do bagażnika taksówki, Zeerid nie mógł przestać się uśmiechać.

– Karty na okaziciela to teraz rzadkość – zauważył staruszek na widok środka płatniczego, który wręczył mu Zeerid.

– Kredyty to kredyty – bąknął pilot, wzruszając ramionami. Wiedział, co najprawdopodobniej myśli sobie o nim sprzedawca.

– Racja. Wie pan, kiedyś pracowałem jako pielęgniarz. Ten fotel to naprawdę dobry sprzęt.

– Jestem pewien, że będzie zachwycona.

Staruszek zatarł dłonie.

– To by było tyle, proszę pana. Chciałbym jeszcze tylko, żeby wypełnił pan kilka formularzy. Karty na okaziciela nie można zrewidować, jak pan zapewne wie.

– Czy nie możemy tego zrobić kiedy indziej? – spytał Zeerid, kierując się do drzwi.

– Naprawdę się spieszę.

Staruszek z trudem dotrzymywał mu kroku.

– Ależ proszę pana, to zarejestrowany sprzęt medyczny. Nawet w przypadku odsprzedaży muszę mieć pana nazwisko i adres. Proszę pana! Halo, proszę pana...!

Zeerid wskoczył do taksówki.

– Wróćę jutro! – zawołał, zanim zatrzasnął za sobą drzwi pojazdu. – Park Karsona
– polecił droidowi.

– Tak jest, proszę pana.

ROZDZIAŁ 6

Przez okno taksówki Zeerid ujrzał w dole park Karsona. Duże jezioro, po którym pływały zielonodzioby, otaczały ławki. Niewielki laszek przecinały ścieżki spacerowe, a na murawie tu i ówdzie wyrastały piknikowe stoliki. Publiczne boiska, w większości popękane, tworzyły geometryczną przestrzeń, stanowiącą miejsce spotkań i zabaw młodzieży z sąsiedztwa.

Gdy powietrzne auto wylądowało, Zeerid sprawdził godzinę na chronometrze. W samą porę.

Zapłacił taksówkarzowi, wcisnął na głowę czapkę z daszkiem, wypakował fotel repulsorowy i zaczął go pchać przed sobą w stronę wejścia do parku. Fotel wydawał się bardzo lekki, ale mogło mu się tak tylko zdawać, bo był podekscytowany. Szedł w kierunku ścieżek i ławek otaczających jezioro.

Przed sobą w oddali dostrzegł Nat, pchającą Arrę w jej wózku inwalidzkim. Arra rzucała zielonodziobom przetworzoną karmę, sprzedawaną przez sprzątające park roboty użytkowe. Śmiała się, gdy ptaki z kwakaniem walczyły między sobą o ziarno. Dla Zeerida ten śmiech brzmiał jak muzyka.

Rozejrzał się szybko dokoła, zauważając wielu spacerowiczów i kilka robotów, ale poza tym nic, co mogłoby wzbudzić jego niepokój.

– Nat! – zawołał i pomachał ręką. – Arra!

Przyszło mu na myśl, że jego głos brzmi na planecie inaczej niż na „Tłusciochu”, i ta zmiana mu się spodobała. Nie przypominał już głosu przemytnika przyprawy ani nawet żołnierza. Brzmiał jak... głos kochającego ojca. Tak, pod wpływem Arry stawał się lepszy. Wiedział o tym i musiał zadbać o to, by częściej widywać się z córką.

Nat okręciła wózek. Oczy kobiety i dziewczynki szeroko się otworzyły na jego widok.

– Tato! – zawołała Arra.

Ze wszystkich słów w całej galaktyce to lubił najbardziej. Arra ruszyła wózkiem ku niemu, pozostawiając Nat i nadal bijące się o karmę zielonodzioby za sobą.

– Co to? – spytała, gdy już była blisko. Oczy miała wielkie jak spodki, uśmiech promienny.

Przyklęknął i wziął córkę w ramiona. Wydała mu się bardzo drobna.

– To moja niespodzianka dla ciebie – odparł.

Twarz Arry ściągnęła się, a potem rozjaśniła.

– A to? – spytała, stukając w blastoodporną kamizelkę ukrytą pod ubraniem.

Poczuł, że się czerwieni.

– To do pracy. Nic ważnego.

Zdawało się, że Arra zaakceptowała wyjaśnienie.

– Popatrz, ciociu Nat. Fotel repulsorowy!

– Widzę, widzę – rzuciła Nat, podchodząc.

– Czy to dla mnie? – spytała Arra.

– Ależ oczywiście – zapewnił Zeerid.

Arra pisnęła i jeszcze raz ucisnęła Zeerida, strącając mu przy tym czapkę z głowy.

– Jesteś wspaniały, tato. Mogę go od razu wypróbować?

– Jasne – zgodził się i usadził córkę w fotelu. – Kontrolki są tutaj. Działają intuicyjnie, więc...

Arra poruszyła dźwigniami sterownika i odleciała, nim zdążył dokończyć zdanie. Patrzył za nią z uśmiechem.

– Witaj, Nat – rzekł.

Szwagierka wyglądała na zmęczoną. Była zbyt młoda na tak liczne zmarszczki znaczące jej twarz i na cienie pod oczami. Włosy miała obcięte w stylu, o którym nawet on wiedział, że jest niemodny już od co najmniej pięciu lat. Zastanawiał się, jak on wygląda w oczach Nat. Prawdopodobnie na równie wyczerpanego.

– Zeerid, to bardzo miłe. Mam na myśli fotel.

– Taa... – mruknął. – Arze się chyba spodobał.

Dziewczynka leciała za zielonodziobami, które uciekły przed nią na jezioro.

– Ostrożnie, Arra! – krzyknął.

– Nic mi nie będzie, tato – zawołała.

On i Nat stali obok siebie, ale rozdzielała ich przepaść.

– Minęło trochę czasu – odezwała się Nat. – Arra powinna cię częściej widywać.

– Wiem. Staram się.

Nat chciała chyba jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymała.

– Jak tam praca?

– Pracuję jako kelnerka w kasynie, Zeerid – fuknęła kobieta. – Stara kelnerka. Nie jest lekko. Bolą mnie nogi. Bolą mnie plecy. Jestem zmęczona. A nasze mieszkanie ma wielkość powietrznego auta.

Nie mógł nie brać jej słów do siebie.

– Postaram się wysyłać wam więcej.

– Nie, nie. – Pomachała ręką, aby podkreślić protest. – Gdyby nie kredyty od ciebie, chodziłybyśmy głodne. Nie w tym rzecz. Po prostu... czuję się, jakbym była w kieracie. Nie mogę się zatrzymać, chociaż podążam donikąd.

Skinął głową.

– Rozumiem cię.

Arra zawołała do niego:

– Patrz, tato!

Zatoczyła fotelem repulsorowym ciasne kółko, głośno się przy tym śmiejąc.

– Uważaj, Arra – przestrzegł, ale też się uśmiechnął.

– Najpierw musisz trochę się przyzwyczaić, samolociku – dodała Nat.

Przez jakiś czas stali w milczeniu. Potem Nat przemówiła poważnie:

– Skąd miałeś pieniądze na fotel, Zeerid?

Nie spojrział na nią, obawiając się, że zauważy zmieszanie malujące się na jego twarzy.

– Z pracy. Skąd by indziej?

– Co to za praca?

Nie podobał mu się ton, jakim zadała pytanie.

– Ta sama, co zawsze.

Odwróciła się do niego, a jej surowa mina tak bardzo przypomniła mu Val, że aż się wzdrygnął.

– Przysyłasz nam po sto czy dwieście kredytów już od prawie roku. Dzisiaj zjawiasz się z fotelem repulsorowym, który z pewnością kosztował więcej niż moje powietrzne auto.

– Nat...

– W co ty się wplątałeś, Zeerid? Masz na sobie tę śmieszoną czapkę, kamizelkę...

– Robię to samo...

– Myślisz, że jestem ślepa? Albo głupia?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Domyślam się, czym się zajmujesz, Zeerid. Arra straciła już matkę i nie może stracić ojca. To by ją zabiło.

– Nigdzie się nie wybieram – zapewnił.

– Nie słuchasz mnie. Sądzisz, że ona wolałaby mieć nogi niż ojca? Że woli ten fotel od ciebie? Cała promienieje, kiedy wie, że masz nas odwiedzić. Posłuchaj, Zeerid. Czymkolwiek się zajmujesz, zostaw to. Sprzedaj ten swój statek, znajdź sobie pracę na planecie i bądź po prostu ojcem dla swojej córki.

Chciałby, aby to było możliwe.

– Nie mogę, Nat. Jeszcze nie teraz. – Odwrócił się do niej. – Jeszcze tylko jeden transport i wszystko się zmieni. Tylko jeden.

Przyglądała mu się uważnie. Cerę miała bardzo bladą – z braku słońca i z powodu nieodpowiedniej diety.

– Mówiłam jej, żeby nie wychodziła za żołnierza. A w dodatku pilota.

– Mówisz o Val?

– Tak, o Val.

– Nat...

– Nie wiesz, kiedy przestać, Zeerid. Nigdy nie wiedziałeś. Zakładacie te swoje

skafandry, wsiadacie do kabin i sądzicie, że jesteście nietykalni, że plazma was nie zabije, a te wasze pojazdy nie mogą zostać zestrzelone. Mogą, Zeerid. I jeśli coś takiego przytrafi się tobie, Arra będzie cierpieła bardziej niż po wypadku, w którym straciła nogi.

Nie umiał na to odpowiedzieć, bo wiedział, że Nat ma rację.

– Idę kupić lody. Też chcesz?

Pokręciła głową, a on odszedł w stronę budki. Idąc, czuł na plecach wzrok szwagierki.



Vrath patrzył, jak Zeerid oddala się od kobiety, swojej szwagierki, zmierzając do budki ze słodyczami, żeby kupić lody dla córki.

Jego córki.

Nic dziwnego, że tak bardzo uważał na to, czy jest śledzony. Vrath wiedział, co organizacje takie jak Kantor lub Huttowie potrafią zrobić rodzinie. Dzieci stanowiły potencjalny środek nacisku, były jak sznureczki poruszające marionetką, zmuszające ją do tańca.

Ludzie żyjący tak jak Zeerid i Vrath muszą mieć wystarczająco dużo siły – lub odpowiednio silnego patrona – by móc chronić rodzinę. W przeciwnym razie rodzina jest zagrożona. Zeerid nie miał ani siły, ani patrona. Vrath podziwiał, że udało mu się tak długo utrzymywać córkę poza grą. To nie lada wyczyn.

Ale teraz córka znalazła się już w grze, była jednym z pionków na planszy.

Oczywiście Vrath nie zamierzał jej wykorzystać. W życiu zawodowym szczyił się tym, że nigdy nie stosował prób zastraszenia i nie krzywdził członków rodziny, a już na pewno nie dziecka. Takiemu postępowaniu brakowało finezji. Do czegoś takiego mógł się posuwać pilot bombowca, ale nie snajper.

A Vrath w duszy nadal był snajperem. Jeden strzał, jeden zgon, zero innych ofiar.

Odwrócił wzrok od Nat i Arry, aby odszukać Zeerida, i przekonał się, że ten stoi tuż za nim z czerwonym lodem w jednej ręce, a zielonym w drugiej. A oczy majak ostre końcówki grotów włóczy.

– Czy my się znamy, przyjacielu? – zapytał Zeerid, omiatając wzrokiem sylwetkę Vrata i jego ubiór.

Vrath lekko się przygarbił, przyjmując postawę tak bezbronną, jak to tylko było możliwe.

– Nie sądzę. Mieszka pan w tej okolicy?

Zeerid zrobił krok w jego stronę i, szykując się do zadania ciosu, nachylił się do

przodu.

Vrath musiał siłą powstrzymać impuls każący mu także zmienić pozycję na taką, która pozwoliłaby mu odpowiedzieć na atak. Zeerid jednak od razu by to zauważył, a on nie mógł go teraz zabić. Najpierw musiał go wykorzystać do zlokalizowania syntprzyprawy.

– Czemu się tak przyglądałeś, przyjacielu? – spytał Zeerid.

– Tato! – zawołała Arra, ale Zeerid nie odrywał oczu od twarzy Vrata.

– Zielonodziobom. Lubię je karmić. – Vrath sięgnął do kieszeni i wyjął z niej garść karmy kupionej u jednego z parkowych robotów.

– Tato, ja chcę zielonego loda! – domagała się Arra.

Na widok karmy Zeerid wyraźnie się rozluźnił, ale nie do końca.

– No tak, oczywiście – mruknął. – Wybacz, przyjacielu.

– Czy to pańska córka? – zapytał Vrath, kiwając głową w stronę Arry.

– Tak – potwierdził Zeerid, a usta wykrzywił mu lekki uśmiezek.

– Sprawia wrażenie bardzo szczęśliwej – zauważył Vrath. – Życzę miłego dnia, sir.

Vrath ominął Zeerida i wmieszał się w tłum biegaczy, rowerzystów i innych osób korzystających z parku, besztając się zarazem w myślach za to, że pozwolił sobie stracić Zeerida z oczu. Facet bez dwóch zdań miał nosa do wyczuwania problemów.



Zeerid odwrócił się, by odprowadzić wzrokiem odchodzącego mężczyznę. Coś w nim wydawało się nie takie jak trzeba, lecz Zeerid nie potrafił tego określić. Sprawiał wrażenie ogromnie zainteresowanego Arrą i Nat i miał dziwny chłód w oczach mimo tego głupkowatego uśmiešku.

– Tato! Lód się roztapia!

Arra podpłynęła do niego na fotelu, a on podał jej loda, po czym wytarł dłonie w kurtkę.

– Dziękuję – rzuciła dziewczynka i liznęła zieloną słodycz. – Mniam. Wspaniaaaały!

Uśmiechnął się do córki, a gdy się odwrócił, nie mógł już nigdzie odnaleźć nieznajomego.

– Kto to był? – spytała Nat, zbliżając się.

Zeerid machinalnie podał szwagierce drugiego loda, nadal spoglądając w kierunku, w którym odszedł mężczyzna.

– Nie wiem. Nikt.

Nat chyba wyczuła jego niepokój.

- Jesteś pewien?
- Tak – odparł, zmuszając się do uśmiechu. – Jestem. Tylko że wcale nie był.
- Chyba odprowadzę was do domu. Co wy na to?
- Huraaa! – ucieszyła się Arra.
- O co chodzi? – dopytywała się Nat. Jeszcze nie odebrała loda od Zeerida.
- O nic – zapewnił, nie chcąc martwić szwagierki. – Nie wolno mi odprowadzić moich dziewczyn?
- Wolno, tylko że ja nie chodzę, a latam – zauważyła Arra, szeroko się uśmiechając.



Raven Aryn wyłonił się z nadprzestrzeni. Swoją szatę i żal Jedi pozostawiła na Alderaanie.

– Kieruj nas prosto na Vultę, Tee–six.

Robot astromechaniczny przejął pilotowanie statku i raven lotem pikowym przeciął przestrzeń. Za osłoną kabiny pojawiła się Vulta – samotna planeta, krążąca wokół swojej gwiazdy. Promienie słoneczne odbijały się od licznych sztucznych satelitów pozostających na orbicie i opływały swoim blaskiem pojazdy kosmiczne przybywające na planetę i z niej odjeżdżające.

– Przekaż kontroli planetarnej naszą oficjalną republikańską sygnaturę – zwróciła się Aryn do T6. – I poproś o miejsce do lądowania w porcie Yinta Lake.

Robot gwizdnął na zgodę.

Aryn wkrótce się dowie, czy zauważono jej nieobecność. Jeśli tak, jej sygnatura na nic się zapewne nie przyda.

T6 wydał z siebie serię radosnych piknięć, gdy na wyświetlaczu pojawiły się instrukcje lądowania.

– Sprowadź nas na dół, Tee–six, i połącz się z planetarną książką adresową. Muszę znaleźć adres Zeerida Korra.

Nie widziała Zeerida od lat. Może nie żył. A może nie będzie chciał jej pomóc. Byli dobrymi przyjaciółmi. Tylko jej Zeerid opowiedział o śmierci żony, zanim wystąpił ze służby. Aryn pomogła mu przejść przez pierwszy szok. Nadal pamiętała jego wielką rozpacz i cierpienie, gdy się dowiedział, co się stało. Podobnie czuła się i ona, gdy zginął Mistrz Zallow. Wiedziała, że Zeerid był jej wdzięczny za to, że była wtedy przy nim i że go wysłuchała. Ona jednak zamierzała go prosić o naprawdę wielką przysługę.

T6 piknięciem dał znać o porażce. W książce adresowej nie było adresu Zeerida Korra.

Aryn zacisnęła pięści, patrząc, jak planeta za iluminatorami staje się coraz większa.

– Jego żona miała siostrę. Nazywała się Natała... Natała... Yooms. Spróbuj ją odszukać, Tee–six.

Już po chwili robot odnalazł adres. Natała mieszkała w pobliżu jeziora na Yinta Lake i była prawną opiekunką dziewięcioletniej dziewczynki, Arry Yooms.

– Arra?

Aryn wiedziała, że tak miała na imię córka Zeerida. Jeśli opiekę nad nią powierzono Natali, to możliwe, że Zeerid nie żyje. Plany Aryn zaczynały się sypać. Nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić. Jeśli Zeerid nie żyje, wraz z nim znikła jej szansa na pomszczenie Mistrza Zallowa.

Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak spróbować. Nie miała pojęcia, jak przedrzeć się przez imperialną blokadę na Coruscant bez czyjeś pomocy.

Raven opadał przez atmosferę w całunie żaru i płomieni. Kiedy wreszcie osiągnął błękitne niebo stratosfery Vulty, Aryn ujrzała w dole duży, lazurowy owal jeziora Yinta, otoczonego zabudowaniami.

T6 włączył się statkiem w strumień ruchu powietrznego, podążając ku platformie lądowniczej na Yinta Lake. Gdy już tam dotrą, Aryn od razu zajmie się poszukiwaniami Natali.



Zeerid czuł się naprawdę jak ojciec, odprowadzając Nat i Arrę do ich mieszkania, położonego w pobliżu jeziora. Poczł się jednak zaraz jak życiowy nieudacznik, gdy się przekonał, jaką ruderą był budynek, w którym znajdowało się mieszkanie. Nat i Arra mieszkały w jednej z rezydencji zaadaptowanych przez planetarną administrację na budynki z dotowanymi mieszkaniami. Rdza, potłuczone szkło, popękane ściany, narkomani i pijacy zdawali się wszechobecni.

– Wygląda gorzej niż jego stan faktyczny – zapewniła Nat ściszym głosem, tak aby Arra jej nie usłyszała.

Zeerid skinął głową.

– Słyszałaś, co się stało na Coruscant? – spytał, wyraźnie chcąc zmienić temat. – Cały net o tym huczy.

– Słyszałam. Jak sądzisz, co z tego wyniknie?

Wzruszył ramionami.

Przez całą drogę rozglądał się za kimś, kto mógłby wyglądać podejrzanie, ale

nikogo takiego nie zauważył. Mimo to nie mógł się pozbyć wrażenia, że dzieje się coś złego. Ten facet w parku był naprawdę dziwny.

Wjechali rozklekotaną windą na czwarte piętro. Zeerid nie wszedł do mieszkania, a Nat go nie zachęcała. Arra odwróciła fotel repulsorowy, manewrując nim na małej przestrzeni jak profesjonalistka.

– Jesteś prawdziwą córką pilota – oświadczył jej ojciec.

Dziewczyna się rozpromieniła.

– Kocham cię, tato.

– I ja ciebie.

Podniósł córkę z fotela i tak mocno uściśnął, że aż pisnęła. Na samą myśl, że dziewczynka nie ma nóg, czuł w sercu wielką dziurę. Nie chciał wypuszczać córki z objęć, ale wiedział, że musi.

Nad ramieniem Nat mógł dostrzec skrawek maleńkiego, dwupokojowego mieszkania. Jedno okno, podłużna kuchnia.

– Przyjedziesz szybko znowu, tato? – zapytała Arra, gdy usadził ją z powrotem w fotelu.

– Tak – odrzekł krótko, co zabrzmiało jak wystrzał z blastera. – Jak najszybciej. – Udał, że kradnie córce nos, a ona zachichotała. – Oddam, jak przyjadę.

Nat, która stała przy dziewczynce, zmierzwiła jej włosy.

– Czas na odrabianie lekcji, Arra. A potem do łóżka.

– Dobrze, ciociu Nat. Pa, tato – powiedziała Arra dzielnie, chociaż w oczach miała łzy.

Zeerid przyklęknął.

– Wróć niedługo. Za kilka dni. W porządku?

Arra skinęła głową, a on pogłaskał ją po włosach. Dziewczynka odwróciła fotel repulsorowy i ruszyła w stronę mieszkania.

Zeerid umieścił obraz twarzy córki w pliku pamięci.

– Jest zachwycona fotelem – oświadczyła Nat. – Dobrze, że go kupiłeś, Zeerid.

– Wyciągnę was stąd – przyrzekł, zdecydowany, że musi to zrobić. – Po tym zleceniu...

Nat podniosła rękę i pokręciła głową.

– Nie chcę słyszeć o twojej pracy. Musisz tylko obiecać, że nie będziesz niepotrzebnie ryzykował.

– Obiecuję.

– Zobaczymy się, kiedy znów przyjedziesz. Dobrze nam tu, Zeerid. Nie wygląda to najlepiej, ale naprawdę nam tu dobrze.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kartę na okaziciela.

– Jest na niej trzynaście tysięcy kredytów. Weź to i kup coś ładnego sobie i Arze.

Nat popatrzyła na kartę tak, jakby się bała, że ją ugryzie.

– Trzynaście tysięcy.., – Spojrzała mu w oczy. – Skąd wzięłeś tyle pieniędzy?

Zignorował pytanie i podniósł kartę.

– Dzięki, Nat. Za wszystko. – Uścisnął szwagierkę, czyniąc to, jak zawsze, bardzo niezgrabnie. Nat była bardzo chuda, zniszczona jak stary sweter. Przysięgł sobie w duchu, że wyrwie ją i córkę ze slumsów. Za wszelką cenę.

– Uważaj na siebie, Zet – rzuciła.

– Dobrze. Wracam niedługo.

Nat nic na to nie odpowiedziała.

Jak tylko drzwi się za nią zamknęły i rozległo się kliknięcie zamka, Zeerid przekreślił przełącznik w umyśle. Zeerid ojciec pierzchnął przed Zetem, żołnierzem i przemytnikiem.

Facet z parku był podejrzany, od czubka głowy poprzez ubranie aż po chłód czający się w oczach. Mógł być nikim, lecz równie dobrze mógł być kimś ważnym.

Zeerid zdecydował, że jeszcze przez jakiś czas zostanie w budynku, w ukryciu, aby się upewnić, że Nat i Arra są bezpieczne.

Zajął posterunek na piętrze, na którym mieszkały, i choć rolę wartownika wypełniał ostatnio jako rekrut, to czuł się w niej zupełnie dobrze.



Vrath siedział w powietrznej taksówce stojącej przed walącym się budynkiem z komunalnymi mieszkaniami. Powietrze wypełniał odór gnijących ryb i brudnego jeziora. Przyglądał się otoczeniu dłuższy czas, monitorując ruchy Zeerida na urządzeniu namierzającym. W pewnym momencie Zeerid przestał się poruszać. Możliwe, że dzielił mieszkanie z Nat i Arrą.

Czekał jeszcze trochę, potem postanowił się rozejrzeć. Zapłacił kierowcy robotowi, wyskoczył z powietrznego auta i uchylając się przed lecącymi nisko rozklekotanymi śmigaczami i publicznym powietrznym autobusem, przeciął ulicę, zmierzając ku budynkowi.



Oczy Zeerida przyzwyczyły się z czasem do przyćmionych światła, migoczących z przerwami w korytarzu. Drzwi do mieszkania Nat i Arry znajdowały się mniej więcej w jego połowie. Nie istniała inna droga wejścia lub wyjścia z mieszkania. Zeerid musiał tylko obserwować korytarz.

Na jego końcu znajdowało się okno z popękanaą szybą. Na drugim, tym bliższym, była winda i drzwi na klatkę schodową. Poza wejściem awaryjnym z zewnątrz, winda i schody stanowiły jedyne drogi, którymi można się było dostać na czwarte piętro. Zeerid miał pod kontrolą obydwie.

Wyobrażał sobie, że postoi na korytarzu, a jeśli ktoś się na nim zjawi i krzywo na niego spojrzy, wpakuje mu po prostu lufę blastera w bebechy. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Nie chciał ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi ani wywoływać zbędnych burd. W końcu postanowił, że zaczai się na schodach położonych na lewo od windy. Otworzył drzwi, by móc widzieć windę, korytarz i schody.

Dobre pole do strzału, uznał.

Wyciągnął pistolet blasterowy typu E-9 – niewielki, kompaktowy, ale o całkiem niezłej mocy – wsadził do przedniej kieszeni kurtki i czekał.

Mijały minuty, potem godzina, i w końcu Zeerid pomyślał, że paranoja źle mu się przysłużyła. W budynku nie było dużego ruchu. Trzeszczącą windą na piętro wjechał przestarzały robot użytkowy i zaczął odkurzać podłogę, całkowicie ignorując Zeerida. Po skończeniu pracy maszyna zamknęła się w schowku koło windy.

Mając za towarzystwo jedynie paskudne myśli, Zeerid siedział samotnie na klatce schodowej śmierdzącej moczem i wymiocinami. Zawiódł córkę. Próbując zapewnić jej lepsze życie, stał się typem człowieka, jakim niegdyś gardził. A co ona z tego miała? Zdezelowane mieszkanie i nieobecny ojca, który mógł zginąć podczas kolejnej wyprawy przemytniczej.

I jeszcze repulsorowy fotel, przypomniał sobie.

Tak czy inaczej... Musi się wyrwać z tego życia. Nie mógł jednak odejść, dopóki nie rozliczy się z Kantorem. A więc poleci po raz ostatni na Coruscant...

Drzwi na klatkę schodową na parterze otworzyły się z gniewnym skrzypnięciem. Prawie w tym samym momencie usłyszał dudnienie wjeżdżającej szybem windy.

W stanie gotowości, cały spięty podszedł do poręczy schodów i spojrzał w dół. Światło z fluorescencyjnych lamp zawieszonych u sufitu dwa piętra wyżej ledwie rozpraszało mrok, panujący na klatce. Niższe piętra spowijały ciemności, jednak Zeeridowi wydawało się, że dostrzegł tam jakąś postać, chyba istoty humanoidalnej, która zaczęła się wspinać na schody.

Tymczasem dzwonek windy obwieścił jej przyjazd na czwarte piętro.

Zaciskając rękojeść blastera w dłoni, Zeerid przylgnął płasko do ściany w pobliżu drzwi prowadzących na klatkę schodową. Odgłos wolnych kroków z dołu rozlegał się nadal, cichnąc od czasu do czasu, jakby osoba wspinająca się na górę nie była pewna, dokąd zmierza... lub jakby się zatrzymywała, aby nasłuchiwać.

Drzwi windy rozsunęły się i Zeerid usłyszał miękkie szuranie cichych kroków. Potem winda się zamknęła.

Kroki na klatce schodowej znów się rozległy – i znów ucichły.

Zeerid odliczył do trzech i wysunął głowę za framugę, by wyrzeć na korytarz.

Skradała się nim opatulona w pelerynę postać, mniej więcej wzrostu mężczyzny, którego spotkał w parku. Postać sprawdzała numery na drzwiach mieszkań. Zeerid nie widział, co nieznajomy niesie w dłoniach. Jeszcze raz popatrzył na schody i gdy niczego nie usłyszał, wymknął się cicho na korytarz.

Postać zatrzymała się przed mieszkaniem Nat i zajrzała w podręczny komputer wielkości dłoni, jakby sprawdzała, czy adres się zgadza.

Zeerid zobaczył już tyle, ile musiał. Wyciągnął E-9.

– Hej, ty! Odsuń się od tych drzwi!

Postać odwróciła się w jego stronę, sięgając jednocześnie prawą ręką do pasa. Zeerid nie wahał się. Pociągnął za spust. Zdławiony wystrzał z E-9 zabrzmiał jak uprzejme chrząknięcie.

Niemal w tym samym momencie postać, wykonując tak szybkie ruchy, że prawie nie było ich widać, wyciągnęła zza pasa srebrny cylinder, z którego wystrzelił słup zielonego światła. Odbijane nim pociski z E-9 wbijały się w podłogę.

Zanim Zeerid zdążył ponownie wystrzelić, postać przechyliła głowę na bok i dezaktywowała miecz świetlny.

– Zeerid?

To była kobieta.

Zeerid nie opuścił broni ani nie zrezygnował z czujności. Nie rozumiał, skąd u nieznajomej miecz świetlny. Czyżby była Jedi?

– Kim jesteś? – spytał.

Kobieta zrzuciła kaptur z głowy, odsłaniając długie rudo-blond włosy i ciepłe zielone oczy, których Zeerid nigdy nie zapomniał. Zdenerwowanie i napięcie natychmiast go opuściły.

– Aryn? Aryn Leneer? Co ty tutaj robisz?

– Szukam cię – odparła, wskazując na drzwi mieszkania Nat. – Pomyślałam, że zacznę od twojej szwagierki...

– Jesteś sama? Ktoś cię śledził?

Zaskoczył ją tymi pytaniami.

– Ja... tak. Nie.

– Jak mnie znalazłaś?

– Przypadek. Pamiętałam nazwisko twojej szwagierki. Pomyślałam, że może będzie mogła mi pomóc.

– Zostań tu – rozkazał i pospieszył korytarzem z powrotem na klatkę schodową. Spojrzał w dół, ale niczego tam nie zobaczył. Ktokolwiek wchodził po schodach, zniknął.

Uznał, że musiał to być któryś z mieszkańców budynku.

Odwrócił się i napotkał zatroskane spojrzenie Aryn. Miała podobny wyraz twarzy

jak wtedy, gdy go pocieszała w rozpaczy po śmierci Val.

– Co się dzieje? – spytała.

Bez wątpienia wyczuwała jego niepokój.

– Prawdopodobnie nic. Dałem się chyba ponieść wyobraźni.

Aryn się uśmiechnęła. Uśmiech miała taki jak niegdyś, lecz Zeerid dostrzegł w jej oczach coś nowego – zdecydowanie i twardość. Nie musiał być wrażliwy na Moc, by się domyślać, że w przyjaciółce zaszła jakaś zmiana.

– Co się z tobą działo? – spytał. – Widziałem cię niedawno w necie. Sądziłem, że jesteś na Alderaanie.

Oczy Aryn stały się nagle jakby... nieprzeniknione. Zeerid nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział, przynajmniej nie w wykonaniu Aryn, choć podejrzewał, że sam wygląda podobnie, kiedy pracuje.

– Byłam tam. O tym właśnie między innymi chciałam z tobą porozmawiać. Potrzebuję twojej pomocy. Możemy gdzieś pójść pogadać?

– To naprawdę niezbyt dobry moment, Aryn.

– Sprawa jest ważna.

Ogarnął go nagły strach, bo pomyślał, że Jedi wyczuli zapach syntprzyprawy. Dowiedzieli się, że miał ją przesz mugłować i zamierzają go powstrzymać. Jednak Aryn nic nie wspomniała o przyprawie.

– Chodzi o osobistą sprawę, Zet. Nie ma nic wspólnego z Zakonem.

Odetchnął z ulgą i nawet się uśmiechnął, słysząc, jakiego imienia użyła Aryn. Może nie brzmiało tak głupio zawsze. Zerknął za siebie, na drzwi mieszkania Nat.

Były zamknięte, podobnie jak reszta drzwi na korytarzu. Wystrzał z blastera i buczenie aktywowanego miecza świetlnego jakoś nikogo nie zainteresowały.

Musi zabrać stąd Nat i Arrę. To nie miejsce dla dziecka.

Aryn dotknęła jego ramienia.

– Wszystko w porządku?

Odetchnął przeciągle, próbując pozbyć się napięcia. Był ostatnio przewrażliwiony. Po przybyciu na planetę był przecież ostrożny jak zawsze. Nikt z osób niepowołanych nie wiedział o jego powiązaniach z Arrą i Nat. Nikt nie miał pojęcia, gdzie mieszkają. Aryn odnalazła go tylko dlatego, że jako wieloletnia przyjaciółka znała imię Nat. Ten mężczyzna z parku to prawdopodobnie nikt ważny, zwyczajny przypadkowy przechodzień.

– Tak, tak. Znam miejsce, w którym możemy pogadać... ze względu na dawne czasy. Ale możliwe, że będę musiał nagle skończyć rozmowę. Czekam na telefon.

Mógł w każdej chwili otrzymać wiadomość od Orena.

Wyszli na ulicę i wraz z niedużą grupą osób zaczęli czekać na przyjazd powietrznego autobusu. Weszli na pokład i pojazd odleciał. Zeerid przyglądał się, jak budynek, w którym mieszkała Nat i Arra, znika z widoku. Próbował zapełnić pustkę w żołądku,

wmawiając sobie, że nic im się złego nie stanie.



Vrath stał przed wejściem na klatkę schodową, prowadzącą do mieszkania Zeerida. Urządzenie namierzające pokazało mu jego pozycję, nim jeszcze zdążył dojść do połowy schodów.

Zasadzka czy ekstremalna ostrożność?

Oparty o pokruszoną ścianę, wpatrywał się w wyświetlacz urządzenia tropiącego. Pokazywało ono, że Zeerid odjeżdża powietrznym autobusem. Vrath zobaczył obraz towarzyszącej Zeeridowi kobiety. To nie była Nat.

Włączył komunikator i wezwał członków grupy, czekających na niego w pobliżu kosmicznego portu Yinta Lake.

– Odjeżdża. Wsiadł do autobusu i zmierza w waszym kierunku. Ja też się tam wybieram.

Zeerid i Aryn całą drogę w autobusie przebyli w milczeniu. Wyszli na przystanku przy olbrzymiej, nieskładnej bryle porzeczonych konstrukcji portu kosmicznego i stąd zatłoczonymi ulicami udali się do znanego Zeeridowi kasyna, Spiral Galaxy, w którym pracowała Nat. Powitała ich tam przytłaczająca mieszanka dymu, krzyków, błyskających świateł i muzyki. W takim miejscu nikt nie był w stanie podsłuchać ich rozmowy.

Zeerid zaprowadził Aryn do sali barowej, znalazł stolik w rogu, z którego miał widok na całe pomieszczenie, i usiadł. Machnięciem dłoni odesłał kelnera, zanim jeszcze młody mężczyzna zdążył dotrzeć do stolika. Aryn tymczasem rozglądała się po kasynie, lekko marszcząc czoło. Zeeridowi zdawało się, że od ostatniego razu, gdy ją widział, postarzała się o co najmniej dziesięć lat. Domyślał się, że ona też musi odnosić podobne, jeśli nie gorsze, wrażenie na jego widok. Był wręcz zdumiony, że go rozpoznała. Z drugiej strony... może wcale go nie rozpoznała, a tylko wyczuła.

Odchylił się na oparcie krzesła i odezwał dość głośno, by było go słychać pomimo otaczającego ich hałasu.

– Mówiłaś, że potrzebujesz mojej pomocy?

Skinęła głową, pochyliła się i oparła łokcie na blacie. Mówiąc, patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, a on miał wrażenie, że recytuje wykute na pamięć zdanie:

– Muszę się jak najszybciej dostać na Coruscant.

Parsknął śmiechem.

– To jest nas dwoje.

Jego odpowiedź ją zaskoczyła.

– Co masz na myśli?

– Nieważne. Coruscant nie jest w tej chwili specjalnie przyjaznym miejscem dla Jedi.

– Nie. A w dodatku... to nie jest usankcjonowane przez Zakon.

Tym razem to on był zaskoczony. Nie spodziewał się, że Aryn należy do osób sprzeciwiających się przełożonym.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Domyślam się, że chcesz zaczekać do zakończenia negocjacji na Alderaanie. Kiedy będziesz wiedziała, jak sprawy stoją? Za jakiś tydzień?

– Nie mogę czekać.

– Nie? Czemu?

Odchyliła się na oparcie, jakby chciała powiększyć dystans między nimi. Może robiła sobie przestrzeń dla kłamstwa.

– Muszę wydostać coś ze Świątyni.

– Co?

– Coś osobistego.

Pochylił się do niej, by zlikwidować obszar potencjalnej nieszczerości.

– Aryn, nie widzieliśmy się przez lata. Pojawiasz się znikąd i mówisz, że chcesz, bym ci pomógł dostać się do świata, który właśnie został podbity przez Imperium. No i że Zakon Jedi nie wydał zgody na twoją wyprawę.

Dał jej chwilę na przemyślenie jego słów, po czym znów się odezwał:

– Może chciałbym ci pomóc. Może nawet mógłbym to uczynić.

Słyszając to, podniosła na niego wzrok przepełniony nadzieją.

– Byłaś przy mnie w trudnych dla mnie chwilach. Muszę jednak zrozumieć, co się naprawdę dzieje – dodał.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Tęskniłam za tobą, choć o tym nie wiedziałam.

Poczuł, że się czerwieni. Chciał ukryć skrępowanie, ale oczywiście, przed Aryn niczego nie dało się ukryć. Zapewne wyczuła ciepło, jakie go zalało w reakcji na jej słowa.

Przysunęła swoje krzesło do stolika i skrzyżowała dłonie leżące na blacie. Znajdowały się bardzo blisko jego dłoni, co również wytrącało go z równowagi. Tak, on także tęsknił za Aryn.

– W ataku zginął ktoś, na kim mi zależało.

Uczucie zawodu, jakie poczuł, bardzo go zaskoczyło.

– Mąż? – Czy Jedi mogą w ogóle wchodzić w związki małżeńskie? Nie miał pojęcia.

Pokręciła głową.

– Mój Mistrz. Ven Zallow.

– Przykro mi. – Dotknął jej dłoni ze współczuciem i przeszył go taki prąd, że natychmiast cofnął rękę. O dziwo, na twarzy Aryn nie dostrzegał bólu ani cierpienia, tylko gniew.

– W Świątyni na pewno zostały nagrania wideo z ataku. Muszę zobaczyć, jak zginął.

– Mógł zginąć od bomb, Aryn. To mogło być cokolwiek.

Pokręciła głową, zanim jeszcze skończył zdanie.

– Nie. To był Sith.

– Wiesz to na pewno?

– Wiem. I chcę zobaczyć tego Sitha, poznać jego imię.

Wreszcie zaczął rozumieć.

– Chcesz go zabić.

Nie zaprzeczyła.

Gwizdnął przeciągle.

– A niech to, Aryn. Myślałem, że zjawiałaś się, by mnie aresztować.

– Aresztować? Ciebie? Z jakiego powodu?

– Nieistotne – odparł. – Nic dziwnego, że Zakon nie wyraził zgody na twoją podróż na Coruscant. Co się stanie z negocjacjami pokojowymi? Mówisz przecież o zabójstwie.

Chłód w jej oczach był czymś nowym.

– Mówię o pomszczeniu mojego Mistrza. Oni go zamordowali, Zeerid. Nie pozwolę, by uszło im to na sucho. Sądysz, że nie wiem, co robię? Że nie wiem, jakie będą koszty?

– Właśnie. Sądzę, że nie wiesz, co robisz.

– No to się mylisz. Potrzebuję twojej pomocy, Zeerid, a nie wykładów. A teraz... muszę się dostać na Coruscant. Pomożesz mi?

Pracował sam od chwili, gdy wystąpił z wojska. Tak było wygodniej, ale... praca z Aryn zawsze sprawiała mu... przyjemność. Gdyby miał z kimś polecieć na Coruscant, wybrałby ją.

Zabrzączał jego komunikator. Sprawdził go i ujrzał zaszyfrowaną wiadomość od Orena. Odkodował ją.

„Towar jest na »Tłusciochu«. Wyruszaj natychmiast”.

Popatrzył ponad stołem na Aryn.

– Masz dobre wyczucie czasu.

W jej oczach pojawiło się pytanie.

– Ja też wybieram się na Coruscant. Właśnie w tej chwili – wyjaśnił.

– Co? – Wyglądała na zszokowaną.

Odepchnął krzesło i wstał.

– Idziesz?

Nie ruszyła się z miejsca.

– Lecisz na Coruscant? Teraz?

– Tak.

Wstała.

– W takim razie... tak, idę z tobą.

– Czymkolwiek tu przyleciałaś, musisz to zostawić. Lecimy moim statkiem.

Aryn wcisnęła przycisk na komunikatorze i przekrzykując hałas zaczęła do niego mówić.

– Tee-six, zablokuj ravena. Opuszczam planetę. Monitoruj nasz zwyczajowy podprzestrzenny kanał. Skontaktuję się z tobą, kiedy tylko będę mogła.

Pikanie odpowiadającego droida rozplynęło się w kakofonii dźwięków.

Zaczęli się przedzierać przez tłum.

Aryn chwyciła Zeerida za ramię i przybliżyła usta do jego ucha.

– To nie może być sprawa przypadku, wiesz? Pomyśl o zbieżności w czasie. To Moc sprowadziła nas tutaj w tym samym momencie, byśmy mogli pomóc sobie nawzajem. Widzisz to, prawda?

Przy pobliskim stoliku zadźwięczał dzwonek i jakiś Zabrak poderwał ręce w górę, krzycząc radośnie.

– Wygrałem! – wrzeszczał. – Wygrałem!

Zeerid uznał, że musi powiedzieć Aryn prawdę.

– Jeśli to Moc doprowadziła do naszego spotkania, to Moc ma zadziwiające poczucie humoru – oświadczył, przekrzykując hałas.

Oczy Aryn zwięziły się w szparki.

– O czym ty mówisz?

Postanowił iść na całego.

– Posłuchaj, wobec tego, co ja robię, twoje poczynania przypominają akcję charytatywną.

Twarcz jej się wydłużyła; nieznacznie odchyliła się w tył.

– To znaczy?

– Dam ci jeszcze jedną szansę na zadanie tego pytania, zanim udzielę odpowiedzi. A zanim się to stanie, chcę, byś wiedziała, że i tak wykonałbym ten lot, bez względu na to, czybyś mi towarzyszyła, czy nie. Nie jestem z tego dumny, ale muszę to zrobić. A teraz... nadal chcesz wiedzieć, o co chodzi?

– Tak – odparła i zamrugwała. – Ale później. Teraz... nie, nie rozglądaj się... obserwują nas jacyś ludzie.

Powstrzymał się siłą woli i nie oderwał oczu od twarzy przyjaciółki. Oren mówił, że towar jest gorący, ale nie zdawał sobie sprawy, że aż tak gorący. Zmusił się do uśmiechu.

- Gdzie oni są? Ilu?
- Widzę dwóch. Mężczyzna przy barze w brązowej kurtce z długimi czarnymi włosami. I po mojej prawej mężczyzna w długim czarnym płaszczu i w rękawiczkach.
- Jesteś pewna? – Skinął głową, jakby zgadzał się z czymś, co powiedziała.
- Raczej tak.
- Jak to rozegramy? – zapytał.
- Śmieszne, że z taką łatwością wśliznęli się w swoje dawne role. Ona wydawała rozkazy, a on je wykonywał.
- Udajemy, że niczego nie zauważyliśmy, i staramy się dotrzeć do portu. Ocenimy sytuację po drodze. Potem...
- Potem?
- Aryn sięgnęła pod płaszcz, by dotknąć rękojeści miecza świetlnego.
- Potem będziemy improwizowali.
- Zeerid zrobił w myślach przegląd broni, jaką miał przy sobie, i jej rozmieszczenia na ciele.
- W porządku – rzekł i ruszył za Aryn w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ 7

Prom kosmiczny wznosił się w górę, wioząc Eleenę i Malgusa do jego krążownika o nazwie „Waleczny”. Gdy prom przedzierał się przez atmosferę, Malgus wyglądał przez jedno z okien statku. Czuł na sobie wzrok Eleeny, ale nie odwracał się do niej. Myślał o Mocy, o Imperium i o tym, jak drogi jednego i drugiego zdawały się rozchodzić na jego oczach. Dręczyło go tylko jedno pytanie – co ma w związku z tym zrobić?

W głośniku rozległ się głos pilota:

– Lordzie Malgusie, Darth Angral pragnie z panem rozmawiać.

Malgus ze zdziwienia przechylił głowę na bok. Spojrzał na Eleenę, ale ona odwróciła wzrok w stronę okna, by popatrzeć na oddalającą się powierzchnię Coruscant.

– Połącz go.

Nieduży wideoekran zamontowany w przedziale pasażerskim krążownika rozświetlił się, pokazując holograficzny obraz Dartha Angrala. Angral siedział przy tym samym biurku w gabinecie Kanclerza, przy którym wcześniej robił Malgusowi wykład. Malgus zastanawiał się, czy Adraas nadal tam jest.

– Witaj, Lordzie Angralu – odezwał się uprzejmie, ale w jego głosie wyraźnie pobrzmiwały fałszywe nuty.

– Lordzie Malgusie, widzę, że doprowadził pan do zdrowia swoją... towarzyszkę. Cieszę się ze względu na pana.

– Lecę na „Walecznego”, ale zaraz potem znów wracam na powierzchnię, by dopilnować...

Angral uniósł dłoń i pokręcił głową.

– Nie ma takiej potrzeby, stary przyjacielu. Pańska obecność na Coruscant nie jest już konieczna. Zamiast tego będzie pan dowodził blokadą i pilnował bezpieczeństwa na nadprzestrzennych szlakach.

– Mój Lordzie, każdy oficer floty może ...

– Ale ja rozkazuję to panu, Lordzie Malgusie.

Malgus wpatrywał się w obraz Angrala przez dłuższą chwilę, zanim zebrał siły na odpowiedź.

– Tak jest, Lordzie Angralu.

Przerwał połączenie i obraz wtopił się w monitor.

U podstawy czaszki poczuł zaczątki migreny. Pulsowanie żył w głowie, którego

rytm wzmagał rozczarowanie, podsycalo jego rosnacą wścieklosc.

Nie musial byc mistrzem politycznych manewrow, by zrozumiec, ze Angral, wyznaczajac mu nieistotna role, przekazywal mu w ten sposob, iz wypadl z lask. Angral korzystal z jego uslug do czasu, az zyskal pewnosc, ze atak na Coruscant sie powiedzie, a teraz odsuwal go na bok na rzecz Lorda Adraasa. W ciagu jednego dnia ze zdobywcy Coruscant Malgus zamienil sie w posledniej rangi Dartha.

Jeszcze raz zerknal na Eleene, zastanawiajac sie, jak wiele ona z tego wszystkiego rozumie.

Eleena jednak nie patrzyła na niego; nadal wygladala przez okno.



Zamglona ulice przed kasynem zaludnial spory tłum. Zapach jeziora bil mocno w nozdrza: woda, martwe ryby, inne organiczne odpadki. Zeerid przeczesal wzrokiem tłum, szukajac osob sprawiajacych podejrzanе wrazenie. Na zatloczonej ulicy dostrzegł ze dwudziestu mezczyzn, ktorzy mogli go obserwowac.

– W tym tłumie nie umiem nikogo wyhaczyć – rzekl.

Dwoch pijanych Houkow przetoczylo sie obok, ryczac na cale gardlo jakas piosenke w rodzimym jezyku. Mlody Bothanin odpalil silnik swoopa i wystrzelil nim w gore. Wszechobecne powietrzne taksowki staly rzędem wzdluz kraweznika. Nad nimi przelatywaly prywatne auta i publiczne autobusy.

– Nie zatrzymuj sie – rzucila Aryn. – Ale tez idz bez poapiechu.

Port kosmiczny zajmowal kilka przecznic, a jego poczatek znajdowal sie po drugiej stronie ulicy, na ktorej stali. Cyfrowe tablice ogloszeniowe, zawieszzone na bocznych scianach, mrugaly reklamami polecajacymi wszystko, od domow wakacyjnych na wynajem, przez energetyzujace batony, po konsultacje w sprawie umorzenia dlugow. Zeerid wspolczul osobom zmuszonym korzystac z tych ostatnich uslug.

Poruszajac sie z wymuszona niedbałoscia, przecieli ulice przy wtorce wsciekle naciskanych klaksonow i uniesionych pieści. Potem skierowali sie do wejścia do portu.

– Nie ogladaj sie – powiedziala Aryn. – Oni tam sa.

– Skad wiesz?

– Wiem.

Drzwi do portu sie rozsunely. Ze srodka wyjechaly wagoniki bagazowe ciagnione przez roboty, a za nimi na ulice wytoczyl sie tuzin niedawno przybylych pasazerow roznych ras. Po zamknieciu drzwi okrzyki taksowkarzy urwaly sie jak nozem ucial.



Vrath siedział na ławce wewnątrz portu, wciśnięty między Rodiankę z lewej strony a Ithorianina z prawej. Ithorianin załatywał skórą i nucił jakąś melodię obydwoma gębami.

Vrath znosił to spokojnie, obserwując, jak Zeerid i kobieta wchodzą na teren portu. Zeerid rozejrzał się dokoła podejrzliwie. Ponieważ jednak Vrath spędził lata na dopracowywaniu niewzbudzającego podejrzeń wyglądu – talent nieoceniony w fachu snajpera – oczy Zeerida przesunęły się tylko po nim i powędrowały dalej.

Vrath wydał rozkazy, których nie usłyszał nikt poza jego ludźmi. Miał w szczęce implant wzmacniający przekaz, który docierał do słuchawek członków jego Załogi.

– Jest czujny. Trzymajcie się na dystans – polecił.

Nie chciał, by Zeerid wyczuł zagrożenie i znikł, zanim zlokalizują ładunek. Jego ludzie kilka godzin wcześniej zakradli się na statek Zeerida i cały przeszukali. Niczego nie znaleźli, a w dodatku – nie licząc rutynowej wizyty jednego z portowych robotów technicznych – nikt inny od tamtej pory nie wchodził na pokład. Dwóch członków załogi Vrata zostało w pobliżu statku, obserwując go.

Vrath przyglądał się Zeeridowi i jego towarzyszce, korzystając z funkcji peryferyjnego widzenia. Dzięki implantowi audio przysłuchiwał się też ich rozmowie, którą jednak mocno zagłuszał hałas panujący na terenie portu.



Zeerid obserwował twarze otaczających ich osób, szukając każdego, kto mógłby się im przyglądać. Twarze zlewały się jedna z drugą. Mimo to miał wrażenie, że czuje na karku oddech śledzących ich ludzi. Nie mógł się powstrzymać; odwrócił się i spojrzał za siebie.

W morzu twarzy dostrzegł dwóch mężczyzn, tych samych, których Aryn opisała w kasynie. Obaj zauważyli, że na nich patrzy.

Odwrócił wzrok, przeklinając sam siebie.

– Oni wiedzą, że my wiemy – rzekł.

Aryn wpatrywała się w zawieszony na ścianie wideoekran, na którym wyświetlano nowe wiadomości dotyczące negocjacji na Alderaanie.

„Przełom w negocjacjach?” – widniał napis na pasku u dołu.

Relację zdawał jakiś mężczyzna o ciemnych, zaczesanych do tytułu włosach i pomarszczonej twarzy. Zeerid go nie rozpoznawał, choć podpis pod obrazem mówił,

że to Lord Baras.

– Słyszałaś, co powiedziałem, Aryn?

Aryn z trudem oderwała oczy od monitora.

– Słyszałam. Czego oni twoim zdaniem chcą?

Zeerid narobił sobie wielu wrogów od czasu, gdy zaczął pracę dla Kantoru, ale tym, którzy teraz go śledzili, z pewnością chodziło o syntprzyprawę.

– Ładunku, jaki zabieram na Coruscant – wyjaśnił.

Wskoczyli na ruchomy chodnik, który powiózł ich przez obszar portu. Przez transpastalowe okna widzieli frachtowce i inne mniejsze statki kosmiczne, stojące na lądowiskach. Roboty towarowe ładowały i rozładowywały cargo.

Wykorzystując odbicie w transpastali, Zeerid sprawdził, czy śledzący ich mężczyźni są nadal za nimi. Byli. On jednak ciągle nie umiał powiedzieć, czy jest ich więcej, czy tylko dwóch.

– Właśnie weszli na autochodnik za nami – poinformował, gdy ujrzał, że mężczyźni dali krok na pas transmisyjny.

– Powiedz, co to jest, Zeerid. Ten ładunek.

Nie wahał się, choć nie patrzył na Aryn, gdy odpowiadał. Przyglądał się swojemu odbiciu w transpastali.

– Syntprzyprawa.

Przez jakiś czas Aryn milczała, co wcale mu się nie spodobało.

– Jakim cudem wplątałaś się w przemyt przyprawy? – zapytała w końcu.

Jeszcze bardziej niż milczenie nie spodobał mu się oskarżycielski ton w głosie przyjaciółki. Odwrócił do niej twarz.

– Jakim cudem sprzeniewierzyłaś się poleceniom Zakonu i wymknęłaś ukradkiem, planując popełnić morderstwo? To pewnie długa historia, co? Cóż, podobnie jak moja.

Aryn przypatrywała się mu tymi szeroko otwartymi, zielonymi oczami. Ujrzał w nich więcej bólu niż kiedykolwiek wcześniej.

– Masz rację. Wybacz, Zeerid. Nie chciałam...

– Nie jestem z tego dumny, Aryn.

– Wiem.

To oczywiste, że wiedziała. Na pewno wyczuwała jego wyrzuty sumienia i niezdecydowanie.

– Robimy, co robimy – dodała.

– Robimy, co musimy – uściślił.

– Słusznie – zgodziła się. – Co musimy.

Zmienił chodnik, po czym ruchomymi schodami wjechali na piętro. Zeerid nie przestawał obserwować dwóch mężczyzn za nimi, którzy nie próbowali zmniejszyć dzielącej ich odległości.

– Na co oni czekają? – zastanawiała się Aryn.

Zeerid myślał o tym samym, kiedy nagle go olśniło.

– Nie wiedzą, czy wiem, gdzie jest przyprawa.

Przed sobą ujrzał platformę lądowniczą, gdzie stał „Tłuścioch” zgłoszony jako „Czerwony Karzeł”. Obok statku przejechał długi wagonik transportowy, przy którym toczył się pluton robotów technicznych. Jakiś mężczyzna i kobieta pomachali do siebie, przywitali się z uśmiechem, objęli i odeszli.

Uwagę Zeerida przyciągnęli dwaj mężczyźni. Jeden z nich siedział na krześle w pobliżu drzwi prowadzących na lądowisko.

Na kolanach trzymał portkomp, ale w niego nie patrzył. Drugi mężczyzna stał twarzą do transpastalowego okna, ostentacyjnie wyglądając przez nie na platformę lądowniczą. Zeerid pomyślał, że facet musi widzieć w odbiciu, że nadchodzą.

– A ty wiesz, gdzie ona jest?

– Na moim statku – odparł. – Kantor do załadunku nielegalnego towaru na swoje szmuglerskie statki wykorzystuje porwane roboty techniczne.



Vrath szedł obok Twi'lekanki, niosącej małą torbę podróżną. Trzymał się blisko niej, mową ciała sugerując, że są razem. Gdy usłyszał wypowiedź Zeerida przez audioimplant, skłął się w duchu za przeoczenie oczywistości – robotom technicznym został podmieniony program, tak by załadowały przyprawę.

Vrath nie miał przy sobie odpowiedniej broni, którą mógłby zniszczyć statek Zeerida, musiał więc użyć bardziej kłopotliwych sposobów.

– Ładunek znajduje się na statku obiektu. Obiekt nie może dostać się na pokład – zarządził, mówiąc na tyle głośno, że Twi'lekanka spojrzała na niego krzywo i odsunęła się najdalej jak mogła.

– Keene – zwrócił się do kierowcy śmigacza stacjonującego na zewnątrz. – Przygotuj się na ewakuację obiektu z lądowiska.

Vrath sięgnął po pistolet blasterowy i zaczął się przedzierać przez tłum.

– Wszyscy na ziemię!



Mężczyznę wyglądający przez transpastalowe okno odwrócił się, a ten na ławce odłożył komputer i wstał.

– Zbliżają się – rzekł Zeerid.

Aryn opuściła dłoń na rękojeść miecza świetlnego.

– Widzę ich.

Zeerid obejrzał się i zauważył, że dwóch mężczyzn, którzy śledzili ich od kasyna, przyspieszyło kroku, a potem zaczęło biec przez tłum. Obaj sięgnęli za plecy po broń.

Trzeci mężczyzna, którego Zeerid wcześniej nie zauważył, ale który wydawał mu się znajomy, krzyknął do ludzi, by padli na ziemię, po czym posłał serię z blastera w sufit.

Tłum ogarnęła panika. Okrzyki przerażenia wybuchały z każdej strony, ludzie padali na ziemię lub chowali się za ławkami i krzesłami. Dwunastka robotów pracujących w pobliżu przerwała swoje zajęcie i rozejrzała się dokoła, wyraźnie dezorientowana. Program droidów nie był przygotowany na takie sytuacje i roboty reagowały na nią zbyt wolno.

Dwaj mężczyźni, stojący między Aryn, Zeeridem i jego statkiem, trzymali w dłoniach blastery i teraz zaczęli z nich strzelać do nadchodzącej pary. Miecz świetlny Aryn ze skwierczeniem obudził się do życia i wykonując szybki łuk w powietrzu, zaczął odbijać nadlatujące pociski w stronę sufitu i podłogi.

Krzyków było coraz więcej. Powietrze wypełnił gryzący odór bluzgających ogniem blasterów.

Zeerid wyciągnął własną broń z kabury pod pachą i wbił dwa pociski w jednego z mężczyzn. Uderzenie zważyło go z nóg, a na piersi w otworach wypalonych w koszuli pojawiły się dwie czarne dziury.

Zeerid złapał Aryn za rękę i pociągnął za sobą w dół. Ukrył się z przyjaciółką za prostokątną obudowę jednego ze stojących nieruchomo robotów technicznych; ocalały mężczyzna przed nimi odpowiedział strzałami, a trzech nadciągający z tyłu też otworzyli ogień. Pocisk zadrasnął podeszwę buta Zeerida, pozostawiając dymiący i szerniały ślad. Robot, za którym się kryli, zaczął wibrować pod wpływem walących w niego licznych pocisków.

– Nie ruszaj się z miejsca, robocie – rozkazał Zeerid.

Ale maszyna nie mogłaby się ruszyć, nawet gdyby chciała. Dym unosił się z dziur w jej obudowie, a z przewodów strzelały iskry.

– Musimy się dostać do mojego statku – oświadczył Zeerid.

– Zaraz zjawią się zarządcy portu...

Zeerid pokręcił głową.

– Zbyt wiele pytań, Aryn. Mam na pokładzie syntprzyprawę. Przejmą statek i zaaresztują nas oboje. Musimy się dostać do statku. Teraz.

Mężczyźni z tyłu zbliżali się coraz bardziej, używając jako osłony ławek, krzesel i ciał przechodniów oraz robotów. Krzyki i przerażone piski cywilów utrudniały myślenie.

– Zależy nam tylko na ładunku! – krzyknął jeden z nich, prawdopodobnie

przywódca grupy, ponad głowami ludzi z tłumu.

W odpowiedzi Zeerid wystawił głowę zza robota i posłał ku nadciągającym napastnikom trzy szybkie strzały. Nikogo nie trafił, ale zmusił mężczyzn za nimi, żeby padli na ziemię. Szybko odwrócił się do mężczyzny z przodu i w tej samej chwili ujrzał czerwony płomień pocisku blastera, który uderzył go w pierś, zwałił z nóg i posłał ślizgiem trzy metry po ziemi. Moc uderzenia zapała mu dech w piersiach, aż zaczął się dusić. Czarny dym unosił się spiralnie w górę z dziury wypalanej w blastoodpornej kamizelce.

Bywał już postrzelony i potrafił zachować przytomność mimo bólu i trudności z oddychaniem.

– Trafili mnie – wyrzęził.

Przekreślił się na brzuch i zaczął strzelać do trzech z tyłu tak szybko, jak tylko mógł. Odpowiedzieli podobnym ostrzałem. Strumienie energii wyrzywały dziury w posadzce wokół niego. Kawałki płyt podłogowych wlatywały w powietrze. Nic prawie nie słyszał ponad dudnieniem ostrzału i krzykami cywilów.

W pewnej chwili strzał, posłany przez przywódcę atakującej grupy – mężczyznę, który wyglądał tak znajomo – trafił Zeerida w ramię. I znów zbroja uchroniła go przed poważnym zranieniem, ale uderzenie wywołało falę bólu w całym ramieniu. Ręka mu zdrętwiała, a blaster wypadł z niej i potoczył się po posadzce.

Pistolet zatrzymał się tuż przed kobietą rasy Zeltron, leżącą płasko na ziemi. Zeerid spojrzał w jej szeroko otwarte oczy i dojrzał w nich panikę. Kobieta nie wykonała żadnego ruchu w stronę broni.

Zaczął się czołgać w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, z dala od kobiety i coraz liczniejszych strzałów, oddawanych w jego stronę przez coraz bliżej podchodzących napastników. Gdzieś obok usłyszał jęk cywila, trafionego prawdopodobnie przez zbłąkany pocisk krzyżowego ognia. Jakaś kobieta przeraźliwie zapiszczała.

Musiał usunąć się z tego miejsca.

Zanim jednak zdołał się podnieść, podbiegła Aryn. Tworząc wokół nich kokon zielonej poświaty, wymachiwała mieczem, odbijając nim we wszystkich kierunkach uderzenia blasterów. Nie przestając, chwyciła Zeerida pod ramię i pomogła mu podźwignąć się na nogi.

– Wstawaj – nakazała. – No, już.

Nadal miał zbyt mało powietrza w płucach, by odpowiedzieć, lecz z pomocą Aryn udało mu się podnieść. Prawe ramię zwisało z barku niczym martwe. Sięgnął lewą ręką za plecy i wyciągnął ukryty tam E-9.

– Statek – wydyszał, nadal z trudem łapiąc oddech.

Aryn gestem wskazała pociąg towarowy w pobliżu trzech strzelających do nich od tyłu mężczyzn. Sześć wagoników, z których składał się pociąg, napędzanych mocą Aryn, pędziło w stronę mężczyzn. Napastnicy rozbiegli się na boki, a Aryn i Zeerid

rzucili się pędem do „Tłuściocha”.

Mężczyzna stojący między nimi a statkiem oddał jeden strzał, potem drugi, ale Aryn odbiła oba. Zeerid przyłożył się do strzału i wypalił z E-9. Pocisk trafił faceta w czoło i ten, z szeroko otwartymi oczami i brocząc krwią, padł do tyłu martwy.

Znów co sił w nogach rzucili się w stronę statku, cały czas pod silnym ostrzałem przeciwników. Miecz Aryn nie przestawał skwierczeć, a emanująca od niego energia postawiła Zeeridowi włosy na sztorc.

Dali susa nad martwym ciałem zastrzelonego mężczyzny i przez drzwi z transpastali wybiegli na lądowisko. Drzwi zasunęły się za nimi, odcinając ich od krzyków cywili. Zeerida bardzo to ucieszyło. Pociski blasterów waliły w transpastal. Odgłosy śmigaczy, swoopów i innych znajdujących się w pobliżu statków mieszały się w powietrzu w głuchy, dudniący pomruk.

Strzały padały z góry i z prawej strony. Pocisk trafił Aryn w łydkę tak mocno, że upadła.

Od prawej nadleciał otwarty śmigacz. Jego pilot, mężczyzna, wychylony z boku maszyny pluł ogniem w uciekinierów.

Zeerid, podtrzymując jedną ręką Aryn, przykucnął i wystrzelił trzy pociski z E-9, próbując trafić w jeden z grawitacyjnych silników manewrowych śmigacza, jednak trafił tylko w otaczający je kadłub. Pociski nie wyrządziły żadnej szkody, więc wymierzył broń wabinę. Próbując uniknąć ognia Zeerida, pilot przesadził z kątem skreću i śmigacz wykonał zbyt ostry zwrot w prawo. Gdy pilot szamotał się z maszyną, by odzyskać nad nią kontrolę, Zeerid zdrową ręką złapał Aryn za ramię i postawił ją na nogi.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Biegnij dalej. Biegnij.

Syreny alarmowe wyły, zapowiadając przybycie zarządców portu.

Wspierając się na sobie nawzajem i kuśtykając, Aryn i Zeerid dotarli wreszcie do włazu statku, a Zeerid natychmiast wstukał kod. Za nimi rozsunęły się drzwi prowadzące na lądowisko. Pociski z hukiem odbijały się od kadłuba „Tłuściocha”. Zeerid odpowiedział na to serią poślanych na oślep do tyłu strzałów. Aryn odbiła mieczem w przegrodę kolejne dwa pociski.

Właz statku wreszcie się otworzył. Zeerid chwycił Aryn za rękę i wpadł na pokład, zanim jeszcze drzwi zdążyły rozsunać się na całą szerokość. Szybko wcisnął przycisk zamykający i drzwi się zatrzymały, po czym ruszyły w drugą stronę.

– Muszę nas stąd wydostać. Jak się trzymasz?

– Zupełnie nieźle.

Rana na łydce wyglądała nieciekawie, ale było to chyba tylko otarcie. Różową, żywą tkanę otaczała czarna linia przypalanej skóry.

Zeerid pobiegł korytarzami „Tłuściocha” w stronę kabiny i gdy tylko tam dotarł, rzucił się na fotel pilota i uruchomił silniki. Zdrętwiałe ramię utrudniało mu

wykonywanie procedur, ale jakoś sobie radził. Wyrzwał na zewnątrz kabiny, szukając śmigacza, i ujrzał go nad sobą.

Zderzą się, jeśli maszyna nie zejdzie mu z drogi.

Silniki manewrowe już pracowały i „Tłuscioch” zaczął się podnosić z lądowiska. Śmigacz zatoczył koło, usuwając się na bok.

Pilot pluł dziko ogniem wabinę, ale pociski odbijały się tylko od osłon z transpastali, nie pozostawiając na nich nawet rysy.

Zeerid zastanawiał się, czy nie zestrzelić śmigacza z plazmowych działek, w jakie wyposażony był jego statek, ale uznał, że opadające szczątki mogłyby zranić niewinne osoby.

– Uważaj się za szczęściarza, brachu – mruknął.

Gdy osiągnął wysokość dziesięciu metrów, uruchomił silniki jonowe i „Tłuscioch” wystrzelił w niebo. Zeerid obserwował skanery, upewniając się, czy nikt za nimi nie leci.

Ponieważ niczego nie zobaczył, pozwolił sobie na chwilę rozluźnienia. Sprawdził zranione ramię i okazało się, że kości są całe. Do ręki powoli wracało czucie.

Kiedy statek wszedł w atmosferę, przełączył go na autopilota i pobiegł do luku, sprawdzić, co się dzieje z Aryn.



Vrath wetknął do kabury ciepłą jeszcze broń, przyglądając się, jak statek Zeerida wznosi się na nocne niebo nad Vultą. Jonowe silniki pojazdu rozbłysły niebieską poświatą i frachtowiec wystrzelił w ciemność, włączając się do nocnego ruchu powietrznego.

Vrath zaklął, rozglądając się po bałaganie w miejscu zasadzki; dwójka jego ludzi nie żyła, jeden był ranny, nadciągali właśnie zarządcy portu, a on nie dość, że nie przejął, to nawet nie zniszczył ładunku z syntprzyprawą.

Huttowie nie będą zachwyceni.

Setki twarzy wpatrywało się w nich przez transpastalowe okna portu kosmicznego. Za gapiami ujrzał roboty ochrony i ubranych w niebieskie mundury oficerów ochrony, pędzących wzdłuż ruchomych chodników. Niektórzy z gapiów odwrócili się w stronę oficerów, wskazując palcami Vratha i jego ludzi. Z oddali słyhać było wycie syren.

– Czas znikać, szefie – odezwał się Deron.

Vrath skinął głową. Nie miał ochoty zostawiać martwych ciał kolegów, wiedział jednak, że ich tożsamość nic nie powie zarządcom portu. Wszyscy przeszli kilkakrotnie chirurgiczną przemianę. Ich obecny wygląd nie mógł naprowadzić nikogo

na ślad Huttów.

Keene posadził śmigacz na platformie lądowniczej. Vraith, Deron i Lom wskoczyli na pokład.

– Ruszaj – rozkazał Vraith.

Keene podniósł maszynę i aktywował przyspieszenie. Wiatr szalał nad ich głowami. Keene, prowadząc śmigacz nisko, wmieszał się w powietrzny ruch w samym sercu Yinta Lake. Vraith sprawdził, czy są śledzeni, ale nikogo nie dostrzegł.

– Jesteśmy bezpieczni – oświadczył.

Keene zwolnił i zmienił kurs, kierując się ku kryjówce.

Lom zaczął kląć i skończył dopiero po trzech minutach. Dopiero wtedy odezwał się Deron:

– Huttowie nie wspominali nic o Jedi.

– Nie, nie wspominali – potwierdził Vraith, choć wątpił, aby jego kontakt z Huttami coś o tym wiedział.

– Co Jedi robi z przemytnikiem przyprawy? – zdziwił się Deron.

Vraith pokręcił głową, sam się nad tym zastanawiając. Obecność Jedi nie miała sensu, chyba że...

– Może Jedi chcą zainstalować agenta na Coruscant i korzystają z usług przemytnika, aby się tam dostać.

Daron prychnął, niezbyt przekonany tym wyjaśnieniem.

– A w jaki sposób zamierzają się przedrzeć przez imperialną blokadę? Ten przemytnik nie wskoczy przecież do imperialnego krążownika.

– Nie – zgodził się Vraith, nadal pogrążony w zadumie. – Nie wskoczy. Ale Zeerid na pewno ma jakiś pomysł. Przyprawa musi dotrzeć na Coruscant, i to szybko.

– Racja.

Vraith podjął decyzję.

– Keene, zawieź mnie do „Brzytwy”.

– Po co? Co chcesz zrobić? – zdziwił się Deron.

– Polecę do imperialnego krążownika.

– Co?

Vraith nie marnował czasu na dalsze wyjaśnienia. Zarząd portu będzie ich szukał, gdy już wideonagrania z bitwy na terenie portu zostaną przeanalizowane. Możliwe, że Kantor też otrzymał już te nagrania. Wtedy ludzie Kantoru rzucą się w pościg za Vraithem i jego grupą.

– Udajcie się na swoje statki i opuście planetę – rozkazał. Statki jego towarzyszy stały w zaroślach poza granicami Yinta Lake, gdzie wylądowały bez rejestrowania się w planetarnej kontroli.

– Spotkamy się za trzy standardowe dni w naszym stałym miejscu na Ord Mantell.

Vraith postanowił wykorzystać jeszcze jedną szansę na powstrzymanie przesyłki z

syntprzyprawą.



Zeerid spotkał Aryn w korytarzu, gdy, utykając, szła do kabiny.

– Uciekliśmy im – oświadczył. – I wydaje się, że jesteśmy bezpieczni. Na skanerach mam tylko zwykły ruch powietrzny.

– To dobrze. I co teraz?

– Teraz lecimy na Coruscant.

– Jak się przedostaniemy przez imperialną blokadę? – spytała.

– Och, cóż... to skomplikowane. Może najpierw zajmij się nogą.

– A czemu ty nie zajmiesz się ręką?

– Chcę najpierw sprawdzić ładunek. Nie musisz mi towarzyszyć.

– To dobrze.

Zeerid kiwnął głową.

– Do luku medycznego musisz iść prosto i potem skręcić w prawo.

Aryn się uśmiechnęła.

– Kolto na rany.

– Kolto na rany – powtórzył żołnierskie powiedzenie, dotyczące medycznej opieki na polu bitwy. – W kambuzie jest jedzenie – dodał. – Głównie proteinowe batony i suplementy z glukozą. Poczęstuj się.

– Nadal jadasz jak żołnierz.

– Wiele rzeczy robię nadal jak żołnierz.

Tylko nie te najważniejsze.

Aryn odeszła, a on ruszył w stronę ładowni. Wszedł i ostrożnie zbliżył się do skrzyń, jakby miał do czynienia z łatwymi do spłoszenia zwierzętami. Skrzynie były nieduże, najwyżej jednometrowe, i zajmowały niewiele miejsca w pustym poza tym luku. Nie wiedział, czego się spodziewał. Prawdopodobnie czegoś większego. Ładunek przysparzał zbyt wielu kłopotów jak na swoje małe gabaryty. Przesunął ręką po skrzyniach i postanowił, że jednak nie chce oglądać przyprawy. Wrócił do kabiny, aby przejąć sterowanie statkiem. Sygnał przywoławczy Orena już migotał. Zeerid włączył komunikator.

– Gadaj – powiedział.

– Nasi hakerzy mają nagranie z portu. Widziałem całe zajście.

– Zajście? Postrzelili mnie. Dwukrotnie.

– Nazwisko przywódcy grupy uderzeniowej, uzyskane na podstawie rozpoznania twarzy, brzmi Vraith Xizor. – Oren zachichotał. – Podobno jest nauczycielem szkoły

podstawowej z Core.

– Możemy chyba spokojnie założyć, że to fałszywe dane. Kim on jest naprawdę, Oren?

– Naszym zdaniem, wolnym strzelcem. Prawdopodobnie pracuje dla Huttów. Huttowie nie życzą sobie, żeby syntprzyprawa dotarła na Coruscant. Mają... na pieńku z naszym klientem.

Huttowie. Wychodzi na to, że mieszają się do wszystkiego.

– Masz tylko to? – spytał Zeerid.

– Tylko. Jak zamierzasz dostarczyć przyprawę na Coruscant, Zet?

– Uważaj, bo ci powiem, Oren. Macie przeciek w organizacji. Dostarczę przyprawę. Tylko tyle musisz wiedzieć.

Oren znów zachichotał.

– Do zobaczenia, Zet.

Stojąca za plecami Zeerida Aryn odchrząknęła. Zeerid nie potrafił się zmusić do spojrzenia jej w oczy, zaczął więc wklepywać współrzędne do nawigacyjnego komputera, a Aryn opadła w fotel drugiego pilota. Już dawno nie dzielił z kimś kabiny. Zauważył, że Aryn obandażowała łydkę.

– Ładnie ci z tym opatrunkiem – zażartował.

– Dzięki. – Aryn zerknęła na obliczenia w komputerze nawigacyjnym. – Te współrzędne nie zaprowadzą nas na Coruscant.

– Nie – zgodził się. – Zabiorą nas do układu Kravos.

– Przecież to martwy układ – zauważyła. – Na obrzeżach imperialnej przestrzeni.

Skinął głową.

– Konwoje dostawcze zatrzymują się tam, by zebrać wodór z gazowych olbrzymów.

– Nie rozumiem. Na czym polega twój plan dotarcia na Coruscant?

– Myślałem, że to ty masz jakiś plan – odparł.

– Słucham?

Uśmiechnął się.

– Żartuję.

– To nie jest śmieszne. Mów, jaki masz plan, Zeerid.

– Jest niebezpieczny – powiedział.

Aryn nie wyglądała na przejętą. Czekała na wyjaśnienia, przez iluminator kabiny przyglądała się aksamitnej przestrzeni, przez którą lecieli. Zeerid podjął wyzwanie.

– Mam zamiar podłączyć się „Tłuściochem” do statku Imperium.

– Co to dokładnie znaczy?

– To, co mówię. Słyszałem o czymś takim w szkole latania, jeszcze gdy byłem na służbie.

– Słyszałeś o czymś takim?

Zeerid kontynuował, jakby Aryn nic nie powiedziała:

– Wieki temu szmuglerzy mieli zwyczaj wskakiwać do nadprzestrzeni i wyskakiwać z niej milisekundy za statkiem Republiki, powiedzmy za jakąś dużą jednostką dostawczą lecącą na Coruscant. Przemysłnik wychodzi z nadprzestrzeni i wyłącza wszystkie silniki oprócz manewrowych.

Aryn zadumała się nad tym, co usłyszała.

– Taki przyczajony statek trudno wykryć czujnikami.

– Owszem, ale tylko wtedy, gdy wychodzi się z nadprzestrzeni w cieniu statku dostawczego. I gdy natychmiast wyłączy się silniki.

– Trzeba wiedzieć, w którym dokładnie punkcie statki dostawcze się wyłonią.

– Szmuglerzy wiedzieli to w tamtych czasach, a my wiemy to teraz.

Zeerid znał każdy szczegół dotyczący nadprzestrzennych szlaków Core. Gdyby wiedział, w którym miejscu statek imperialny wejdzie w nadprzestrzeń i znał cel jego podróży, wiedziałby, w jakim punkcie statek wyłoni się z nadprzestrzeni.

– A potem co?

– Potem się doczepiasz.

Oczy Aryn zrobiły się wielkie jak oczy Rodianki.

– Doczepiasz się?

– Za pomocą elektromagnetycznej plomby. Ta część to łatwizna.

– Załoga statku dostawczego to wyczuje.

Zeerid skinął głową.

– Dlatego to musi być duży statek i trzeba się podłączyć do przedziału ładunkowego lub czegoś podobnego. Czegoś, co może być puste w środku. Później, po przejściu atmosfery, dezaktywuje się plombę i odlatuje w czyste niebo.

Brzmiało to niedorzecznie, gdy mówił o tym głośno. Sam nie mógł uwierzyć, że się nad czymś takim zastanawia.

Aryn westchnęła i znów spojrzała w iluminator kabiny.

– To jest ten twój plan?

– Tak. Masz lepszy?

– Czy ktoś to kiedykolwiek wykonał?

– Nikt, kogo bym znał. Kiedy Republika dowiedziała się o tym procederze, dostosowała skanery sensoryczne, by wyszukiwały doczepione statki. Od wieków nikt tego nie próbował.

– Ale Imperium nie będzie wiedziało, że to zrobiliśmy?

– Taką mam nadzieję.

Starał się nie widzieć wyrazu powątpiewania w oczach Aryn, chociaż było odbiciem jego zwątpienia.

– To mój jedyny pomysł, Aryn. Albo to, albo nic.

Aryn wpatrywała się w przestrzeń za oknem kabiny, a w jej zielonych oczach widać

było intensywny namysł.

„Tłuscioch” prawie kończył przelot przez studnię grawitacyjną.

– Jest jeszcze czas, żebym cię gdzieś podrzucił – odezwał się Zeerid, mając w duchu nadzieję, że przyjaciółka nie skorzysta z propozycji. – Nie musisz ze mną lecieć.

Aryn się uśmiechnęła.

– Mam tylko to, Zet.

– No to dobrana z nas para.

Aryn parsknęła śmiechem, który jednak szybko się urwał.

– Aryn? Wszystko w porządku?

– Mam wrażenie, jakbym opuściła Alderaan całe wieki temu, a przecież minęło tylko kilka godzin – wyznała.

– Wiele się może zdarzyć w ciągu kilku godzin – zauważył.

Skinęła głową i odpłynęła w zadumę.

– Aryn?

Wróciła do niego z miejsca, w którym przebywała.

– Jestem z tobą – zapewniła. – I chyba mogę ci pomóc przeprowadzić tę akcję z sukcesem.

ROZDZIAŁ 8

Vrath włączył komputer nawigacyjny „Brzytwy”, który wygenerował kurs na Coruscant. Nawet jeśli Zeerid natychmiast umknął w nadprzestrzeń – w co Vrath wątpił – zmodyfikowany imperialny statek dostawczy Vrata i tak by prześcignął „Tłuściocha” i dotarł na Coruscant szybciej. Vrath ze względu na swoje zajęcia musiał dużo podróżować. Jego „Brzytwa” miała najlepszy hipernapęd, jaki można kupić za kredyty.

Gdy komputer pokładowy zakończył przeprowadzać wyliczenia, uaktywnił hipernapęd i statek wystrzelił w nadprzestrzeń. Potem przygasił światła w kabinie i wbił wzrok w zamontowany na grodzi chronometr, odliczając sekundy i minuty. Po jakimś czasie odłączył hipernapęd i czerń kosmosu zastąpiła błękitny wir nadprzestrzeni. W oddali na tle ciemności połyskiwała dzienna strona Coruscant.

Planeta, którą w całości pokrywały durabeton i metal, nieodmiennie kojarzyła się Vrathowi z gigantycznym kołem zębatym, sprężyną napędową Republiki. Zastanawiał się, co się stanie z Republiką teraz, gdy sprężyna uległa zniszczeniu.

Przez moment pozwolił sobie na nostalgiczne wspomnienia z czasów służby w Armii Imperialnej, gdy z odległości trzystu metrów zamieniał żołnierzy Republiki w szmaciane lalki. Zanim go wyrzucono ze służby, miał na koncie pięćdziesiąt trzy potwierdzone zabójstwa i żadnego nie żałował. Nienawidził służby, nie licząc zabijania i tego, jak się czuł po wygranej bitwie. Wyobrażał sobie, jak muszą się czuć wojska imperialne, chodząc po powierzchni Coruscant w roli zwycięzców, i jak czuła się flota, przejmując teren powietrzny, otaczający klejnot Republiki.

Nawet z oddali Vrath widział strzeliste kształty dwóch imperialnych krążowników, patrolujących ciemną przestrzeń wokół Coruscant. Trzeci okrążał księżyc. Zazwyczaj wokół planety kołowała również flotylla satelitów, ale Vrath żadnego nie zauważył. Możliwe, że Imperium zniszczyło satelity w celu wymuszenia blokady komunikacyjnej na planecie.

Dwa z mniej więcej tuzina myśliwców eskortujących najbliższy krążownik – nowe, udoskonalone myśliwce przechwytyjące Mk.VII – oderwały się od krążownika i pospieszyły ku jego statkowi. Vrath sprawdził, czy systemy obronne „Brzytwy” są wyłączone, i otworzył kanał komunikacyjny. Zanim zdążył odjąć dłoń od panelu kontrolnego, flota już się z nim połączyła.

– Niezidentyfikowana jednostko – odezwał się ostry głos, brzmiący jak głos każdego imperialnego oficera łączności, jakich Vrath słyszał w trakcie służby w

korpusie. – Znajdujesz się na zamkniętej przestrzeni. Wyłącz silniki i tarcze deflektora, a potem przygotuj się do procedury holowania. Wszelkie odstępstwa od podanej instrukcji zakończą się natychmiastowym zniszczeniem jednostki.

Vrath w to nie wątpił.

– Wiadomość przyjęta. Zastosuję się. – Wyłączył silniki i dezaktywował osłony. – Muszę porozmawiać z głównodowodzącym. Mam informacje, które mogą zainteresować Imperium.

Myśliwce z hukiem podleciały do statku. Jeden z nich zrobił pętlę wokół „Brzytwy” i pod jej podbrzuszem. Potem wyłonił się na przedzie i aktywował elektromagnetyczny holownik. Między dwoma statkami uformowała się fosforyzująca niebieska linia, po czym Mk.VII zaczął ciągnąć za sobą „Brzytwę”. Drugi myśliwiec trzymał się za nią, by móc ją zestrzelić, w razie gdyby okazało się to konieczne. Przed nimi zamajaczył tunel przesła lądowniczego krążownika.



Myśliwiec przeciągnął statek Vrata przez gardziel przesła aż do lądowiska, gdzie oczekiwało na nich dwa tuziny żołnierzy w szarych bojowych pancerzach, z wysokim rudowłosym oficerem marynarki na czele. Vrath skinął im głową przez osłonę kabiny, odpiął uprząż, pozbył się dwóch blasterów i noży, po czym ruszył do wyjścia.

Gdy rampa „Brzytwy” uderzyła ze szczękiem w metalowy pokład krążownika, Vrath przekonał się, że stoi na wprost martwych oczu czternastu karabinów blasterowych typu TH-17.

– Sprawdzić go – rozkazał oficer.

Dwóch uzbrojonych żołnierzy zarzuciło broń na ramię i podeszło do Vrata. Nie protestował, gdy pierwszy z nich założył mu elastyczne kajdanki na nadgarstki, a drugi go zrewidował.

– Nie jest uzbrojony – oświadczył żołnierz mechanicznym głosem, zmienionym przez głośniki hełmu.

– Przeszukajcie statek – polecił oficer floty. – Chcę zobaczyć rejestry lotu.

– Tak jest – potwierdzili komendę żołnierze, po czym siedmiu z nich weszło na statek, aby go przeszukać.

– Na pokładzie nie ma nic interesującego – zapewnił Vrath. – Przybywam z Vulty i właśnie takie dane znajdziecie w rejestrach.

Oficer floty przywołał na usta sztuczny uśmiezek, po czym podeszedł do Vrata. Jego nieskazitelny mundur pachniał świeżością, a piegi na bladej twarzy wyglądały jak dzioby po ospie.

Vrath mógłby go zabić jednym kopniakiem w tchawicę, uznał jednak, że nie byłoby to rozsądne.

– Nazywam się komandor Jard i jestem pierwszym oficerem na imperialnym krążowniku „Waleczny”. Aresztuję pana za przekroczenie zamkniętej przestrzeni powietrznej. To, czy w ramach kary zostanie pan stracony, czy tylko uwięziony, zależy wyłącznie od mojego uznania oraz od tego, czy usatysfakcjonują mnie pańskie odpowiedzi na pytania, jakie panu zadam.

– Rozumiem.

– Jak się pan nazywa i skąd pan przybywa?

Vrath ledwie pamiętał imię, jakie nadała mu matka, dlatego podał to, którego używał ostatnio w pracy.

– Nazywam się Vrath Xizor i jak wspomniałem, przylatuję prosto z Vulty.

– Co pana tu sprowadza, panie Xizor?

– Mam informacje, które mogą zainteresować Imperium.

Oficer przechylił głowę na bok.

– Czy jest pan wojskowym, panie Xizor?

– Byłem wojskowym. Oddział specjalny wydzielony z Czterysta Trzeciej Brygady. Kompania E.

– Imperialny snajper?

Vrath był pod wrażeniem, że Jard wiedział, o jaki oddział chodzi.

– Cóż, Vracie Xizorze z Czterysta Trzeciej. Spokojnie może pan swoje informacje przekazać mnie.

– Wolałbym porozmawiać bezpośrednio z kapitanem.

– Darth Malgus nie...

– Darth? Dowódcą jest Sith?

Jard obrzucił Vrata ostrym spojrzeniem.

– Jestem pewien, że Darth Malgus będzie chciał wysłuchać tego, co mam do powiedzenia – zapewnił Vrath. – Sprawa dotyczy Jedi.

Jard przyglądał się mu uważnie.

– Zamknijcie go w areszcie – zwrócił się do żołnierza, stojącego za Vratem. – Jeśli Darth Malgus będzie chciał z panem porozmawiać, uczyni to.

– Popełnia pan błąd...

– Zamknij się – warknął jeden z żołnierzy i trzepnął Vrata po głowie.

Trzech szturmowców zaprowadziło go z sektora lądowisk do pobliskiej windy. Vrath nie stawiał oporu. Minęły lata od ostatniego razu, gdy przebywał na imperialnym statku; te jednak zupełnie się nie zmieniły i nadal wyglądały jak aseptyczne, wybitnie funkcjonalne maszyny do zabijania.

Zupełnie jak on.

– Ten gość tutaj to snajper z oddziału specjalnego Czterysta Trójki – poinformował

jeden żołnierz drugiego.

– Albo tylko tak twierdzi.

– Mówicie poważnie? – spytał kolejny żołnierz. – Słyszałem różne plotki o tym oddziale.

Vrath milczał, wpatrując się w przyciemnioną szparę w osłonie hełmu żołnierza.

– Podobno służący w nim ludzie to coś w rodzaju supermanów.

Żołnierz, który ścisnął ramię Vratha, potrząsnął nim.

– Ten tu nie wygląda szczególnie groźnie.

Vrath tylko się uśmiechnął. Nie przypominał supermana z rozmysłem.

Żołnierze poprowadzili go dalej w głąb wnętrza statku. Korytarze zrobiły się tu węższe, a przy drzwiach, otwierających się tylko po wbiciu odpowiednich kodów, zaczęły się pojawiać członkowie personelu ochrony w niebieskich mundurach. Vrath nieraz lądował w imperialnych aresztach, najczęściej z powodu niesubordynacji.

Zanim dotarli do mostka, jeden z żołnierzy – ten, który miał na ramieniu plakietkę sierżanta – podniósł rękę, nakazując reszcie, by się zatrzymali. Z przechyloną na bok głową wsłuchiwał się w głośnik hełmu, popatrując jednocześnie na Vratha.

– Tak jest – powiedział do tego, z kim rozmawiał, po czym zwrócił się do swoich ludzi: – Darth Malgus rozkazał przyprowadzić go na mostek.

Trzej żołnierze obrzucili się zdziwionymi spojrzeniami i zmienili kurs.

– Masz farta, Czterysta Trzeci – mruknął żołnierz trzymający Vratha.

Ten szybkim i niespodziewanym ruchem kopnął żołnierza przed nim w pancerz na piersiach, posyłając go na sierżanta, razem z którym żołnierz gruchnął ciężko o ścianę. Potem Vrath okręcił się gwałtownie w stronę trzeciego żołnierza; zarzucił mu na głowę zakute w kajdanki ręce i zacisnął te kajdanki pod pierścieniem szyjnym hełmu – nie po to, by udusić żołnierza, ale żeby dać mu nauczkę.

Z głośników hełmu wydobywało się zduszone sapanie szturmowca, a jego palce wpijały się w ramiona Vratha. Duszony mężczyzna widział już prawdopodobnie czarne plamy przed oczami.

Vrath puścił nieszczęśnika i odepchnął od siebie. Całe zajście zajęło najwyżej cztery sekundy. Dwaj żołnierze, których rzucił na ścianę, stali teraz z karabinami wycelowanymi w jego głowę.

Vrath wyciągnął do nich ręce.

– Nie wyglądam specjalnie groźnie, co? – mruknął.



„Tłuścioch” wyskoczył z nadprzestrzeni w systemie Kravos. Zeerid natychmiast

włączył silniki jonowe i wpłynął frachtowcem do zaśmieconego układu.

Szczątki częściowo rozproszonego dysku akrecyjnego, otaczającego gwiazdę systemu, wypełniały ciemność zjonizowanym gazem i odpadami. Dziwnym trafem ewolucja układu słonecznego doprowadziła do powstania pomarańczowego gazowego olbrzyma, który potem uformował kilkaset tysięcy kilogramów materii na najdalszej granicy dysku.

Zeerid prowadził „Tłuszciocha” przez to kłębowisko, zręcznie wymijając asteroidy i mniejsze cząsteczki. Wyniósł statek na koniec dysku i zawisł w przestrzeni, mimo że wystawiało to na próbę jego zdolności pilotażu.

– I co teraz? – spytała Aryn.

– Czekamy. A kiedy zjawi się imperialny konwój zmierzający na Coruscant, zaryzykujemy.

– Skąd będziemy wiedzieli, że konwój leci na Coruscant?

– Ściśle rzecz biorąc, nie będziemy tego wiedzieli, ale regulamin Imperialnej Floty nakazuje, by każdy konwój udający się do okupowanych światów miał eskortę składającą się z co najmniej trzech fregat. Jeśli coś takiego zobaczymy, będzie to znaczyło, że konwój prawdopodobnie leci na Coruscant.

– A jeśli nic takiego się nie pojawi?

Zeerid wolał nie rozważać takiej opcji.

– Pojawi się.

– A co, jeżeli się mylisz? Jeśli konwój nie będzie zmierzał na Coruscant?

– Wtedy skoczy tam, dokąd ma skoczyć, a my skoczymy na Coruscant zupełnie nadzy, w zasięgu ognia Imperialnej Floty. Nie jesteś chyba przesadnie wstydliva, co?

Uśmiechem próbował pokazać, że jest pełen wiary w przyszłość, choć wcale tak się nie czuł.

Aryn pokręciła tylko głową i wlepiła wzrok w gazowego olbrzyma.

Potem czekali. Przed nimi przepłynął transport medyczny, ale Zeerid go zignorował. Jakiś czas później pojawił się pojedynczy krążownik, oni jednak nadal czekali. Po kilku godzinach przyrzędy pokładowe zarejestrowały wystąpienie kolejnego nadprzestrzennego zakłócenia.

Pojawił się konwój – trzy dostawcze superkrążowniki i cztery najeżone bronią fregaty.

– To nasza podwózka – rzekł Zeerid. – Jesteś gotowa?

– Jestem – potwierdziła Aryn.



Drzwi windy rozsunęły się, odsłaniając krótki korytarz, wiodący do podwójnych drzwi prowadzących na mostek krążownika. Niedaleko windy stało dwóch żołnierzy, czekających na przybycie Vratha. Dwaj kolejni ustawili się na końcu korytarza, tuż przed wejściem na mostek.

Trzej szturmowcy, którzy odeskortowali Zeerida do windy, przekazali go żołnierzom stojącym w korytarzu.

– Jest niebezpieczny – przestrzegł sierżant. – Uważajcie na niego.

– Tak jest, proszę pana – odpowiedzieli żołnierze w korytarzu. Wyraz ich twarzy zasłoniętych hełmami był zagadką. Nie dotykając Vratha, ustawili się po jego bokach i zaprowadzili go na mostek. Podwójne drzwi otworzyły się, pokazując słabo oświetlone, wielopoziomowe, owalne pomieszczenie.

Na jego środku, na niewysokiej platformie, znajdował się obrotowy fotel dowódcy, obok którego, opierając się ręką o podłokietnik, stał komandor Jard, zajęty rozmową z mężczyzną siedzącym w fotelu. Jard zerknął w stronę Vratha i powiedział coś do swojego rozmówcy, którym, jak Vraith się domyślał, był Darth Malgus. Vraith uruchomił audioimplant, by dosłyszeć wymianę zdań.

– Lordzie Malgusie – odezwał się Jard. – Zjawił się więzień, o którym mówiłem.

Malgus zwrócił wzrok na Vratha, który pod ciężarem tego spojrzenia utracił nagle cały dobry humor wywołany popisem przed żołnierzami. Malgus wstał i podszedł do Vratha. Wzrostu miał co najmniej dwa metry, a jego czarna peleryna wyglądała jak wielki namiot.

Idąc, nie spuszczał oczu z Vratha. Twarz znaczyły mu blizny, a łysy czubek głowy przecinała sieć niebieskich żyłek. Malgus był tak blady, że przypominał trupa. Usta zakrywał mu mały respirator. Ale to przede wszystkim wyraz jego oczu tak bardzo onieśmielił Vratha. Z jego oczu emanowały energia i siła.

Zwolnił żołnierzy pilnujących Vratha, machnął dłonią i wykorzystując Moc, rozpiął kajdanki na nadgarstkach więźnia. Kajdanki opadły na posadzkę mostka z głuchym brzękiem.

– Mówiłeś komandorowi Jardowi o jakimś Jedi. – Głos Malgusa, niski i ostry, brzmiał jak ocierające się o siebie kamienie.

– To... prawda, Lordzie Malgusie. – Słowa wyrwały się z ust Vratha pod wpływem samej bliskości Sitha.

– Wyjaśnij.

Vraith, choć sam był tym zaskoczony, z trudem mógł zebrać myśli.

– Do Coruscant zmierza frachtowiec z Jedi na pokładzie.

– Tylko jednym?

– O ile wiem, tak – odparł, kiwając głową. – To kobieta, powiedziałbym, że mniej więcej trzydziestoletnia. Długie, jasnobrązowe włosy. Leci z mężczyzną, który nazywa się Zeerid Korr. Na ile się orientuję, stanowią całą załogę statku.

– Skąd wiesz, że ta kobieta to Jedi?

Vrath poczuł, że lodowacieje. Musiał całą siłą woli zapanować nad głosem.

– Widziałem, jak używała zielonego miecza świetlnego i jak korzystała z Mocy. – Podniósł ręce, aby pokazać nadgarstki, nadal czerwone od kajdanek, od których Malgus go uwolnił. – Zrobiła coś podobnego jak to, co ty uczyniłeś z kajdankami, Lordzie Malgusie.

Malgus zrobił pół kroku w stronę Vrata, a ten natychmiast poczuł się przytłoczony.

– Powiedz mi zatem, Vracie Xizorze, co jeszcze znajduje się na pokładzie statku i w jakim celu oraz kiedy przybędzie on na Coruscant?

Vrath uderzył plecami w drzwi za sobą. Miał ochotę skłamać, lecz brakowało mu śmiałości.

– Syntprzyprawa, panie. Statek wiezie syntprzyprawę.

W głębinach oczu Malgusa ujrzał zrozumienie, wyciągnięcie wniosków i formujące się kolejne pytania.

– Ten Zeerid Korr jest przemytnikiem?

– Zgadza się.

– Czemu Jedi miałyby się zadawać ze szmuglerem, Vracie Xizor?

– Nie... nie wiem, Lordzie Malgusie.

– A ty? – Malgus złowieszczo górował nad Vratem: czarne oczy, czarna zbroja, czarna Moc. – Też zajmujesz się przemytem przyprawy? Może jesteś konkurentem tego Korra?

Kłamstwo wypłynęło z ust Vrata, zanim zdrowy rozsądek zdążył go powstrzymać.

– Nie, nie... jestem byłym żołnierzem Imperium. Snajperem. Ja tylko... ja tylko dbam o dobro Imperium, Lordzie Malgusie.

Malgus głośno nabrał powietrza i zaraz je wypuścił. Jego mechaniczny głos zabrzmiał tonem zawodu.

– Kiepsko kłamiesz. Jesteś przemytnikiem z konkurencji lub zabójcą na usługach jednego z syndykatów szmuglujących przyprawę.

Vrath nie miał odwagi zaprzeczyć. Stał przed Malgusem zeszywniały ze strachu, przyszpilony jego spojrzeniem.

– Kiedy ten frachtowiec ma się tu pojawić? – spytał Sith. – I jak zamierza się przedrzeć przez blokadę?

Vrath poczuł, że zaschło mu w ustach, więc odchrząknął, by oczyścić gardło.

– Frachtowiec nadleci już wkrótce. Dzisiaj. Musi.

– Ze względu na przyprawę?

Vrath nie mógł spojrzeć rozmówcy w oczy.

– Tak. Nie wiem, jak Zeerid zamierza ominąć blokadę, ale mam pewność, że będzie próbował.

Malgus przyglądał się mu przez dłuższą chwilę, która w odczuciu Vrata trwała całą wieczność.

– Zostaniesz na mostku, Vracie Xizorze. Jeśli frachtowiec i Jedi się pojawią, wybaczę ci nielegalne wkroczenie na zamkniętą przestrzeń. Może nawet wynagrodzę cię za twoje usługi. Ale jeśli statek się nie zjawi, pomyślę o... odpowiedniej karze dla przemytnika przyłapanego na zastrzeżonym terenie. Czy to, twoim zdaniem, nierozsądna decyzja?

Vrath zaczął się dławić.

– Ależ skąd, mój Lordzie.

– Wspaniale.

Malgus odwrócił się, a Vrath poczuł, że nagle łatwiej mu się oddycha. Malgus usiadł w fotelu dowódcy i zwrócił się do komandora Jarda.

– Komandorze, proszę wzmocnić obserwację obszaru. Mam być natychmiast informowany o każdym wybiegającym poza normę odczycie. I proszę wysłać oddział myśliwców, by monitorował wszystkie nadciągające jednostki.

– Większa część floty myśliwców ma już wyznaczone inne zadania, Lordzie Malgusie.

– W takim razie użyjcie wahadłowców.

– Tak jest, mój panie – odparł Jard.

Vrath wpatrywał się w monitory krążownika, mając nadzieję, że Zeerid z jakiejś przyczyny nie zrezygnował z kursu. Lub, co byłoby równie niekorzystne, że udało mu się już dotrzeć na Coruscant i prześliznąć przez blokadę.

Nigdy wcześniej nie czuł się tak bezbronny.



– Musimy skoczyć tuż za nimi, Aryn.

Aryn nie odpowiedziała. Pograżona w Mocy, płynęła na ciepłych falach linii, wiążących wszechświat w jedną całość. Jej świadomość rozszerzyła się, tak by mogła widzieć i czuć wszystko, co się działo w pobliżu. Skupiła się na percepcji upływu czasu. Najpierw na odczuciach, jakie się w niej budziły, gdy prześlizgiwała się przez czas, później na jego rozszerzeniu, na rozciąganiu aż do chwili, gdy mogła przebywać w milisekundzie, jakby ta trwała nawet całą minutę. W oczach Zeerida musiała wyglądać, jakby była niewyraźną, szybko poruszającą się plamą, istniejącą równocześnie w wielu miejscach. Ona zaś odnosiła wrażenie, że wszechświat nagle znieruchomiał. Uśmiechnęła się na widok chwil zawieszonych przed nią, składających się z rozciągniętych milisekund, podczas których mogła myśleć i działać. Jednak ten

wysiłek wystawiał na próbę jej umiejętności. Wiedziała, że nie zdoła długo utrzymać odmiennego stanu świadomości.

– Obserwuj skaner – polecił Zeerid, któremu wypowiedzenie tego zdania zajęło całą wieczność.

Aryn nie patrzyła jednak na skanery. Jej ciało reagowało szybciej niż maszyna. Wpatrywała się za to w monitor pokładowy. Statki imperialne zakończyły pobieranie wodoru i teraz formowały szyk odpowiedni do nadprzestrzennego skoku. Eskorta z fregat utworzyła wokół nich krąg.

Aryn się spięła.

– Formują szyk – doniósł Zeerid. Fale jego zdenerwowania uderzały w Aryn, ale ona odcinała się od nich, nie dopuszczając, by zakłóciły jej koncentrację.

Patrzyła i czekała, czekała...

Statki imperium, niczym jeden organizm, zaczęły się rozciągać i przez nanosekundę wszystkie wyglądały, jakby ich korpusy ciągnęły się w nieskończoność. Tylne silniki znajdowały się tysiące kilometrów od kadłuba „Tłuściocha”; sylwetki statków przenikały przestrzeń na niewyobrażalne odległości. Aryn wiedziała, że to złudzenie, sztuczka umysłu, która sprawiła, że moment wejścia statków w nadprzestrzeń zamarł przed jej oczami.

Aktywowała hipernapęd „Tłuściocha” i czerń kosmosu zamieniła się w błękit.

– Teraz, Aryn! Teraz! – zawołał Zeerid, stanowczo za późno.

„Tłuścioch” gnał już przed siebie.

Gdy przelatował przez nadprzestrzeń, Aryn nadal pozostawała zanurzona w Mocy. Nieznośne zazwyczaj wirowanie zwolniło do niemrawych obrotów i spiralnych pętli, a zapis kosmicznego scenariusza odsłonił się przed Aryn w postaci linii w barwach błękitu, turkusy, granatu i lawendy. Wyobraziła sobie, że te linie mogą coś znaczyć, że ma przed sobą jakieś objawienie, niedostępne jednak jej świadomemu umysłowi.

Po chwili utraciła poczucie zwolnionego czasu. Zeerid mówił coś, ale jego słowa, nierejestrowane przez świadomość, tylko się od niej odbijały. Po jakimś czasie coś jednak przeniknęło barierę zrozumienia.

– Wychodzimy, Aryn. Przygotuj się.

Przyglądała się, jak Zeerid w zwolnionym tempie zaciąga dźwignię uruchamiającą hipernapęd.

Przygotowała się teraz i w chwili, gdy błękit nadprzestrzeni zaczął blaknąć, przechodząc w czerń, wcisnęła serię przycisków i przełączników, wyłączając urządzenia „Tłuściocha” oprócz aparatury ratującej życie i silników manewrowych, i pozostawiając niewielki zapas mocy do utworzenia elektromagnetycznego połączenia.

Błękit znikł już całkiem, ustępując miejsca czerni kosmosu, a Aryn powróciła do normalnego trybu postrzegania.

– Włączam silniki manewrowe – poinformował Zeerid. – Dobra robota, Aryn.

Jej szata, przesiąknięta potem, kleiła się do ciała. Czuła się tak, jakby nie spała od wielu dni.

– Teraz dopiero będzie zabawnie – zapowiedział Zeerid.

Prowadzący konwój frachtowiec, pięć razy większy od „Tłuściocha”, przepłynął tuż przed nimi. Odskoczyli w krąg fregat i szybko wygasili całą moc, tak by fregaty nie zauważyły ich pojawienia się. Znajdowali się dokładnie pod jednym z frachtowców, jakiś kilometr lub mniej od jego podbrzusza.

W oddali widać było unoszącą się w kosmosie, pokrytą metalem i durabetonem kulę Coruscant. Reszta konwoju rozciągnęła się przed nimi. Jonowe silniki prowadzącego frachtowca zapłonęły ogniem i statek ruszył przed siebie.

– Nie tak szybko – mruknął Zeerid.

Włączył silniki manewrowe i „Tłuścioch” podpłynął do frachtowca na tyle blisko, że podbrzusze statku wypełniło im całe pole widzenia. Transportowiec zaczął się oddalać.

Zeerid znów włączył silniki manewrowe.

– Mam cię – rzucił, podpływając do luków ładunkowych frachtowca. Jego dłonie tańczyły nad przyciskami panelu kontrolnego, aktywując to jeden silnik manewrowy, to drugi – zmieniając kąt nachylenia statku, chciał, by w końcu „Tłuścioch” obrócił się tak, aby jego spodnia strona znalazła się przodem do płaskiej powierzchni imperialnego frachtowca. Gdy byli już wystarczająco blisko, Zeerid przekreślił przełącznik, by przy użyciu promienia systemu tarcz uformować pole elektromagnetyczne. Potem zgasił silniki manewrowe. – Przygotuj się – rzekł.

„Tłuścioch” przepłynął jeszcze kilkaset metrów, a potem pole elektromagnetyczne dokonało reszty, przyciągając ich mocno do imperialnego statku. Aryn nie poczuła nawet najmniejszego szarpnięcia.

– Miętko jak całus – mruknął Zeerid i odchylił się na oparcie fotela. Potem, szczerząc zęby i udając, że wcale nie jest zaskoczony, spojrzął na Aryn. – Zapraszam na przejażdżkę.



Malgusa zalała fala niepokoju, a w sercu poczuł irytujące ukłucie, zwiastujące bliską obecność użytkownika Jasnej Strony Mocy. Doznanie było zaskakująco podobne do tego, które mu towarzyszyło, gdy walczył z Mistrzem Zallowem w Świątyni. Trwało jednak zaledwie chwilę i zaraz się rozwiało, pozostawiając po sobie tylko mgliste odczucie w trzewiach.

– Wszystko w porządku, Lordzie Malgusie? – zapytał Jard.

Malgus machnął lekceważąco dłonią. Siedział w fotelu dowódcy i patrzył w monitor „Walecznego”, na którym w oddali pojawiły się srebrzystobiałe trójkąty imperialnego konwoju, wyłaniającego się właśnie z nadprzestrzeni.

– Powiększyć obraz konwoju – rozkazał i obraz zrobił się na tyle duży, że można było rozróżnić poszczególne statki: potężne frachtowce eskortowane przez o wiele mniejsze i zgrabniejsze wojskowe fregaty. Malgus nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego.

Jard monitorował przychodzącą transmisję i rejestr statków z pulpitu dowodzenia, przy którym stał.

– Wszystko wydaje się w porządku, Lordzie Malgusie.

Malgus przyjrzał się odczytom ze szczegółowymi danymi o konwoju na własnym pulpicie kontrolnym. Konwój przewoził artykuły medyczne, części zapasowe oraz kontyngent imperialnych szturmowców. Wszystko wyglądało idealnie.

– Konwój prosi o współrzędne lądowania, panie.

– Przekażcie mu je, ale niech wahadłowce nie spuszczaają z niego oka.

– Możemy opóźnić przyjęcie konwoju, jeśli uważa pan, że coś jest nie w porządku.

– Nie. Niech zapasy dotrą na powierzchnię, by można je było rozprowadzić.

– Tak jest, Lordzie Malgusie.



Aryn i Zeerid skulili się w swoich fotelach, nie odzywając się słowem, jakby cisza w kabinie mogła w jakiś sposób pomóc „Tłusciochowi” przejść blokadę. Od Zeerida bił niepokój, ale i podekscytowanie. Kąt, pod jakim „Tłuscioch” połączył się z frachtowcem, sprawiał, że ich pole widzenia było ograniczone do siedemdziesięciu, najwyżej osiemdziesięciu stopni. System pojawiał się i znikał z monitora, za każdym razem pokazywał się tylko niewielki jego skrawek. Konwój znajdował się na wektorze zbliżeniowym i poruszał z prędkością zmniejszoną mniej więcej do połowy. Aryn widziała końcówkę sterburty drugiego frachtowca, oddalonego od nich o jakieś piętnaście kilometrów.

– Czy ktoś może nas zobaczyć? – spytała, zniżając głos prawie do szeptu.

– Z takiej odległości nie – odparł Zeerid. – Wyglądamy jak przedłużenie linii statku. Odłączymy się od niego podczas wchodzenia w atmosferę. Ich sensory będą wtedy uspione, a my znikniemy, zanim ktokolwiek się zorientuje. Chyba nam się uda, Aryn.

Skinęła głową. Ona też tak uważała.

Sekundy wlokły się, przechodząc w minuty.

– Musimy być już blisko – zauważył Zeerid.

Jakiś ruch w okolicy ogona najbliższego frachtowca przyciągnął wzrok Aryn. Frachtowiec okrążał wolno mały stateczek o trzech skrzydłach; Aryn odgadła, że jest to imperialny wahadłowiec. Przyglądała się pojazdowi przez jakiś czas, nie przejmując się zbytnio aż do chwili, gdy pojawił się kolejny wahadłowiec, lecący pod brzuchem frachtowca.

– Co tu robią te wahadłowce? – spytała.

Zeerid zmarszczył czoło.

– Nie mam pojęcia.

Przyglądali się, jak statki przelatują metodycznie wzdłuż i w poprzek tylnej sekcji frachtowca.

– Sprawdzają powierzchnię frachtowca – powiedziała Aryn, czując, że niepokój Zeerida, który sam wreszcie sobie uświadomił, co się dzieje, znacząco wzrósł.

– Może doznał jakiegoś uszkodzenia w nadprzestrzeni – rzekł. – Możliwe, że wahadłowce tylko go sprawdzają.

– Możliwe – zgodziła się Aryn, wiedząc, że żadne z nich w to nie wierzy.

Zeerid chrząknięciem oczyścił gardło i potarł dłonią kark.

– Jeśli nas zauważą, uciekniemy w atmosferę i będziemy próbowali ukryć się pod nią... albo skoczymy w nadprzestrzeń.

– Muszę się dostać na planetę.

Zeerid skinął głową.

– Ja też, a to znaczy, że jesteśmy jednomyślni. Uciekamy w atmosferę.



Malgus siedział w fotelu i przyglądał się, jak jego wahadłowce prześlizgują się wokół frachtowców, niczym piaszkowe muchy krążące dokoła banth. Żaden nie doniósł, że zauważył coś niezwykłego.

Jeden z niższych rangą oficerów, monitorujący skanery, przywołał do nich komandora Jarda. Po krótkiej wymianie zdań Jard powrócił do swojego pulpitu dowodzenia blisko Malgusa.

– O co chodziło? – spytał Sith.

– O nieprawidłowe odczyty dochodzące od „Dromo” – wyjaśnił Jard. – Jakaś niezwykła magnetyczna sygnatura.

Malgus zauważył, że Vraith się spiął i nachylił ku monitorom.

– Zatrzymaj ich i wyślij tam wahadłowiec.

– Mój panie, to mogą być tylko jakieś zakłócenia w silniku lub skanerach.

Malgus miał odmienne zdanie.

– Proszę wykonać polecenie, komandorze.

Jard przełączył „Dromo” na bezpośredni kanał.

– Frachtowiec „Dromo”, natychmiast się zatrzymajcie.

Odciał połączenie, zanim kapitan zdążył zaprotestować, i od razu wysłał wahadłowce.

– Jeśli coś się dzieje – rzekł – wkrótce się o tym przekonamy.



Aryn i Zeerid patrzyli, jak jeden, a potem drugi wahadłowiec odrywa się od pobliskiego frachtowca i zmierza w ich stronę. Zeerid zaklął, widząc, że frachtowiec zaczyna zwalniać.

– Zatrzymujemy się? – spytała Aryn.

Zeerid skinął głową i zwilżył językiem wargi.

– Chyba musimy uruchomić silniki. Nie chcę, aby statek był zimny, gdy nas zauważą.

– Jeśli odpalisz silniki, skanery nas wykryją.

– I bez tego się tak stanie. Te wahadłowce zbliżają się do nas. Odpalmy silniki i znikajmy stąd. Gotowa?

Aryn cały czas patrzyła, jak wahadłowce zmniejszają odległość między nimi. Skinęła głową.

– Gotowa.

Zeerid wcisnął na panelu kontrolnym kilka przycisków i „Tłuscioch” obudził się do życia.



Oficer łączności okręcił się na swoim fotelu.

– Panie, zabezpieczona tajna wiadomość od Dartha Angrala. Czy mam połączyć?

– Co znalazły wahadłowce? – zapytał Malgus Jarda.

– Nie dotarły jeszcze na miejsce, mój Lordzie.

Vrath przechylił głowę, jakby lepiej słyszał drugim uchem.

– Anomalie w odczytach pojawiły się i zniknęły – poinformował oficer monitorujący skaner.

– Zniknęły? – zdziwił się Jarda.

- Ale mam coś innego – dodał oficer.
- Lordzie Malgusie – odezwał się znów oficer łączności. – Darth Angral nalega, żebym go połączył.
- Zrób to – rzucił poirytowanym głosem Malgus i wcisnął guzik połączenia. Włożył do ucha bezprzewodową słuchawkę, by tylko on mógł słyszeć rozmówcę.
- O co chodzi, panie?
- Na łączach zabrzmiał gładki głos Dartha Angrala.
- Lordzie Malgusie, jak panu idzie patrolowanie?
- Jestem akurat zajęty pewną sprawą, panie. Bardzo proszę, aby mówił pan krótko. Zanim Angral zdążył odpowiedzieć, odezwał się oficer od skanerów:
- To silniki, panie. Myślę, że w cieniu „Dromo” ukrywa się jakiś statek.
- Mamy ich! – ucieszył się Malgus. – To oni!
- Powiadomcie wahadłowce – zarządził Jard. – Natychmiast.



- Silniki gotowe do odpalenia – poinformował Zeerid.
- Wahadłowce, które znajdowały się w odległości kilometra lub dwóch, albo ich dostrzegły, albo zostały powiadomione o ich obecności. Jeden skrzył w lewo, drugi w prawo. Silniki manewrowe „Tłuściocha” odepchnęły statek od frachtowca. Zeerid uruchomił napęd jonowy i „Tłuścioch” wystrzelił w przestrzeń między dwoma wahadłowcami. Wyciągając całą moc z silników, skierował się ku następnemu frachtowcowi.
- Aryn nieraz latała z Zeeridem, ale już zapomniała, z jakim instynktownym wyczuciem potrafi pilotować statek. Wydawało się, że rzadko odwołuje się do przyrządów kontrolnych, polegając raczej na intuicji, doświadczeniu i wyrobionych odruchach.
- Przypominało to latanie przy udziale Mocy, tyle że bez niej.
- „Tłuścioch”, wykonując spiralny obrót, zbliżył się do najbliższego frachtowca i pomknął wzdłuż linii jego boku.
- Możesz mnie uściskać – mruknął Zeerid.
- Aryn chwyciła się podłokietników fotela, spodziewając się, że w każdym momencie niebo przeszyją czerwone strugi plazmy wystrzelonej z działek frachtowców. Spojrzała na skaner. Myśliwców też jeszcze nie było.
- Na co oni czekają? – spytała.
- Zeerid mknął „Tłuściochem” wzdłuż głównej sekcji frachtowca, naprawdę blisko; Aryn miała wrażenie, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć poszycia statku.

Domyślała się, że jego załoga kulila ramiona, gdy „Tłuscioch” przelatywał lotem koszącym nad ich głowami.

– Ruch jest za duży, a my jesteśmy zbyt blisko – wyjaśnił Zeerid, przekręcając „Tłusciocha” i posyłając go prosto tuż nad mostkiem frachtowca. – Nie chcą trafić we własne statki.



Głos Jarda był napięty z niepokoju jak struna.

– To koreliański frachtowiec typu XS, panie.

Vrath pokazał na monitor i pokiwał głową.

– To ten sam, o którym panu mówiłem, Lordzie Malgusie. Niech go pan rozkaże zestrzelić!

Malgus uderzeniem Mocy rzucił Vrata na odległą ścianę.

– Zamknij gębę – warknął.

– Mówi pan do mnie? – zapytał Angrał w słuchawce.

Malgus zupełnie zapomniał o rozmówcy.

– Ależ skąd, panie. Proszę dać mi jeszcze chwilę.

Przełączył zestaw słuchawkowy na tryb niemy i spojrzał na monitor. Nie mógł zestrzelić frachtowca, znajdującego się w samym środku konwoju. Pociski „Walecznego” mogłyby przez przypadek trafić statek Imperium. To samo dotyczyło fregat, które były przygotowane do odpierania ataków pochodzących z zewnątrz konwoju, ale nie z wewnątrz.

– Utrzymujcie obraz statku na monitorze i udajcie się za nim w pościg. I niech reszta konwoju się rozsunie.

– Tak jest, proszę pana – odparł Jard i zajął się wykonywaniem rozkazów.

Silniki „Walecznego” zapłonęły całą mocą i krążownik runął w pogoń za frachtowcem.

Vrath dzwignął się na nogi.

Umysł Malgusa rozpatrywał różne opcje. Zestrzelenie frachtowca z Jedi na pokładzie mogłoby podkopać pokojowe negocjacje. Oczywiście szkodziło im już to, że jakiś Jedi udawał się cichcem na Coruscant.

Malgus spojrzał w monitor i stwierdził, że krążownik coraz bardziej dogania frachtowiec. Za chwilę będą mieli wolne pole do obstrzału.

Imperium, aby się rozwijać, potrzebowało wojny. Malgus zdawał sobie z tego sprawę.

On sam potrzebował wojny. Z tego również zdawał sobie sprawę.

Wyglądało na to, że mógł do niej doprowadzić.

W tle frachtowca ujrzał w monitorze Coruscant i wyobraził sobie planetę w płomieniach.

Błyskające światełko na konsoli przypomniało mu, że Darth Angral czeka.

– Nawiążcie kontakt z frachtowcem – rozkazał.

Jard miał zaskoczoną minę.

– Wątpię, aby odpowiedział.

– Niech pan spróbuje, komandorze.



Aryn nie musiała patrzeć na wyświetlacz skanera, by stwierdzić, że statki konwoju rozsuwają się, aby dać krążownikowi i fregatom wolne pole ostrzału. Zeerid nie odzywał się, tylko manipulował dźwignią sterów i obsługiwał panel kontrolny, okazjonalnie zaś sprawdzał, co dzieje się na skanerze. „Tłuscioch” przechylił się ostro w prawo, odskakując od najbliższego frachtowca, po czym szybko pokonał krótki odcinek pustej przestrzeni między nim a drugim statkiem dostawczym. Zeerid jak żaba skakał wzdłuż konwoju, cały czas próbując sprowadzić „Tłusciocha” jak najbliżej planety.

Ale konwój zaczął się rozpiezchać. Frachtowce i fregaty odsuwały się szybko od siebie. A ponad nimi wisiało potężne cielsko imperialnego krążownika, czekającego na swoją szansę.

– Zaczyna mi brakować statków, Aryn. Musimy uciekać w atmosferę.

Przed nimi na tle czerni kosmosu wisiała błyszcząca kula nocnej strony Coruscant. Ukryte za planetą słońce sprawiało, że linia horyzontu wydawała się jarzyć płomieniami.

– Zrób to – zgodziła się Aryn. – Chociaż... nie, zaczekaj. Próbują się z nami połączyć. Holograficznie.

– Kpisz sobie ze mnie?

Aryn pokręciła głową i Zeerid aktywował mały nadajnik, zamontowany na panelu kontrolnym.

Pojawił się holograficzny obraz mostka imperialnego statku. Załoga siedziała przy swoich stanowiskach; sylwetki poszczególnych osób były wyraźnie widoczne w holograficznej rozdzielczości. Na przedzie stało dwóch mężczyzn, jeden rudowłosy, w mundurze oficera marynarki, drugi, górujący nad towarzyszem i potężnie zbudowany, miał na sobie obszerną czarną pelerynę, a jego oczy w blasku urządzeń na mostku zdawały się płonąć. Te oczy wbijały się w Zeerida tak intensywnie, że Zeeridowi

zrobiło się nieswojo, choć przecież patrzył tylko na obraz z hologramu. Do twarzy mężczyzna miał przyczepiony respirator, zasłaniający całe usta. Jego blada skóra miała trupioszary odcień.

– Wyłączcie całe zasilanie – rozkazał wysoki mężczyzna głosem tak ostrym jak cięcie nożem. – Macie na to pięć sekund.

Aryn wychyliła się do przodu, aby lepiej widzieć hologram. Oczy mężczyzny przesuwają się od Zeerida do niej i nawet na odległość czuło się kryjącą się za nimi siłę. Aryn rozpoznawała tego człowieka. Walczył w Bitwie o Alderaan.

– To Sith – oświadczyła. – Darth Malgus.

Jej uwagę przykuł jakiś ruch za plecami Malgusa, gdzie stał trzeci mężczyzna – niski, z ramionami splecionymi na piersiach. Aryn i Zeerid prawie zderzyli się głowami, wpatrując się w hologram. Aryn rozpoznała również i tego mężczyznę. Podobnie jak Zeerid.

– To ten facet, który zasadził się na nas w porcie kosmicznym – powiedział. – Vraith Xizor.

– To on powiadomił Imperium o naszym przyjeździe.

Zeerid gapił się przez chwilę w hologram, a wreszcie szeroko otworzył oczy i odsunął się od niego.

– *Stang*. To ten sam facet, którego widziałem w parku Karsona na Vulcie.

– Gdzie?

– On wie, że mam córkę.

– Zostały wam dwie sekundy – poinformował Malgus.

Zeerid walnął w przycisk transmisji.

– Do diabła z tobą.

Zakończył połączenie i plując przekleństwami, wprowadził „Tłuściocha” w szybki korkociąg, od którego Aryn zakręciło się w głowie, ale był to najbardziej skuteczny sposób, by utrudnić komputerom celowniczym namierzenie go.

ROZDZIAŁ 9

Malgus wpatrywał się w holonadajnik, teraz ciemny, przez który komunikował się z frachtowcem. Frachtowcem z Jedi na pokładzie.

Rozdarty wewnątrz, myślał o Eleenie, Lordzie Adraasie, Angralu, o niedoskonałym Imperium, które kształtowało się na jego oczach, i o tym, jak nie spełnia ono jego oczekiwań; Imperium nie przystawało do potrzeb Mocy.

– Już za chwilę odłączą się od konwoju, komandorze Jard – poinformował Makk, oficer uzbrojenia na mostku.

Malgus przyglądał się, jak frachtowiec tańczy między rozstępującymi się statkami konwoju, a potem, próbując przytulić się do każdego z nich, zmierza skokowo ku Coruscant.

Pomyślał, że powinien zestrzelić statek, licząc na to, że śmierć Jedi nad Coruscant doprowadzi do zerwania rozmów pokojowych i wznowienia wojny.

Powinien to zrobić.

Wiedział, że powinien.

– Wydaje się, że będzie próbował dotrzeć na planetę – zawyrokował Jard. – Czemu po prostu nie ucieknie?

Członkowie załogi mostka kręcili głowami nad głupotą pilota. Gdyby był sprytny, dałby nura w nadprzestrzeń i zniknął.

– Bardziej mu zależy na dotarciu na planetę niż na tym, że może zostać zestrzelony – oświadczył zaintrygowany Malgus.

– Takie poświęcenie tylko dla przyprawy? – dziwił się Jard.

– Może kierują nimi potrzeby Jedi.

– Interesujące – mruknął Jard.

– Zgadzam się – odparł Malgus. Nie bez walki pozwolił, by ciekawość zwyciężyła.

– Podlećcie na tyle blisko, aby dało się zastosować promień ściągający. Tu chodzi o coś więcej niż tylko przemyt przyprawy.

– Tak jest, panie.

Malgus wcisnął guzik w słuchawce i powtórnie połączył się z Lordem Angralem.

– Co się tam dzieje? – spytał Angral, wyraźnie zaniepokojony.

Malgus wyjawiał tylko połowę prawdy.

– Jakiś przemytnik próbuje się przedrzeć przez blokadę.

– Och, rozumiem. – Angral zamilkł, po czym dodał: – Otrzymałem komunikat od naszej delegacji na Alderaanie.

Wzmianka o delegacji wywołała w Malgusie przyływ furii, nagłą wściekłość; miał ochotę zmienić decyzję i zamiast pojmać frachtowiec, kazać go zniszczyć.

Angral kontynuował:

– Członkini delegacji Jedi opuściła Alderaan, nie wypełniając formularza planu lotu i nie zgłaszając swoich zamiarów przełożonym. Jedi mają prawo podejrzewać, że kobieta udała się na Coruscant. Jej działania nie mają autoryzacji Rady Jedi, więc należy ją potraktować dokładnie tak jak przemytnika, którego obecnie ścigacie.

– Chodzi o kobietę? – upewnił się Malgus, spoglądając na frachtowiec w monitorze i przypominając sobie kobietę, którą widział na hologramie. – Tym zbuntowanym Jedi jest kobieta?

– Tak, kobieta. Aryn Leneer. Jej poczynania, cokolwiek zrobi, nie należy przypisywać Radzie Jedi ani Republice. Imperator nie chce, by cokolwiek zakłóciło toczące się negocjacje. Zrozumiał pan, Lordzie Malgusie?

Malgus rozumiał aż nadto dobrze.

– Czy delegacja Jedi poinformowała Lorda Barasa o zbuntowanym Jedi? Poświęcili jednego ze swoich, aby mieć pewność, że negocjacje będą przebiegały gładko, tak?

– O ile wiem, uczyniła to osobiście Mistrzynie Dar'nala.

Malgus pokręcił głową z obrzydzeniem; poczuł coś w rodzaju współczucia dla Aryn Leneer. Podobnie jak on, została zdradzona przez tych, w których wierzyła i którym służyła. Oczywiście to, w co wierzyła i czemu służyła, to herezja.

– Jeśli Jedi będzie próbowała dotrzeć na Coruscant i wpadnie w pańskie ręce, ma pan rozkaz ją zniszczyć. Czy to jasne, Lordzie Malgusie?

– Tak jest, panie.

Frachtowiec wyrwał się z konwoju w otwartą przestrzeń i teraz zygzakiem leciał w stronę Coruscant. Możliwe, że pilot zamierzał zbiec w atmosferę planety.

– Aktywować promień ściągający – rozkazał komandor Jard, a Malgus nie odwołał jego rozkazu.

Zakończył połączenie z Angralem.

Musiał sprzeciwić się rozkazom i postawić pierwszy krok na ścieżce, jaką jeszcze nigdy dotąd nie podążał. I nadal nie był pewien, dlaczego to robi.

Między „Tłusciochem” a Coruscant nie było nic poza pustą przestrzenią, a to oznaczało, że za chwilę rozpocznie się ostrzał. Aryn przyglądała się, jak odległość do atmosfery planety maleje na monitorach skanera. Siedziała skurczona, przygotowana na atak z działek plazmowych, o którym wiedziała, że wkrótce musi nastąpić. Już myślała, że im się uda, gdy nagle poczuła szarpnięcie, które rzuciło ich do przodu, „Tłuscioch” zaś utracił połowę prędkości.

– Co się stało? – spytała, sprawdzając panel kontrolny.

– Promień ściągający – wyjaśnił Zeerid, przyciągając mocno do siebie dźwignie steru. „Tłuscioch” zanurkował, ustawiając się nosem do planety, i Aryn ujrzała nocną

stronę Coruscant, poprzecinaną światłami miasta, wyglądającymi jak żarzący się napis na ciemnej poza tym powierzchni.

Statek nie nabierał prędkości. Alarmy wyły, a silniki „Tłuściocha” jęczały, Zmagając się z wiązką promienia ściągającego, lecz zdecydowanie z nią przegrywając.

Krażownik zaczął ich do siebie przyciągać.

Klnąc na cały głos, Zeerid wyłączył silniki i ruch wsteczny „Tłuściocha” wyczuwalnie się wzmógł. Przez osłonę kabiny Aryn patrzyła, jak odległe gwiazdy mijają ich w przeciwnym kierunku. Wyobraziła sobie, że na krążowniku otwiera się rampa do hangarów lądowniczych, wyglądająca jak zamierzająca ich pożreć paszcza.

Postanowiła oczyścić umysł i pomyślała o Mistrzu Zallowie, szykując się zarazem do spotkania z Lordem Sithów i wszystkim, co mogło ją czekać na krążowniku. Włożyła rękę do kieszeni, aby musnąć palcami leżący w niej pojedynczy kamień, który zabrała ze sobą z Alderaana. Kamień pochodził z bransoletki uspokajającej z Nautolan, którą podarował jej Mistrz Zallow. Jego chłodna, gładka powierzchnia pomagała jej wyciszyć umysł.

– Przykro mi, Zeeridzie – powiedziała.

– I tak leciałem na Coruscant, Aryn, więc to nie twoja wina, że dałem się złapać. To raczej ja wpakowałem cię w kłopoty. Poza tym jeszcze nie czas na przeprosiny. – Palce Zeerida tańczyły nad panelem sterowniczym. – Żaden promień ściągający nie będzie więził mojego statku. Muszę wrócić na Vultę do córki.

Po tych słowach Zeerid zwiększył dopływ mocy do silników, ale ich jeszcze nie odpalał. Statek wibrował pod wpływem zebranej pod kolektorem rozdzielczym energii, przypominającej wzburzone wody rzeki, wzbierające za tamą.

– Co chcesz zrobić? – zapytała Aryn, choć domyślała się, co usłyszy w odpowiedzi.

– Zamierzam wystrzelić korek z butelki – odparł Zeerid, dodając jeszcze więcej mocy do silników. Przypominało to potrząsanie butelką z nagazowanym napojem. – Zapnij uprząż, Aryn. Nie tylko na kolanach, ale we wszystkich pięciu punktach.

Aryn uczyniła, jak kazał.

– Możesz rozerwać statek na pół – ostrzegła. – Albo doprowadzić do wybuchu silników.

Skinął głową.

– Chyba że uda nam się wyrwać. Jednak by tak się stało, muszę w odpowiednim momencie ustawić się ukośnie do promienia. – Sprawdził, co się dzieje na skanerze. – Nie jesteś aż tak duży – zwrócił się do krążownika.

Jego spokojny głos i pewne ruchy nie dziwiły Aryn. Zeerid zdawał się rozkwitać w stresie. Byłby z niego dobry Jedi, pomyślała.

Sprawdziła odległość dzielącą „Tłuściocha” od krążownika i prędkość, z jaką byli ściągani.

- Masz pięć sekund – poinformowała.
- Wiem.
- Cztery.
- Naprawdę uważasz, że to pomaga?
- Dwie.

Zeerid wcisnął kolejną serię guzików i silniki zawyły tak głośno, że zagłuszyły odgłos alarmu.

- Jedna sekunda – rzuciła Aryn.

Oczywiście wyobraźni widziała już, jak „Tłuscioch” rozrywa się na pół, a ona i Zeerid znikają w próżni, podczas gdy płonące szczątki statku, niczym w jakimś pokazie sztucznych ogni, torują sobie drogę przez atmosferę Coruscant.

– I... start! – krzyknął Zeerid, po czym przesunął dźwignię steru w lewo, uwalniając w tym samym momencie całą skoncentrowaną moc do silników.

Nagły przypływ energii zastopował wsteczny ruch statku i „Tłuscioch” bryknął niczym rozeźlony rankor. Metal pod wpływem nacisków jęczał i zgrzytał. Coś w głębi statku wybuchło z głośnym sykiem.

Przez ułamek sekundy „Tłuscioch” wisiał w przestrzeni zupełnie nieruchomo, a jego zmagające się z wiązką promienia ściągającego silniki wyły przeraźliwie. A potem statek wyrwał się z uwięzi i wystrzelił przed siebie. Na wolność. Nagłe przyspieszenie wbiło Aryn i Zeerida w ich fotele.

Rozdzwoniły się alarmy przeciwpożarowe, więc Aryn sprawdziła panel kontrolny.

- Pożar w komorze silnika, Zeerid.

Zeerid, mamrocząc coś pod nosem, manewrował przy dźwigniach steru i obserwował skaner, mógł jej więc nie usłyszeć.

- Jest tuż za nami – powiedział.

– Uciekaj w atmosferę – poradziła Aryn. – Krążownik poza próżnią traci zdolność manewru. Możemy gdzieś zanurkować i zgubić się w ruchu powietrznym, zanim wyślą za nami myśliwce.

- Racja – zgodził się Zeerid i pociągnął ster do siebie.

„Tłuscioch” zanurkował nosem w dół i znów w monitorach pojawił się obraz Coruscant, tym razem kusząco blisko.

Z głębin statku do kabiny napłynęły chmury dymu, niosąc ze sobą swąd przepalanej instalacji.

- Aryn!
- Już się tym zajmuję – zapewniła, odpinając uprząż.
- Chemiczne gaśnice znajdziesz w stojakach na ścianie w każdym korytarzu.



Malgus, wpatrzony w główny monitor, widział, jak silniki frachtowca rozbłyskują na niebiesko i statek uwalnia się z pętli wiązki promienia ściąającego, po czym niby wiązka z blastera pikuje w stronę planety.

– Zarządzam pościg – rozkazał Jard.

Sternik krążownika uruchomił silniki i rzucił się w pogoń za frachtowcem.

– Promień ściąający zawiódł, panie – poinformował Malgusa komandor Jard, sprawdzając odczyt kontrolny. – Za chwilę znów go uruchomimy.

Malgus patrzył za oddalającym się frachtowcem i nagle podjął decyzję. Przekroczył granice i ruszył nieudeptaną ścieżką już w chwili, gdy rozkazał ściągnąć statek przemytnika. Jednak nie nadszedł jeszcze czas na to, by zapuścić się głębiej w nieznanne rejony. Nie mógł dopuścić, aby Jedi, Aryn Leneer, dotarła na Coruscant, inaczej Angral mógłby zacząć podejrzewać Malgusa o motyw, których on sam nie chciał jeszcze w sobie dostrzec.

– Nie – sprzeciwił się. – Za chwilę wejdą w atmosferę. Proszę ich zestrzelić.

– Tak jest, panie. – Jard spojrział na oficera uzbrojenia. – Uruchomić działka, poruczniku Makk. – Jard zwrócił wzrok na Malgusa. – Czy mam przygotować myśliwce?

– To zbędne, pod warunkiem że porucznik Makk wykona dobrze swoje zadanie.

– Oczywiście, proszę pana.

Czerwone linie pocisków z działek plazmowych „Walecznego” wypełniły przestrzeń między statkami. Ostrzał był tak intensywny, że linie zdawały się zlewać ze sobą, tworząc w próżni krwistą zasłonę.



Aryn wychyliła się do połowy z fotela, gdy eksplozja zakołysała statkiem. „Tłuscioch” przechylił się na bok i Aryn spadła z fotela na podłogę.

– Wracaj na miejsce – rozkazał Zeerid. – Działka krążownika się grzeją.

Aryn wdrapała się na fotel i zapięła uprząż. W chwili, gdy klamry z trzaskiem wsunęły się w zaciski, Zeerid wykonał skręt. Coruscant wirowała w monitorze, gdy „Tłuscioch” obracał się spiralnie i nurkował w dół. Czerwone linie plazmy rozświetlały czerń kosmosu. Zeerid ostro skręcił w prawo, dał nura w dół i zaraz uskoczył w lewo.

Statek jak ostrze noża wbił się w atmosferę.

– Prześlij całą moc ze wszystkich urządzeń poza silnikami i urządzeniami ratującymi życie do tylnych odrzutników.

Aryn uwijała się przy panelu kontrolnym, wykonując polecenia.

Następny wybuch zachwiał statkiem.

– Tarcze odrzutowe nie wytrzymają kolejnego ataku – ostrzegła Aryn.

Zeerid skinął głową. Przez osłonę kabiny widział pomarańczowe płomienie, powstające przy wejściu w atmosferę. Pociski plazmy przeszywały przestrzeń nad nimi, pod nimi i z lewej strony. Zeerid, schodząc „Tłuściochem” w dół, przekreślił go na prawą burzę, ryzykując niebezpieczne wejście w atmosferę, od którego mogli spłonąć.

Dym w kabinie gęstniał coraz bardziej.

– Gdzie są maski? – spytała Aryn, dusząc się i kaszląc.

– Tutaj – odparł Zeerid, wskazując głową na schowek między fotelami. Aryn otworzyła go, chwyciła dwie maski i jedną rzuciła Zeeridowi, drugą zaś szybko naciągnęła na głowę. – Łap za ster – polecił Zeerid, wciągając maskę.

Aryn chwyciła dźwignię, przejmując kontrolę nad „Tłuściochem”, który kontynuował spiralne zejście na Coruscant.

Ogień z krążownika trafił statek w sterburzę, sprawiając, że frachtowiec wpadł w dziki korkociąg. Aryn poczuła zawroty głowy i mdłości.

– Trzymam ster – poinformował Zeerid głosem zdławionym przez maskę. Udało mu się zapanować nad wirującą maszyną i wprowadzić ją w atmosferę w linii niemal pionowej. W kabinie zrobiło się straszliwie gorąco. Płomienie objęły cały statek. Musieli wyglądać jak przeszywająca niebo kometa.

– Kąt jest zbyt ostry – ostrzegła Aryn.

– Wiem – odparł Zeerid. – Ale musimy przecież jakoś wejść w atmosferę.

Nieustający ostrzał z krążownika znowu uderzył w „Tłuściocha”, spychając go w dół przez stratosferę. Płomienie lekko przygasły, potem zupełnie zniknęły i po raz kolejny pod nimi pojawiła się kula Coruscant.

– Przedarliśmy się – ucieszyła się Aryn.

Nagle, bez ostrzeżenia, padły silniki i „Tłuścioch”, pozbawiony mocy, wirując, zaczął spadać w dół.

Zeerid zaklął. Walnął w pulpity, próbując przywrócić maszynę do życia, ale bez skutku.

– Nadal mogą nas trafić – stwierdził i rozpiął uprząż. – Zostały mi tylko silniki manewrowe. Idź do kapsuły ratunkowej.

– Ładunek, Zeerid.

Przez chwilę się wahał, ale zaraz pokręcił głową i odpiął uprząż przy fotelu Aryn.

– Zapomnij o nim. I pospiesz się.

Aryn wstała i w tym samym momencie kolejny pocisk trafił „Tłuściocha”. Wybuch

zatrząsł tyłem statku. Nadleciał następny pocisk. Zawyły alarmy. Statek, paląc się, leciał w dół. Zeerid wcisnął guzik na panelu kontrolnym, uruchamiając silniki manewrowe, aby jakoś utrzymać statek w powietrzu.

Przynajmniej przez jakiś czas.



– Zgasły im silniki – poinformował porucznik Makk. – Dryfują na manewrowych.

Komandor Jard spojrział na Malgusa, oczekując na rozkaz otwarcia ognia. Vraith również patrzył na niego ze zniecierpliwieniem.

Frachtowiec wisiał nisko nad atmosferą Coruscant, poruszając się nieporadnie przez przestworza jedynie na silnikach manewrowych. Ze spalonych silników jonowych ulatywały tumany dymu. Krążownik mógłby z łatwością ściągnąć go do siebie wiązką promienia ściągającego.

– Zestrzelić ich – rozkazał Malgus.

Kątem oka dostrzegł, że Vraith się uśmiechnął i splótł ręce na piersiach.



Po eksplozji na ogonie nastąpiły kolejne. Odgłosy wybuchów odzywały się raz za razem i było wielce wątpliwe, czy Aryn i Zeerid zdążą dotrzeć do kapsuły ratunkowej.

Aryn aktywowała miecz świetlny.

– Przytrzymaj się czegoś.

– Co chcesz zrobić?

– Wydostać nas stąd.

– Co?

Nie marnowała czasu na wyjaśnienia. Trzymając za uprzęż fotela, wbiła ostrze miecza w transpastał osłony kabiny i zrobiła w niej dziurę. Tlen wyciekał z kabiny, ciśnienie się wyrównywało. Na szczęście mieli maski, które pozwalały im oddychać. Nagłe zimno zaskoczyło Aryn.

Użyła klingi, aby wyciąć w osłonie większy otwór. Rozrzedzone powietrze wpadło do środka ze świstem.

– Jesteśmy piętnaście kilometrów nad powierzchnią, Aryn! – zauważył Zeerid, po raz pierwszy podnosząc głos. – Sama prędkość...

Chwytiła go za ramię i potrząsnęła nim, żeby się zamknął.

– Nie puszczaj mnie bez względu na wszystko, rozumiesz? Nie puszczaj, cokolwiek

by się działo.

Jego oczy za otworami maski były wielkie jak spodki. Skinął głową.

Aryn nie dała sobie czasu na wahanie. Zanurzyła się w Mocy, otoczyła siebie i Zeerida ochronną tarczą i wyskoczyła ze statku w otwartą przestrzeń.

Powiew wiatru i prędkość pchnęły ich w tył. Walnęli w kadłub statku i ześliznęli się po jego objętym płomieniami boku. Prawie w tej samej chwili atak plazmowy z krążownika nad nimi uderzył w grzbiet „Tłusciocha” i statek eksplodował, zamieniając się w rosnącą kulę ognia. Wybuch odrzucił ich w przestrzeń; od razu zaczęli wirować jak śmigła wiatraczka. Przez jedną przerażającą chwilę obraz przed oczami Aryn zamazał się; pomyślała, że zaraz straci przytomność. Trzymała się jej jednak kurczowo i w końcu zdołała otrząsnąć się z oszołomienia.

Zeerid coś krzyczał, ale nie była w stanie rozróżnić słów.

Żołądek podchodził jej do gardła, gdy tak spadali bezwładnie, w szalonych obrotach, ku planecie poniżej. Perspektywa, jaką miała przed oczami, zmieniała się jak w kalejdoskopie, raz pokazując płonące szczątki „Tłusciocha”, po chwili powierzchnię Coruscant, potem niebo nad nimi i widniejącą w oddali sylwetkę imperialnego krążownika, i znów resztki „Tłusciocha”. Krew odpłynęła jej z głowy, a w oczach pojawiły się mroczki. Wiedziała, że jeśli dalej będzie wirować, zemdleje.

Mocniej zacisnęła ręce wokół pasa Zeerida i używając Mocy, najpierw zwolniła ich opadanie, a następnie zapanowała nad ruchem obrotowym. Skończyło się na tym, że ręka w rękę przenikali przez chmury, opadając z oszalałą prędkością na powierzchnię Coruscant.



Malgus przyglądał się, jak wiszący nad Coruscant frachtowiec zamienia się w płonące szczątki. Spodziewał się, że jednocześnie dotrze do niego sygnał dezintegracji Mocy Jedi, lecz on nadal ją czuł.

– Proszę o zbliżenie – rozkazał, pochylając się do przodu w fotelu dowodzenia. Obraz na monitorze zrobił się większy.

Kawałki poszarpanej stali i duża część przedniej sekcji statku, płonąc, opadały w dół na powierzchnię planety.

– Czy kapsuła ratunkowa zdążyła wystartować przed wybuchem?

– Nie, panie – odparł Jard. – Nikt się nie uratował.

Ale to nie mogło być prawdą. Z eksplozji cało wyszła przynajmniej kobieta Jedi. Malgus nadal czuł jej obecność, choć to odczucie stawało się coraz słabsze, tkwiąc jak drzazga w naskórku jego percepcji.

Zastanawiał się, czy nie wysłać za uciekinierką myśliwców – grupy poszukiwawczej, lecz w końcu zrezygnował z tego pomysłu. Nie był jeszcze pewien, co robi w sprawie Jedi, choć wiedział, że cokolwiek to będzie, uczyni to osobiście.

– Bardzo dobrze, komandorze Jard. Dobra robota, poruczniku Makk. – Odwrócił się do Vrata. – Pańska sprawa została załatwiona, Vracie Xizor.

Vrath zaszurał niepewnie stopami, przełknął ślinę i odchrząknął.

– Wspominał pan o jakiejś nagrodzie, panie?

Malgus uznał, że co jak co, ale odwagi Xizorowi nie brakuje. Wstał i podszedł do niego. Był wyższy od Vrata o dwadzieścia centymetrów, mimo to mężczyzna przed nim nie sprawiał wrażenia przytłoczonego, a w jego zwężonych oczach prawie nie było widać strachu.

– Nie wystarczy panu, że doprowadził pan do zabicia rywala i zniszczenia przyprawy, która, tak jak chciał pański pracodawca, nie dotrze na planetę?

– Ja nie...

Malgus podniósł rękę.

– Małostkowe przepychanki kryminalistów mnie nie interesują.

Vrath zwilżył językiem wargi i wyprostował plecy.

– Sprowadziłem panu Jedi. To ona była na hologramie.

– To prawda.

– Czy w takim razie dostanę za to jakąś... zapłatę?

Malgus obrzucił Vrata lodowatym spojrzeniem, pod wpływem którego niższy mężczyzna skulił się w sobie. W jego oczach wreszcie pojawił się strach wraz ze świadomością, że jest samotną ofiarą w kręgu drapieżników.

– Mam zwyczaj dotrzymywać danego słowa – oświadczył Malgus. – Co znaczy, że zostanie pan wynagrodzony.

Vrath odetchnął głośno.

– Dziękuję, panie.

– Może pan sprowadzić swój statek na planetę. Podamy panu współrzędne, a nagrodę otrzyma pan na powierzchni.

– I potem będę mógł odlecieć?

Malgus uśmiechnął się pod maską respiratora.

– A to już inna kwestia.

Vrath zrobił krok w tył, wyglądając tak, jakby dostał w twarz.

– Co to znaczy? A więc nie... nie będę mógł odlecieć?

– Na razie żaden nieautoryzowany statek nie może opuścić Coruscant. Pozostanie pan na planecie, dopóki to się nie zmieni.

– Ale, panie...

– Chyba że zestrzelę pański statek w tej samej chwili, gdy podniesie się z lądowiska – dodał Malgus.

Vrath z trudem przełknął ślinę.

– Dziękuję, panie.

Malgus odprawił go machnięciem dłoni, a ochrona wyprowadziła z mostka.



Po chaosie w kabinie spokój opadania wydawał się dziwnie niestosowny. Aryn miała w uszach tylko szum wiatru i równomierne bicie własnego serca. Strach Zeerida odczuwała jako coś namacalnego, coś, co opadało na powierzchnię wraz z nimi.

Czuła się wolna i podekscytowana, i to uczucie ją zaskakiwało. Na wschodzie, na linii horyzontu, tam gdzie powierzchnia Coruscant się zakrzywiała i ginęła z widoku, wyłaniało się poranne słońce, oblewając planetę złotą poświatą. Panorama zatykała dech w piersiach. Aryn potrząsnęła ramieniem Zeerida, pokazując na wschodzące słońce. Nie zareagował. Oczy miał wbite w dół, uczipione powierzchni planety niczym żelazo magnesu. Aryn pozwoliła sobie jeszcze przez kilka sekund rozkoszować się krajobrazem, po czym zabrała się do ratowania im życia.

Tempo, z jakim opadali, zmniejszyło się jeszcze bardziej, gdy rozrzedzone górne warstwy atmosfery ustąpiły miejsca gęściejszemu powietrzu niższych warstw, którym dało się już oddychać. Coruscant zmieniała się z brązowoczarnej kuli w glob poprzecinany wieloma liniami i dość przypadkowymi spiralami światła, a potem w rozróżnialny wzór błyszczących światłami miast, dróg, korytarzy powietrznych, kwadrantów i dzielnic. Aryn mogła już dostrzec maleńkie ciemne kształty, poruszające się po obszarach zabudowanych, sylwetki powietrznych aut, śmigaczy i swoopów, których jednak było o wiele mniej niż zazwyczaj. Duże obszary Galactic City leżały w ruinach, co wyglądało jak czarne ropnie na naskórku planety.

Imperium musiało tutaj zabić dziesiątki tysięcy ludzi, a może więcej.

Ton wiatru szumiącego w uszach zmienił się. Aryn miała wrażenie, że słyszy w nim jakieś szepty, że dusza planety dzieli się z nią swoim bólem. Poły płaszcza łopotały głośno za jej plecami.

Potem zaczęła rozróżniać coraz więcej szczegółów wyższych poziomów Coruscant: linie wieżowców, geometryczny kształt placów i parków, uporządkowane, proste linie dróg.

Pozwoliła sobie na odczuwanie opadania, wykorzystując to uczucie do zatopienia się w Mocy. Otulona w nią, zbierała siły. Przyciągnęła Zeerida do siebie. Nie opierał się, a ona odniosła wrażenie, że jest jak szmaciana lalka w jej rękach. Objęła go jeszcze mocniej, otaczając sobą ze wszystkich stron.

– Przygotuj się! – krzyknęła mu do ucha. – Kiwnij głową, jeśli zrozumiałeś.

Jego głowa opadła w dół tylko raz, sztywno i gwałtownie.

Budynki w dole stawały się coraz większe i bardziej konkretne. Opadali na wielki plac – płaski czworobok z durabetonu ze strzelającymi w niebo stratowieżowcami na każdym rogu.

– Spowolnię nasz upadek! – krzyknęła. – Ale i tak uderzymy w ziemię z dużą siłą. Puszczę cię przed samym zetknięciem z powierzchnią, a ty spróbuj wykorzystać energię uderzenia i potoczyć się po ziemi.

Znów kiwnął głową.

Aryn przycisnęła brodę do szyi i wygięła ciało, próbując wykorzystać opór wiatru i doprowadzić do tego, by zamiast bezpośrednio w dół, opadali lekkim skosem do przodu. Ziemia spieszyła im na spotkanie.

Przemknęli przez pierścień wieżowców, pozostawiając za sobą ich dachy, okna, balkony. Aryn wątpiła, by ktokolwiek o tej porze dnia obserwował ich upadek.

Sięgnęła po Moc, aby utworzyć z niej szeroką kolumnę pod nimi. W jej umyśle powstał obraz takiej Mocy, jakiej używała do skoków, tyle że zamiast nagłego poderwania w górę, miała tym razem przybrać łagodniejszą, bardziej pasywną formę. Wyobraziła ją sobie w kształcie balonu, miękkiego i dość giętkiego, który jednak stawiał coraz większy opór ich opadającym ciałom.

Zwolnili, a Zeerid poruszył się niespokojnie. Czyżby nie bardzo ufał umiejętnościom Aryn?

Ona tymczasem czuła w oczodołach rosnące ciśnienie, a w głowie silne pulsowanie.

Balon Mocy spowalniał ich upadek coraz bardziej. Aryn widziała teraz ławki na placu i fontannę. Mogła rozróżnić poszczególne okna w wieżowcach. Znajdowali się na wysokości pięciuset metrów i nadal opadali z dość dużą prędkością.

Ucisk w głowie wzmógł się. Aryn widziała mgłę przed oczami, a pulsowanie w środku czaszki przeszło w ostry jak brzytwa ból. Krzyknęła, ale nie odpuszczała.

Czteryście metrów. Trzysta.

Zwalniali coraz bardziej, Aryn jednak czuła, że dłużej nie wytrzyma.

Dwieście metrów.

Sekundy rozciągały się w całą wieczność bólu i ucisku. Aryn miała wrażenie, że jej głowa zaraz wybuchnie.

– Trzymaj się, Aryn! – krzyknął Zeerid głosem stłumionym przez maskę. Tkwił sztywno w jej ramionach.

Pięćdziesiąt metrów.

Nadal opadali za szybko.

Dwadzieścia. Dziesięć.

Aryn sięgnęła w głąb siebie i zebrała tyle Mocy, ile tylko mogła, po czym rozszerzyła ją w finalny okrzyk, eksplozję, która na chwilę całkowicie powstrzymała

ich upadek. Wisieli w powietrzu przez ułamek sekundy, zawieszeni na niewidzialnych sznurkach Mocy i umiejętności Aryn do jej wykorzystywania.

A potem znów zaczęli opadać.

Aryn puściła Zeerida i jednocześnie rąbnęli stopami w durabeton. Uderzenie wywołało falę bólu w kostkach i łydkach. Wykorzystując impet upadku, przez chwilę pozbawiona oddechu, Aryn potoczyła się po ziemi, zdzierając sobie z głowy kawałek skóry.

Ale żyła.

Podciągnęła się na nogi i ręce, czując ból we wszystkich mięśniach. Łydki jej drżały, z głowy ciekła krew. Zerwała z twarzy maskę.

– Zeerid!

– Nic mi się nie stało – odpowiedział głosem szorstkim jak stara skóra. – Nie mogę w to uwierzyć, ale to prawda.

Aryn opadła z powrotem na durabeton, przekreśliła się na plecy i spojrzała w niebo, po którym rozchodziła się jasność brzasku. Podłużne, cienkie chmury, przesycone blaskiem świtu, wyglądały jak żyłki złota. Wykończona, leżała tak po prostu i odpoczywała.

Zeerid podczołgał się do niej, cały czas klnąc z bólu. Zdjął maskę i także położył się obok na plecach. Razem wpatrywali się w niebo.

– Coś sobie złamałeś? – spytała Aryn.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, pokręcił głową i znów utkwiał wzrok w niebie.

– Jeśli wyjdziemy z tego z życiem, zostanę farmerem na Dantooine. Przysięgam.

Uśmiechnęła się.

– Nie żartuję.

Aryn nadal się uśmiechała, a Zeerid zaczął najpierw chichotać, a potem śmiać się na całe gardło.

Aryn nie mogła się powstrzymać. Ona również zachichotała, po czym wraz z Zeeridem, leżąc pod niebem, na którym budził się brzask nowego dnia, zanieśli się głośnym, histerycznym śmiechem.



Dłonie Vrata, zaciśnięte na drążku steru „Brzytwy”, były spocone coraz bardziej. Mimo zapewnień Malgusa, że dotrzymuje słowa, Vrata miał pewność, że imperialny krążownik zestrzeli go z nieba, gdy tylko podniesie się z lądowiska. Przez chwilę rozważał, czy nie skierować statku w głąb systemu, przyspieszając z całą mocą, co pozwoliłoby mu wydostać się ze studni grawitacyjnej Coruscant, a następnie dać susa

w nadprzestrzeń, ale nie sądził, żeby mu się to udało.

Co ważniejsze, obawiał się, że nawet gdyby to zrobił, Malgus i tak by go doścignął, i tylko dla zasady. Miał wręcz pewność, że tak by się stało, bo sam zachowałby się podobnie. Widział przecież oczy Sitha i dostrzegł w nich tę samą zawziętość, jaką on starannie hodował we własnym sercu. Wolał więc nie sprzeciwiać się Malgusowi.

Pozwolił, żeby autopilot na podstawie współrzędnych otrzymanych od załogi „Walecznego” wprowadził statek w atmosferę Coruscant. Domyślał się, że wyląduje na jednym z mniejszych portów kosmicznych Galactic City, zarządzanym i prawdopodobnie przez imperialne wojsko.

I faktycznie port wkrótce się z nim skontaktował, podając instrukcje lądowania. Potwierdził otrzymaną wiadomość i rozsiadł się w fotelu.

Postanowił, że po wylądowaniu nie opuści „Brzytwy”. Nie chciał mieć więcej do czynienia z siłami imperialnymi. Zależało mu tylko na tym, by doczekać zakończenia negocjacji pokojowych na Alderaanie, nieważne, jak długo miałyby potrwać, a potem szybko odlecieć z Coruscant.



Malgus wiedział, że Aryn Leneer przeżyła zniszczenie statku, i podejrzewał, że udało jej się dostać na powierzchnię Coruscant. Nie chciał, by Angral dowiedział się o ucieczce kobiety. To byłoby... przedwcześnie.

Będzie ją musiał wysledzić. Tylko że... aby to uczynić, musiał najpierw ustalić, w jakim celu powróciła na Coruscant.

– Będę w swojej kwaterze – poinformował komandora Jarda.

– Jeśli wydarzy się coś ważnego, natychmiast pana o tym powiadomię.

Gdy dotarł do siebie, przekonał się, że Eleena śpi. Jej pistolety blasterowe, wetknięte w kabury, leżały na łóżku obok niej. Spała, przytrzymując je jedną ręką. Patrzył na równomierne unoszenie się i opadanie jej klatki piersiowej i na półuśmiech, jaki przez sen wypłynął na jej twarz. Temblaka nie było na ręku.

Wpatrując się w Eleenę, uzmysłowił sobie, że mu na niej zależy. Bardzo zależy.

I to było jego słabością.

Przypomniał sobie o Twi'lekance, służącej, którą zamordował w młodości...

Kręcąc głową, zaniknął drzwi do pokoju, w którym spała Eleena, i podszedł do podręcznego komputera stojącego na biurku. Chciał zebrać więcej informacji o Aryn Leneer, połączył się więc z kilkoma imperialnymi bazami danych i wprowadził do nich jej nazwisko.

Pierwsze pojawiło się zdjęcie Aryn. Przyglądał mu się uważnie, zwłaszcza oczom.

Aryn przypominała mu Eleenę, choć na tym zdjęciu wyglądała inaczej niż kobieta, którą widział na hologramie na mostku „Walecznego”. Różnica kryła się w spojrzeniu. Oczy Aryn zrobiły się twardsze. Coś się z nią stało od czasu zrobienia fotografii.

Zaczął przeglądać akta.

Dowiedział się, że Aryn była empatką Mocy, sierotą z Balmorra, przyjętą do Akademii Jedi w dzieciństwie. Pogrzebał w aktach jeszcze głębiej i znalazł wreszcie motywy, jakimi się kierowała.

Na ekranie pojawiało się zdjęcie Mistrza Zallowa, jednodniowego ducha.

Aryn Leneer była padawanką Mistrza Zallowa. Zallow wychowywał ją od dzieciństwa.

Malgus wrócił do zdjęcia Aryn. W jej oczach na fotografii nie było jeszcze obecnej ostrości. Malgus poznał, że kobieta w przeszłości była zanadto otwarta, przez co z łatwością mógł ją dopaść ból. A wycucie Mocy zapewne tylko wzmagало jej wrażliwość.

Odchylił się na oparcie fotela.

Musiała wyczuć, że jej Mistrz zginął; czuła, jak Malgus przebijał go ostrzem.

I to właśnie ją zmieniło. Zmieniło tak bardzo, że porzuciła Zakon i popędziła przez galaktykę na Coruscant.

Jaki miała cel?

Dostrzegł nagle odbicie swojej twarzy w monitorze komputera, nakładające się na obraz twarzy Aryn. Jego oczy – ciemne i głęboko osadzone w oczodołach. Jej oczy – zielone, łagodne i ciepłe.

Ale teraz już nie.

Pojął, że byli tacy sami. Oboje kochali i miłość sprowadziła na nich cierpienie. W przebłysku zrozumienia dotarło do niego, po co Aryn wróciła na Coruscant.

– Ona szuka mnie – rzekł na głos.

Jeszcze nie wiedziała, że szuka właśnie jego, bo nie miała możliwości się dowiedzieć, kto zabił jej Mistrza. Ale na Coruscant zamierzała się tego dowiedzieć, aby pomścić Zallowa.

Dokąd najpierw się uda?

Wydawało mu się, że wie.

Nabrał głęboko powietrza i postukał palcami o blat biurka. Aryn polowała na niego. Podziwiał ją za to. To było bardzo... nie w stylu Jedi.

Oczywiście nie zamierzał siedzieć beczynn timer.

Postanowił, że to on zapoluje na Aryn.

DZIEŃ DRUGI

ROZDZIAŁ 10

Na niebie pojawił się oddział imperialnych myśliwców przechwytyjących, zagłuszając buczeniem silników śmiech Aryn i Zeerida. Zagięte płaty skrzydeł myśliwców tworzyły nawias wokół ich kadłubów.

– To nie w porządku – odezwał się Zeerid. – Imperialne statki nad Coruscant!

– Jasne – zgodziła się Aryn. – Bardzo nie w porządku.

Zeerid popatrzył w niebo, próbując odszukać szczątki swojego zniszczonego statku. Niczego nie znalazł. „Tłuścioch” dobrze mu służył i prawie zdołał umknąć przed krążownikiem.

Uśmiechnął się, myśląc, że uzależnieni od syntprzyprawy na Coruscant wkrótce przejdą fazę objawów głodu narkotycznego. Ale po kilku dniach tortur będą wolni.

Ona sam również odczuwał swoistą wolność. Nie dostarczył przyprawy i to go cieszyło. W pewnym sensie Imperium swoim zmasowanym atakiem oswobodziło go z kieratu.

Oczywiście Kantor będzie próbował go zabić, a on będzie musiał się jakoś bronić.

– O czym myślisz? – spytała Aryn.

– O Arze – odparł, czując znowu powagę sytuacji zamiast ulgi, jaka go ogarnęła po ocaleniu z upadku z pięćdziesięciu klików.

Człowiek, który stał obok Sitha na mostku krążownika, był tym samym człowiekiem, którego widział w parku Karsona na Vulcie. Tym samym, który urządził zasadzkę w porcie kosmicznym.

Vrath Xizor, tak go nazwał Oren.

Vrath wiedział o istnieniu Arry i Nat.

I jeśli z jakichś powodów postanowi podzielić się tą informacją z Kantorem, Oren zarządzi nie tylko zabicie Zeerida. Kantor użyje jego i jego rodziny jako przestrogi dla innych.

Zeerid jęknął i podciągnął się do siedzącej pozycji.

– Muszę wracać na Vultę. Natychmiast.

Aryn też usiadła. Na pewno wyczuwała jego strach.

– Z powodu tego mężczyzny na krążowniku?

Zeerid kiwnął głową.

– On wie o Arze.

– Nie rozumiem, czemu...

– Nikt w mojej... pracy nie wie, że mam córkę, Aryn. Użyliby jej przeciwko mnie,

gdyby o niej wiedzieli. Skrzywdziliby ją. Ale teraz on wie. Widział mnie z nią w parku. Rozmawiałem z nim. – Zeerid zakrył twarz dłońmi.

Aryn położyła mu rękę na plecach.

– Zeerid...

Strząsnął jej dłoń i wstał.

– Muszę wracać.

– Jak?

Pokręcił głową.

– Nie wiem, ale lecę. Jestem twoim dłużnikiem. Uratowałaś mnie i nie zapomnę ci tego, ale...

Aryn podniosła rękę.

– Zaczekaj, Zeerid. Przemyśl to jeszcze. Oni go nie wypuszczą... tego faceta, który wie o istnieniu twojej córki. Nikt nie wydostał się z Coruscant od chwili ataku. I nikt się nie wydostanie aż do zakończenia negocjacji pokojowych i podjęcia decyzji w sprawie zarządzania planetą. Zatrzymają go na krążowniku lub uziemią na powierzchni. Facet nigdzie nie poleci.

Zeerid zastanowił się nad tym, co usłyszał. Aryn mówiła z sensem. Serce nadal mocno waliło mu w piersi, ale już jakby wolniej.

– Myślisz, że on tu jest?

– Możliwe, a nawet bardzo możliwe. Ale nie wróci na Vultę. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Zeerid zdawał sobie sprawę, że Vraith mógł już komuś powiedzieć o Arze, choć nie sądził, by tak się stało. Nikt bez potrzeby nie ujawnia swoich kart przetargowych. To jak rozdawać za darmo kredyty. Nie, Vraith zachowa tę informację dla siebie. Może zechce ją sprzedać Kantorowi lub użyć w przyszłości. Ale jeszcze jej nie wykorzystał. Za szybko dotarł z Vulty na Coruscant. Musiał wyruszyć zaraz po urządzeniu zasadzki.

– Czemu nie użył Arre przeciwko tobie na Vulcie? – spytała Aryn. – Mógł cię w ten sposób zmusić do oddania ładunku.

Zeerid nie wiedział.

– Może chciał tak zrobić. Może wczoraj to był on na tej klatce schodowej. Może go wystraszyliśmy. A może nie miał czasu. Musiał mnie śledzić, aby się upewnić, gdzie jest przyprawa. Gdyby przechwycił Arre, mógłby mnie stracić z oczu. Odleciałbym z Vulty z przyprawą, nie wiedząc nawet, że ma Arre.

Aryn milczała, nie przerywając mu jego rozważań na temat zawiłych sposobów postępowania kryminalnego światka.

– Może po prostu nie chciał krzywdzić dziecka – zasugerowała.

– Możliwe – zgodził się, ale w to nie wierzył. Nie spotkał na swojej drodze wielu przestępców, którzy kierowaliby się jakąkolwiek etyką.

– Posłuchaj – odezwała się Aryn. – Pomogę ci wydostać się z planety lub odnaleźć tego gościa, ale najpierw muszę się dostać do Świątyni.

– Zjawiłaś się tu, aby kogoś zabić, Aryn. Nie mam czasu na takie zabawy.

Twarz Aryn poczerwieniała, a Zeerid dostrzegł w jej oczach wewnętrzną walkę.

– Chcę go teraz tylko zidentyfikować. – Powiedziała to, jakby usiłowała przekonać sama siebie. – Odszukam go następnym razem, ale muszę się dowiedzieć, kim jest. To może być jedyna okazja. – Głośno westchnęła. – Twoja pomoc bardzo by mi się przydała.

– Tak jak do tej pory, co? – zakpił.

– Właśnie.

– Przeze mnie omal nie zostaliśmy zestrzeleni.

– A jednak tu jesteśmy.

– Jesteśmy.

– Pomóż mi się dowiedzieć, jak nazywał się morderca, a ja ci pomogę wydostać się z planety. Zgoda?

Zeerid podjął decyzję i kiwnął głową.

– W porządku, pomogę ci, ale musimy się spieszyć.



Malgus czekał, aż Eleena się obudzi. Rozwahał w tym czasie różne możliwości, próbując rozwiązać kwadraturę koła. Zaczynał jednak dochodzić do wniosku, że to raczej nieosiągalne.

Eleena wyłoniła się w końcu z sypialni, ubrana tylko w skąpą bluzeczkę i bieliznę. Jak zawsze jej uroda i gracia, z jaką się poruszała, zaparły mu dech w piersiach. Uśmiechnęła się.

– Jak długo spałam?

– Niezbyt długo – odparł.

Nalała herbaty dla nich obojga i usiadła na podłodze u jego stóp.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Co takiego?

– Zabierzesz kilka wahadłowców na Coruscant. Będzie ci towarzyszyło dziesięciu członków mojej ochrony i żołnierze Imperium.

W myślach zdążył już wybrać odpowiednie osoby: oddział Kerse'a – ludzi, których dyskrecji ufał.

– Dostaniesz listę – dodał.

Eleena popijała herbatę, opierając głowę na jego nogach.

- Co jest na tej liście?
- Głównie nazwiska i adresy. Nowa technologia i jej lokalizacja. Dane wyszukał w imperialnych bazach danych, gdy spała.
- Co chcesz, żebym zrobiła?
- Znajdź wszystkich i wszystko z listy i sprowadź na statek. Eleena wyprostowała się i spojrzała mu w twarz pytającym wzrokiem.
- Ludzie zostaną aresztowani – wyjaśnił. – Technologia skonfiskowana jako łup wojenny.
- Pytający wyraz nie zniknął z oczu Eleeny. Wyraziła to w końcu słowami.
- Czemu ja, ukochany? Dlaczego nie któryś z twoich Sithów?
- Przesunął dłonią po jej lekku, a ona z zadowolenia przymknęła oczy.
- Bo wiem, że mogę ci zaufać – odparł. – A co do innych, nie jestem tego jeszcze pewien. Muszę poczekać na rozwój wypadków.
- Otworzyła oczy i odsunęła się. Na jej czole pojawiły się zmarszczki niepokoju.
- Rozwój wypadków? Coś ci zagraża?
- Nic, z czym bym sobie nie poradził. Ale potrzebuję twojej pomocy. Znowu oparła się o jego nogi i położyła mu rękę na kolanach.
- W takim razie zrobię to.
- Jej zapach tak mu zamącił w głowie, że z trudem zbierał myśli.
- Nikomu o tym nie mów. Zgłoś wyprawę jako rutynowy transport.
- Dobrze. Ale... czemu to robisz?
- Tylko się zabezpieczam. Idź, Eleeno.
- Teraz?
- Tak.
- Wstała, pochyliła się i pocałowała go najpierw w lewy policzek, potem w prawy.
- Do zobaczenia wkrótce. Co będziesz robił podczas mojej nieobecności?
- Cóż, zamierzał ponownie sprzeciwić się rozkazom Angrala i wrócić na Coruscant.
- Wybiorę się na polowanie.



W powietrzu unosiły się chmury dymu i swąd stopionego plastoidu. Aryn i Zeerid szli ulicami i ruchomymi chodnikami Coruscant. Aryn pamiętała, że pod ich stopami, sięgając daleko w głąb, znajdują się kolejne poziomy miasta. Przyszło jej na myśl, że jeszcze nigdy nie stała na samej powierzchni planety. Jak wielu innych, przemieszczała się tylko po ciągach dla pieszych i durabetonowych ulicach górnego poziomu, nie mając pojęcia, co dzieje się na niższych warstwach. Żyła na Coruscant

przez wiele dekad, nie znając tak naprawdę tej planety.

Słońce również się przemieszczało, unosząc się coraz wyżej, ale czyniło to dość niemrawo, jakby nie chciało odsłonić ruin. Wzrok Aryn padł na odległy, osamotniony wieżowiec, który przechylał się podejrzanie na jedną stronę. Najwyraźniej podczas ataku jego fundamenty uległy uszkodzeniu. Budynek, jak cała Coruscant i cała Republika, został wytracony z posad.

W oddali poranne niebo znaczyły ciemne punkty powietrznych aut i śmigaczy. Z kilku miejsc dochodziło wycie syren; oddziały ratownicze nadal przeszukiwały zgliszcza, wyciągając spod ruin żywych i umarłych.

Coruscant budziła się do życia w nowym dniu, pierwszym po dniu, w którym wszystko się zmieniło.

Przemierzając miasto, natykali się na sterty gruzu i na ulice zalane wodą wyciekającą ze zniszczonej kanalizacji; popękane zawory ciepłownicze bluzgały gazem lub paliwem. Mieli wrażenie, że oglądają świeże wnętrza planety.

Z okien i balkonów przyglądali im się ludzie, a na ich twarzach malowały się niepewność i lęk – przewidywalny efekt nieprzewidywalnej wojny. Ludzi było jednak o wiele mniej, niż Aryn się spodziewała. Zastanawiała się, czy nie zbiegli przypadkiem na niższe poziomy. Może one uległy mniejszym zniszczeniom. Jeśli tak, musiał tam panować straszny tłok.

Wraz z upływem czasu na niebie zaczęło się pojawiać coraz więcej pojazdów. Nad ich głowami przelatywały z hukiem statki medyczne i ratownicze, a między nimi, jak błyskawice, przecinały powietrze zmierzające nie wiadomo dokąd swoopy i śmigacze z jednym lub dwoma pasażerami na pokładzie.

Dzięki wyczulonemu zmysłowi empatii Aryn wyczuwała unoszący się w powietrzu strach jako coś namacalnego, smog, który przysłonił całą planetę. Czuła go na sobie, miała wrażenie, że ją przygniata. Wieże z durabetonu i transpastali wyglądały, jakby miały się na nią zawalić. Kuliła się więc i spinała, przygotowana na cios. Strach był wszechobecny, cała planeta wydalała tę przygnębiającą emocję w atmosferę.

Aryn nie odcinała się od tych wrażeń. Nie mogła się zresztą od nich odciąć. Jedi zawiedli mieszkańców Coruscant. Mieszkańcy zasługiwali na to, by czuła to samo, co oni.

– Aryn, nie słyszałaś, co mówię? Aryn!

Powróciła do terażniejszości i zobaczyła, że jej towarzysz stoi przy śmigaczu z otwartym dachem typu Armin. Na twarzy Zeerida pojawił się niepokój, gdy spostrzegł minę Aryn. Ze swoją zmierzwioną brodą i szeroko otwartymi oczami wyglądał jak fanatyk religijny.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Co się stało?

– Nic, nic. Ja tylko... wszędzie czuję strach. Powietrze jest nim przesiąknięte.

Zeerid kiwnął głową, mocno zacisnął usta i spojrział ze współczuciem.

– Przykro mi, że to odczuwasz, Aryn. Wszyscy na Coruscant wiedzą, co Imperium robiło z niektórymi podbitymi przez nie światami. Pewnie zamierzało to samo uczynić tutaj... i myślę, że to już się stało.

– Minął dopiero jeden dzień – zauważyła Aryn, ale miała nadzieję, że Zeerid się myli.

Oddział imperialnych myśliwców przeleciał wysoko nad ich głowami, charakterystyczne buczenie ich silników ostro przecięło poranną ciszę.

Zeerid wspiął się do śmigacza i zajrzał do schowka, w którym znalazł cztery proteinowe batony, parę makrolornetek i dwie butelki wody. Rzucił baton i wodę Aryn.

– Zjedz i wypij – polecił jej i dał nura pod panel kontrolny.

– Co tam wyprawiasz? – spytała Aryn. Prawie jednym haustem opróżniła butelkę, pozbywając się pyłu z gardła, a następnie zjadła baton.

Silnik śmigacza z szumem obudził się do życia, a głowa Zeerida wyłoniła się spod instrumentów sterowniczych.

– Uruchamiam śmigacz. Nie możemy całej drogi do Świątyni Jedi pokonać piechotą. Wskakuj. – Zauważył wyraz twarzy Aryn, więc dodał: – To nie jest kradzież. Ktoś go porzucił. No, chodź.

Wsiadła do pojazdu i zapięła uprząż, Zeerid zaś podniósł maszynę w powietrze.

Przemieszczali się szybko, bo ruch był niewielki. Zeerid leciał na wysokości około pół kilometra. Aryn patrzyła na Coruscant w dole, ale widok zawałonych budynków, tłących się jeszcze popiołów i czarnych dziur w miejskim krajobrazie szybko ją znużył. Po jakimś czasie zaczęło jej się wydawać, że wszystko wygląda tak samo. Gdy zdała sobie sprawę, że obraz zniszczeń już jej nie porusza, usiadła prosto w fotelu i zapatrzyła się przez przednią szybę w zasnuite dymem niebo.

– Świątynia jest przed nami – poinformował Zeerid, skręcając. – Tam.

Gdy ją ujrzała, ścisnęło jej się serce, a w żołądku poczuła wielką dziurę. Przez chwilę miała wrażenie, że spadają. Wyciągnęła rękę do drążka bezpieczeństwa i mocno zacisnęła na nim palce, aby nie zsunąć się z siedzenia.

– Przykro mi, Aryn – powiedział Zeerid.

Brakowało jej słów. Świątynia – sanktuarium, które utrzymywało się przez tysiąclecia – została zredukowana do góry dymiącego gruzu i stali. Zniszczenia, jakich Sithowie dokonali na Coruscant, wywoływały w niej ból. Zburzenie Świątyni do końca ją zgnębiło. Zapomniała nawet o oddychaniu. Nie mogła oderwać oczu od gruzowiska.

Zeerid sięgnął nad oparciem fotela i ujął ją za rękę. Zacisnęła palce na jego dłoni i trzymała mocno, jakby tonęła, a Zeerid był kołem ratunkowym.

– Chyba nie powinniśmy tutaj lądować, Aryn. Czegóż takiego nie przetrwały żadne karty pamięci.

– Podleć bliżej, Zeerid.

– Jesteś pewna?

Skinęła głową, a on podprowadził maszynę do rumowiska, żeby miała lepszy widok. Spomiędzy poczerniałych kamieni unosił się dym. Pozostałości wież leżały w kawałkach na ruinach głównej Świątyni, jakby się nad nią złożyły.

Popękane kolumny sterczały z rumowiska niczym połamane kości. Aryn przygotowała się na widok martwych ciał, lecz na szczęście żadnych nie dostrzegła. Zobaczyła za to leżące w różnych miejscach odłamki rozbitych posągów – wyszczerbione resztki kamiennych zwłok Mistrzów Jedi.

Tysiące lat wielkiej historii w jeden dzień zmienione w pył, popioły i ruiny przez imperialne bomby. Ogień będzie się tlił przez wiele dni w głębi rumowisk. Poczucie ogromnej straty zapierało Aryn dech w piersiach, ale nie mogła płakać; nie miała już łez.

Jaka wspaniała, a zarazem przerażająca jest zdolność umysłu do tłumienia bólu, pomyślała.

Zeerid nie puszczał jej dłoni.

– Jeśli twój Mistrz tu był, gdy wybuchły bomby, to... pewnie zginął w tej eksplozji. A winę za to ponosi anonimowy pilot Imperium, Aryn. Nie masz kogo szukać ani kogo ścigać.

Zaczęła kręcić głową, zanim jeszcze skończył mówić.

– Mój Mistrz nie zginął w wybuchu.

– Aryn...

Wyrwała rękę z ucisku, a smutek i gniew zaostrzyły jej ton.

– Czułam to, Zeerid! Czułam, jak umiera! To na pewno nie był wybuch bomby. To był miecz świetlny. Dostał dokładnie w to miejsce.

Dotknęła brzucha i skrzywiła się na wspomnienie bólu, jaki poczuła, gdy Mistrz Zallow umierał. Ramię Zeerida nadal leżało nad oparciem siedzenia, ale nie dotykało już Aryn.

– Wierzę ci. Naprawdę.

Okrążyli ruiny w milczeniu.

– I co teraz?

– Muszę zejść na dół.

– To nie jest dobry pomysł, Aryn.

Prawdopodobnie miał rację, ale ona musiała dotknąć gruzów, stanąć między zgliszczami. Zwalczyła na razie impuls, uciszając emocje rozsądkiem.

– Nie, nie ląduj tutaj. Jest inne wejście do środka.

– Nie widać żadnego budynku, który się zachował.

– Świątynia ma podziemia. Jedno z pomieszczeń nadzoru systemów znajduje się dość głęboko. Mogło przetrwać eksplozję.

Zeerid miał taką minę, jakby chciał się sprzeciwić, ale nie zrobił tego. Aryn była mu za to wdzięczna.

– Gdzie jest to inne wejście?

– Przez Roboty.

Prywatny wahadłowiec Malgusa zmierzał ku powierzchni Coruscant. Eleena i towarzyszący jej oddział opuścili „Walecznego” godzinę wcześniej, w konwoju składającym się z trzech wahadłowców. Teraz zapewne wykonywali już swoje zadanie.

Malgus siedział sam, a jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu było charczenie jego respiratora. Zapatrzony w swoje odbicie w transpastalowym oknie wahadłowca, próbował uporządkować myśli.

Po głowie krążyły mu dziwne pomysły; wolał ich nie rozwijać ze strachu przed tym, dokąd go mogą zaprowadzić.

Jedno wiedział na pewno – Angrał się mylił. Rada Ciemnej Strony też się myliła. Może nawet Imperator się mylił. Pokój to błąd. Pokój spowoduje upadek Sithów, tak jak się to stało z Republiką. Pokój osłabi w Sithach rozumienie Mocy, podobnie jak przestali ją rozumieć Jedi. Podbój Coruscant był dowodem ich rozpadu i słabości.

Pokój oznacza atrofie siły. Jedynie przez konflikt można realizować swój potencjał.

Malgus zrozumiał, że Republika i Jedi powinni odgrywać rolę osełki, na której Imperium i Sithowie będą ostrzyć swoje umiejętności i stawać się coraz bardziej niebezpieczni.

Pokój, jeśli nastąpi, pozbawi ich siły.

Chociaż jednak wiedział, że Imperium potrzebuje wojny, dotąd jeszcze nie postanowił, jak do niej doprowadzi.

– Wchodzimy w atmosferę, panie – poinformował pilot.

Przyglądał się, jak płomień wejścia w atmosferę obejmują statek i przypomniały mu się czasy, gdy studiował w Akademii Sithów na Dromund Kaas.

Uczono go tam, że starożytni Sithowie z Korribanu oczyszczali swoje ciała ogniem, uczyli się siły przez ból, wspierali rozwój poprzez zniszczenie.

Tkwiała w tym jakaś mądrość, myślał. Jeśli nie da się czegoś naprawić, należy to zniszczyć i stworzyć od nowa.

– Stworzyć od nowa – rzekł ochryple. – Zniszczyć i przerobić.

– Lordzie Malgusie – odezwał się głos pilota w komunikatorze. – Dokąd mam pana zawieźć? Nie otrzymałem planów lotu.

Płomień ponownego przejścia przez atmosferę już wygasiał, ale ogień żarzący się w duszy Malgusa dopiero nabierał mocy. Niespodziewane pojawienie się Aryn Leneer pchnęło go na drogę, na którą już dawno powinien był wkroczyć. Był jej za to wdzięczny.

Na monitorze pojawił się obraz Coruscant – panorama miejskiego krajobrazu,

podziurawionego i wypalonego wybuchami imperialnych bomb.

– Do Świątyni Jedi – odparł. – Okrąż ją na wysokości stu metrów.

Jeśli nawet nie uda się tego dokonać na większą skalę, to przynajmniej czekała go osobista wojna. Aryn Leneer przybyła na Coruscant, żeby go odszukać. A on postanowił odnaleźć ją.

Spotkają się na zasypanej gruzami mogile Zakonu Jedi.



Aryn wskazała na iluminator w olbrzymim budynku z durabetonu i stali, w którym mogłoby się pomieścić dziesięć stadionów lekkoatletycznych. Szczyt kopuły znajdował się na wysokości kilkuset metrów od ziemi, a niezliczone wieże wentylacyjne i kominy sterczące z powierzchni kopuły wyglądały jak gąszcz oszczepów. Na metalowo–betonowej fasadzie nie ocalało nawet jedno okno.

– Roboty – rzuciła Aryn. – Lub przynajmniej jeden z węzłów. Wyląduj tam.

Podczas gdy Zeerid sprowadzał śmigacz w dół, Aryn obejrzała się na miasto, aby się zorientować, jakie jest ich położenie w odniesieniu do Świątyni Jedi. Z tego miejsca nie mogła dostrzec ruin Świątyni – widok zasłaniał rozciągający się pomiędzy nimi teren – ale widziała pióropusze dymu.

Obraz zniszczonego sanktuarium nadal ją prześladował.

Zeerid wylądował śmigaczem na szczycie pobliskiego parkingu. Stało tam już kilka innych pojazdów. Pojedynczy śmigacz, dwa swoopy – obydwie przechylone na bok – to było wszystko, co Aryn zauważyła.

– Gdzie są pracownicy? – zapytał Zeerid.

– Może ubywają się na niższych poziomach. Albo zostali w domach.

Choć wydawało się, że minęły wieki, atak miał miejsce zaledwie dzień wcześniej. Ludność nadal była w szoku; wszyscy szukali schronienia lub zbierali to, co ocalało.

Aby dotrzeć do centrum Robót, wsiedli do windy, a potem skorzystali z ruchomego chodnika. Olbrzymia brama i budynek ochrony zapewniały przejście przez dziesięciometrową betonową ścianę. Brama była zamknięta, ale budynek ochrony stał otworem. W normalnych okolicznościach kręciłoby się tu mnóstwo strażników. Aryn i Zeerid weszli do środka i przemaszerowali przez budynek przez nikogo niezatrzymywani.

Przed sobą mieli gigantyczną strukturę, większą nawet od republikańskiego krążownika.

Zeerid wyciągnął pistolet blasterowy z kabury u pasa, a potem następny, ukryty na plecach, i podał go Aryn. Odmówiła.

– Pomyślałem, że ci zaproponuję – powiedział. – Ten twój miecz świetlny nie przyda ci się na wiele z odległości dwudziestu metrów.

– Żebyś się nie zdziwił – burknęła.

Zakończone łukiem podwójne drzwi wejściowe wyglądały jak przeniesione ze starożytnego zamku na Alderaan, zbudowanego dla olbrzymów. Były ogromne. Raven Aryn spokojnie by przez nie przeleciał.

– Prąd jest nadal włączony i działają kontrolki – zauważył Zeerid, przyglądając się konsoli przy drzwiach.

Aryn wystukała na niej kod, którego się nauczyła przed wielu laty.

Gdzieś zaskoczył niewidoczny mechanizm, wydając odgłosy przypominające stękanie olbrzyma, i drzwi zaczęły się otwierać.

Gdy to się stało, weszli do środka, w puste korytarze, gdzie unosił się zapach smaru i lekki swąd spalenizny. Metalowa posadzka pod ich stopami wibrowała, a dźwięk, jaki się przy tym roznosił, przypominał pochrapywanie olbrzymiej, niewidzialnej mechanicznej bestii. Drżenie wzmagало się, w miarę jak zapuszczali się w głąb kompleksu. W oddali słychać było zgrzytanie metalu ocierającego się o metal.

W pewnym momencie opuścili szeroki główny korytarz, którym szli od początku, i zanurzyli się w labirynt sal i biur o rozmiarach znacznie bardziej normalnych.

– Nigdy nie widziałem wnętrza węzła – wyznał Zeerid. – Nie ma zresztą na co patrzeć. Gdzie są wszystkie mechanizmy?

Aryn poprowadziła go przez ciąg opuszczonych stanowisk ochrony, aż dotarli do dźwiękoszczelnych drzwi, otwierających się na centralną komorę, umiejscowioną pod kopułą.

„Za tym punktem istoty niedroidalne mają obowiązek noszenia słuchawek i hełmów”, głosił napis na drzwiach.

Aryn otworzyła je i ze środka uderzył w nich przeraźliwy hałas: rytmiczny zgrzyt metalu trącego o metal, syczenie wentylowanego powietrza i gazu, nieharmonijne buczenie setek olbrzymich silników i pomp, pikanie i pogwizdywanie robotów technicznych.

Zeerid zwiesił bezwładnie ręce i szeroko otworzył usta.

Zrozumienie, co dzieje się w Robotach, było niemożliwe na pierwszy rzut oka. Centralna komora miała średnicę kilku kilometrów, a jej wysokość osiągała setki metrów. Powierzchnia, poprzecinana wieloma poziomami, siecią schodów i klatek wind, kojarzyła się z dziełem szalonego artysty, przedstawiającym mrowisko lub ul. Aryn zawsze, gdy tu wchodziła, czuła się straszliwie mała. Komora zdawała się zbudowana dla jakiejś obcej rasy o wzroście dziesięć razy przewyższającym wzrost człowieka: dźwignie były wielkości myśliwców, rury tak szerokie, że przeleciałby przez nie śmigacz, poszczególne maszyny sięgały od podłogi do sufitu, łańcuchy i taśmy rozciągały się na setki metrów. A pomiędzy tym wszystkim uwijały się setki

robotów, które sprawdzały zawory i odczyty na wyświetlaczach, ustawiały kontrolki i oliwiły mechanizmy. Huk, jaki tu panował, był przytłaczający – ogłuszająca przemysłowa kakofonia.

W porównaniu z zaawansowaną technologią, stosowaną wszędzie na terenie Coruscant – z jej obłymi liniami, zwartymi konstrukcjami i czystą elegancją – Roboty sprawiały wrażenie czegoś prymitywnego, krzykliwego w swoim rozmachu, niczym relikwiny pradawnych czasów, gdy przemysł napędzały para i ogień. Ale Aryn wiedziała, że to złudzenie.

Kombinat rozciągał się pod skorupą Coruscant od jednego bieguna do drugiego. Zazwyczaj można się było dostać do niego przez punkty rozdzielcze. Jego rury, węże, przewody tworzyły krwiociąg planety, którym płynęły woda, ciepło, prąd i każda inna, niezbędna do życia miasta substancja. Roboty reprezentowały szczyt rozwoju technologii Republiki.

– Chodź za mną! – zawołała Aryn, przekrzykując łomot maszyn, a Zeerid skinął głową.

Podążając za oznakowaniem i wspierając się pamięcią, Aryn ruszyła przez labirynt platform, podnośników i ruchomych chodników. Po drodze mijały ich ślepe na wszystko roboty. Do Aryn dotarło, że droidy wykonywałyby prawdopodobnie swoje zadania w Robotach nawet wtedy, gdyby na Coruscant nie został nikt żywy. Myśl wydała jej się groteskowa.

Zeerid rozglądał się wokół, gdy szli, starając się dobrze wszystko obejrzeć.

– To niewiarygodne – zwrócił się do Aryn. – Żałuję, że nie mam przy sobie holokamery.

Aryn skinęła głową i przyspieszyła kroku.

Wkrótce pozostawili za sobą mechaniczny tumult węzła. Hałas za nimi stawał się coraz słabszy, a korytarze coraz węższe i ciemniejsze. Coraz mniej też było zamontowanych na ścianach lamp. Na sufitach i podłodze wiły się niezliczone rury i przewody. Zeerid wyciągnął z kieszeni lotniczych spodni pręt żarowy, przełamał go na pół i podniósł do góry, żeby oświetlić nim drogę. Oboje byli złani potem w dusznym powietrzu.

– W tych tunelach trzymają wartę roboty ochrony – poinformowała Aryn. – Nie mamy odpowiedniej przepustki, więc pewnie będą próbowały nas zatrzymać.

– Wspaniale – jęknął Zeerid. – Mam nadzieję, że wiesz, dokąd idziesz?

Kiwnęła głową, choć właśnie zaczynała podejrzywać, że się pogubiła.

Przed sobą usłyszała szum serwomotorów i brzęk metalu. Zbliżał się jakiś robot.

Złapała Zeerida za rękę, każąc mu się zatrzymać. W obawie, że będą mieli do czynienia z robotem ochrony, aktywowała miecz świetlny. W jego zielonym blasku zatańczył kurz. Zeerid wyciągnął blaster i wyżej uniósł pręt żarowy.

– O co chodzi? – spytał.

Jakaś postać poruszała się w mroku: niski, walcowaty robot. Na szczęście astromechaniczny. Robót wkroczył w płamę światła i Aryn rozpoznała płaską, kolistą głowę oraz ciemnobrązowy kolor T7. Powierzchnia obudowy droida była porysowana, a z jednego z przegubów ramiennych sterczały poszarpane przewody. Aryn jednak знаła tego robota. Poczowała się tak, jakby zobaczyła widmo, ducha z przeszłości, krążącego po tunelach Robót. Dezaktywując miecz świetlny, odezwała się:

– Tee–seven?

Głos załamał się jej pod koniec.

Robot odpowiedział powitalnym piknięciem, a Aryn już wiedziała, że to on. Jego mechaniczny głos w jakiś sposób przywołał wspomnienia całkiem ludzkich radości, triumfów i cierpień. Był jak ścieżka dźwiękowa z okresu, jaki Aryn spędziła w Świątyni u boku Mistrza Zallowa. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy T7 podtoczył się ku nim na kółkach.

– Znasz tego robota? – zdziwił się Zeerid.

Uklękła przed T7, ścierając mu kurz z głowy, jakby był dzieckiem. Robot aż gwizdnął z radości.

– Jak się tu dostałeś? – spytała. – Jak... przetrwałeś atak?

Z trudem nadażała za mechaniczną mową droida, tak szybko wyrzucał z siebie piknięcia, gwizdy i ćwierkanie. Wreszcie zrozumiała, że gdy siły Sithów zaatakowały Świątynię, Mistrz Zallow odesłał T7 z pola walki, na które robot zakradł się powtórnie, gdy wszystko ucichło. Później Sithowie wrócili, prawdopodobnie po to, żeby podłożyć ładunki wybuchowe, i droid uciekł na niższe poziomy.

– Wiem, co się stało z Mistrzem Zallowem, Tee–seven – wyznała Aryn.

Robot wydał z siebie przeciągły, żalony gwizd.

– Widziałeś to? Widziałeś, jak to się stało?

Robot gwizdnął przecząco.

– Czemu wróciłeś na miejsce walki? – spytał Zeerid.

Rozległ się przeciągły świst; z obudowy T7 wysunęła się przegródka, a z niej wąskie metalowe ramię.

Na jego końcu leżał miecz świetlny Mistrza Zallowa.

Aryn cofnęła się i przez dłuższą chwilę wpatrywała w miecz. Niczym potop zalały ją wspomnienia.

– Wróciłeś, żeby to odzyskać? Tylko po to?

Kolejne zaprzeczające ćwierknięcie i następny monolog w języku robotów, za którym trudno było nadażyć.

Okazało się, że T7 wrócił, by sprawdzić, czy ktoś przeżył, ale znalazł tylko miecz.

Po raz drugi Aryn patrzyła w twarz przeznaczenu. Moc zawiodła ją do Zeerida dokładnie w momencie, gdy pilot wybierał się na Coruscant. A teraz się okazywało, że dzięki Mocy T7 znalazł miecz świetlny Mistrza Zallowa, by móc go jej przekazać.

Aryn uznała, że to nie może być przypadek. Moc pokazywała, że kierunek, jaki obrała, jest właściwy, przynajmniej dla niej.

Wzięła do ręki chłodny metal rękojeści miecza, sprawdzając jej ciężar. Była większa niż uchwyt jej miecza, ważyła nieco więcej, mimo to świetnie pasowała do jej dłoni. Aryn wiele razy widziała ten miecz w rękach Mistrza Zallowa, gdy udzielał jej lekcji walki. Aktywowała go teraz i zielone ostrze ożyło. Przez chwilę wpatrywała się w nie, myśląc o Mistrzu, po czym wyłączyła miecz.

Przyczepiła go do pasa obok własnego i poklepała T7 po głowie.

– Dziękuję, Tee–seven. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Postąpiłeś bardzo odważnie, wracając.

Droid piknął radośnie.

– Czy ktoś jeszcze ocalał? – spytał Zeerid i Aryn się zawstydzila, że sama nie zadała tego pytania.

T7 gwizdnął żałośnie i przecząco.

Zeerid schował blaster do kabury.

– A co z robotami ochrony?

Kolejny żalosny gwizd.

– Muszę się dostać do stacji nadzoru systemów i przechowywania kopii zapasowych – powiedziała Aryn. – Mam nadzieję, że nie została zniszczona. Możesz nas tam zaprowadzić?

T7 zaświergotał z entuzjazmem, pokiwał głową i dyndając sterczącymi z ramienia przewodami, ruszył w dół korytarza. Aryn i Zeerid poszli za nim. Aryn czuła u pasa ciężar dodatkowego miecza świetlnego – ciężar wspomnień, jakie się w nim kryły.

Droid prowadził ich przez labirynt korytarzy, unikając tych, które się zaważyły lub były zablokowane. Cofali się, jeśli to było konieczne i schodzili na coraz niższe poziomy kłębówiska rur, przekładni i maszynierii. Aryn wkrótce straciła orientację. Gdyby nie spotkali T7, błądziliby zapewne po Robotach przez wiele dni.

Wreszcie po jakimś czasie dotarli do terenu, który był Aryn znajomy.

– Jesteśmy już blisko – poinformowała Zeerida.

Przed sobą mieli turbowindę, którą można się było dostać na niższe poziomy Świątyni. T7 podłączył się do panelu kontrolnego i mechanizm windy zaczął buczeć. Aryn była przygotowana, że ujrzy coś strasznego, gdy drzwi windy się otworzą, ale za nimi znajdowała się tylko pusta kabina przedziału pasażerskiego.

Cała trójka weszła do środka, drzwi się zamknęły i winda zaczęła się wznosić. Aryn wyczuwała współczucie ze strony Zeerida. Przyglądał się jej kątem oka, myśląc, że tego nie widzi, ale ona to zauważyła i była poruszona jego troską.

– Cieszę się, że jesteś przy mnie – powiedziała.

Zaczerwienił się, zakłopotany.

– Tak? Cóż, ja też się cieszę.

Drzwi się rozsunęły, odsłaniając długi korytarz. Lampy awaryjne migotały i brzęczały. T7 ruszył przed siebie, a Aryn i Zeerid za nim.

Aryn bywała już w tym korytarzu przed wielu laty, ale teraz wszystko wydawało się jej inne. Nie czuła już, że jest w Świątyni Jedi, raczej w grobowcu. Atak Sithów zniszczył nie tylko strukturę Świątyni. Coś jeszcze umarło wraz z jej rozpadem. Świątynia służyła za symbol sprawiedliwości przez tysiące lat, a teraz jej niebyło.

Zdaniem Aryn był to wyraźny przekaz.

Pragnęła jak najszybciej opuścić ruiny, lecz najpierw musiała sprawdzić, czy nie zachowały się jakieś nagrania z ataku.

Szum serwowatorów T7 i tupot kroków Aryn i Zeerida rozbrzmiewały głośno w ciszy. Pokoje przy głównym korytarzu wyglądały zupełnie normalnie. Stały tam krzesła, biurka, komputery, wszystko w jak najlepszym porządku. Atak zniszczył zewnętrzną strukturę, ale jądro pozostawił nietknięte.

Może ma to jakieś znaczenie, pomyślała Aryn, pozwalając sobie na odrobinę nadziei na lepszą przyszłość.

Gdy dotarli do pomieszczenia, gdzie mieścił się system operacyjny, przekonali się, że ono również nie doznało szkód. Pięć stanowisk kontrolnych, każde składające się z fotela, biurka i komputera, znajdowało się na swoich miejscach, a na ścianie nad nimi wisiał olbrzymi monitor. Ekrany wszystkich komputerów były czarne.

– Możesz doprowadzić tu prąd, Tee–seven? – spytała Aryn.

Droid piknął twierdząco i przetoczył się do ściennego gniazda elektrycznego, do którego zaraz się podłączył. Po chwili pokój ożył. Górne światła rozbłysły, a komputery i monitory zaszumiały.

– Chcę zobaczyć wszystko, co dotyczy ataku. Możesz odszukać te dane?

Robot znów potwierdził.

Zeerid pchnął fotel ku Aryn. Usiadła w nim; serce w jej piersiach waliło jak oszalałe, a oddech przyspieszył. Zeerid położył jej na chwilę rękę na ramieniu, po czym przyciągnął drugi fotel i usiadł obok Aryn. Wlepili oczy w ciemne monitory, czekając, aż T7 wyświetli sceny horroru.

Droid wydał z siebie serię podekscytowanych świergotów. Odnalazł, co trzeba. Aryn chwyciła się mocno poręczy fotela.

– Puść nagranie – powiedziała.

Na monitorze ukazała się pojedyncza błyszcząca linia, która zaczęła się rozszerzać w górę i dół, aż wypełniła cały ekran. Pojawiły się teraz jakieś obrazy. Główna kamera ochrony była zamontowana naprzeciwko głównego wejścia do Świątyni, tak by można nią było nagrywać wchodzących i wychodzących.

Aryn poczuła, że robi jej się sucho w ustach. Bała się mrugać w obawie, że coś przeoczy; było to dość niedorzeczne, bo T7 mógł w każdej chwili zatrzymać nagranie, powtórnie je puścić, a nawet powiększyć obraz.

Patrzyli, jak przez olbrzymie wrota Świątyni przechodzi postać w pelerynie, uzbrojona w blastery, a obok niej Twi'lekancka.

– Czy Świątynia wystawiała tam strażników? – zainteresował się Zeerid.

Aryn skinęła głową.

Żadne nie miało wątpliwości, co stało się ze strażnikami.

Widzieli, jak para kroczy przez hol; kamera pokazywała też ludzi zbierających się na balkonach i patrzących w dół.

– Nie wiedzą, co mają o tym myśleć – powiedział Zeerid.

Aryn przytaknęła.

– Ten facet jest olbrzymi – zauważył pilot.

– Zatrzymaj nagranie na jego twarzy i powiększ ją – poprosiła Aryn T7.

Obraz zakapturzonej głowy mężczyzny zamarł na chwilę, a potem się powiększył. Aryn nie mogła dostrzec rysów twarzy, z wyjątkiem czegoś, co wyglądało jak maska.

– Co to jest? – spytał Zeerid.

– Nie wiem. Teraz daj Twi'lekanckę, Tee-seven – poleciła i T7 cofnął nagranie, zatrzymując je na kobiecie.

Ekran wypełniła twarz nieznajomej.

– Ma dziwny odcień skóry – stwierdził Zeerid. Nachylił się do monitora, wpatrując się intensywnie w obraz.

Aryn musiała przyznać w duchu, że kobieta jest piękna.

I że jest morderczynią. Lub co najmniej pomaga mordercy.

– Widzisz tę bliznę? – odezwał się Zeerid. Wstał i wycelował palcem w ekran, wskazując na gardło kobiety. Na szyi widniała nierówna, poszarpana szrama. – Może dzięki temu uda nam się ją zidentyfikować.

– Może – zgodziła się Aryn, próbując przełknąć ślinę. Bardziej niż kobieta interesował ją ten zakapturzony mężczyzna. – Dalej, Tee-seven.

Patrzyli, jak para dociera do połowy holu. Aryn wstrzymała oddech, gdy ujrzała Mistrza Zallowa wychodzącego spoza zasięgu kamery na spotkanie Sitha i kobiety. Towarzyszyło mu sześciu innych Jedi.

– Zatrzymaj nagranie, Tee-seven.

Klatka filmu znieruchomiała, a Aryn wbiła wzrok w twarz Mistrza Zallowa. Wyglądał jak zawsze – surowy, skupiony. Jego widok w jakiś sposób pozwolił Aryn przerwać opłakiwanie jego śmierci. Przypomniały się jej ich sesje treningowe, podczas których Mistrz Zallow nalegał początkowo, aby walczyła jego stylem, i jak później ustąpił i pozwolił jej odnaleźć własną ścieżkę. To wspomnienie wywołało uśmiech na jej twarzy i łzy w oczach.

– Wszystko w porządku, Aryn? – spytał Zeerid.

Kiwnęła głową i otarła łzy rękawem szaty.

– Tee-seven, pokaż twarze pozostałych Jedi – poleciła.

Droid przerzucił kilka klitek z ujęciami wykonanymi pod różnym kątem, aż dotarł do twarzy Jedi. Aryn rozpoznała wszystkich, choć nie znała ich dobrze. Zaczęła wymieniać ich imiona, uznając, że przynajmniej tyle może dla nich zrobić.

– Bynin, Ceras, Okean, Draerd, Kalla...

– Przyjaciele? – spytał Zeerid łagodnym tonem.

– Nie – odparła. – Ale byli Jedi.

– To niemożliwe, aby Sith i ta Twi'lekanka sami pokonali Jedi i zdobyli Świątynię – oświadczył Zeerid, choć w jego głosie nie było absolutnego przekonania. – Prawda?

Aryn nie miała pojęcia.

– Puść dalej nagranie, Tee–seven.

Film znowu się rozpoczął. Mistrz Zallow zatrzymał się przed Sithem. Reszta Jedi aktywowała miecze. Aryn wpatrywała się w Mistrza Zallowa i w Sitha, by zobaczyć, czy coś do siebie mówią, wykonują jakieś gesty, cokolwiek. Nic takiego się nie działo, przynajmniej wnioskując z tego, co udało jej się dostrzec.

– *Stang* – sapnął Zeerid.

– Co? – spytała z niepokojem. – Zatrzymaj obraz, Tee–seven. O co chodzi?

Nagranie zastygło w miejscu. Aryn nie widziała, by działo się coś nadzwyczajnego między Mistrzem Zallowem a Sithem.

– Tam – powiedział Zeerid, podrywając się z fotela i pokazując na punkt za wysokim wejściem do Świątyni. Wskazywał coś na niebie, ale Aryn niczego nie widziała.

– Co to jest?

– Statek – wyjaśnił. – Tutaj. Widzisz?

Aryn wstała i zmrużonymi oczami przyjrzała się ekranowi. Dostrzegła statek, choć trudno go było rozróżnić na tle skrawka nieba, widocznego w szparze sięgających od podłogi do sufitu otwartych bram Świątyni.

– Zwróć uwagę na sylwetkę – poradził Zeerid. – To prom typu NR2, statek Republiki. Latałem takim. Widzisz?

Aryn widziała, ale nie rozumiała, jakie znaczenie ma obecność statku.

– Powiększ, Tee–seven – rozkazał Zeerid i robot wykonał polecenie. Na monitorze pojawił się wyraźny obraz okrętu powietrznego.

– Nie ma oznakowań – mruknął Zeerid. – Ale spójrz na dziób, na trajektorię. Leci w dół, prosto na Świątynię.

– Jesteś pewien?

– Nie wygląda, żeby był uszkodzony – ciągnął Zeerid z zastanowieniem. – Wróć do normalnej wielkości i puść nagranie dalej, Tee–seven.

Przyglądali się w przerażonym milczeniu, jak prom wbija się w bramę Świątyni, przetacza przez hol, strącając po drodze kolumny – olbrzymia, bezwładna masa metalu i płomieni – i w końcu zatrzymuje się tuż za Sithem, stojącym przed Mistrzem

Zallowem.

Ani Sith, ani Jedi nawet nie drgnęli.

– Sekcja środkowa statku pozostała nienaruszona – zauważył Zeerid. – Musiała zostać wzmocniona. – Spojrzał na Aryn. – W środku coś jest. Może bomba.

– Nie, nie bomba – zaprzeczyła Aryn. Zaczynała rozumieć.

Patrzyli, jak wielki właz centralnej komory NR2 otwiera się z hukiem, a ze środka wypada dwunastka Sithów z czerwonymi mieczami świetlnymi w rękach.

Zeerid usiadł z powrotem w fotelu.

– To gorsze niż bomba.

Mistrz Zallow aktywował swój miecz, a zza kamery wybiegło jeszcze więcej Jedi, by pomóc koledze. Aryn obserwowała rozwój wypadków, ale jej uwaga skupiona była na Sicie. Gdy walka się rozpoczęła, zrzucił pelerynę, odsłaniając w końcu twarz.

– Zatrzymaj – poleciła i T7 posłuchał. Dodała lodowatym głosem: – Powiększ jego twarz.

T7 wycentrował obraz na obliczu Sitha i powiększył. Łysa głowa z niebieskimi żyłkami, policzki w szramach, intensywny wzrok i respirator, a nie maska.

– To ten facet z krążownika! – zawołał Zeerid.

– Darth Malgus – powiedziała Aryn, czując nagły ucisk u podstawy czaszki. – To Darth Malgus przewodził atakowi. – Przez jakiś czas wpatrywała się w czarne oczy Sitha, szykując się na to, co wiedziała, że musi nastąpić. – Kontynuuj, Tee-seven.

Przyglądała się walce, próbując utrzymać emocje na wodzy, ale i tak odnosiła wrażenie, że czuje wszystko, co odczuwają walczący. Była spięta i naszykowana do skoku.

Inni uczestnicy rozdzielili Mistrza Zallowa i Malgusa, ale obaj utorowali sobie drogę do siebie.

– Zobacz, to Mandalorianka – oświadczył Zeerid.

Aryn kiwnęła głową. Mandalorianka w pełnym bojowym rynsztunku pojawiła się na miejscu walki, plując ogniem z blastera.

– Jest goręcej niż na wielu polach bitwy, na jakich bywałem – orzekł Zeerid.

Faktycznie tak było. Ogień płonął wszędzie, sterty gruzu zaścielały hol, smugi z blasterów przelatywały w każdym kierunku, a Jedi walczyli z Sithami. Trudno było nawet śledzić poczynania poszczególnych osób. Wszystko zlewało się w niewyobrażalny chaos bitwy. Aryn jednak nie spuszczała wzroku z Mistrza Zallowa, który przesunął się w stronę Malgusa. Sith robił to samo, szukając Zallowa.

Kiedy znaleźli się bliżej siebie, Aryn spostrzegła, że Malgus obronił Twi'lekanę przed atakiem jednego z padawanów, a kiedy kobietę trafił ogień z blastera, zaszarżował na przeciwników z jeszcze większą zaciekłością.

– Nie wiedziałem, że Sithowi może na czymś zależeć – mruknął Zeerid.

Aryn również była zaskoczona zachowaniem Malgusa, ale nie miała czasu się nad

tym zastanawiać, bo Sith i Mistrz Zallow wreszcie spotkali się w walce.

Gdy pojedynek nabrał tempa, podniosła się z fotela i podeszła bliżej monitora. Przyglądała się, jak walczący wymieniają sztychy, testując nawzajem swoje umiejętności. Patrzyła, jak Malgus zamachnął się mieczem świetlnym, a Mistrz Zallow nad nim przeskoczył. Potem Malgus strącił Jedi z powietrza w połowie skoku i zaszarżował na niego, a Mistrz Zallow w ostatnim momencie uniknął dźgnięcia.

Serce jej waliło jak szalone. Miała nadzieję, że pojawi się jakaś pomoc, ktoś, kto zmieni bieg wypadków, choć wiedziała, że są niezmiennie. Czekwała na jakiś błąd ze strony Mistrza lub na podstępna sztuczkę ze strony Malgusa, co wyjaśniłoby to, co miało się za chwilę wydarzyć – Mistrz Zallow zostanie pokonany przez Malgusa.

Jedi i Sith walczyli w odległym rogu holu. Mistrz Zallow przystąpił do ostrego ataku, pod którym Malgus się ugiął. Ale Aryn wiedziała, że Sith umyślnie przyciąga przeciwnika do siebie.

I wtedy to się stało.

Mistrz Zallow uderzył ostrzem miecza w policzek Malgusa, zmuszając go do zrobienia kroku w tył. Jedi ruszył za Malgusem, ale Sith to przewidział, wykonał obrót i wbił ostrze miecza świetlnego w brzuch przeciwnika.

– Wystarczy, Tee–seven – zawołał Zeerid. – Zobaczyliśmy już wszystko.

– Jeszcze nie – sprzeciwiła się Aryn. – Puść nagranie powtórnie, Tee–seven.

Robot wykonał polecenie.

– Jeszcze raz. On coś mówi na samym końcu. Zrób zbliżenie na usta.

T7 uczynił, o co prosiła. Cios Mistrza Zallowa skierowany na twarz Malgusa strącił Sithowi respirator i Aryn mogła wyraźnie zobaczyć pokiereszowane, zdeformowane usta. Sith mówił coś do Mistrza Zallowa, gdy Jedi umierał. Aryn zdołała odczytać z ruchu warg:

„To wszystko spłonie”.

Uświadomiła sobie, że patrząc w monitor, trzyma się za bok, jakby to ona nadziała się na ostrze miecza Sitha. Powtórnie przeżywała ból, jaki ją dopadł na Alderaanie, gdy wyczuła śmierć Mistrza Zallowa. I ten sam gniew.

Teraz miała na kim go skupić: Darth Malgus.

– Jeszcze raz, Tee–seven.

– Aryn, nie! – odezwał się Zeerid.

– Jeszcze raz.

– Nie, Tee–seven. – Zeerid odwrócił się i stanął tak, że mogli patrzeć sobie nawzajem w oczy. – Co ty wyprawiasz? Co jeszcze chcesz zobaczyć?

– Ja wcale nie oglądam. Ja przeżywam. Zostaw mnie, Zeerid.

Musiał zrozumieć, bo dał jej spokój, a ona znów odwróciła się do monitora.

– Powiększ twarz Mistrza Zallowa i puść ponownie, Tee–seven.

Raz za razem patrzyła na wyraz twarzy swojego Mistrza, gdy umierał. Wiedziała,

że jego oczy będą ją prześladować, ale nie mogła odwrócić wzroku. Wiedziała, co Mistrz Zallow myślał w ostatniej chwili swojego życia, kiedy z tych oczu uchodziło światło.

Zawiodłem.

I słowa Malgusa: „To wszystko spłonie”.

Mur, jakim Aryn otoczyła swoje cierpienie, runął jak mury Świątyni. Z jej oczu płynęły łzy, ale mimo to nadal patrzyła. Chciała zapamiętać ból Mistrza, zachować go głęboko w sobie, jak czarne ziarno, które wyda czarny owoc, gdy ona stanie twarzą w twarz z Malgusem.

Zanim go zabije, powinien poczuć ten sam ból, jaki odczuwał Mistrz Zallow.

Delikatny dotyk dłoni Zeerida na ramieniu wrócił ją do rzeczywistości. Ekran monitora był czysty. Jak długo tam siedziała, gapiąc się w pusty ekran, marząc o śmierci, zemście i bólu?

– Czas się zbierać, Aryn – rzekł Zeerid i pomógł jej wstać.

T7 gwizdnął ze współczuciem.

– Wszystko z tobą w porządku? – spytał Zeerid.

Domyślała się, jak wygląda. Rękawem tuniki wytarła łzy z policzków.

– W porządku – zapewniła.

Zeerid przez chwilę wyglądał, jakby chciał ją przytulić, ale wiedziała, że nie pozwoli sobie na to, jeśli ona nie da mu znaku.

Nie zrobiła tego. Nie chciała ulgi od smutku i bólu. Pragnęła tylko w jakiś sposób przenieść je na Malgusa.

– Zrób kopię nagrania i zachowaj ją, Tee-seven – poleciła. – Trzymaj ją przy sobie.

Droid piknął na znak zgody.

Wracali przez kombinat na powierzchnię w milczeniu. Zanim dotarli do śmigacza, Aryn zdążyła odbudować mur wokół swoich emocji. Schowała rozpacz i ból głęboko, ale tak, by mogła je wywołać, gdy będzie tego potrzebowała.

Wraz z Zeeridem ustawili T7 na podstawie dla droidów z tyłu śmigacza.

– Muszę się dostać na krążownik – oświadczyła.

Zeerid włączył magnetyczną blokadę, unieruchamiając T7.

– Nie możesz zaatakować krążownika, Aryn.

– Wcale nie chcę go zaatakować. Chcę tylko dostać się na pokład.

– I spotkać się z nim? Z Lordem Malgusem?

– I spotkać się z nim – potwierdziła, kiwając głową.

– I co twoim zdaniem się wydarzy, gdy wejdiesz na pokład? Jak zamierzasz ominąć imperialnych żołnierzy? Sądzisz, że Malgus wpuści cię bez trudu i stanie z tobą do honorowej walki?

Nie podobał jej się ton, jakim mówił Zeerid.

– Spowoduję, że krążownik spadnie. Z nim na pokładzie.

– I z tobą.

Uniosła hardo brodę.

– Jeśli to będzie konieczne.

Zeerid walnął z frustracją dłonią w obudowę T7. Droid ćwierknął poirytowany.

– Aryn, oglądasz za dużo holonetu. To się nie uda. Złapią cię, będą cię torturowali i zabiją. On jest Sithem. To Sithowie wpadli statkiem w Świątynię, zabili dwunastu Jedi, rzucili bomby na Coruscant. No, pomyśl!

– Myślałam. I muszę to zrobić.

Zeerid widział zdecydowanie w jej oczach. Przełknął głośno ślinę i spojrzał w dal ponad głową Aryn, jakby zbierał myśli, po czym ponownie zwrócił na nią wzrok.

– Powiedziałaś, że pomożesz mi wydostać się z planety.

– Wiem – przyznała.

– Nie mogę pójść z tobą, Aryn. Mam córkę. Zależy mi tylko na tym, aby wydostać się stąd i wrócić do Arry, zanim Kantor lub ktokolwiek inny się do niej dobierze.

Nagle opuściła ją cała złość.

– Zrobiłeś więcej niż trzeba, Zeerid. Nie zgodziłabym się, żebyś mi towarzyszył, nawet gdybyś chciał.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie; w powietrzu między nimi unosiły się niewypowiedziane słowa. Głowa T7 obracała się od Aryn do Zeerida i z powrotem.

– Nie musisz przed nim stawać – odezwał się w końcu Zeerid.

Ubranie miał poplamione smarami z Robót. Brak snu wymalował pod jego oczami sine podkowy. Nie golił się od wielu dni, więc policzki pokrywał cień zarostu. Jeszcze raz Zeerid skojarzył się Aryn z szalonym prorokiem, choć wyglądało na to, że to ona działa pod wpływem szaleństwa.

– Muszę – powiedziała krótko.

Wyciągnęła rękę i starła brud z jego policzka. Wyglądał na zaskoczonego tym gestem; zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał.

– Udamy się każde w swoją stronę, Zeerid – oświadczyła, czując, że zaniepokoi go ta perspektywa. – Zatrzymaj śmigacz i T7. Ja znajdę sobie coś innego. Do zobaczenia, Zeeridzie.

Widząc, że odchodzi, T7 wydał smętny gwizd, ale Aryn to nie zatrzymało. Dokonały tego słowa Zeerida, tak jak wcześniej jej słowa zatrzymały jego.

– Pomogę ci, Aryn. Nie wejdę z tobą na krążownik, ale pomogę ci się na niego dostać.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Może spróbujesz zakraść się na transporter lecący do krążownika. – Wskazał na odległy, przemieszczający się po popołudniowym niebie czarny punkt. – Kursują regularnie i zawsze przybijają do tego samego portu. A ja je znam. Kilka razy lądowałem na takich „Tłuściochem”. Wymyślę jakiś sposób, żebyś dostała się na

pokład takiego transportowca, a dla siebie znajdę inny statek, który wywiezie mnie z planety. Nadal potrzebuję twojej pomocy, a ty mojej. Dobry układ?

Aryn nie musiała się długo zastanawiać. Potrzebowała pomocy Zeerida i chciała być z nim jak najdłużej.

– Dobry.

– I kto wie? – dodał Zeerid, gdy wspinała się do śmigacza. – Może po drodze wróci ci rozum.

ROZDZIAŁ 11

Zeerid prowadził śmigacz Armin nisko nad miejskim krajobrazem, aż dotarł do zbombardowanego budynku mieszkalnego. Nie było w nim nic szczególnie godnego uwagi. Wyglądał po prostu na odpowiednie miejsce do tego, żeby się zadekować.

Z górnych pięter budynku odpadła fasada, odsłaniając wnętrza mieszkań i pokoi. Wyglądało to tak, jakby Imperium obdarło budynek ze skóry, żeby odsłonić jego wnętrzności. Zeerid pomyślał, że Imperium zrobiło to samo z całą Coruscant – dokonali wiwisekcji Republiki.

Zburzona fasada leżała u podstawy budynku w postaci sterty gruzu i szkła wymieszanego z meblami, roztrzaskanymi wideoekranami i innymi domowymi sprzętami.

Wnętrze pozostało w znacznej mierze nienaruszone, chociaż wszystko pokrywała warstwa pyłu. Z okien zwisały kawałki rozbitego szkła, przypominające kły. Kilka przewodów elektrycznych strzelało iskrami. Skądś ciekła woda, która tworzyła małą kaskadę spływającą z jednego z górnych pięter. W całym budynku nigdzie nie paliło się światło. Wyglądał na opuszczony.

– Powinien się nadać – powiedział do Aryn i do T7. Poprowadził śmigacz między gruzami, aż znalazł się w pobliżu jednego z niżej położonych, odsłoniętych mieszkań.

– Nadać do czego? – spytała Aryn, a T7 zawtórował jej piśnięciem.

– Rozejrzę się po kosmoporcie. Wy zostaniecie tutaj.

Aryn pokręciła głową.

– Nie, pójdę z tobą.

– Lepiej mi się pracuje w pojedynkę, Aryn. Przynajmniej jeśli chodzi o obserwację. Odpocznij trochę...

– Nie potrzebuję odpoczynku. Potrzebuję dostać się do tego krążownika.

– A to jest najlepszy sposób. Mówię ci, odpocznij trochę, zjedz coś i... weź się w garść. – Skrzywił się przy tych ostatnich słowach, pewien, że Aryn się obrazi, ale najwyraźniej nie zwróciła na to uwagi. – Wróć najszybciej, jak się da.

Rzucił jej jeszcze jeden z batonów proteinowych, które zabrał ze schowka śmigacza.

– Zeerid... – zaczęła.

– Proszę, Aryn. Chcę się tylko rozejrzeć. Nie będę nic robił bez ciebie.

Ustąpiła z westchnieniem i wysiadła ze śmigacza. Odpięła droida i opuściła go na ziemię.

– Wróćę tak szybko, jak się da – obiecał Zeerid. – Miej ją na oku, Tee–seven.
Droid zapisał na potwierdzenie i Zeerid odleciał.



Unikając ekip ratunkowych, które przeszukiwały tłące się jeszcze ruiny, Zeerid zmierzał w kierunku portu kosmicznego Liston, obsługującego ten kwadrant. Widział go w oddali, na tle nocnego nieba; zakrzywione odnogi jego lądowisk dla dużych statków wznosiły się ku górze niczym ręce błagającego o przebaczenie pokutnika. Port wyglądał na niezniszczony, przynajmniej z tej odległości.

Zeerid zobaczył, że otwierają się górne wrota jednego z wielu hangarów przeznaczonych dla niniejszych statków w głównej części portu, wypuszczając snop światła w ciemne niebo. Zamknął przepustnice śmigacza i odbił w bok.

Nad portem pojawiły się światła pozycyjne trzech imperialnych promów, podchodzących do lądowania. Wrota hangaru pochłonęły je i zatrzasnęły się, zamykając ponownie dopływ światła.

Przynajmniej wiedział, że są tam jakieś statki.

Zatrzymał się i obserwował przez jakiś czas, żeby sprawdzić, czy pojawią się jeszcze jakieś statki. Żadnych jednak nie zobaczył. Normalnie nawet taki niewielki kosmoport jak Liston tętniłby życiem.

Ruszył dalej, żeby przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. Obszar w promieniu kilku kilometrów wokół portu mocno ucierpiał od imperialnych bomb. Spalone budynki przechylały się w posadach jak pijane. Ziemia była usiana nieregularnymi, osmalonymi dziurami. Ruchome chodniki zwisały krzywo, tworząc bezładną płataninę ścieżek prowadzących donikąd. Przewody elektryczne strzelały wściekle iskrami. Tu i ówdzie leżały kawałki durabetonu, porzrzućane chaotycznie siłą wybuchu.

Zeerid leciał powoli, bez świateł, unikając ryzyka. W okolicy nie widział nikogo, żadnego ruchu. Wyglądało to jak wymarłe miasto. W powietrzu wisiał swąd spalenizny, a także słaby, obrzydliwie słodki smród organicznego rozkładu. Ruiny stały się grobowcem dla tysięcy istot. Zeerid starał się o tym nie myśleć. Miał nadzieję, że większość zdążyła uciec na dolne poziomy, zanim bombardowanie rozpoczęło się na dobre.

Zobaczył opuszczoną konstrukcję wielopoziomowego parkingu, w połowie zrujnowaną. Druga połowa wyglądała całkiem stabilnie i znajdowała się zaledwie parę przecznic od portu. Wprowadził śmigacz na dolny poziom i tam zaparkował. Resztę drogi miał zamiar pokonać pieszo. Chciał się rozejrzeć niepostrzeżenie, a to najlepiej można było zrobić bez pojazdu.

W republikańskiej szkole lotniczej nauczył się, jak się poruszać w terenie, na wypadek gdyby jego statek spadł kiedyś na terytorium wroga, i teraz wykorzystywał te umiejętności.

Niepostrzeżenie jak cień przemykał między usypiskami gruzów, stalowymi belkami i porzuconymi pojazdami, uważając, żeby nikt go nie wypatrzył z powietrza. Wiedział, że Imperium używa czasem latających droidów obserwacyjnych.

Przed nim z dymiącego, zniszczonego krajobrazu wystawał dziesięciopiętrowy hotel Mgławica. W przeciwieństwie do niemal wszystkich budowli wokół wyglądał prawie na nienaruszony, nie licząc paru rozbitych okien na dolnych piętrach. Zeerid nie widział światła w żadnym z pokoi, więc zakładał, że hotel jest pozbawiony zasilania i niezamieszkały. Przebiegł przez ulicę, wyważył drzwi i wszedł do holu. Żadnych witających droidów, nikogo w recepcji, tylko głęboka ciemność.

– Halo! – zawołał. – Jest tu kto?

Żadnej odpowiedzi.

Pamiętając o braku prądu, zignorował windy i ruszył ku schodom. Był lekko zdyszany, gdy dotarł do drzwi prowadzących na dach. Otworzył je kopniakiem z blasterem w dłoni. Nic. Schylił się nisko i podbiegł do krawędzi dachu. Stamtąd miał dobry widok na kosmoport. Wyciągnął makrolornetkę, którą zabrał ze śmigacza, i popatrzył w dół.

Wieża kontrolna była ciemną, transpastalową iglicą, najwyraźniej opuszczoną. Wszystkie wejścia wyglądały na zamknięte poza jednym, którego pilnował tuzin imperialnych żołnierzy w ciężkich szarych zbrojach. Zeerid domyślał się, że w samym kompleksie jest więcej imperialnych oddziałów. Wyglądało na to, że Imperium zamknęło cały port poza kilkoma lądowiskami dla mniejszych statków, zapewne po to, żeby rozproszone siły miały mniejszy teren do zabezpieczenia.

Duże transpastalowe okna w ścianie wychodziły na pobliskie lądowiska. Widział przez nie trzy imperialne promy, które właśnie wylądowały. Wszystkie miały numeryczne oznaczenia, wymalowane nad słowem „Waleczny” – nazwą krążownika Dartha Malgusa.

– Wygląda na to, że dostaniesz to, co chciałaś, Aryn – mruknął.

Zobaczył jeszcze jeden statek, zmodyfikowany imperialny okręt desantowy klasy Dragonfly. Pokręcił regulatorem na makrolornetce, żeby powiększyć obraz.

Statek nie miał żadnych imperialnych oznaczeń, a rampa była podniesiona, tak jakby był gotowy do startu.

Port obsługiwało kilkudziesięciu robotników w kombinezonach, a także z pół tuzina droidów, krążących między statkami, przewodami paliwowymi, dźwigami ładunkowymi i terminalami komputerów.

Nagle pole widzenia makrolornetki przesłoniło coś niebieskawego. Zeerid zmniejszył zbliżenie.

Przed oknem przeszła Twi'lekanka, wypełniając soczewki swoją lawendową skórą. Lawendowa skóra.

Zeerid patrzył, jak Twi'lekanka i oddział umundurowanych imperialnych żołnierzy w lekkich zbrojach pakują sześć istot w kajdanach i z workami na głowach do jednego z promów. Starał się nie spuszczać wzroku z Twi'lekanki, która najwyraźniej wydawała rozkazy żołnierzom, jednak wymagało to wodzenia za nią lornetką od okna do okna, więc chwilami tracił ją z oczu.

Podobnie jak Twi'lekanka na filmie ze Świątyni Jedi, nosiła dwa bliźniacze blastery na biodrach, a także obcisłe spodnie i wysokie buty.

– To musi być ona – powiedział do siebie, ale potrzebował potwierdzenia, więc czekał i patrzył, aż w końcu odwróciła się twarzą do okna i zobaczył postrzępioną bliznę na jej gardle. – Mam cię – szepnął.

Twi'lekanka powiedziała coś przez komunikator i prom z cywilami zaczął się unosić. Wrota w dachu hangaru się rozsunęły, jeszcze raz wypuszczając światło w nocne niebo. Kiedy prom wzniósł się ponad linię dachów, włączył główne silniki i odleciał, zapewne w kierunku „Walecznego”. Wrota się za nim zamknęły.

Twi'lekanka i jakiś tuzin żołnierzy pozostali w hangarze. Robotnicy i droidy również. Zeerid obserwował, jak zespół robotników i przypominający skrzynkę na gąsienicach droid serwisowy tankują jeden z promów za pomocą grubego węża podłączonego do podziemnego zbiornika.

W głowie Zeerida zrodził się pewien plan. Schował makrolornetkę do kieszeni i pospieszył do śmigacza, a potem z powrotem do Aryn.



Prom leciał cicho nad ruinami Świątyni Jedi. Przez interkom statku rozległ się głos pilota. Pobrzmiwała w nim nutka znudzenia.

– Mam tu zostać, panie?

– Zostaniesz, dopóki ci nie powiem – odparł Malgus. – Zewnętrzne i wewnętrzne światła mają pozostać wyłączone.

– Jak sobie życzysz, mój panie.

Prom Malgusa zawisł jakieś trzysta metrów nad ruinami Świątyni Jedi. Z tej wysokości Świątynia wyglądała jak sterta kamieni w świetle gwiazd. Malgus czekał w ruinach kilka godzin, aż dzień zmienił się w noc, jednak Aryn Leneer się nie zjawiała.

Ale wiedział, że w końcu to zrobi.



Aryn rozpakowała i zjadła baton proteinowy, który dostała od Zeerida. Razem z T7 schroniła się w jednym z mieszkań. Siedziała na pokrytej pyłem kanapie, czując smród płonącej planety. W myślach odtwarzała śmierć Mistrza Zallowa i przypomiwała sobie wyraz jego twarzy. Ponownie zobaczyła ruiny Świątyni i domyśliła się, że jego ciało leży pod zwałami gruzu.

Tłumiąc w sobie narastającą falę żalu, przyjęła postawę medytacyjną, zaniknęła oczy i spróbowała zanurzyć się w Mocy.

– Spokojne serce, spokojny umysł – powtarzała, ale jedno i drugie okazało się niemożliwe do uzyskania.

W końcu usiadła z powrotem na kanapie, wpatrując się w niebo. Wszechobecny dym wyglądał jak czarne chmury na tle gwiazd. Od czasu do czasu widziała w oddali światła statku – domyślała się, że to imperialne statki patrolowe.

Wreszcie emocjonalne i fizyczne wyczerpanie wzięło górę i zapadła w sen.

Śnił jej się Mistrz Zallow. Stał przed nią w ruinach Świątyni Jedi, a jego szaty rozwiewał wiatr. Patrzyła na nich popękana kamienna twarz Odan–Urra. Usta Mistrza Zallowa się poruszały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Wydawało się, że próbuje jej coś powiedzieć.

– Nie słyszę cię, Mistrzu – powiedziała. – Powtórz.

Próbowała podejść bliżej, przedzierając się przez gruzy, ale im bardziej się zbliżała, tym bardziej on się odsuwał. W końcu ogarnęła ją frustracja i krzyknęła:

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz!

Obudziła się z walącym sercem i zobaczyła stojącego przed nią T7. Droid zaczął pytać.

– Nie, wszystko w porządku – odparła, ale wcale tak nie było.

Wstała i otuliła się szczelnie płaszczem.

Spojrzała na chronometr. Zeerida nie było od ponad godziny. Spodziewała się, że zejdzie mu jeszcze co najmniej godzina.

Sen głęboko ją poruszył. Wzięła rękojeść miecza świetlnego Mistrza Zallowa i obracała ją w dłoniach, podziwiając kunszt wykonania. Jej forma odzwierciedlała osobowość Mistrza – solidna, bez ozdobników, ale piękna w swojej prostocie.

Chciała wrócić do Świątyni, w miejsce, gdzie mord został popełniony. Powinna była zmusić Zeerida, żeby wylądował, kiedy przelatywali nad nią wcześniej. Chciała przejść się pośród ruin i poobcować ze zmarłymi. Przypięła broń Mistrza Zallowa do paska.

– Muszę gdzieś pójść, Tee–seven. Niedługo wrócę.

Droid zagwizdał kolejne pytanie, w którym słychać było ton niepokoju.
– Powiedz mu, że wrócę. Nie ma powodów do obaw.
Opuściła zrujnowany budynek i ruszyła w kierunku Świątyni Jedi.
Coś tam na nią czekało. Na pewno.



Kiedy Zeerid wrócił do ich kryjówki, zobaczył, że Aryn zniknęła. Niepokój ścisnął mu gardło. T7 odezwał się do niego z jednego z mieszkań.

– Tee–seven, gdzie ona jest? – spytał Zeerid.

Mały droid ćwierkał, gwizdał i piszczał tak szybko, że Zeerid ledwo nadązał. W końcu jednak wydedukował, że Aryn opuściła mieszkanie po krótkim odpoczynku i że nie powiedziała T7, dokąd się wybiera.

Ale Zeerid wiedział, dokąd mogła się udać. Tam, gdzie zginął Mistrz Zallow.

– Chodźmy, Tee–seven – powiedział i załadował droida na śmigacz.



W sercu Aryn kłębiły się emocje, a jej nastrój był ciemny jak noc. Normalnie nocne niebo nad Coruscant rozświetlały setki tysięcy świateł różnych przedsiębiorstw i reklam. Jednak atak pozostawił ogromne połacie planety bez prądu, a pogrążone w ciemności i ciszy miasto przypominało mauzoleum.

Aryn ostrożnie posuwała się naprzód wśród nieprzeniknionych ciemności. Podeszła do Świątyni szerokim brukowanym traktem, który dawniej prowadził do imponującego głównego wejścia. Zdała sobie sprawę, że Malgus musiał wybrać tę samą drogę, i dziwnie ją oburzyło, że ostatnią osobą, jaka szła tą drogą przed zburzeniem Świątyni, był Sith. Wydało jej się to odrażające.

Pomyślała, że idąc po śladach Malgusa, zmaże hańbę jego kroków.

Zwolniła, gdy zburzona konstrukcja wyłoniła się przed nią z ciemności. Atak zamienił płynne linie i eleganckie iglice Świątyni w bezkształtną stertę ruin, grobowy kurhan Zakonu Jedi.

Ten widok znów rozdrapał jej rany. Kiedy się zbliżała, duchy własnej przeszłości powstawały z ruin – czas, który spędziła w Świątyni jako młodzik, jako padawan, potem ceremonia, podczas której została pasowana na Rycerza Jedi. Świątynia była jej domem przez dziesięciolecia – i tutaj został zamordowany jej ojciec.

Oczami duszy widziała ostateczny cios zadany jej Mistrzowi, tak wyraźnie, jakby

znów oglądała nagranie w świątynnym pokoju monitoringu. Widziała, jak Malgus wykonuje obrót, odwraca chwyt na rękojeści i przebija swoim mieczem świetlnym Mistrza Zallowa. I po raz kolejny zobaczyła wyraz twarzy Mistrza, gdy w jego oczach gasło światło i pozostała w nich tylko rozpacz. Poniósł porażkę i wiedział o tym. Być może wiedział też, tak jak teraz Aryn, że cały Zakon Jedi poniósł porażkę.

Myśl o jej Mistrzu, umierającym z rozpaczą w sercu, wbiła gorący kolec gniewu w jej ranę.

A jednak... nie mogła przestać myśleć o wyrazie twarzy, jaki miał w jej śnie. Wyglądało to na troskę, może ostrzeżenie. Chciał jej coś powiedzieć...

Potrząsnęła głową. To był tylko sen, a nie wizja, tylko projekcja jej podświadomości. Odsunęła tę myśl od siebie.

Musiała znaleźć Malgusa i zabić go.

Dotarła do ruin i zaczęła wspinać się po poszarpanych kamiennych blokach. Wciąż były ciepłe, były żarem własnej zagłady. Szła pośród nich, jak pośród grobów dziesiątek Jedi, i płakała z wściekłości.

Zaczęło się jej wydawać, że struny jej wrażliwości na Moc rozbrzmiewają fałszywą nutą. Coś chwyciło ją za ramiona i wytrząsnęło z niej żal, pozostawiając tylko gniew.

Wiedziała, co jest źródłem tego uczucia.

Włączyła miecz świetlny i spróbowała zlokalizować Malgusa.



Malgus wyczuł obecność innego użytkownika Mocy – nieprzyjemny nacisk Jasnej Strony, który przypominał mu, jak czuł się w obecności Mistrza Zallowa. Zrozumiał, że Aryn Leneer w końcu się zjawiała.

– Sprowadź prom na pięćdziesiąt metrów – powiedział. Adrenalina krążyła już w jego żyłach. – Kiedy wsiądziesz, mozesz odlecieć.

– Kiedy wsiądziesz, panie?

Malgus nie odpowiedział. Wyłączył tylko system bezpieczeństwa i wcisnął guzik otwierający boczny właz. Gdy drzwi się odsunęły i do środka wpadło nocne powietrze, zionące smrodem zburzonej Świątyni i spalonej planety, pozwolił, żeby wypełnił go gniew.

Statek zszedł na pięćdziesiąt metrów. Położona w dole zburzona Świątynia była ciemna, okryta aksamitem nocy. Jednak Malgus dostrzegł obecność Aryn Leneer tak wyraźnie, jakby widział ją w pełnym słońcu.

Stanął w drzwiach, przywołał Moc, włączył swój miecz świetlny i wyskoczył w mrok.



Czyjś ryk, pełen nienawiści i wściekłości, skierował wzrok Aryn ku niebu. Malgus spadał z góry jak meteor, trzymając oburącz swój miecz świetlny. Płaszcz powiewał za nim i nad nim jak fragment ciemności. Fala Mocy nadciągała przed nim w postaci widocznego zniekształcenia. Prom, z którego wyskoczył, już odlatywał w nocne niebo.

Aryn zanurzyła się całkowicie w Mocy, przyjęła postawę obronną i sparowała oburęczny cios Malgusa znad głowy. Wylądował w kokonie energii, uderzając o podłoże z siłą, która roztrzaskała kamienie wokół nich, zamieniając je w grad odłamków. Aryn, niewzruszona, odbiła te szczątki, posługując się Mocą, a jednocześnie sparowała kolejne cięcie Malgusa. Siła ciosu Sitha wprawiła jej ramiona w drżenie, jednak Aryn się nie cofnęła.

Klingi zwały się, iskrząc, a spojrzenia tych dwojga się skrzyżowały.

Ciemne oczy Malgusa płonęły wściekłością, która przeszywała Aryn niczym nożem. Gniew, którym promieniował, był dla niej namacalny, sprawiał, że powietrze wokół wydawało się zanieczyszczone. Ale wyczuła w nim coś jeszcze, coś nieoczekiwanego, jakąś dziwną ambiwalencję.

– Wiem, po co przyszedłeś – powiedział głosem, który zza respiratora brzmiał jak syk.

– Zabiłeś Mistrza Zallowa – wycedziła przez zęby.

– A teraz zabiję i ciebie – odparł. – W tym samym miejscu, w którym zabiłem jego.

– Naparł na swoją klingę, zmuszając Aryn do cofnięcia się o krok, i wymierzył wspomaganego Mocą kopniaka w jej żebra.

Ale ona była szybsza i wykonała ponad jego głową salto, które przeniosło ją pięćdziesiąt metrów dalej, w głąb góry ruin, gdzie zginął jej Mistrz. Wylądowała w przysiadzie na szczycie jednej ze zburzonych kolumn, wystających z rumowiska.

– Łatwo ci nie będzie – zawołała i odpowiedziała na jego gniew falą własnej wściekłości. – Możesz być tego pewien.

Malgus zrobił ruch lewą ręką i kolumna, na której stała, zaczęła dygotać. Aryn przeskoczyła na drugą kolumnę, stojącą nieopodal, potem na następną i jeszcze następną, przemierzając ruiny z powrotem w kierunku Malgusa.

Kiedy wylądowała na dużym kamiennym bloku dziesięć metrów od Sitha, on wykonał wolną ręką gest naśladujący cięcie, a wtedy dwie części rzeźby uniosły się z rumowiska i pomknęły ku niej z dwóch stron. Aryn wyskoczyła w górę i części rzeźby zderzyły się pod nią, rozsiewając dookoła kamienne odłamki. Jedi wylądowała na ich

szczątkach z mieczem świetlnym w pogotowiu.

Malgus warknął i pomknął ku niej w powietrzu. Aryn uskoczyła przed ciosem, aż jego klinga rozcięła kamień u ich stóp, po czym wyprowadziła cios, który skróciłby go o głowę, gdyby nie zdążył się uchylić.

Przeskoczyła ponad nim na kolejną stertę gruzu, piętnaście metrów dalej. Uniosła za pomocą telekinezy duży kamień leżący w pobliżu Malgusa i cisnęła nim w niego. Sith nie ruszył się z miejsca, tylko rozciął nadlatujący głąz na dwoje mieczem świetlnym. Czerwone iskry i kawałki kamienia posypały się naokoło.

Aryn nie mogła odnaleźć w sobie spokoju. Walczyła w gniewie, ale nie dbała o to. Myśląc o swoim Mistrzu, przeskakiwała z kamienia na kamień, zbliżając się do Malgusa. Odpowiedział szarżą na jej natarcie i oboje przebiegli po nagrobkach Zakonu Jedi, aż zbliżyli się do siebie na odległość uderzenia.

Aryn zaatakowała nisko, Malgus jednak odbił jej klingę w bok i zmienił kierunek swojej broni, celując w brzuch przeciwniczki. Aryn przeskoczyła nad jego mieczem, podciągając wysoko nogi, a spadając, wyprowadziła cios oburącz znad głowy. Malgus sparował go swoją klingą i skontrolował wspomaganym Mocą kopniakiem wymierzonym w jej żebra. Aryn złapała go wolną ręką za nogę, zrobiła obrót i cisnęła Malgusem co najmniej na dwadzieścia metrów. Sith zrobił salto w powietrzu i wylądował na spękanej twarzy pomnika Odan-Urra, który stał dawniej przy trakcie wiodącym do Świątyni.

Aryn chwyciła w wolną rękę miecz świetlny Mistrza Zallowa, przykucnęła i wybiła się do skoku w kierunku przeciwnika. On jednak ją obserwował, a gdy znalazła się w najwyższym punkcie swojego lotu, wyrzucił w jej stronę lewą rękę, z której wypłynęły zygzaki błyskawicy Mocy.

Przygotowana na to, Aryn włączyła miecz świetlny Mistrza Zallowa i skrzyżowała go z własnym, przyjmując błyskawicę na dwie klingi.

Jego potęgą zetknęła się z jej wolą. Błyskawica owinęła się wokół rozżarzonych ostrzy. Siła energii zatrzymała ją na chwilę w powietrzu, zawieszoną na kolumnie zbudowanej z Ciemnej Strony.

A potem Aryn ją pokonała. Błyskawica się rozproszyła, a ona poleciała w dół i wylądowała bez szwanku na stercie gruzu. Dopiero wtedy wyłączyła klingę Mistrza Zallowa.

Gdy tylko wylądowała, Malgus natarł na nią, tnąc i dżgając. Próbował wykorzystać swoją przewagę fizyczną, żeby wytrącić przeciwniczkę z równowagi i zrzucić z kamienia, ale ona odpowiedziała na jego siłę szybkością; uchylała się przed ciosami, przeskakiwała nad nimi i sama je parowała, by za chwilę zasypać go lawiną własnych ciosów. Świst ich broni w powietrzu i skwierczenie skrzyżowanych kling zlały się w jedną pieśń szybkości i siły.



Zeerid z maksymalną prędkością leciał śmigaczem na wysokości ponad stu metrów. Widział, jak imperialny prom wzbija się w niebo z okolic Świątyni. Na myśl o Aryn poczuł ściskanie w dołku. Wzbił się jeszcze wyżej w nadziei, że dostrzeże ją w okolicach Świątyni.

I tak się też stało.

Ona i Darth Malgus krążyli po ruinach Świątyni. Klingi mieczy migotały i krzyżowały się ze sobą. Pojedynek przybrał takie tempo, że Zeerid ledwo nadążał wzrokiem za ich ruchami. Wbrew sobie musiał przyznać, że walka wygląda pięknie.

Zwolnił, a T7 pisnął pytająco.

Aryn robiła to, po co przyleciała na Coruscant – walczyła z Malgusem.

A Zeerid wiedział, co Malgus zrobił w Świątyni. Sith z całą pewnością zasługiwał na śmierć.

Martwiły go jednak motywy Aryn. Granica między szukaniem sprawiedliwości a szukaniem zemsty była bardzo cienka, ale Zeerid rozumiał, że Aryn ją przekroczyła. Chciała śmierci Malgusa, ponieważ pragnęła zemsty. A kiedy już się to stanie, nie będzie odwrotu.

On wiedział to najlepiej.

Podjął decyzję i rozpedził śmigacz do maksymalnej prędkości.



Aryn i Malgus znów skrzyżowali klingi.

– Jestem lepsza od ciebie – rzuciła wśród iskier syjących się z ich złączonych mieczy świetlnych.

– Twój Mistrz nie był – odparł Malgus i odepchnął ją telekinetycznym podmuchem o takiej sile, że poleciała do tyłu i uderzyła o gruzy. Użyła Mocy, żeby zamortyzować upadek, ale i tak spadła na plecy, a siła uderzenia odebrała jej dech.

Malgus wyskoczył wysoko w górę, unosząc klingę ponad głowę, żeby zadać śmiertelny cios. Aryn przetoczyła się w bok, a jego ostrze zatopiło się po rękojeść w gruzach Świątyni. Skoczyła na równe nogi i zamierzyła się, celując w gardło. Sith uwolnił swoją klingę i ustawił ją pionowo, żeby sparować uderzenie, ale w tej samej chwili Aryn skierowała miecz świetlny Mistrza Zallowa na Malgusa i włączyła go.

Musiał wyczuć niebezpieczeństwo w ostatniej chwili, bo zdołał się uchylić. A jednak zielona klinga Mistrza Zallowa przebiła jego pancerz i bok, wywołując grymas

bólu i wściekłości na jego twarzy. Zanim Aryn zdążyła pójść za ciosem, Malgus uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

Nie była na to przygotowana. Wspomagany Mocą cios eksplodował fontanną iskier w jej mózgu i odrzucił ją od Sitha. Koziółkując, poleciała dziesięć metrów dalej i upadła na bok. Adrenalina poderwała ją na nogi, chociaż chwiała się niepewnie. Splunęła krwią, trzymając oba miecze świetlne w pogotowiu.

Malgus stał okrakiem na ruinach, wpatrując się w dymiącą dziurę w swoim pancerzu i szramę na ciele.

Aryn się nie wahała. Wyczuła szansę.

Cisnęła w Malgusa mieczem świetlnym Mistrza Zallowa, wykorzystując Moc, żeby nim pokierować. Klinga zakreśliła w powietrzu skrzący się zielony łuk, zmierzając w kierunku głowy Sitha.

Pomimo rany zdołał wyrwać miecz świetlny z uchwytu Mocy Aryn i chwycił go w powietrzu szybko jak piaskowa żmija. Wyłączył klingę i popatrzył na trzymaną w dłoni rękojeść. Podniósł wzrok i spojrzął na Aryn roziskrzonymi oczami. Wyobrażała sobie, że Sith uśmiecha się pod maską.

– Ta broń na nic mu się nie zdała i tobie też na nic się nie przyda.

Słyszając warkot silnika, Aryn odwróciła się z mieczem świetlnym w pogotowiu i zobaczyła śmigacz Armin spadający z nieba jak kometa. Zeerid zajmował fotel kierowcy, T7 siedział z tyłu. Śmigacz leciał za szybko i silniki manewrowe nie zdołały go całkiem uchronić od zderzenia z ruinami. Metal zazgrzytał o kamień, a w powietrze uniosła się chmura pyłu.

– Aryn! – zawołał Zeerid. – Wsiadaj!

Popatrzył na Malgusa, jakby rozważał oddanie strzału z blastera, ale się rozmyślił.

– No, chodź, Aryn! – krzyknął znowu Zeerid, a T7 zawtórował mu ponagląjącym gwizdnięciem. – Proszę. Obiecałaś mi pomóc.

Zawahała się.

Malgus spojrzął na nią, wymachując rękojeścią miecza Mistrza Zallowa, żeby sprowokować ją do pozostania.

Podjęła jednak decyzję.

Musiała zniszczyć ten pełen samozadowolenia ton, który słyszała w jego głosie, zobaczyć w jego oczach to, co widziała w oczach Mistrza Zallowa. Zabicie go byłoby niewystarczającą karą. Chciała zobaczyć, jak cierpi. Nie wiedziała tylko jeszcze, jak to zrobić.

Wyskoczyła wysoko w górę i wylądowała w śmigaczu obok Zeerida.

– Śmierć byłaby zbyt łatwa, Lordzie! – zawołała do Malgusa. Jad w jej głosie zaskoczył nawet ją samą. – Najpierw zadam ci ból.

Nie spodobały jej się własne słowa. Czowała na sobie wzrok Zeerida i nie śmiała mu spojrzeć w oczy.

Malgus wydawał się dość zaintrygowany, sądząc po jego zmarszczonym czole i przechylonej na bok głowie.

– Leć – powiedziała.

Zeerid przyspieszył i zaczął zawracać.

Od Malgusa biła fala gniewu. Włączył miecz świetlny Mistrza Zallowa i cisnął go za nimi. Zeerid próbował uciec mu z drogi, ale klinga skrzyła i leciała wciąż na nich. T7 zapiszczał z niepokojem.

Aryn widziała, jak broń obraca się w powietrzu. Wyczulają, a zanim dotarła do śmigacza, sięgnęła poprzez Moc i wyrwała ją z mentalnego uchwytu Malgusa. Miecz przeniknął ponad śmigaczem i spadł rękojeścią w jej dłoń, gdy Zeerid odlatywał w nocne niebo. Aryn wyłączyła klingę.

Popatrzyła ostatni raz na Malgusa stojącego na gruzach Świątyni z mieczem świetlnym w ręce i w powiewającym na wietrze płaszczu. Wyglądał jak triumfujący zdobywca.

Nienawidziła go.



Zeerid leciał nisko i szybko nad ulicami Coruscant. Omijał budynki, pędził alejkami i schodził stopniowo na coraz niższe poziomy. Wkrótce niebo przesłoniła gęsta zabudowa. Znajdowali się w przemysłowych podziemiach, w sieci tuneli z metalu i durabetonu, która pokrywała całą planetę.

– Ktoś za nami leci? – spytał.

Aryn nie odpowiedziała. Siedziała w fotelu pasażera i wpatrywała się w rękojeść miecza świetlnego swojego Mistrza, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała.

– Aryn! Czy ktoś za nami leci?

– Nie – powiedziała, ale nawet nie obejrzała się za siebie.

Zeerid spojrzał do tyłu i w górę, ale nikogo nie zobaczył.

Odetchnął spokojniej.

– *Stang*, Aryn, co ty tam robiłaś?

Odpowiedziała tonem tak mechanicznym, jakby należał do droida protokolarnego.

– To, po co tu przyleciałam, Zeerid. Walczyłam z Malgusem. A ty?

– Chciałam ci pomóc.

– Nie potrzebowałam pomocy.

– Nie? – popatrzył na nią uważnie z fotela kierowcy.

– Nie.

Zeerid miał inne zdanie.

– To dlaczego wsiadłaś do śmigacza, Aryn?
– Nie chciałam, żeby coś ci się stało. No i obiecałam, że pomogę ci się wydostać z planety.

– Nieprawda – odparł Zeerid. – Dlaczego nie zostałam tam po prostu i nie dokończyłam dzieła?

Odwróciła wzrok.

– Ponieważ...

– Ponieważ?

– Ponieważ zabicie go to za mało – wypaliła. – Chcę mu zadać ból.

Przypięła rękojeść miecza świetlnego swojego Mistrza do paska i spojrzała na Zeerida.

– Chcę, żeby cierpiał, tak jak ja cierpię przez niego i jak cierpiał przed śmiercią Mistrz Zallow.

– Aryn, nie muszę być empatą, żeby czuć twoje rozdarcie. Zemsta...

Uniosła rękę, żeby go uciszyć.

– Nie chcę tego słuchać, Zeerid.

I tak powiedział, co miał do powiedzenia. Był jej to winien.

– To do ciebie niepodobne.

– Nie widzieliśmy się od lat – warknęła. – Co ty możesz o mnie wiedzieć?

Ostry ton go zabolął.

– Mniej niż sądziłem, najwyraźniej.

Na jakiś czas zapadła cisza, która dzieliła ich jak ściana.

– Nająłem się do Kantoru z dobrych powodów. Tak mi się przynajmniej wydawało. Żeby zapewnić godziwe życie swojej córce.

– Zeerid...

– Posłuchaj mnie, Aryn! – Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Ta decyzja, która wydawała się zupełnie słuszna, doprowadziła mnie do przemytu broni, a potem przemytu przyprawy. Jedna decyzja, Aryn. Jeden czyn.

Pokręciła głową.

– To nie tak, Zeerid. Ja wiem, co robię.

Nie był tego taki pewien, ale postanowił nie naciskać, tylko zmienić temat.

– Myślę, że możemy się dostać do kosmoportu. Są tam statki z „Walecznego” i imperialni żołnierze, ale mam pewien plan.

Nie patrząc na niego, wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

– Przepraszam za to, jak się odezwałam, Zeerid. Nie...

Pokręcił głową.

– Nie przepraszaj, Aryn. Wiem, że cierpisz. Po prostu... nie chcę, żebyś sobie jeszcze bardziej zaszkodziła. Wiem, jak to się może odbyć. A czy ty... widzisz wyraźnie?

Czuł się idiotycznie, próbując naświetlić empatce jej stan emocjonalny.

– Tak – powiedziała, ale w jej tonie brzmiała niepewność.

– Ostatecznie musisz żyć w zgodzie ze sobą.

Dobrze wiedział, jakie to może być trudne.

– Wiem – zapewniła. – Wiem. Więc jaki masz plan?

Opowiedział jej.

Słuchała uważnie, a kiedy skończył, pokiwała głową.

– Powinno się udać.

– Tee–seven sobie z tym poradzi?

Aryn skinęła głową, a T7 zapisał na potwierdzenie.

– Pomogę ci się tam dostać i zdobyć statek – powiedziała Aryn. – Ale... ja nie opuszczę Coruscant.

– Spodziewałem się, że to powiesz – odparł, ale w głębi duszy nie dał jeszcze za wygraną. Bił się z myślami, czy powiedzieć jej o Twi’lekance.

– Coś ukrywasz – stwierdziła.

Potał kark, rozdarty wewnątrz.

W końcu uznał, że jest jej winien szczerą. Wiedział, że nie może podejmować decyzji za nią.

– Ta Twi’lekanka, którą widzieliśmy na nagraniu w Świątyni...

Zawiesił głos. Aryn złapała go za rękę i ścisnęła.

– Powiedz mi, Zeerid.

Przełknął ślinę. Czuł się jak współwiny przestępstwa. Nie martwił się tak bardzo tym, co może stać się Twi’lekance, ale tym, co może stać się Aryn.

– Widziałem ją w porcie kosmicznym Liston. Była tam.

Paznokcie Aryn zatopiły się w jego skórze, ale wydawała się tego nie dostrzegać. Przyjął ból z zadowoleniem. Aryn patrzyła gdzieś w dal. Zdawało mu się, że widzi, jak kobieta waży w myślach różne opcje. Miał nadzieję, że wybierze tę właściwą.

– Chcę ją zobaczyć – oznajmiła. – Lećmy.

Nie była to odpowiedź, którą Zeerid miał nadzieję usłyszeć.



Malgus siedział pośród ruin, między przewróconymi posągami swoich pradawnych wrogów, i rozmyślał. Chłodny nocny wietrzyk owiewał mu twarz. W myślach odtwarzał swoją konfrontację z Aryn Leneer. Jej siła go zaskoczyła. Podobnie jak gniew, który się za nią krył.

Gniew rozumiał, a nawet szanował, ale nie miał pojęcia, skąd się u niej wzięł.

Wiedziała, że zabił Mistrza Zallowa, kiedy walczyła z nim w ruinach. Ale nie wiedziała tego, kiedy widzieli się po raz pierwszy za pośrednictwem przekazu holograficznego, jak „Waleczny” zestrzelił frachtowiec. Był tego pewien. Wyczułby ostrze jej gniewu, gdyby wówczas wiedziała.

A więc musiała się od tego czasu dowiedzieć, że to on zabił Mistrza Zallowa.

Albo zobaczyła to w jakiś sposób – może na nagraniu z monitoringu wyciągniętym z rumowiska – albo usłyszała to od jakiegoś świadka, kogoś, kto przeżył atak. A może droida, który wy dostał się z ruin Świątyni.

Tak czy inaczej, znała już szczegóły ataku.

Cieszyło go to. Zniszczenie Świątyni Jedi było jego największym osiągnięciem. Chciał, żeby Jedi – także Aryn Leneer – wiedzieli, że to on tego dokonał, że to on pozostawił ciała tak wielu Jedi pod gruzami ich dawnej Świątyni.

Jednak coś nie dawało mu spokoju. Ona nie odleciała tym śmigaczem ze strachu. To też by wyczuł.

„Zadam ci ból”, powiedziała.

W jaki sposób mogła to zrobić?

I nagle zrozumiał. Znała szczegóły jego ataku na Świątynię, więc wiedziała, że była z nim Eleena. Być może wyczuła w zachowaniu Malgusa to, co zauważył Lord Adraas – jego uczucia względem Eleeny. Chciała zadać mu ból w ten sam sposób, w jaki Adraas i Angral próbowali nim manipulować.

Ta świadomość wywołała u niego nagły przyływ emocji, w którym dopiero po chwili rozpoznał strach. Włączył komunikator i spróbował połączyć się ze swoją kochanką na ich normalnej częstotliwości.

Brak odpowiedzi.

Poczuł nieprzyjemne ściskanie w dołku. Połączył się z Jardem.

– Jard, czy Eleena wróciła na „Walecznego”?

– Nie, mój panie – odparł Jard. – Wrócił jeden z jej promów, ale Eleeny nie było na pokładzie.

Haczyk strachu utkwiał we wnętrzościach Malgusa.

– Kiedy się ostatnio meldowała? – spytał.

– W ogóle się nie meldowała, panie. Czy są powody do niepokoju? Mam wysłać po nią oddział?

– Nie – powiedział Malgus. – Sam ją znajdę.

Było mnóstwo możliwych powodów, dla których Eleena nie dawała znaku życia. Mogła po prostu wyłączyć komunikator.

Jednak Malgus nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju. Połączył się ze swoim osobistym pilotem i wezwał prom z powrotem do Świątyni. Wiedział, gdzie Eleena wylądowała ze swoim oddziałem – w porcie kosmicznym Liston. Tam miał zamiar poszukać jej najpierw.

ROZDZIAŁ 12

Niebo na wschodzie się rozjaśniało. Zeerid spojrział na chronometr. Prawie świt. Noc się ulatniała. Był zbyt podminowany, żeby czuć zmęczenie. Zdobył się na odwagę, żeby zadać Aryn pytanie, które chodziło mu po głowie.

– Co chcesz zrobić? – spytał.

Nie spojrziała na niego, co uznał za zły znak.

– Pomogę ci się dostać do kosmoportu, żebyś mógł polecieć do swojej córki – wyjaśniła.

Zakładając, że zdoła się wymknąć imperialnym krążownikom, co byłoby nie lada wyczynem.

– Nie to miałem na myśli, Aryn, wiesz o tym. Co chcesz zrobić z nią?

Aryn nie odpowiedziała, ale jej wyraz twarzy powiedział Zeeridowi wszystko, co chciał wiedzieć. Żałował, że wspomniał Aryn o Twi'lekance. Jego szczerłość mogła kosztować Aryn jej duszę. Ścigać Sitha, który zamordował jej Mistrza, to jedno, ale zabić Twi'lekanke tylko po to, żeby zranić Malgusa, to coś zupełnie innego. Miał nadzieję, że Twi'lekanke zdążyła już opuścić kosmoport.

Port pojawił się przed nimi na horyzoncie. Zeerid przepatrzył niebo, ale nic nie zobaczył. Wieża kontrolna była cały czas pogrążona w ciemności. Imperium kiepsko zabezpieczyło port – wartowników było zbyt mało w stosunku do liczby potencjalnych dojsć – ale Zeerid uznał, że mieli ograniczone siły i całą planetę do upilnowania. Był z tego faktu zadowolony. W przeciwnym razie jego plan nie miałby szans powodzenia.

– Zrobię kółko i polecimy w górę. Kluczem do sukcesu będzie szybkość.

– Nie namierzają nas skanerami?

– Wieża jest ciemna i nie widzę w okolicy żadnego sprzętu. Jeśli mają aparaturę obserwacyjną na orbicie, skierowaną na port, no cóż...

Wzruszył ramionami. Jeśli Imperium miało orbitującą aparaturę obserwacyjną albo latające droidy szpiegowskie obserwujące kosmoport, to on i Aryn mogą mieć kłopoty.

– Tak czy inaczej, kluczem jest szybkość – powiedział. – Nawet jeśli nas zobaczą, może nam się udać, jeśli zrobimy to odpowiednio szybko.

Aryn odgarnęła włosy z twarzy.

– Gdzie ją widziałeś? Tę Twi'lekanke?

– Tam – odparł, wskazując na duże transpastalowe okna, wychodzące na lądowisko

dla małych statków. To tam widział trzy promy, desantowiec i Twi'lekanę. Bez makrolornetki przez okna mógł jedynie dostrzec niewyraźne szare zarysy, zapewne promów. Aryn wpatrywała się przez chwilę w okna, po czym pokiwała głową.

– Lećmy – powiedziała.

Zeerid wyłączył światła pozycyjne śmigacza i wprowadził go na wysokość pięciuset metrów. Skierował pojazd nad główny budynek pośrodku portu i przyspieszył.

Serce biło mu szybko; nie ze strachu, że mogą zostać złapani, ale z obawy, że Aryn znajdzie Twi'lekanę.

Skreślił gwałtownie, omijając jedno z ramion lądowisk dla dużych statków, które wznosiły się ponad nimi. Skulił się za sterami, w każdej chwili spodziewając się ostrzału. Jednak nic takiego się nie zdarzyło.

Pod nimi, może ze sto metrów niżej, widział wrota w dachach hangarów dla mniejszych statków. Aryn odpięła pasy, odwróciła się i uwolniła T7. Droid ćwierknął.

Zeerid zwolnił, ale się nie zatrzymywał. W razie gdyby zostali zauważeni, chciał, żeby wyglądało to tak, jakby śmigacz po prostu cały czas leciał.

– Gotowa? – spytał i ustawił prymitywny autopilot śmigacza, żeby przeleciał jeszcze dziesięć kilometrów, a potem wylądował.

– Gotowa.

Puścił drążek i przeszli z Aryn na tył śmigacza, obok T7. Zeerid miał problemy z utrzymaniem równowagi w podmuchach wiatru, ale Aryn złapała go za rękę i przytrzymała. Wzięli droida między siebie i wymienili spojrzenia.

– Teraz – powiedział.

Skinęła głową i zeskoczyli z tyłu śmigacza.

Spadali przy wtórze głośnych gwizdów T7. Ciężar droida uniemożliwiał im kontrolowanie lotu; natychmiast zaczęli obracać się w powietrzu. Pole widzenia Zeerida wirowało szaleńczo między rozgwieżdżonym niebem a portem kosmicznym w dole. Żołądek podszedł mu do gardła i musiał zacisnąć zęby, żeby nie zwrócić proteinowego batonu.

Koziółkowali tak, aż Aryn przejęła nad nimi kontrolę, powstrzymała ruch obrotowy i spowolniła opadanie. Metal i durabeton dachu kosmoportu pędziły im na spotkanie. Mieli sekundę, może dwie. Aryn stęknęła, spowalniając ich jeszcze bardziej, aż wylądowali łagodnie na dachu.

– Znacznie lepiej niż ostatnio – stwierdził z uśmiechem Zeerid; serce waliło mu jak oszalałe. – Mógłbym przeżyć resztę życia bez takich wrażeń i wcale by mi tego nie brakowało.

Aryn nawet się nie uśmiechnęła.

Zeerid zebrał się w sobie, wziął do każdej ręki blaster i omiół wzrokiem dach. Zauważył panel dostępu kanału kablowego.

– Tam.

Podbiegli, a on odstrzelił metalową pokrywę blasterem, odsłaniając płataninę przewodów. Normalnie naruszona osłona uruchomiłaby alarm w wieży kontrolnej, jednak wieża była pogrążona w ciemności i opuszczona.

– Do roboty, Tee–seven.

Klapka w brzuchu droida się otworzyła i wysunęło się z niej kilka cienkich, mechanicznych ramion. Każde z nich kończyło się jakimś narzędziem. T7 wetknął ramiona w kable i wziął się do pracy. Zeerid, wciąż obawiając się, że ktoś ich może zauważyć, obserwował niebo. Nic jednak nie zobaczył.

T7 buczał, pracując.

– Dalej, dalej – ponaglał droida Zeerid. Potem zwrócił się do Aryn: – W porządku? Wydawała się dziwnie spokojna albo mocno czymś zaabsorbowana.

– Nic mi nie jest – zapewniła.

Droid wydał serię entuzjastycznych gwizdnięć i ćwierknięć.

– Dostał się do systemu bezpieczeństwa – oznajmiła Aryn.

– Uruchom go z dziesięciosekundowym opóźnieniem – polecił droidowi Zeerid.

Robot zapiszczał posłusznie.

Malgus wskoczył do promu, który wylądował w pobliżu Świątyni.

– Do portu kosmicznego Liston – zwrócił się do pilota. – Szybko.

– Tak, mój panie.

Spróbował jeszcze raz skontaktować się z Eleeną, ale bez rezultatu. Z każdą chwilą jego niepokój rósł. Wiedział, że kierują nim emocje, wiedział też, że świadczy to o jego słabości, ale nie mógł pozwolić, żeby stała się jej krzywda. Nie z rąk Jedi.

Po głowie krążyła mu przestroga Angrala: „Namiętności mogą prowadzić do popełniania błędów”.

Głos pilota przerwał bieg jego myśli.

– Słyszałeś wieści z Alderaana, mój panie?

– Jakie wieści? – spytał Malgus. Sprężył się, jakby w oczekiwaniu na cios albo walkę.

Cios nadszedł i trafił go mocno.

– Podobno osiągnięto porozumienie i dzisiaj zostanie podpisany traktat pokojowy. W zamian za oddanie pewnych oddalonych systemów pod kontrolę Imperium Coruscant wróci do Republiki.

Słowa pilota wyparły z głowy Malgusa słowa Angrala i teraz odbijały się w niej echem:

„Oddalonych systemów”.

„Coruscant wróci do Republiki”.

„Traktat pokojowy”.

Te słowa podgrzały jeszcze i tak już wrzące w nim emocje. Zobaczył w wyobraźni,

jak Angral i Adraas siedzą gdzieś sobie, popijając wino, i myślą, że coś osiągnęli, zmuszając Republikę do oddania jakichś nic nieznaczących systemów, gdy w istocie zatruli organizm Imperium jadem pokoju.

– Pokój!

Chodził po kajucie z zaciśniętymi pięściami jak dzikie zwierzę w klatce. Jego myśli krążyły między Eleeną a Angralem i Adraasem.

– Pokój!

Walnął pięścią w gródź, z zadowoleniem przyjmując ból.

Sędzili, że mogą go poskromić, Angral i Adraas. Sędzili, że mogą wykorzystać Eleenę, żeby go oswoić. A czyż ona nie chciała tego samego? Ona, która starała się być jego sumieniem? Ona, która prosiła go, żeby przedłożył miłość nad powinność wobec Imperium?

Kipiący gniew Malgusa przerodził się we wściekłość. Walnął pięściami w stolik do pracy, wgniatając blat. Chwycił krzesło i rzucił nim o gródź, a wreszcie rozbił pięścią mały wideoekran wbudowany w ścianę.

– Wszystko w porządku, panie? – zawołał pilot przez interkom.

– Oczywiście – potwierdził Malgus, chociaż nic nie było w porządku.

– Zbliżamy się do kosmoportu, panie – poinformował pilot.



Zeerid z niepokojem obserwował pracującego T7. Jego wewnętrzny zegar tykał. Musieli się pospieszyć.

Po włamaniu się do systemu bezpieczeństwa kosmoportu T7 miał wysłać do sieci fałszywy sygnał, który powinien oszukać czujniki, tak aby wykryły wyciek gazu napędowego w hangarze, gdzie wylądowały imperialne promy. Alarm wskazujący na wyciek łatwopalnego gazu powinien uruchomić procedury ewakuacyjne i wentylacyjne.

Przynajmniej taką miał Zeerid nadzieję.

Metalowe ręce droida wyczyniały cuda. Tu przecięły jakiś przewód, tam przylutowały, gdzie indziej podłączyły z powrotem kilka kabli. W końcu T7 podłączył się do zmodyfikowanego interfejsu. Jego ciche gwizdy i ćwierknięcia mówiły Zeeridowi, że robot komunikuje się z siecią kosmoportu. Wkrótce jego metalowe ramiona schowały się do cylindrycznego korpusu.

– Zrobione? – spytał Zeerid.

T7 zapiszczał twierdząco.

Zeerid poklepał go po głowie, a droid zaprotestował cichym piskiem.

– No to chodźmy – powiedział pilot.

Popędzili razem z Aryn w stronę wejścia w dachu, a T7 potoczył się za nimi. Zeerid odliczył w myślach do dziesięciu.

Gdy tylko dotarli do wrót, a on skończył odliczanie, rozległy się syreny, słyszalne nawet stąd. Z głośników dobiegł mechaniczny głos:

– W hangarze szesnaście–B doszło do wycieku niebezpiecznej substancji. Istnieje poważne zagrożenie dla życia i zdrowia. Proszę bezzwłocznie udać się do najbliższego wyjścia. W hangarze szesnaście–B doszło do wycieku...

– Jeśli Tee–seven zrobił swoje – powiedział Zeerid, a droid zapiszczał z oburzeniem – system wykryje wyciek gazu napędowego w hangarze dokładnie pod nami. Wtedy powinni automatycznie otworzyć wrota, żeby wypuścić gaz...

Dach zawibrował i wrota zaczęły się powoli rozsuwać.

– Dobra robota – pochwalił droida Zeerid.



Przed sobą Malgus widział zajęty przez Imperium niewielki kosmoport. Przypominał on nieco przewróconego do góry nogami pająka o zbyt wielu odnóżach. Kończyny lądowisk dla dużych statków odchodziły z rozdętego ciała i wznosiły się ku górze, odwłok pająka pokrywały zaś wrota hangarów dla mniejszych statków. Wszystkie były zamknięte poza jednym. Z otwartych wrót wylewało się światło.

– W pobliżu wejścia do portu zebrał się tłum – poinformował pilot.

Malgus oderwał wzrok od otwartych wrót i zobaczył dziesiątki istot, które wysypywały się z jednego z wejść i tłoczyły się wokoło. W większości byli to robotnicy w kombinezonach – obywatele Coruscant, których Imperium zmusiło do wykonywania czarnej roboty w porcie – ale naliczył też ze dwudziestu imperialnych żołnierzy, kilkunastu marynarzy i paru innych żołnierzy w lekkich zbrojach.

Przytknął twarz do okna, żeby przyjrzeć się lepiej żołnierzom. Dostrzegł kapitana Kerse'a, jednego z tych, których wybrał, żeby towarzyszyli Eleenie.

Eleeny jednak nie widział.

– Wyląduj w pobliżu wejścia – powiedział. – Szybko.

Prom osiadł z głuchym łoskotem i Malgus od razu z niego wyskoczył. Widząc go, imperialni żołnierze stanęli na baczność i zasalutowali. Robotnicy cofnęli się ze strachem w oczach. Może już słyszeli o tym, co zrobił w szpitalu.

Malgus podszedł do kapitana Kerse'a, potężnie zbudowanego mężczyzny, którego łyśa głowa tkwiła jak głąz na grubej szyi. Malgus wyraźnie nad nim górował.

– Lordzie Malgusie, w strefie dla małych statków nastąpił wyciek gazu

napędowego. Ewakuowaliśmy się, a system bezpieczeństwa...

– Gdzie Eleena? – spytał Malgus.

– Ona... – Kerse popatrzył po tłumie. Na twarz wystąpiły mu plamy. Zwrócił się do jednego ze swoich ludzi: – Gdzie jest Twi'lekanka?

– Widziałem ją przy drugim promie, panie kapitanie – odparł żołnierz. – Myślałem, że poleciała.

Malgus złapał Kerse'a za plastalowy napierśnik i przyciągnął do siebie.

– Była z wami przed wyciekami gazu?

Kerse pokiwał głową.

– Tak. Ona...

– Prowadź.

– Ale gaz, panie.

– Nie ma żadnego gazu. To podstęp, żeby dorwać Eleenę.

Żeby dorwać jego.

– Co takiego? – zdziwił się Kerse.

Malgus rzucił Kerse'a na ziemię i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę drzwi. Za plecami usłyszał, jak Kerse wydaje innym żołnierzom rozkaz, żeby poszli za nim. Zanim drzwi otworzyły się przed Malgusem, miał już wokół siebie sześciu elitarnych żołnierzy z karabinami blasterowymi.

– Tędy, mój panie – powiedział Kerse, zajmując miejsce obok niego.



– Szybkość i precyzja – powiedział Zeerid. Miało to być przypomnienie tyleż dla Aryn, co dla niego. – Szybkość i precyzja.

Patrzyli, jak wrota się rozsuwają, wypuszczając nieistniejący gaz napędowy. W dole, za otwartymi wrotami, ukazało się lądowisko. Zeerid zobaczył dwa imperialne promy i statek desantowy klasy Dragonfly. Syreny wciąż wyły, a mechaniczny głos brzmiał cały czas przez głośniki.

Zeerid miał zamiar uprowadzić statek desantowy. Opuszczając przestrzeń Coruscant, musiał unikać ognia imperialnych myśliwców i krążowników. Promy latały tak powoli, że zostałyby zestrzelony, gdy tylko opuściły atmosferę. Desantowiec dawał mu przynajmniej w miarę realną szansę ucieczki.

Złapał Aryn za ramię.

– Możesz jeszcze lecieć ze mną, Aryn.

Spojrzała mu w oczy i po raz pierwszy, odkąd ją odnalazł, dostrzegł w jej oczach głębokie zrozumienie.

– Nie mogę – odparła.

– Możesz – upierał się. – Uhonorowałaś już pamięć swojego Mistrza.

– Czas na nas – stwierdziła. – Szybkość i precyzja, sam mówiłeś.

Powstrzymał się od odpowiedzi. Jeszcze raz wzięli T7 między siebie i skoczyli w otchłań. I znowu zdolności Aryn spowolniły ich upadek i zamortyzowały lądowanie.

Spadli na metalowo–durabetonową podłogę hangaru, atakowani ze wszystkich stron przez wycie syren i nieustający ryk z głośników. Zeerid dokonał szybkiej oceny sytuacji.

W hangarze nikogo nie było, a jedyne wyjście – podwójne drzwi prowadzące na długi korytarz – było otwarte. Widocznie wszyscy musieli się ewakuować.

Oba imperialne promy miały opuszczone rampy. Statek desantowy nie miał, a owiewka jego kabiny była przyciemniona, nieprzejrzysta jak brudna woda.

– Tee–seven, musisz otworzyć tego dragonflya. Szybko.

Droid zapiszczał na potwierdzenie i ruszył w kierunku tylnych drzwi statku. Zeerid spojrzał na Aryn i spróbował jeszcze raz.

– Zastanów się dobrze, Aryn. – Stał tuż przed nią, zmuszając ją, żeby na niego popatrzyła, żeby go wysłuchała. – Polec z mną. Proszę. – Uśmiechnął się, próbując zbagatelizować propozycję. – Założymy farmę na Dantooine, tak jak mówiłem.

Uśmiechnęła się, jakby rozbawiona tą myślą, i Zeerid ucieszył się na ten widok.

– Nie mogę, Zeerid. Ale z ciebie będzie dobry farmer. Teraz znajdę tę Twi’lekanę i...

Urwała w pół zdania, wpatrując się w coś ponad ramieniem Zeerida.

Odwrócił się i zobaczył Twi’lekanę. Schodziła po rampie stojącego nieopodal promu z zarzuconym na ramię plecakiem. Dwóch imperialnych żołnierzy w plastalowych napierśnikach szło po obu jej stronach. Każdy miał karabin blasterowy zawieszony na ramieniu. Cała trójka miała na sobie maski do oddychania. Nie opuścili statku, kiedy włączył się alarm, tylko po prostu założyli maski. Być może na promie było coś, czego woleli nie zostawiać bez opieki.

Wszyscy zamarli i przez chwilę nikt się nie ruszał.

A potem ruszyli się wszyscy naraz.

Twi’lekanka, z otwartymi szeroko oczami widocznymi za szybką maski, rzuciła plecak i sięgnęła po blastery. Żołnierze zaklęli stłumionymi głosami, zdjęli z ramion karabiny i spróbowali wycelować.

Aryn zapaliła miecz świetlny.

Zeerid, który cały czas trzymał w jednej ręce blaster, strzelił do żołnierza po prawej. Dwa strzały trafiły go w klatkę piersiową. Pancierz odpadł w chmurze dymu, a siła uderzenia strąciła mężczyznę z rampy. Upadł na podłogę i leżał z przekrzywionym respiratorem, szukając kryjówki. Zeerid strzelił jeszcze raz, trafiając w brzuch, i żołnierz przestał się ruszać.

Twilekanka wyciągnęła blastery i oddała dwa... cztery... sześć strzałów do Zeerida. Aryn stanęła przed nim i odbiła klingą wszystkie strzały. Dwa z nich trafiły drugiego żołnierza, robiąc małe dziurki w jego masce. Upadł do przodu, na rampę, martwy.

– Uciekaj, Zeerid – rzuciła przez ramię Aryn. Ruszyła w stronę promu, w stronę Twilekanki.

– Aryn! – zawołał, ale go nie usłyszała. Podejrzewał, że słyszy teraz tylko głos swojego nieżyjącego Mistrza.

Zeerid zdał sobie sprawę, że to nie jest już jego walka. Schował blaster do kabury i patrzył. Nic więcej nie mógł zrobić.

Aryn szła zdecydowanym krokiem w kierunku promu, podczas gdy Twilekanka cofała się po rampie, celując. Zanim jednak zdążyła oddać strzał, Aryn wykonała gest lewą ręką. Oba blastery wyfrunęły Twilekance z rąk i wylądowały u stóp Aryn. Twilekanka powiedziała coś, ale jej słowa były niezrozumiałe z powodu maski. Aryn przeszła nad blasterami.

Twilekanka, z rozszerzonymi strachem oczami, odwróciła się i uciekła do wnętrza promu. Aryn znów wykonała ruch ręką; podmuch energii porwał Twilekankę i cisnął nią o gródź. Upadła do środka promu, tak że Zeerid widział tylko jej wystające nogi.

Aryn wyłączyła klingę. Zatrzymała się na chwilę i opuściła w zamyśleniu głowę.

W Zeerida wstąpiła nadzieja. Miał ochotę znów wykrzyknąć jej imię.

Aryn jednak podniosła głowę i weszła na rampę, omijając ciało żołnierza.

Zeerid poczuł smutek. To była jej decyzja, jej walka. Otrząsnął się, odwrócił i krzyknął do T7:

– Otwórz tego dragonflya, Tee–seven. Pora się zbierać.



Vratha obudziły odgłosy blasterowego ognia, przenikliwe wycie syren i głos dobiegający z portowego systemu nagłośnienia, mówiący coś o wycieku gazu. Wziął przedtem tabletkę nasenną i minęło parę chwil, zanim odzyskał jasność umysłu. Spał w kabinie. Spojrzał na chronometr. Stwierdził, że jest świt albo tuż po. Przespał większą część nocy.

Coś walnęło w kadłub „Brzytwy” – strzał z blastera.

– Co do...

Wyłączył przyciemnianie transpatalowej osłony kabiny i wyjrzał na lądowisko. Kabina „Brzytwy” zapewniała bardzo niewielkie pole widzenia, więc dostrzegł jedynie fragment jednego z imperialnych promów, zadokowanych w pobliżu. O dziwo, nie widać było żadnych pracowników, imperialnych żołnierzy ani droidów.

Usłyszał jeszcze kilka blasterowych strzałów dochodzących spoza Statku. Nie miał pojęcia, co się dzieje, i nie miał ochoty sprawdzać. Nie miał jeszcze pozwolenia na opuszczenie Coruscant, ale nie zamierzał też pozostawić swojego statku w samym środku bitwy, czy cokolwiek się tutaj działo. Pomyślał, że wyprowadzi „Brzytwę” w powietrze i pozostawi w atmosferze. Przełączył monotony głos automatycznych komunikatów portowych na system łączności swojego statku.

– W hangarze szesnaście–B doszło do wycieku niebezpiecznej substancji. Istnieje poważne zagrożenie dla życia i zdrowia. Proszę bezzwłocznie udać się do najbliższego wyjścia. W hangarze szesnaście–B...

Na pobliskiej ścianie dużymi czarnymi literami napisane było: „Hangar 16–B”.

Sprawdził, żeby się upewnić, że „Brzytwa” jest szczelnie zamknięta. Nie była. Tylne włączki były otwarte. Zaklął. Był pewien, że go zamykał. Wcisnął odpowiedni guzik, ale migające światełko wciąż pokazywało, że jest otwarte. Coś blokowało włączki albo nastąpiła awaria obwodów.

Musiał zamknąć go tylnym przełącznikiem, inaczej ładunek wypadłby podczas lotu. Uruchomił procedurę autostartu, wstał i ruszył na tył statku. W połowie drogi zorientował się, że zostawił blaster i noże w kabinie. Odpiął je przed pójściem spać.

Nieważne. Nie będą mu potrzebne.



Aryn kręciło się w głowie, kiedy wchodziła po rampie promu. W dłoni niosła rękojeść swojego miecza świetlnego, a w sercu gniew.

Zwolniła, bo Twi'lekanka się poruszyła, jęknęła i odwróciła, patrząc na zbliżającą się Jedi.

Aryn uniosła wolną rękę i już chciała powiedzieć: Nic ci nie zrobię, ale ugryzła się w język.

– Nie będzie kłamać.

Kobieta cofała się po omacku, aż wpadła na gródź. W jej oczach nie było widać strachu. Aryn zatrzymała się dwa kroki od niej. Spoglądały na siebie ponad bezkresną przepaścią odmiennych punktów widzenia.

Na zewnątrz wyły syreny. Aryn nie widziała już Zeerida. Co ważniejsze, on nie widział jej.

Wzrok Twi'lekanki padł na rękojeść miecza świetlnego. Aryn nie wyczuwała w niej strachu, jedynie łagodny, głęboki smutek.

– Przyszłaś, żeby mnie zabić.

Aryn nie zaprzeczyła. Miała sucho w ustach. Przypięła własny miecz świetlny do

pasa, a do ręki wzięła broń Mistrza Zallowa.

– Widzę w tobie gniew – powiedziała Twi'lekanka.

Aryn pomyślała o swoim Mistrzu i jej determinacja się umocniła.

– Nie znasz mnie. Nie udawaj, że mnie znasz.

Zapaliła miecz świetlny Mistrza Zallowa. Twi'lekanka otworzyła szerzej oczy, a błysk strachu zmącił fasadę spokoju na jej twarzy.

– Nie znam – przyznała. – Ale potrafię rozpoznać gniew. Dobrze go znam.

Smutny uśmiech rozjaśnił jej twarz, wypierając strach. Myślała o czymś lub o kimś innym niż Aryn i smutek, który od niej bił, wzmógł się i zaostrzył.

– Gniew to po prostu inna nazwa bólu – stwierdziła. – O tym też dobrze wiem. A czasami... ból jest zbyt głęboki. To ból cię napędza, prawda?

Aryn spodziewała się oporu, walki, protestów.,, czegokolwiek. A tymczasem Twi'lekanka wydawała się... zrezygnowana.

– Zabijesz mnie, Jedi? Z powodu Dartha Malgusa? Czegoś, co zrobił?

Wypowiedziane przez nią imię Malgusa podsyciło gniew Aryn.

– On zadał ból komuś, kogo kochałam.

Twi'lekanka pokiwała głową i prychnęła, co zabrzmiało jak bolesny śmiech.

– On zadaje ból nawet tym, których kocha. – Uśmiechnęła się, a szmer jej cichego głosu przypominał padający deszcz. – Ci mężczyźni i ich wojny! On ma na imię Veradun, Jedi. I zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że ci to powiedziałam. Ale imiona są ważne.

Aryn z trudem podtrzymywała w sobie gniew. Twi'lekanka wydawała się taka... bezbronna, taka zraniona.

– Nie obchodzi mnie, jak ma na imię. Byłaś z nim w czasie ataku na Świątynię. Widziałam.

– Świątynia. Ach, tak. – Pokiwała głową. – Owszem, byłam z nim. Kocham go. Walczę u jego boku. Ty zrobiłabyś to samo.

Aryn nie mogła zaprzeczyć. Rzeczywiście zrobiłaby to samo; nieraz tak było.

Gniew, który w sobie nosiła, odkąd wyczuła śmierć Mistrza Zallowa, zaczął się kurczyć, wygasać w obliczu bólu i smutku Twi'lekanki. Zdała sobie sprawę, że jej ból nie jest moralnym centrum wszechświata. Znikanie gniewu ją zaniepokoiło. Od śmierci Mistrza cała była gniewem. Bez niego czuła się pusta.

To inna nazwa bólu, jak powiedziała Twi'lekanka. Miała rację.

– Proszę, zrób to szybko – powiedziała Twi'lekanka. – Łagodna śmierć, tak?

Jej słowa brzmiały bardziej jak prośba niż jak wyzwanie.

– Jak ci na imię? – spytała Aryn.

– Eleena – odparła Twi'lekanka.

Aryn podeszła do niej. Eleena spojrzała na jej klingę, ale nie próbowała przed nią uciekać. Patrzyły sobie w oczy, oceniając nawzajem swój ból i uczucie pustki.

– Imiona są ważne – przyznała Aryn. Zacisnęła dłoń na mieczu świetlnym swojego zmarłego Mistrza, wyłączyła klingę i rąbnęła rękojęcią w skroń Eleeny. Twi'lekanka upadła, nie wydając żadnego dźwięku. – I nie zabiję cię, Eleeno.

Pod wieloma względami Eleena była już martwa. Aryn zrobiło się jej żal.

Wciąż czuła się zobowiązana pomścić Mistrza Zallowa, jednak nie mogła zamordować Eleeny, żeby zadać ból Malgusowi. Mistrz Zallow nigdy by tego nie zaakceptował. Aryn nie mogła go pomścić, sprzeniewierzając się temu, w co wierzył. Być może poniósł porażkę. Być może cały Zakon Jedi poniósł porażkę. Jednak była to szlachetna porażka, a to coś znaczyło.

Przypomniała sobie swój sen, w którym Mistrz Zallow stał na ruinach Świątyni, wypowiadając bezgłośnie słowa, których nie potrafiła wtedy zrozumieć.

Teraz je rozumiała.

– Bądź w zgodzie ze sobą – mówił.

Czy nie to samo cały czas starał się jej przekazać Zeerid?



– Wybacz, mój panie – mówił Kerse, gdy szli pospiesznie przez port kosmiczny. – Zakładałem, że się ewakuowali, a nie zdążyliśmy jeszcze policzyć...

– Daruj sobie wymówki, Kerse – przerwał mu Malgus; z trudem oparł się pokusie rozcięcia mężczyzny na pół.

Długi główny korytarz w środku portu zdawał się ciągnąć kilometrami. Po obu jego stronach ustawiono stragany, sklepiki, nawet wózki ulicznych handlarzy – wszystkie zostały porzucone. Na ścianach poczekalni i barów wisiały ciemne wideoekrany.

Od głównego korytarza odchodziły mniejsze, prowadzące do komercyjnych lądowisk pasażerskich, do wind, którymi można było się dostać do stref tranzytowych dla dużych statków, a także do hangarów dla mniejszych jednostek.

– Ruszać się – polecił żołnierzom, a ci posłuchali. Do Kerse'a zaś powiedział: – Pokaż mi, gdzie ją ostatnio widziałeś.

Kerse wskazał na boczny korytarz przy końcu głównego korytarza.

– To tam, panie. Hangar szesnaście-B. Po lewej.

Malgusowi wydawało się, że 16-B znajduje się w pobliżu otwartych wrót, które widział, zbliżając się do kosmoportu. Zwiększył swoją prędkość dzięki Mocy i pomknął korytarzem, zostawiając żołnierzy daleko z tyłu. Ściany, znaki i podłoga migąły mu tylko przed oczami, gdy pędził w kierunku hangaru, w kierunku Eleeny.



T7 otworzył tylny właz desantowca; wciąż jeszcze był podłączony do jego panelu kontrolnego. Zeerid długo kręcił głową, przenosząc wzrok z dragonflya na imperialny prom, w którym Aryn zniknęła z Twi'lekanką, i z powrotem. W końcu ruszył w stronę desantowca, ale głos Aryn go zatrzymał.

– Zeerid!

Odwrócił się i zobaczył, że Aryn wychodzi z promu, niosąc nieruchome ciało Twi'lekanki. Zeerid nie wiedział, czy Twi'lekanka żyje. Podszedł powoli do Aryn; wzrok miał skierowany na nią, a nie na Twi'lekanke.

– Powinienem pytać?

Bał się odpowiedzi.

– Nie zabiłam jej, Zeerid. Chciałam, żebyś to wiedział.

Zeerid odetchnął z ulgą.

– Cieszę się, Aryn. To co, polecisz ze mną? – Wskazał kciukiem za siebie. – Tee-seven otworzył już tego dragonflya.

– Nie mogę, Zeerid, ale... już wszystko w porządku. Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem.

Aryn otworzyła usta, ale nic nie powiedziała, tylko przechyliła głowę, jakby usłyszała jakiś dźwięk w oddali.

– Nadchodzi – oznajmiła.

Zeeridowi zjeżyły się włoski na karku.

– Kto nadchodzi? Malgus?

Aryn uklękła i położyła Twi'lekanke tak delikatnie, jakby to było nowo narodzone dziecko.

Wycie syren ustało nagle, jak ucięte nożem. Niespodziewana cisza wydawała się złowieszcza. Zeerid spojrzał na otwarte podwójne drzwi hangaru. Za nimi ciągnął się ciemny korytarz.

Aryn wstała, zamknęła oczy i wciągnęła powietrze do płuc.

– Leć, Zeerid – powiedziała.

– Nie zostawię cię – odparł Zeerid i wyciągnął drugi blaster. Oblizął suche wargi.

Aryn otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

– Zostawisz, i to natychmiast, Zet. Pomyśl o córce. Leć już. Leć... i zostań farmerem.

Odepchnęła go z uśmiechem. Wpatrywał się w jej twarz, wiedząc, że ona ma rację.

Nie mógł osierocić Ary, nawet dla Aryn. Mimo wszystko nie chciał jej zostawiać. Podszedł bliżej, a jej mina złagodniała. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

– Idź.

Pod wpływem impulsu chwycił ją za ramiona i pocałował w usta. Nie opierała się, a nawet odwzajemniła pocałunek. Odsunął ją od siebie na długość ramienia.

– Jesteś niemądra, Aryn Leneer – powiedział.

– Może i jestem.

Odwrócił się i ruszył w stronę desantowca. Na wargach wciąż czuł delikatny dotyk jej ust. Miał nadzieję, że to wrażenie będzie go prześladowało do końca życia. Żałował tylko, że pocałunek nie trwał dłużej.

Wyobrażał sobie jej oczy skierowane na niego i nie miał odwagi się odwrócić, żeby się nie rozmyślić. Przypomniawszy sobie holozdjęcie Arry, które trzymał na pokładzie „Tłuściocha”, jej uśmiech, jej śmiech; przypomniał sobie też, że obiecywał Nat nie podejmować niepotrzebnego ryzyka.

Nie obejrzał się więc na Aryn Leneer, choć było to bardzo trudne.

– Wskakuj na pokład, Tee-seven – powiedział, wchodząc po rampie.

T7 zapiszczał przecząco i smutno.

– Nie lecisz?

Znów smutne ćwierknięcie.

Zeerid poklepał droida po głowie.

– Jesteś dzielny. Dziękuję ci za pomoc. Uważaj na Aryn.

T7 zagwizdał potakująco, a potem jeszcze raz smutno na pożegnanie i się oddalił.

Silniki statku już pracowały. T7 musiał uruchomić procedurę startu.



Vrath przemierzał wąskie korytarze „Brzytwy”, aż dotarł do tylnego przedziału, który przerobił z pomieszczenia do transportu żołnierzy na ładownię. Wypełniona była teraz skrzyniami, które, przymocowane magnetycznie do pokładu i ustawione jedna na drugiej, tworzyły szczyrzy labirynt. Pokonał go pospiesznie, kierując się do tylnych drzwi. Strzelanina na zewnątrz jakby przycichła, więc pozwolił sobie na lekkie rozluźnienie.

Zeerid odprowadził wzrokiem T7. Dotknął panelu kontrolnego przy tylnych drzwiach i włączył zaczął się podnosić. Zaczekał, aż zamknie się do końca. Wciąż myśląc o Aryn, położył dłoń na zimnym metalu drzwi.

Dragonfly szarpnął, uniesiony przez silniki manewrowe. Zeerid musiał dostać się do kabiny. Nie mógł pozwolić, żeby autopilot sterował statkiem, kiedy Imperialni zaczną strzelać.

Popędził przez ładownię i znalazł się w labiryncie utworzonym ze skrzyń, którymi

była zastawiona. Skręcił za róg i omal nie wpadł na innego człowieka.

Dopiero po chwili go rozpoznał – drobna postura, starannie zaczesane ciemne włosy, głębokie oczodoły, a w nich pozbawione wyrazu oczy, wąskie usta.

To był człowiek z parku Karsona.

To był człowiek, który wydał Zeerida i Aryn Sithom.

To był człowiek, który wiedział o Arze i o Nat.

– To ty! – powiedział Vraith Xizor.

– To ja – potwierdził Zeerid.



Aryn patrzyła, jak dragonfly odlatuje. Już tęskniła za Zeeridem. Próbowała rozbudzić w sobie wściekłość, która przywiodła ją na Coruscant, żeby zmierzyła się z Malgusem, jednak nie czuła już w sobie żaru. Sięgnęła do kieszeni, odszukała paciorek z nautolańskiej bransoletki i ścisnęła go między kciukiem a palcem wskazującym.

Musiała zmierzyć się z Malgusem. Nie miała innego wyjścia. Ale musiała zmierzyć się z nim tak, jak chciałby tego jej Mistrz: ze spokojem w sercu.

Stała nad ciałem Eleeny, czekając. Obecność Malgusa napierała na nią coraz mocniej, w miarę jak się zbliżał. Jego gniew poprzedzał go niczym burza.



Malgus wpadł do hangaru przez duże podwójne drzwi. Statek Vraitha Xizora, „Brzytwa”, unosił się w kierunku otwartych wrót w dachu. Dwa imperialne promy stały na płycie lądowiska.

– Eleena! – krzyknął. Nienawidził się za ten przejaw słabości, ale nie mógł się powstrzymać.

Sięgnął poprzez Moc, próbując pochwycić unoszącą się „Brzytwę” w mentalny uchwyt. Statek zwolnił. Malgus wyciągnął obie ręce, zgiął palce niczym szpony i aż krzyknął z frustracji, starając się powstrzymać moc silników statku.

Poczuł nacisk na umysł. Naprężona lina jego siły woli rozciągała się coraz bardziej. Nie mógł wypuścić tego statku. Jego silniki zaczęły rzeźcić. Malgus zacisnął zęby, mokry od potu, a jego oddech pod respiratorem zmienił się w suchy charkot.

A potem lina pękła i statek wyfrunął przez otwarte wrota ku niebu.

Malgus ryknął z wściekłości. Włączył chronometr na ręce.

– Jard, desantowiec przemytnika opuścił właśnie port kosmiczny Liston. Na pokładzie może być Eleena. Przechwyćcie go promieniem ściąającym i zatrzymajcie wszystkich, którzy są na...

Przerwał mu syk włączanego miecza świetlnego, a po nim jeszcze jeden. Spojrzał na drugi koniec hangaru i zobaczył Aryn Leneer z mieczami świetlnymi w obu rękach, stojącą nad ciałem Eleeny.

ROZDZIAŁ 13

Czysta nienawiść i surowa wściekłość bijące od Malgusa poraziły Aryn jak fizyczny cios. Zaparła się jak przy zmaganiu z burzą gradową. Zdała sobie sprawę, jak silnym uczuciem Sith darzy Twi'lekanę i w jaki sposób obrócił te emocje w nienawiść i wściekłość.

Zapalił swój miecz świetlny, a czerwony blask klingi odbił się w jego oczach i zbroi. Wyciągnął rękę za siebie, wykonał szybki ruch i drzwi hangaru się zatrzęsęły. Kolejnym gestem zasunął rygle.

– Tylko ty i ja – powiedział ostrym, ochrypłym głosem. Nie spuszczał wzroku z Eleeny.

Aryn wskazała na Twi'lekanę.

– Ona żyje. I wiem, co do niej czujesz.

– Nic nie wiesz – odparł Malgus i powoli zrobił krok w jej kierunku.

– Pozwól odlecieć temu statkowi. Wydaj rozkaz albo ją zabiję.

– Kłamiesz.

Aryn przyłożyła klingę Mistrza Zallowa do szyi Eleeny.

Fala wściekłości wytrysnęła z Malgusa.

– Obiecuję ci, że to zrobię – powiedziała Aryn.

Wolna ręka Malgusa zacisnęła się w pięść.

– Jeśli wyrządzisz jej trwałą szkodę, dopilnuję, żebyś cierpiała. Obiecuję ci to.

Aryn rozumiała Malgusa coraz mniej z każdym wypowiedzianym przez niego słowem. Mimo wszystko postanowiła blefować dalej.

– Wydaj rozkaz, Malgus!

Malgus rzucił jej gniewne spojrzenie, warknął, po czym przemówił przez komunikator:

– Jard, cofam poprzedni rozkaz. Statek desantowy ma pozwolenie na opuszczenie systemu.

– Panie?

– Wykonać, Jard!

– Tak jest.

Malgus ruszył w stronę Aryn powolnym krokiem drapieżnika, który zwietrzył ofiarę.

– I co teraz, Jedi? Nie uciekniesz stąd.

– Nie chcę uciekać, Malgusie.

Oczy mu się zaśmiały.

– Nie. Chcesz mnie zabić. Musisz to zrobić, tak? Z powodu swojego Mistrza?

Uczucia, które te słowa wydobyły z zakamarków jej duszy, niepokojąco przypominały wściekłość wypływającą z Malgusa. Jeszcze dzień wcześniej byłyby identyczne. To, że tak nie było, zawdzięczała Eleenie.

I Zeeridowi.

I Mistrzowi Zallowowi.

– Chciałam zadać ci ból, Lordzie Malgusie. Zadać ci ból, krzywdząc ją. Ale nie powiększę jej bólu. Ona już i tak wystarczająco cierpi.

Malgus się zatrzymał. Jego wzrok padł na Twi'lekanę i, ku swojemu zdumieniu, Aryn wyczuła w nim coś w rodzaju litości – zaledwie przeblysk, szybko wyparty przez nienawiść.

– Dosyć gadania – powiedział, spoglądając znów na Aryn. – Do roboty, Aryn Leneer. Oto jestem.

Zrzucił płaszcz, wyprostował się i pozdrowił ją mieczem świetlnym.

Podniosła swój miecz świetlny i miecz Mistrza Zallowa, poczuła w dłoniach ciężar jednego i drugiego. Poddała się Mocy, spokojna i wyciszona.

Spokojne serce. Spokojny umysł.

Trenowała walkę na dwa miecze świetlne jako padawanka, jednak rzadko używała dwóch mieczy w prawdziwej walce. Teraz i tutaj miała to zrobić. Jakoś wydawało jej się to stosowne.

Nie czekała na Malgusa. Pomknęła przez hangar z prędkością zwiększoną dzięki Mocy. Dwie klingi pozostawiały za nią świetliste smugi. Malgus pozostał na miejscu z mieczem w pogotowiu.

Zaatakowała nisko pierwszą klingą i wysoko drugą. Malgus przeskoczył nad obydwoma, zrobił salto, wylądował za nią i wykonał cięcie wymierzone w jej szyję.

Aryn uchyliła się, a jednocześnie zrobiła obrót i podcięła go. Kiedy upadł, wyprostowała się, odwróciła, uniosła oba ostrza nad głowę i opuściła je równocześnie w podwójnym ataku. Malgus przeokoziłkował do tyłu i klingi Aryn wycięły tylko bruzdy w podłodze hangaru, sypiąc dookoła iskrami.

Malgus poderwał się i wypuścił telekinetyczny podmuch, który porwał ją i przeniósł na drugi koniec hangaru. Wpadła na jedną z grodzi promu, ale posługując się Mocą, zamortyzowała uderzenie, tak że nie wyrządziło jej żadnej krzywdy. Odbiła się od chłodnego metalu i natarła na Malgusa. Biegając, rzuciła w niego najpierw własnym mieczem świetlnym, a następnie Mistrza Zallowa, i użyła Mocy, żeby nimi pokierować.

Atak zaskoczył Malgusa i klinga Aryn wbiła mu się w zbroję. Posypały się iskry, a Malgus skrzywił się i warknął z bólu.

Uchylił się przed mieczem Mistrza Zallowa, Aryn zaś w biegu przywołała oba do

siebie. Gdy tylko do niej wróciły, ponownie rzuciła nimi w Malgusa.

Ale tym razem był na to przygotowany. Posługując się Mocą, wyskoczył wysoko w powietrze i uniknął obu mieczy. Ona jednak przewidziała jego ruch, skoczyła więc do przodu, żeby przeciąć mu drogę, i zaatakowała kopniakiem w klatkę piersiową. Użył Mocy, żeby złagodzić siłę uderzenia, ale i tak musiał się cofnąć o krok, a Aryn usłyszała jego urywany oddech dochodzący spod respiratora.

Malgus doszedł do siebie, ryknął i uniósł miecz świetlny, żeby rozciąć ją na pół. Aryn jednak zdążyła przywołać do siebie własną broń i sparowała jego uderzenie.

Siła Malgusa rzuciła ją jednak na kolana. Wyciągnęła drugą rękę, przywołując do siebie miecz Mistrza Zallowa, i spróbowała pchnąć nim Sitha.

Malgus uchylił się przed ciosem, chociaż klinga otarła się o jego pancerz, rozsiewając iskry. Odepchnął jej miecz własnym i kopnął ją w twarz. Siła uderzenia przełamała jej obronę i odrzuciła ją do tyłu. Aryn przeżoiołkowała w powietrzu i wylądowała zamoczona na kolanach. Kopniak obruszał jej zęby i widziała wszystko podwójnie.

Wstała, chwiejąc się na nogach. Widziała w swoich rękach cztery klingi zamiast dwóch. Poczula coś w ustach i wypluła to – ząb, zakrwawiony, z rozwidlonym korzeniem.

– Jesteś nowicjuszem w nienawiści – powiedział Malgus dziwnie łagodnym tonem, zbliżając się do niej. – Twój gniew ledwie się tli. To zaledwie ułamek tego, do czego mogłabyś być zdolna.

Potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie i pewnej odległości od Malgusa. Wyskoczyła wysoko w górę, zrobiła salto w tył i wylądowała na dachu imperialnego promu. Zaczynała odzyskiwać jasność umysłu.

– Twój Mistrz także popełnił błąd. Chciał mnie pokonać spokojem, ale mu się nie udało. Ty chciałaś mnie pokonać gniewem, ale masz go w sobie za mało pomimo straty, jaką poniosłaś.

Aryn zaczynała już widzieć wyraźniej. Poczula się bardziej sobą.

– Powinnaś być za to wdzięczna, Jedi. Gniew ma swoją cenę.

Znów wyczuła dziwne współczucie, rodzaj litości, która osłabiała czystą nienawiść płynącą od Malgusa. Jego wzrok padł na ciało Eleeny leżące na podłodze hangaru.

Podczas gdy Aryn przygotowywała się, żeby skoczyć na Sitha, on wyciągnął rękę niemal od niechcienia i przestrzeń pomiędzy nimi przecięła błyskawica. Aryn nastawiła swój miecz świetlny, jednak siła błyskawicy przekraczała wszystko, czego doświadczyła do tej pory ze strony Malgusa. Rozbiła jej obronę i wytrąciła jej z rąk oba miecze świetlne. Błyskawica porwała ją, uniosła do góry i zrzuciła z promu.

Spadając, czuła swąd przypalonej skóry i słyszała krzyki; zdała sobie sprawę, że to jej skóra i jej krzyki. Wyrznęła mocno o podłogę. W głowie rozbłysły jej iskry, a potem wszystko spowiła ciemność.



Wojskowe wyszkolenie Zeerida zareagowało szybciej niż jego myśli. Wyprostował prawą dłoń i skierował ją w gardło mniejszego mężczyzny. Jednak Vraith też musiał być szkolony. Zablokował cios Zeerida lewą ręką, potem chwycił go za nadgarstek, przysunął się bliżej Zeerida i przerzucił pilota przez biodro. Zeerid to przewidział, więc upadając, przetoczył się po pokładzie, po czym poderwał się z wyciągniętym E-9 i wycelował.

Vraith jednak kopniakiem wytrącił mu z ręki blaster, który poleciał w górę i wystrzelił w gródź. Potem zaatakował jeszcze jednym kopniakiem, ale Zeerid odgadł jego zamiary, przyjął cios na swój bok i złapał przeciwnika za nogę, po czym przyłożył mu pięścią w nos.

Pod jego ciosem zachrzęściły kości, a z nosa trysnęła krew.

Vraith zaczął wymachiwać wściekle lewą ręką i wbił wyprostowane palce w szyję Zeerida. Cios mógłby go zabić, gdyby przeciwnik zdołał włożyć w niego więcej siły. A i tak zmusił Zeerida do puszczenia jego nogi i cofnięcia się.

Zeerid sięgnął za plecy i wyciągnął drugi blaster. Zanim jednak zdążył go użyć, Vraith rzucił się szczupakiem i przyparł go do jednej ze skrzyń. Ostry róg skrzyni wbił mu się w plecy i Zeerid jęknął z bólu. Vraith chwycił go za nadgarstek i uderzył jego ręką o skrzynię. Drugi blaster spadł na podłogę, a mężczyzna odrzucił go kopniakiem.

Zeerid stęknął z wysiłku i odepchnął Vraitha.

Patrzyli teraz na siebie z odległości trzech kroków, ciężko dysząc. Vraith miał załzawione oczy, a z nosa leciała mu krew. Zeerid miał kłopoty z oddychaniem przez uszkodzoną tchawicę.

– Chyba musiało do tego dojść – powiedział mężczyzna zmienionym z powodu złamanego nosa głosem. – Nie sądzisz, Zeeridzie Korr?

Zatkał najpierw jedną, a potem drugą dziurkę w nosie, wydmuchując z nich krew i smarki.

– Jestem Vraith, nawiasem mówiąc. Vraith Xizor.

Zeerid ledwo go słyszał. Wykorzystał chwilę, którą Vraith poświęcił na wydmuchanie nosa, żeby złapać oddech i poszukać wzrokiem blasterów. Oba jednak zniknęły w czasie walki pod skrzyniami.

Vraith pomacał dwoma palcami nos, oceniając szkody.

– Skąd jesteś? Wojska desantowe? Komandosi?

Oddech Zeerida wreszcie się wyrównał i mężczyźni zaczęli krążyć wokół siebie.

– Eskadra Zagłada – odparł Zeerid, mierząc przeciwnika wzrokiem.

– Pierwsi do walki – powiedział Vraith, przypominając sobie motto jednostki.

– A ty? – spytał Zeerid.

– Imperialny korpus snajperski.

– Skrytobójca – stwierdził Zeerid.

Obelga starła uśmiech z twarzy Vraitha.

– Zabiłem ponad pięćdziesięciu ludzi w mundurach Republiki, Korr. Dla mnie będziesz po prostu kolejnym numerem.

– Zobaczymy – odparł Zeerid, spokojny jak cisza przed burzą.

Vraith zamarkował cios, prowokując Zeerida do reakcji. Wyszczерzył zęby, czerwone od krwotoku z nosa.

– Nerwy, co?

Zeerid szukał okazji do ataku. Kiedy ją dostrzegł, zamarkował natarcie górami, po czym rzucił się na Vraitha, chcąc sprowadzić go do parteru, gdzie mógłby wykorzystać fizyczną przewagę. Vraith wyśliznął mu się, nie dając się powalić, Zeerid jednak zdołał przyprzeć go do grodzi. Vraith wyrznął go łokciem w głowę, a potem jeszcze raz, trafiając w policzek.

Zeerid stęknął i odepchnął się od mniejszego mężczyzny, żeby zrobić sobie miejsce do działania. Nie wypuszczając Vraitha z rąk, kopnął go kolanem w brzuch, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Vraith jęknął i odwrócił się, wystawiając biodro.

Wyciągnął palce w kierunku twarzy Zeerida, celując w oczy. Zeerid potrząsnął głową, jednak palce Vraitha odnalazły jego oczodoły.

Zeerid odepchnął go i wycofał się, osłaniając swój odwrót kopniakiem.

Vraith rzucił się za nim, chwycił go wpół, podniósł i rzucił na podłogę. Zeerid wyrznął głową o pokład, aż zobaczył gwiazdy. Vraith wskoczył na niego, szybki i nieuchwytny. Jego ręce i nogi były wszędzie. Przygwoździł Zeerida i usiadł na nim, okładając go pięściami i łokciami: w policzek, w skroń, znowu w policzek i w czubek głowy. Ten ostatni cios rozciął mu skórę. Ciepła krew spłynęła po czaszce na twarz i rozmazała się na łokciu Vraitha.

Zeerid rozpaczliwie próbował złapać Vraitha za rękę, ale mężczyzna był za szybki, a śliska od krwi skóra utrudniała jeszcze zadanie. Zeerid objął go w pasie i przyciągnął do siebie, żeby nie dać mu dość miejsca na ciosy łokciami.

I wtedy Vraith popełnił błąd. Próbując się oswobodzić, zbliżył twarz na kilka centymetrów do twarzy Zeerida, który poderwał głowę do góry i walnął czołem w złamany dopiero co nos Vraitha.

Ten krzyknął z bólu i odruchowo się cofnął. Wykorzystując nadarzającą się okazję, Zeerid złapał go za nadgarstek, przetoczył na plecy, ścisnął jego rękę nogami i odchylił się do tyłu, zakładając mu dźwignię na łokieć.

Vraith wrzasnął, gdy wyprostowana ręka wyskoczyła mu ze stawu z wyraźnie słyszalnym trzaskiem. Zeerid poczuł, jak kończyła nagle robi się bezwładna.

Puścił rękę Vrata i skoczył na równe nogi. Przeciwnik, z wykrzywioną bólem twarzą, poczołgał się w kierunku miejsca, gdzie pod skrzynią zniknął E-9. Zeerid przeciął mu drogę, podniósł go z podłogi i popchnął z całej siły na gródź. Vrat próbował się przytrzymać zwichniętą ręką, która zwisała bezwładnie ze stawu, ale uderzył głową w metalową ścianę, wywrócił oczami i runął jak kłoda.

Zeerid wskoczył na niego kolanami i przyłożył mu pięścią w oko, sądząc, że jest tylko zamroczony, ale Vrat leżał pod nim nieruchomo. Krew z głowy Zeerida kapłała mu na twarz.

Ciężko dysząc, Zeerid sprawdził mu tętno. Jeszcze żył.

Nagle adrenalina, która napędzała go w czasie walki, gdzieś odpłynęła. Bolało go całe ciało, miał kłopoty z oddychaniem i opadł zupełnie z sił. Ból twarzy i głowy pulsował z każdym uderzeniem jego serca. Cała walka trwała góra czterdzieści sekund, ale czuł się tak, jakby ktoś go okładał przez kilka godzin.

Popatrzył na Vrata, zastanawiając się, co z nim zrobić. Przeszukał jego spodnie, marynarkę i płaszcz. Znalazł kilka dowodów tożsamości i różne przedmioty osobiste. Wygrzebał też elastyczne kajdanki. Przewrócił Vrata na brzuch i złożył mu ręce na plecach.

Kości w zwichniętej ręce zazgrzytały, a Vrat jęknął z bólu.

– Wybacz – powiedział Zeerid. Naprawdę nie mógł nic na to poradzić.

Gdy już skrępował mu ręce, zarzucił sobie faceta na ramię i zaniósł go na chwiejnych nogach do kabiny. W statkach klasy Dragonfly nie było brygu i Zeerid wolał mieć Vrata na oku.

Zanim dotarł do kabiny, statek opuścił kosmoport i wzbił się w atmosferę. Zeerid przyjrzał się przyrządom. Miał obrzmiałą twarz i uszkodzone palcem Vrata oko, tak że musiał patrzeć przez zmrużone powieki. Zdjął koszulę i zrobił sobie z niej opatrunek na głowę. Nie chciał zakrwawić przyrządów.

Na fotelu pilota leżał pas z blasterem GH-22 i z kilkoma nożami. Była to zapewne broń Vrata. Zeerid założył ten pas i usiadł.

Nigdy wcześniej nie latał statkiem desantowym klasy Dragonfly, ale potrafił poprowadzić wszystko, co poruszało się w przestrzeni kosmicznej. Musiał tylko ominąć imperialną blokadę i dostać się na szlak nadprzestrzenny.

– Pora zatańczyć między kroplami deszczu – powiedział i wyłączył autopilota.

Wyjrzał przez owiewkę kabiny na port kosmiczny daleko w dole, zastanawiając się, co z Aryn. Dałby mnóstwo kredytów, żeby mieć ją w tej chwili przy sobie.



Aryn otworzyła oczy. Malgus stał nad nią, a przekrwione oczy utkwili w jej twarzy. Na rękach trzymał nieprzytomną wciąż Twi'lekanę. Trzymał także oba miecze świetlne Aryn. Rękojeść jego miecza zwisała u pasa.

A więc nie zabił jej. A ona nie miała pojęcia dlaczego.

Gdy tak się w nią wpatrywał, wyczuła w nim sprzeczne uczucia. Najwyraźniej z czymś się zmagał.

– Bierz je i wynoś się – powiedział i rzucił jej oba miecze świetlne. Upadły ze stukotem na podłogę. – Weź prom. Dopilnuję, żebyś mogła spokojnie opuścić Coruscant.

Aryn się nie poruszyła. Miecze świetlne leżały o parę centymetrów od jej ręki.

Malgus zmrużył oczy.

– Jeśli twoja potrzeba pomszczenia Mistrza nie wymaga poświęcenia własnego życia, powinnaś zrobić to, co ci każę, Jedi.

Wsparła się na jednej ręce, a w drugą wzięła oba miecze świetlne. Poczowała w dłoni chłód metalu.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ją oszczędziłaś. – Dochodzący zza respiratora głos był dziwnie cichy.

– Ja na twoim miejscu bym tego nie zrobił. I jeszcze dlatego, że twoja obecność uświadomiła mi coś, z czego już dawno powinienem był zdać sobie sprawę.

Aryn wstała, wciąż nieufna, i przypięła miecze świetlne do paska.

– Wkrótce opuścimy Coruscant – oznajmił Sith ze smutkiem. – Imperium opuści, znaczy się. Pozostało tylko podpisanie traktatu. I będziemy mieli pokój. Czy to cię cieszy?

– Czy mnie cieszy? – Wciąż nie rozumiała. Dokonała przeglądu swoich obrażeń. Mnóstwo siniaków i ran szarpanych. Nic złamanego. Dokonała też przeglądu swojej duszy. Tam też nic złamanego.

Spojrzała na Malgusa. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Być może jeszcze się spotkamy, w innych okolicznościach.

– Jeśli spotkamy się ponownie, Aryn Leneer – odparł Malgus – zabiję cię, tak jak zabiłem twojego Mistrza. Nie bierz tego, co robię, za litość. Ja tylko spłacam dług. Kiedy stąd odleciś, będzie spłacony.

Aryn oblizwała wargi, popatrzyła mu w oczy i pokiwała głową.

– Czy wiesz, że twój Zakon cię zdradził, Jedi? – spytał Sith. – Poinformowali nas, że możesz się tu zjawić.

Aryn nie była zaskoczona, ale zdrada i tak bolała.

– Nie należę już do Zakonu Jedi – wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Roześmiał się, chociaż zabrzmiało to raczej jak suchy kaszel.

– W takim razie łączy nas coś więcej niż tylko gniew – stwierdził. – Leć już.

Nie rozumiała, ale pogodziła się z faktem, że nigdy tego nie zrozumie. Odwróciła

się, wciąż nie dowierzając, i ruszyła w stronę promu. T7 wyszedł z ukrycia w pobliżu statku i zapiszczał pytająco. Aryn nie miała na to żadnej odpowiedzi. Razem weszli na pokład promu. Kiedy znalazła się w kabinie i usiadła, zdała sobie sprawę, że cała drży.

– Spokojne serce, spokojny umysł – powiedziała sobie i poczuła się pewniej.

Odetchnęła i uruchomiła silniki. Nie miała pojęcia, dokąd się udać.

Gdy błękitne niebo nad Coruscant ustąpiło czerni kosmosu, Zeerid zaczął się pocić. Obserwował sensory, wypatrując imperialnych statków. Powinni już go wykryć. Na monitorze pojawił się krążownik, może „Waleczny”, może jakiś inny. Zeerid zmienił kurs, oddalając się od niego, i przyspieszył, kierując się w stronę najbliższego szlaku nadprzestrzennego. Chciał po prostu wykonać skok. Dokądkolwiek.

Jego uwagę przykuł sygnał z konsoly. Dopiero po chwili zorientował się, że to połączenie z innego statku. Kolejną chwilę zajęło mu rozgryzienie, jak je odebrać. W końcu wcisnął guzik, otwierając kanał. Jeśli nie mógł zrobić nic innego, to chciał przynajmniej nawrzucać Imperialnym, zanim go zestrzelą.

– Statek desantowy „Brzytwa”, macie pozwolenie na odlot.

Zeerid uznał, że to jakiś podstęp, kiepski dowcip. Jednak skaner nic nie wykazał, a krążownik nie wykonał żadnego ruchu w jego kierunku.

Zeerid wleciał na szlak nadprzestrzenny. Nie mogąc uwierzyć we własne szczęście, polecił komputerowi nawigacyjnemu obliczyć kurs. Głos Vrata wyrwał go z zadumy.

– Nieźle, komandosie. Jestem pod wrażeniem.

– Nie zależy mi na tym, żeby robić na tobie wrażenie, skrytobójco.

Vrath zachichotał, ale śmiech przeszedł w kaszel i mężczyzna się skrzywił.

– W przedziale medycznym są pigułki. Byłbyś tak dobry?

– Później – powiedział Zeerid.

– Naprawdę cholernie boli, komandosie.

– I dobrze.

– To tylko interesy, Korr.

Zeerid pomyślał o Arze, Nat i Aryn.

– Interesy. Jasne.

Miał powyżej uszu tych interesów.

– Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta – dodał Vrath. – Moim zadaniem było nie dopuścić, żeby ta syntprzyprawa trafiła na Coruscant, i to zrobiłem. A więc sprawa zamknięta. Zamelduję wykonanie zadania i więcej się nie zobaczymy. Chociaż wolałbym odzyskać statek.

Zeerid oparł się pokusie, żeby przyłożyć skępowanemu mężczyźnie. Zachowywał się tak, jakby odbyli właśnie przyjacielski sparing i zamierzali pójść na drinka.

– Ale Kantor pewnie tak łatwo tego nie wybaczy, co? – ciągnął Vrath. – Słyszałem, że bardzo nie lubią, jak ginie towar. Ty i twoja rodzina będziecie mieli twarde orzechy do zgryzienia.

Słowa Vrata sprawiły, że Zeerid wstrzymał oddech. Nagle wszystko się zmieniło. Zaciśnął dłonie na sterach, aż zbieleły mu knykcie, rozważając w głowie różne opcje. Adrenalina buzowała mu w żyłach. Wyjrzał przez okno w kabinie.

– Oni nie wiedzą, że mam rodzinę.

– Jeszcze nie – odparł Vrat. – Ale się dowiedzą. Zawsze się dowiadują...

Vrat zbyt późno się zorientował, że wszedł na minę. Próbował zbyć to śmiechem, ale Zeerid usłyszał kryjący się za tym śmiechem strach.

– Albo i nie. Tak tylko gadam.

– Za dużo gadasz – powiedział Zeerid. Jego rysy stwardniały i stwardniało jego serce. Alchemia konieczności zawężyła listę jego opcji do jednej.

Włączył autopilota i podniósł się z fotela.

– Wstawaj, Vrat.

Mężczyzna się nie poruszył. Zeerid podniósł go brutalnie, aż Vrat jęknął z bólu.

– Spokojnie, komandosie. Środki przeciwbólowe, co? – powiedział.

Jego głos brzmiał niepewnie.

– Idź – rozkazał Zeerid.

– Dokąd?

Zeerid przyłożył mu GH-22 do pleców.

– Jazda.

Vrat z ociąganiem dał się poprowadzić korytarzami statku. Szedł powoli, jakby znał zamiary Zeerida, więc pilot musiał go poganiać. Parę zakrętów, parę korytarzy i Zeerid zobaczył drzwi śluzy powietrznej. Doprowadził do nich Vrata i się zatrzymał.

– Odwróć się.

Vrat wykonał polecenie. Jego twarz pokrywały czerwone plamy, ale Zeerid nie wiedział, czy od uderzeń, czy ze strachu.

– Chodzi o twoją córkę, tak? Już o niej powiedziałem swoim współpracownikom. Oni już wiedzą.

Zeerid usłyszał w jego głosie ton kłamstwa.

– Kłamiesz. Sam to przyznałeś. Powiedziałeś: „Jeszcze nie”.

Odsunął Vrata blasterem i aktywował wewnętrzne drzwi śluzy powietrznej. Odsunęły się z sykiem. Czerwone światelko zamontowane w suficie zapaliło się i zaczęło obracać.

Zeerid pokazał mu blaster.

– Wolisz to? – Wskazał ruchem głowy śluzę powietrzną. – Czy to?

Vrat popatrzył na broń, na śluzę i przełknął ślinę.

– Nie musisz tego robić, Korr. Nikomu nie powiem o tobie ani o twojej rodzinie. Możesz nawet zatrzymać statek.

– Nie mogę ryzykować.

Vrat spróbował się uśmiechnąć, ale przypominało to bardziej przedśmiertny

grymas.

– Daj spokój, Korr. Jak mówię, że nie powiem, to nie powiem. Kto jak kto, ale ja nie rzucam słów na wiatr.

Zeerid przypomniał sobie obietnicę złożoną Nat, że nie będzie podejmował niepotrzebnego ryzyka.

– Ja też nie.

Vrath zaczął przestępować z nogi na nogę, a w jego głosie pojawiła się desperacka nuta.

– Będziesz musiał z tym żyć, Korr. Staniesz się mordercą. Zabić człowieka jego bronią... Chcesz wziąć na siebie taki ciężar?

Zeerid wiedział, co robi. A przynajmniej tak mu się zdawało.

– Mogę z tym żyć. I nie będzie skrytobójca prawil mi morałów.

Strach napełnił oczy Vratha łzami.

– To była wojna, Korr. Zastanów się nad tym. Dobrze się zastanów.

– Już się zastanowiłem. Wybieraj albo ja wybiorę za ciebie. Kolejna liczba, co?

Vrath popatrzył Zeeridowi w oczy. Może zobaczył w nich obojętność, a może determinację.

– Do diabła z tobą, Korr. Do diabła z tobą.

Zeerid wepchnął go do śluzy powietrznej.

– Mogłem je zabić, Korr. Obie. Wtedy w parku na Vulcie. Wiesz, że mogłem. Ale tego nie zrobiłem.

– Nie – przyznał Zeerid. – Nie zrobiłeś.

Uruchomił mechanizm sterujący i drzwi zaczęły się zamykać.

– Teraz tego żałuję! Żałuję, że ich nie zabiłem!

Zeerid zatrzymał drzwi. Nagły przypływ gniewu dodał mu nowych sił. Chwycił Vratha za koszulę i potrząsnął nim.

– Gdybyś ją skrzywdził, umierałbyś powoli i w męczarniach. Słyszysz mnie, skrytobójco? Słyszysz?

Kopnął go w brzuch, aż Vrath zgiął się wpół. Podczas gdy z trudem łapał powietrze, Zeerid uruchomił ponownie drzwi i zamknął do końca śluzę. Vrath wpatrywał się w niego przez małe transpastalowe okienko z wściekłością w oczach i wyszczerzonymi w grymasie zębami.

Zeerid wcisnął guzik powodujący opróżnienie śluzy powietrznej. Rozległa się syrena alarmowa.

Spojrzał jeszcze raz na Vratha i zobaczył strach w jego oczach. Odwrócił się i poszedł do kabiny.

Morderca.

Oto kim był.

Syrena umilkła i poczuł lekkie drgania, które oznaczały, że otwierają się

zewewnętrzne drzwi śluzy powietrznej.

W jego duszy zaś otwarła się czeluść.

Surowe, nienazwane emocje sprawiły, że do oczu napłynęły mu łzy. Otarł je ręką.

Był mordercą i już czuł ten ciężar.

Ale był gotów go dźwigać – dla Nat, dla Arry. Spodziewał się, że będzie jego brzemieniem do końca życia, a ciężar nigdy się nie zmniejszy. Już wcześniej zabijał, ale nigdy w taki sposób... nie tak jak zabił Vrata.

Teraz dopiero zrozumiał, naprawdę zrozumiał, dlaczego Aryn wróciła na Coruscant.

Modlił się do bogów, w których nie wierzył, żeby odstąpiła od swoich zamiarów. Była zbyt wrażliwa, żeby unieść ten ciężar. To by ją zniszczyło. Już lepiej, żeby sama zginęła.

Nagle zapragnął pójść spać.

Anulował kurs wytyczony przez komputer nawigacyjny i wprowadził współrzędne Vulty. Cały czas trzęsły mu się ręce.

Po paru chwilach „Brzytwa” skoczyła w nadprzestrzeń.

Zeerid zawsze latał sam, ale nigdy nie czuł się samotny w kabinie, aż do tej chwili.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, próbując usnąć.

I spać bez snów.



Malgus patrzył, jak pilotowany przez Aryn Leneer prom wzbija się w powietrze. Połączył się przez komunikator z Jardem.

– Z Liston odlatuje prom – oznajmił. – Ma pozwolenie na opuszczenie przestrzeni Coruscant.

– Tak jest, panie – odpowiedział Jard.

Malgus mógł złamać dane Aryn Leneer słowo i zestrzelić ją z nieba, ale nie zrobił tego. Zawsze dotrzymywał swoich obietnic.

Zdał sobie jednak sprawę, lepiej niż kiedykolwiek, że Jedi są zbyt niebezpieczni, żeby mógł im pozwolić istnieć. Byli dla Sithów tym, czym Eleena była dla niego – wzorem spokoju, pocieszenia, a co za tym idzie, pokusą słabości. Angrał tego nie dostrzegali. Imperator też nie. Za to Malgus to rozumiał. I wiedział, co musi zrobić. Musi całkowicie zniszczyć Jedi.

Ukląkł przy Eleenie, przytulił jej głowę. Przyglądał się jej twarzy, jej doskonałej symetrii, linii podbródka, idealnemu kształtowi nosa. Przypomniał sobie chwilę, gdy zobaczył ją po raz pierwszy – zastraszoną, maltretowaną niewolnicę, która ledwo

skończyła dwadzieścia lat. Zabił jej właściciela za brutalność, zabrał ją do domu, wyszkolił w walce. Od tej pory była jego towarzyszką, jego kochanką, jego sumieniem.

Zamrugła, odzyskując ostrość spojrzenia. Uśmiechnęła się.

– Veradun, jesteś moim wybawcą.

– Tak – powiedział.

– Gdzie ta kobieta? – spytała Eleena. – Ta Jedi?

– Odeszła. Już cię więcej nie skrzywdzi.

Oparła z powrotem głowę na jego rękę, zamknęła oczy i westchnęła z zadowoleniem.

– Wiedziałam, że mnie kochasz.

– To prawda – przyznał. Uśmiechnęła się szerzej. Poczuł, jak do oczu napływają mu łzy, oznaka słabości.

Eleena otworzyła oczy, dostrzegła jego łzy i położyła mu rękę na policzku.

– Coś nie tak, kochany?

– To, że cię Kocham, jest nie w porządku, Eleeno.

– Veradun...

Wziął się w garść, wstał, zapalił miecz świetlny i wbił jej w serce.

Eleena wytrzeszczyła oczy, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z jego twarzy. Otworzyła usta w niemym okrzyku zdumienia. Wydawało się, jakby chciała coś powiedzieć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Chwilę później było już po wszystkim.

Wyłączył klingę.

Nie mógł sobie pozwolić na sumienie ani na słabość, jeśli miał zrobić to, co trzeba było zrobić. Musi służyć tylko jednemu panu.

Stał nad jej ciałem, aż wszystkie łzy wyschły.

Postanowił, że nigdy już nie uroni ani jednej. Musiał zniszczyć to, co kochał. I wiedział, że będzie musiał to zrobić znowu. Najpierw Jedi, potem.

Kerse i jego żołnierze stali niespokojnie przy drzwiach hangaru, próbując dostać się do środka.

Malgus ukląkł i podniósł bezwładne ciało Eleeny. W jego ramionach wydawała się lekka jak gaza. Miał zamiar wyprawić jej godny pogrzeb, a potem przystąpić do realizacji swojego planu.

W swojej wizji na Korribanie widział galaktykę w płomieniach. Ale nie tylko Republika wymagała oczyszczenia ogniem.

EPILOG

Noc i kontrolowana wściekłość spowijały Malgusa. Jego gniew tlił się teraz bezustannie, a myśli współgrały z mrocznym powietrzem. W tajemnicy wziął statek i przyleciał na tę planetę z Nieznanych Regionów, gdzie obecnie stacjonował. Nikt nie wiedział o jego przybyciu.

Skupiał się na ukryciu swojej obecności w Mocy. Nie chciał, żeby ktoś ją przedwcześnie zauważył.

Sierp księżycyca otwierał wąską szczelinę w ciemnym niebie, malując otoczenie na szaro i czarno.

Przed nim wznosił się okalający kompleks kamienny mur, wysoki na osiem metrów, o powierzchni równie szorstkiej i dziobatej jak oblicze Malgusa. Pomagając sobie Mocą, przeskoczył mur i wylądował w wypiełgnowanym ogrodzie. Przystrzyżone karłowate drzewa i krzewy rzucały w świetle księżycyca dziwne, zdeformowane cienie. Cichy szum fontanny mieszał się z brzęczeniem nocnych owadów.

Malgus przemykał przez ogród w głębokich ciemnościach, pośród cieni, stąpając miękko po trawie.

Światło rozjaśniało kilka okien niedużego dworku, stojącego pośrodku posiadłości. Dworek, ogród, fontanna... wszystko to przypominało wygodny świat należący do Republiki, jakieś dekadentckie sanktuarium Jedi, gdzie tak zwani badacze Mocy rozmyślali o pokoju i szukali wyciszenia.

Malgus wiedział, że to głupota. Imperia i ci, którzy nimi zarządzili, nie mogli zachować czujności w otoczeniu komfortu i spokoju.

I miłości.

Z oddali dobiegały ciche, ledwo słyszalne głosy. Malgus wyłonił się z ciemności ogrodu, nie zwalniając kroku ani nie próbując się ukryć.

Natychmiast go zobaczyli – dwóch imperialnych żołnierzy w lekkich zbrojach. Podnieśli karabiny blasterowe.

– Stój, kto...

Przywołał Moc: wykonał gest, jakby odganiał owady, i posłał obu żołnierzy na ścianę dworku z wystarczającą siłą, żeby połamać im kości. Obaj osunęli się na ziemię i legli nieruchomo. Czarne oczy ich hełmów wpatrywały się w Malgusa.

Przeszedł między ciałami i wszedł przez rozsuwane drzwi dworku. Przypomniał mu się jego atak na Świątynię Jedi na Coruscant.

Tyle że tym razem nie towarzyszyła mu Eleena. Miał wrażenie, jakby minęła cała wieczność.

Wspomnienie Eleeny na nowo roznieciło przygasający żar jego gniewu. Za życia Eleena była jego słabością, narzędziem, które wykorzystywali jego przeciwnicy. Umierając, stała się jego siłą; wspomnienie o niej było soczewką, która skupiała jego wściekłość.

Znajdował się w oku cyklonu nienawiści. Energia kłębiła się wokół niego i w nim. Nie czuł się, jakby czerpał z Mocy, jakby z niej korzystał. Czuł się, jakby sam był Mocą, jakby się z nią zjednoczył.

Zaszła w nim zmiana. Nie targają już nim żadne wewnętrzne konflikty. Służył Mocy, i tylko Mocy. I z każdym dniem rozumiał ją coraz lepiej.

Wzbierająca energia, która wirowała wokół niego, wymykając się spod kontroli, uniemożliwiała mu ukrywanie swojej obecności w Mocy. Nagle skasował wszystkie mentalne bariery i wyzwolił pełnię swojej potęgi.

– Adraas! – zawołał, wkładając w ten okrzyk tyle siły, że zadrżały ściany i sufit. – Adraas!

Kroczył przez pokoje i korytarze azylu Adraasa, wywracając i niszcząc to, co miał w zasięgu ręki – zabytkowe biurka, dziwaczne, erotyczne rzeźby, w których gustował Adraas, wszystko inne. Za sobą pozostawiał ruinę. I cały czas wzywał Adraasa, żeby się pokazał. Jego głos odbijał się echem od ścian.

Za rogiem trafił na oddział sześciu imperialnych żołnierzy w ciężkich zbrojach, z karabinami blasterowymi w pogotowiu. Trzech klęczało na jednym kolanie przed pozostałą trójką.

Czekali na niego.

Jego wspomagany Mocą refleks był szybszy niż ich palce na spustach. Nie zwalniając kroku, chwycił miecz świetlny i włączył go w chwili, gdy wystrzeliły blastery. Czerwona klinga obracała się w jego dłoni z taką szybkością, że utworzyła tarczę.

Dwa blasterowe strzały odbiły się od jego broni i trafiły w sufit. Pozostałe cztery skierował z powrotem w żołnierzy, robiąc czarne dziury w dwóch klatkach piersiowych i w dwóch maskach. Kolejne dwa kroki i skok pozwoliły mu dopaść dwóch pozostałych przy życiu żołnierzy, zanim zdążyli wystrzelić po raz drugi. Wykonał cięcie, obrót i jeszcze jedno cięcie, zabijając obu.

Wyłączył miecz świetlny i poszedł dalej, aż dotarł do dużej centralnej sali, szerokiej może na piętnaście metrów i długiej na dwadzieścia pięć. Wzdłuż ścian w równych odstępach były rozstawione ozdobne drewniane kolumny, podpierające balkony. Na końcu sali zaś znajdowały się podwójne drzwi – naprzeciwko tych, przez które wszedł Malgus.

W otwartych drzwiach stał Lord Adraas. Na swoją kunsztowną zbroję narzucił

czarny płaszcz.

– Malgus – powiedział Adraas. Jego głos zdradzał zaskoczenie, a ton zmienił imię Malgusa w obelgę. – Przecież byłeś w Nieznanych Regionach.

– Jestem w Nieznanych Regionach.

Adraas zrozumiał aluzję.

– Wiedziałem, że kiedyś się zjawisz.

– Zatem wiesz, że przyszedłem po ciebie.

Adraas zapalił miecz świetlny i zrzucił płaszcz.

– Po mnie, tak? – Zachichotał. – Rozumiem cię, Malgusie. Rozumiem cię całkiem dobrze.

– Nic nie rozumiesz – odparł Malgus i wszedł do sali.

Malgus czuł nienawiść bijącą od Adraasa, jednak bladła ona w porównaniu z wściekłością i nienawiścią, jaka kłębiła się w nim samym. Oczami duszy zobaczył twarz umierającej Eleeny. Ten obraz dołał oliwy do ognia jego wściekłości.

Adraas także wszedł do pomieszczenia.

– Myślisz, że twoja obecność tutaj jest dla mnie niespodzianką? Że nie przewidziałem tego dawno temu?

Malgus zachichotał, a jego śmiech odbił się głośnym echem od sufitu.

– Przewidziałeś, ale nie możesz temu zapobiec. Jesteś jak dziecko, Adraas. I dzisiaj za to zapłacisz. Angral cię nie obroni. Nikt cię nie obroni.

Adraas prychnął pogardliwie.

– Ukrywałem przed tobą swoją prawdziwą potęgę, Malgusie. To ty nie wyjdiesz stąd żywy.

– Więc pokaż mi tę potęgę – odparł Malgus z szyderczym uśmiechem.

Adraas warknął i wyciągnął lewą rękę. Z jego palców wystrzeliła błyskawica Mocy, wypełniając przestrzeń pomiędzy nimi.

Malgus nadstawił miecz świetlny, ściągnając na niego błyskawicę, i ruszył w stronę Adraasa. Skwiercząca energia wirowała wokół klingi i napierała na Malgusa, ale on szedł dalej. Skóra na jego rękach pokryła się bąblami, jednak przetrzymał ból. Taką cenę był gotów zapłacić dla sprawy.

Idąc, zakreślił nad głową łuk swoją klingą, zbierając całą energię błyskawicy, po czym cisnął nią z powrotem w Adraasa. Błyskawica trafiła go w klatkę piersiową, podniosła z podłogi i rzuciła nim mocno o przeciwległą ścianę.

– To jest ta twoja potęga? – spytał Malgus, wciąż posuwając się naprzód, napędzany wściekłością. – To mi chciałeś pokazać?

Adraas podniósł się z dymiącą, osmaloną zbroją. Twarz miał wykrzywioną bolesnym grymasem.

Malgus przyspieszył kroku, przechodząc do natarcia. Jego buty stukały o drewnianą podłogę. Nie zawracał sobie głowy finezją. Dał upust wściekłości przeciągłym rykiem

i zasypał Adraasa gradem ciosów – cięcie znad głowy, które Adraas sparował; potem niskie pchnięcie, przed którym ledwo się uchylił; kopniak, który trafił go w bok, połamał żebra i odrzucił na drugi koniec sali. Adraas wpadł na kolumnę, która pękła pod wpływem uderzenia niczym drzewo trafione przez piorun.

Warknął, podnosząc się z podłogi. Wokół niego zgromadziła się czarna nawałnica energii. Skoczył na Malgusa z uniesioną wysoko klingą.

Malgus uśmiechnął się szyderczo i wykonał gest, którym przechwycił Adraasa w locie i ściągnął go na dół.

Adraas spadł na podłogę, oddychając chrapliwie. Podniósł się powoli, trzymając chwiejnie klingę przed sobą.

– Nic przede mną nie ukrywałeś – powiedział Malgus, a siła jego głosu wywołała grymas na twarzy Adraasa. – Jesteś durniem, Adraas. Twoja siła leży w polityce, w nadskakiwaniu lepszym od siebie. Pod względem rozumienia Mocy nie możesz się ze mną równać.

Adraas ruszył na Malgusa w ostatniej próbie ocalenia jeśli nie życia, to przynajmniej godności.

Malgus wyciągnął rękę i tkwiąca w nim wściekłość objawiła się w postaci niebieskich żyłek błyskawicy, które wypłynęły z jego palców i trafiły w Adraasa. Energia zatrzymała Adraasa, wytrąciła mu z ręki miecz świetlny i uwięziła go w ognistej klatce błyskawicy. Wijąc się z bólu i frustracji, krzyczał:

– Zakończ to, Malgusie! Zakończ to!

Malgus rozluźnił palce i wypuścił błyskawicę. Adraas upadł. Z jego ciała unosił się dym, a skóra na jego przystojnej niegdyś twarzy łuszczyła się, cała pokryta pęcherzami. Jeszcze raz się podźwignął na czworaki i popatrzył na Malgusa.

– Angrał mnie pomści.

– Angrał będzie miał pewne podejrzenia co do tego, co się tu stało – przyznał Malgus, zмирzając ku niemu. – Ale nie będzie wiedział, nie będzie miał pewności, aż będzie za późno.

– Za późno na co? – spytał Adraas.

Malgus nie odpowiedział.

– Jesteś szalony – stwierdził Adraas. Skoczył na nogi i ruszył do ataku. Przyciągnął do siebie swój miecz świetlny i włączył go. Chwilowo zaskoczył tym Malgusa.

Adraas zasypał go teraz lawiną ciosów. Jego klinga zmieniła się w brzęczącą, czerwoną smugę. Malgus cofnął się o krok, o dwa kroki, a potem zatrzymał się i odpowiedział na wszystkie ataki Adraasa. Przeciwnik nacierał z okrzykiem desperacji, mając świadomość, że nie może się równać z Malgusem.

Wreszcie Malgus przeszedł do kontrataku, zmuszając Adraasa do wycofania siłą i szybkością swoich ciosów. Przyparł go do ściany i wziął zamach, celując w głowę. Adraas się uchylił i Malgus przeciął kolumnę na pół. Gdy potężna górna część

kolumny runęła na podłogę, a balkon nad nimi się przechylił, Adraas klęknął na jedno kolano i wykonał pchnięcie wymierzone w klatkę piersiową Malgusa. Malgus zrobił unik i obrót zakończony ciosem, który odciął Adraasowi rękę na wysokości łokcia. Adraas krzyknął i złapał się za biceps, a jego przedramię spadło na podłogę obok kolumny.

Malgus udzielił mu lekcji. W końcu po to tu przybył.

Wyłączył miecz świetlny, uniósł rękę i złączył palce.

Adraas próbował wykorzystać własny potencjał, żeby się obronić, jednak Malgus go przemógł i zacisnął telekinetyczny uchwyt wokół szyi Adraasa.

Adraas zaczął się dusić, aż popękały drobne żyłki w jego wytrzeszczonych oczach. Malgus siłą woli uniósł wierzgającego przeciwnika z podłogi.

Stał teraz na wprost Adraasa; jego nienawiść była jak imadło zaciskające się na jego tchawicy.

– Ty razem z Angralem to spowodowałeś, Adraasie. I Imperator. Nie może być pokoju z Jedi, nie może być rozejmu. – Zacisnął pięść. – Żadnego pokoju. Nigdy.

Jedyną odpowiedzią Adraasa był głośniejszy charkot.

Widząc go tak zawieszzonego w powietrzu, bliskiego śmierci, Malgus pomyślał o Eleenie, o tym, jak opisał ją Adraas. Wypuścił Adraasa z uścisku Mocy.

Adraas spadł na plecy, z trudem łapiąc powietrze. Zanim doszedł do siebie, Malgus nacisnął kolanem jego piersi i obiema rękami szyję. Chciał zabić Adraasa gołymi rękami.

– Spójrz mi w oczy – powiedział i zmusił Adraasa, żeby na niego popatrzył. – W oczy!

Adraas miał w oczach wybroczyny, ale Malgus wiedział, że jest w pełni świadomy.

– Nazwałeś ją kundlem – przypomniał. Zdjął rękawice, chwycił Adraasa za gardło i zaczął ścisnąć. – Przy mnie tak ją nazwałeś. Ją.

Adraas zamrugał, próbując powstrzymać łzawienie. Otwierał i zamykał usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– To ty jesteś kundlem, Adraas. – Malgus nachylił się nad nim nisko. – Kundlem Angrala. Ty i tobie podobni skundliliście czystość Imperium. Przehandlowaliście siłę za przeklęty pokój.

Mocnym uściskiem zmiażdżył tchawicę przeciwnika. Nie wydobył się z niej żaden ostatni dźwięk. Adraas umarł w ciszy.

Malgus podniósł się i stanął nad ciałem. Naciągnął rękawice, poprawił zbroję, płaszcz i opuścił dworek.



Wschodzące słońce oświetlało zza gór Dantooine, a rzadkie chmury na horyzoncie wyglądały, jakby płonęły. Cienie rozciągały się nad doliną, cofając się stopniowo, w miarę jak słońce wschodziło coraz wyżej. Drzewa szumiały na lekkim wietrze, który niósł zapach mułu, gnijących owoców i niedawnego deszczu.

Zeerid stał na wilgotnej glebie, w wysokiej trawie, pod gołym niebem i nie miał zielonego pojęcia, co powinien robić.

Podejrzewał, że siać ziarno albo szczepić winorośle, a może badać glebę albo coś w tym rodzaju. Ale to wszystko były jedynie domysły. Rozejrzał się dokoła, jakby w pobliżu mógł być ktoś, kogo można by o to zapytać, jednak najbliższa farma była oddalona o dwadzieścia kilometrów na zachód.

Był zdany tylko na siebie.

– Jak zwykle – mruknął z uśmiechem.

Po opuszczeniu Coruscant poleciał na Vultę, zabrał Nat i Arrę i udał się w głąb Zewnętrznych Rubieży. Tam sprzedał na czarnym rynku „Brzytwę” wraz z jej ładunkiem, a za zarobione kredyty zafundował Nat własny dom. Dla siebie i Arry kupił od starszego małżeństwa starą winnicę, od dawna leżącą odłogiem.

Został farmerem... tak jakby. W każdym razie właścicielem farmy. Tak jak zapowiadał Aryn.

Na myśl o Aryn, a zwłaszcza o jej oczach, uśmiechnął się, ale jego uśmiech przygasł pod ciężarem złych wspomnień.

Po odlocie z Coruscant już jej więcej nie zobaczył. Przez jakiś czas próbował się dowiedzieć, co się z nią stało, jednak przeszukiwanie HoloNetu nie dało żadnych rezultatów. Wiedział, że Darth Malgus przeżył, zakładał więc, że Aryn nie przeżyła, i nie potrafił wytłumaczyć Arze, dlaczego tatuś czasami płacze.

I wciąż miał cichą nadzieję, że jego przypuszczenie było błędne i że jakimś cudem zdołała uciec.

Myślał o niej każdego dnia: o jej uśmiechu, włosach, ale przede wszystkim o oczach. Zrozumienie, jakie w nich widział, zawsze go do niej przyciągało. Co prawda teraz przyciągało go jedynie do jej wspomnienia.

Miał nadzieję, że odnalazła to, czego szukała, zanim nadszedł koniec.

Rozejrzał się po swojej nowej posiadłości, spojrzął na duży dom, w którym zamieszkali razem z Arrą, na różne budynki gospodarcze, wypełnione sprzętem, którego nie potrafił używać, na rzędy treliaży, które przecinały leżące odłogiem pola winorośli, i poczuł się... wolny.

Nikommu nie był nic winien, a Kantor nie powinien go tu nigdy znaleźć, nawet gdyby jakimś cudem dowiedzieli się, że wciąż żyje. Miał własną ziemię, dom i zostało mu wystarczająco dużo kredytów, żeby nająć ekipę, która mogłaby mu pomóc w ciągu roku albo dwóch zmienić to wszystko w przyzwoitą wytwórnię win. A może

zaadaptuje farmę do uprawy tabaku. Parę miesięcy wcześniej nie wyobrażał sobie nawet takiego życia.

Szczerząc się jak głupi, usiadł na swoim poletku i patrzył na wschód słońca.

Nagle jego wzrok przykuła czarna kropka na horyzoncie.

Statek.

Przyglądał mu się obojętnie, dopóki nie zaczął rosnąć. Nie dostrzegał jeszcze jego kształtów, ale widział jego kurs.

Statek zmierzał w jego kierunku.

Poczuł przyływ paniki, ale zaraz zdołał go opanować. Obejrzał się na dom, gdzie spała Arra, i skierował wzrok z powrotem na statek.

Nie lubił niezidentyfikowanych obiektów nadlatujących ku niemu z nieba. Zawsze przypominały mu o promie, który wbił się w Świątynię Jedi. Zawsze przypominały mu o Aryn.

– Niemożliwe, żeby nas znaleźli – powiedział. – Nie ma się czego obawiać.

Statek robił się coraz większy, w miarę jak się zbliżał. Leciał z dużą prędkością.

Po trójskrzydłowej konstrukcji rozpoznał BT7 Thunderstrike – wielozadaniowy statek, często spotykany nawet na rubieżach. Zeerid wstał. Słyszał głęboki, basowy warkot silników.

– Tatusiu!

Na dźwięk głosu Arry odwrócił głowę. Dziewczynka wyszła z domu i usiadła w drewnianym bujanym fotelu na werandzie. Uśmiechała się i machała rączką.

– Przestało padać! – zawołała.

– Wracaj do domu, Arra! – krzyknął, wskazując na drzwi.

– Ale tatusiu...

– W tej chwili do domu.

Nie patrzył nawet, czy posłuchała. Statek prawdopodobnie jeszcze go nie zauważył. TreliAZE ze sznurkami zbrązowiałych winorośli osłaniały go przed wzrokiem powietrznych obserwatorów. Schylił się nisko i popędził na skraj pola. Ukrył się za jednym z treliAZE, wyglądając spomiędzy martwych łodyg na otwarty teren na obrzeżach pola, gdzie najprawdopodobniej powinien wylądować statek.

Jeżeli zmierzał na jego farmę.

Rzucił okiem na dom i zobaczył, że Arra weszła do środka. Sięgnął do kabury na kostce i wyciągnął E-3, który tam trzymał, następnie zza pleców wyjął E-9. Skarcił się w duchu, że nie założył swojego pasa, przy którym miał zwykle dwa BlasTechy 4. Arra nie lubiła widoku broni, więc nosił tylko tę, którą mógł trzymać w ukrytych kaburach. Jednak takimi pukawkami serii E trudno byłoby zrobić krzywdę komuś w zbroi ablacyjnej.

Pod warunkiem że statek zmierzał na jego farmę.

Jednostka była teraz dobrze widoczna i Zeerid zauważył, że nie ma żadnych

oznaczeń. Niedobry znak. Statek zwolnił i zrobił kółko nad farmą. Jego główne silniki zmniejszyły obroty, a włączyły się silniki manewrowe. Schodził do lądowania.

Zeerid zaklął brzydko.

Napięcie w nim rosło, ale wciąż czuł ten typowy dla siebie spokój, który zawsze tak dobrze mu służył w walce. Przypomniawszy sobie, żeby nie strzelać, dopóki się nie dowie, z kim ma do czynienia. Nie można wykluczyć, że ten, kto znajduje się na pokładzie, nie ma złych zamiarów. Mógł to być jakiś miejscowy. Albo urzędnik w nieoznakowanym statku.

Chociaż w to akurat wątpił.

Jeśli to byli agenci Kantoru, chciał przynajmniej jednego wziąć żywcem, żeby dowiedzieć się, jak go wytropili.

Statek wylądował; jego płozy ugrzęzły w wilgotnym gruncie. Silniki zmniejszyły obroty, ale nie zgasły. Zeerid przez transpasteralową osłonę kabiny widział człowieka w kurtce, hełmie i okularach, co, jak się zdawało, było typowym strojem pilota na Rubieżach. Mężczyzna rozmawiał z kimś w tylnym przedziale, ale Zeerid nie widział jego rozmówcy.

Usłyszał, jak drzwi po przeciwległej stronie statku otwierają się, a potem zamykają. Wciąż nikogo nie widział. Silniki weszły na wyższe obroty i statek zaczął się unosić. Zeerid odczekał parę sekund, aż wzbije się w powietrze i nabierze prędkości, po czym wyszedł zza treliazu.

W stronę jego domu szła samotna postać – krótkowłosa kobieta, ubrana w luźne spodnie i krótki płaszcz. Zeerid wycelował oba blastery w jej plecy.

– Ani kroku dalej.

Zatrzymała się i wyciągnęła ręce na boki.

Postanowił ją okrążyć, żeby zobaczyć jej twarz.

– Musisz do mnie strzelać za każdym razem, jak się spotykamy?

Na dźwięk tego głosu przystanął nagle. Zaparło mu dech, a serce waliło jak szalone.

– Aryn?

Odwróciła się i rzeczywiście to była ona. Nie mógł w to uwierzyć.

Pierwsze słowa, jakie wypłynęły z jego ust, zabrzmiały idiotycznie.

– Twoje włosy!

Przejechała ręką po krótko przystrzyżonej fryzurze.

– Tak, potrzebowałam zmiany.

Słyszał powagę w jej głosie. Zmierzając ku niej chwiejnym krokiem, odpowiedział jej równie poważnie:

– Rozumiem cię.

Uśmiechnęła się łagodnie. Jej uśmiech był taki sam jak zawsze, ciepły niczym wschodzące słońce.

– Wszędzie cię szukałam – powiedziała. – Chciałam sprawdzić, czy u ciebie

wszystko dobrze.

– Ja też cię szukałem – odparł. – Ale nie znalazłem. Oglądałem każdy holoreportaż o Jedi. Mówili, że opuszczacie Coruscant.

Jej twarz posmutniała.

– Odeszłam z Zakonu, Zeerid.

Zeerid się zatrzymał.

– Co takiego?

– Odeszłam. Tak jak mówiłam, potrzebowałam zmiany.

– Myślałem, że chodzi ci o włosy.

Uśmiechnęła się znowu, po czym spojrzała na blastery.

– Odłożysz to?

Zeerid poczuł, że się rumieni.

– Oczywiście. To znaczy tak. Już.

Drżącymi rękami schował broń do kabur.

– Jak mnie znalazłaś?

– Mówiłeś, że chcesz zostać farmerem na Dantooine. – Wyciągnęła rękę, wskazując na otaczający ich krajobraz. – I oto jesteś.

– I oto jestem.

– Nie martw się – powiedziała, przeczuwając jego obawy. – Nikt inny nie mógłby cię znaleźć. Tylko ja.

– Tylko ty... Tylko ty.

Uśmiechał się głupawo, powtarzając jej słowa, i pewnie wyglądał jak dureń. Nie dbał o to. Ona też się uśmiechała. Nie mógł już dłużej wytrzymać.

– *Stang, Aryn!* – zawołał. Podbiegł i wziął ją w ramiona.

Odwzajemniła uścisk, a on objął ją mocniej; poczuł jej ciało na swoim i zapach włosów. Rozkoszował się tym przez chwilę, a potem odsunął Aryn na długość ramienia.

– Zaraz, a jak... jak się wydostałaś z Coruscant? Malgus...

Pokiwiała głową.

– Osiągnęliśmy porozumienie... w pewnym sensie.

Chciał zapytać o Twi'lekanę, ale obawiał się odpowiedzi.

Aryn pewnie wyczuła jego wzburzenie lub też знаła go na tyle dobrze, że odgadła, o czym myśli.

– Nawet po twoim odlocie nic jej nie zrobiłam. Eleenie, znaczy się. Zostawiłam ją z Malgusem. Chociaż nie wiem, czy wyświadczyłam jej tym przysługę.

Objął ją znowu. Poczuł większą ulgę, niż się spodziewał.

– Cieszę się, Aryn. Cieszę się, że to zrobiłaś. I cieszę się, że tu jesteś.

Łzy popłynęły mu z oczu. Nie bardzo wiedział dlaczego.

Odepchnęła go i przyjrzała mu się badawczo.

– Co się dzieje? Jesteś zdenerwowany.

Słowa cisnęły mu się na usta, ale ich nie wypowiedział. Przypomniała mu się służa powietrzna na „Brzytwie”, ale pokręcił tylko głową. Vraith to było jego brzemię.

– To nic. Cieszę się, że cię widzę. Porozumienie z Malgusem? Co to znaczy?

– Wypuścił mnie.

– Co takiego?

Aryn pokiwała głową.

– Tak, wypuścił mnie. Wciąż nie rozumiem dlaczego. Nie do końca.

– Czy ty... ciągle go ścigasz?

Po twarzy Aryn przeniknął cień, ale po chwili rozjaśnił ją uśmiech. Sięgnęła do naszyjnika, który miała na sobie. Na srebrnym łańcuszku wisiał kamień. Zeeridowi wydawało się, że to jakiś nautolański klejnot.

– Nie, nie ścigam go. Kiedy stanęłam z nim twarzą w twarz, poczułam jego nienawiść, jego wściekłość. – Wzdrygnęła się. – Nigdy wcześniej nie spotkałam się z czymś takim u żadnego Sitha. On żyje w wyjątkowo mrocznym miejscu. A ja... nie chciałam tam za nim podążać.

Zeerid rozumiał to lepiej, niż sądziła. On też żył w mrocznym miejscu.

– Lepiej nie brać na siebie takiego ciężaru – powiedział do niej... a może do siebie.

– Nie – przyznała. – Lepiej nie.

Otrząsnął się z przygnębienia i zmusił do uśmiechu.

– Zostaniesz na trochę?

Zanim Aryn zdążyła odpowiedzieć, z domu dobiegł głos Arry:

– Tatusiu! Mogę już wyjść?

Przywołał ją ruchem ręki. Otworzyła drzwi, zbiegła po schodach z werandy i popędziła przez trawę.

Aryn złapała go za rękę.

– Ona biega, Zeerid.

– Protezy – wyjaśnił i łzy znów zakręciły mu się w oczach, gdy z Aryn u boku patrzył na biegnącą ku niemu córkę.

Arra zatrzymała się przed nimi, zdyszana. Miała zmierzwione włosy, zaciekawione spojrzenie i szeroki uśmiech. Wyciągnęła z powagą drobną rączkę.

– Dzień dobry. Jestem Arra.

Aryn uklękła, żeby spojrzeć jej w oczy. Uścisnęła jej dłoń.

– A ja Aryn – powiedziała. – Witaj, Arro. Miło cię poznać.

– Masz ładne oczy – stwierdziła Arra.

– Dziękuję.

Zeerid wypowiedział na głos swoje życzenie:

– Aryn chyba zostanie z nami jakiś czas. Cieszysz się?

Arra pokiwała głową.

– To prawda, Aryn? Zostaniesz z nami?

Aryn wstała i krucha nadzieja Zeerida urosła razem z nią. Kiedy spojrzała na niego i skinęła głową, wyszczerzył się jak głupek.

– Lubisz grać w gravball? – zapytała ją Arra.

– Możesz mnie nauczyć – odparła Aryn.

– Może coś zjemy? – zaproponował Zeerid.

– Ścigamy się! – zawołała Arra i popędziła do domu.

Zeerid i Aryn pobiegli za nią, roześmiani, wolni.

PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję Shelly, Sue, Lelandowi i Davidowi – za całą ich pomoc i wsparcie.